



Marisa de los Santos



I weszła miłość

1. Cornelia

Moje życie, moje prawdziwe życie, rozpoczęło się, gdy wkroczył w nie pewien mężczyzna - przystojny nieznajomy w doskonale skrojonym garniturze. Tak, wiem, jak to brzmi. Moja przyjaciółka Linny z pewnością prychnęłaby i nie omieszkała wyrazić głębokiej i złożonej pogardy dla takiego stwierdzenia. Po pierwsze, feministycznej pogardy dla samego pomysłu, że mężczyzna może zmienić życie kobiety, nawet jeśli, jak się okazało, ten mężczyzna był raczej zwiastunem zmian niż samą zmianą. Po drugie, pogardy dla jego nieścistości - bo jak mogę mówić, że się zaczęło, skoro przeżyłam już trzydzieści jeden lat. I na koniec, ogólnej pogardy dla ludzi traktujących różne chwile swego życia jak kadry filmowe.

Rzeczywiście, przyznaję, że robię to częściej, niż powinnam, ale ten mężczyzna naprawdę stanął w drzwiach kawiarni, którą kieruję, nagle i w konturowym oświetleniu. Gdyby podłoga była pusta, a nie pełna stolików, krzeseł, ludzi i psów, południowe jesienne słońce rzuciłoby jego wąski cień przez całą jej szerokość w ujęciu godnym Orsona Wellesa. Linny może do woli klucć mnie trójzębem pogardy, a ja i tak twierdzę, że moje życie zaczęło się tego październikowego poranka, kiedy pewien mężczyzna wszedł przez drzwi kawiarni.

To był zwyczajny dzień - namacalnie zwyczajny, jakby manifestował swoją gładką normalność. Sobota, hałas, dym, który zdążył się już nagromadzić i unosił się jak mgła nade mną i klientami Café Dora. Siedziałam tam gdzie zwykle, kiedy nikogo nie obsługuję, czyli na wysokim stołku za ladą, i obserwowałam, jak Hayes i Jose grają w szachy. Wszyscy mówili, że są dobrymi graczami. Oni sami też tak twierdzili. „Nie genialnymi, zaznaczył Hayes. Nie jak Rosjanie, szachowi maniacy wygrywający z komputerem. Ale cholernie dobrymi". Hayes pochodził z Teksasu i prowadził kolumnę poświęconą winom w „Philadelphia Inquirer”. Lubił przeklinać w niekonwencjonalny sposób, a kiedy wchodził do kawiarni, odwracał z hukiem krzesło siedzeniem do siebie i siadał na nim okrakiem.

Kiedy na nich patrzyłam, Jose uniósł kudłatą głowę, rzucił Hayesowi wilgotne, smutne spojrzenie i przesunął pionek z jednego pola na drugie. Nie znam się zbyt dobrze na szachach, ale musiał to być niezły ruch, bo Hayes odrzucił głowę do tyłu i huknął: „Jasna cholera, chłopcze! Tego to wyciągnąłeś prosto z dupy!” Spojrzał na mnie z kpiarskim uśmiechem i sympatycznym kowbojskim błyskiem w oku. Uniosłam jeden kącik ust, a wyraz mojej twarzy był odpowiednikiem współczującego wzruszenia ramionami. Moja twarz mówiła: „Cóż na to poradzisz”.

Jednak dajmy już sobie spokój z Hayesem. Skoro znajdował się na sali, to oczywiście nie

on wszedł do kawiarni, zmieniając moje życie, a w sumie nie odegrał w tej historii zbyt dużej roli. Właściwie nie wiem, czemu zaczęłam od Hayesesa. Może dlatego, że pod wieloma względami stanowi świetne ucieleśnienie mojego dawnego życia: wykreowany przez siebie samego, bystry i dość pociągający snob w dziedzinie win, przebrany za kowboja, przy tym całkiem miły, rzucający w miarę zabawne uwagi i prawdopodobnie kryjący gdzieś pod tym wszystkim prawdziwego człowieka, ale równie możliwe, że nie. Na studiach czytałam *Widzenie o Piotrze Oraczu*, w którym ten Will wyrusza w podróż i spotyka różne postaci, takie jak Matka-Kościół czy Łakomstwo. Najlepiej myślcie o Hayesie jak o postaci w rodzaju Typowy-Mieszkaniec-Dawnego-Życia-Cornelii. Alegorie zawsze działały na mnie uspokajająco. Kiedy natykamy się na osoby noszące imiona Łgarz lub Abstynencja, możemy ich nie lubić, ale za to wiemy dokładnie, w co się pakujemy.

Przy wejściu do kawiarni pojawiła się Phaedra, kolejny stały gość - mnóstwo rudych, roztrzepanych loków, skórzane spodnie i piersi karmiącej matki - ciągnąc za sobą ogromny czarny wózek, jeden z tych pojazdów na wysokich białych kołach, uwielbianych przez angielskie niańki. Natychmiast w jej kierunku rzuciło się z pięć osób, niemal zderzając się głowami, żeby przytrzymać jej drzwi. Phaedra spojrzała błagalnie w kierunku mężczyzny i kobiety, którzy siedzieli najbliżej drzwi, ale okazało się to niepotrzebne. Para już zbierała pospiesznie swoje cappuccino, kurtki, torby na aparaty i plecaki na stelażach, zupełnie nie mając o to pretensji.

- Cornelio! - zawołała do mnie Phaedra przez całą szerokość sali śpiewnym głosem, którego można się było po niej spodziewać. - Czy mogłabyś? Café au lait? Z mnóstwem cukru? I czymś grzesznym! - Nasza kawiarnia jest samoobsługowa.

Phaedra wykonała bezradny gest ramionami i długimi rękami, obejmując nim niemowlę, swoje wyczerpanie i cały odwieczny ciężar macierzyństwa. Naprawdę potrafiła działać na nerwy. Ale Allegra to zupełnie inna bajka. Dla Allegry, córki Phaedry, wyszłam zza lady z rogalikiem i kawą i ruszyłam zygzakami pomiędzy stolikami i psami.

I oto leżała, owinięta w kocyk w lamparce cętki. Błękitnooka urzekająca czarodziejka z półprzejrzystą skórą, świeżutka w tej zadymionej sali jak dopiero co upieczony chleb. Allegra przypominała Phaedrę - ta sama biała skóra, to samo piękne czoło Carole Lombard - ale jej włoski były w kolorze marchewki i sterczały we wszystkie strony. Czekałam na ukłucie w sercu... I nadeszło. Ilekroć widziałam Allegrę, zawsze miałam ochotę jej dotknąć, a najlepiej spać z nią ułożoną w zgięciu mojej prawej ręki. Postawiłam kawę i rogalik przed Phaedrą, po czym założyłam ręce na piersiach, obejmując dłońmi łokcie. Allegra spała, wykonując ustami ruchy jak przy ssaniu. W końcu o czym innym mogłoby śnić niemowlę?

- Spójrz prawdzie w oczy. Chciałabyś takie mieć - odezwała się Phaedra. Ze sporym wysiłkiem przeniosłam wzrok ze wspaniałego niemowlęcia na jego wspaniałą, irytującą matkę. - No widzisz? - ciągnęła Phaedra. - Musiałaś dosłownie odrywać od niej oczy.

Au! - pomyślałam i usiadłam przy niej na chwilę. Niewłaściwe użycie przez nią określenia „dosłownie” wzbudziło we mnie odrobinę sympatii, niewiele, lecz wystarczająco, by skłonić mnie do pięciominutowej rozmowy.

- Jak interesy? - spytałam. Phaedra projektowała biżuterię.

- Niezbyt. Zaczynam myśleć, że ludzie po prostu tego nie chwytają - odparła. Jej wizytówką była biżuteria - a właściwie byłaby, gdyby ją kupowano i noszono - wykonana ze szkła wyrzucanego przez morze oraz platyny, czyli zestawienie zwykłego z niezwykłym. Zdaniem Phaedry zmusza ona do zastanowienia się na nowo nad pojęciem „wartości” i „cenneści”. Być może ludzie rzeczywiście tego nie chwytały. A może chwytały, ale nie poruszało ich to na tyle, żeby wybulić osiemset dolarów za bransoletkę z butelki od heinekena.

Phaedra podniosła filiżankę do ust i przyglądała mi się bystro przez obłok pary.

- Cornelio, a może byś ponosiła niektóre z tych rzeczy w kawiarni, po prostu żeby wzbudzić zainteresowanie? - Jej ton sugerował, że ta myśl właśnie wpadła jej do głowy, tymczasem pytała mnie o to już trzeci raz.

- Nie mogę nosić biżuterii w pracy - odparłam, nie wyjaśniając tego dokładniej, za to przewracając oczami, co miało zasugerować, że wisi nade mną bliżej nieokreślona siła, która nie zgadza się na biżuterię. W rzeczywistości nigdy i nigdzie nie noszę biżuterii. Mam sto pięćdziesiąt dwa centymetry wzrostu i budowę jedenastolatki - w porywach trzydzieści osiem i pół kilograma, jak mawia mój ojciec, toteż obawiam się, że z biżuterią wyglądałabym jak ozdóbka do powieszenia na choince. Wielka szkoda, ponieważ ją uwielbiam. Nie taką, jak robi Phaedra - zimną i kanciastą - ale prawdziwe klejnoty: brylanty, bransoletki i kolie, broszki błyszczące jak gwiazdy, diademy, biżuterię Jean Harlow czy Irene Dunne na statku w filmie *Ukochany*.

Tymczasem Allegra poruszyła się w lamparcim gniazdku, ziewnęła i wyrzuciła piastkę w górę. Phaedra natychmiast wzięła ją na kolana, schyliła łabędzią szyję i zanurzyła twarz w pomarańczowych włoskach, wdychając zapach swojego niemowlęcia. Był to autentyczny gest, automatyczny i niewystudiowany. Poczułam na rękach gęsią skórę. Dotknęłam palcem dłoni dziewczynki, a ona mocno go złapała i trzymała.

- Naprawdę powinnaś mieć swoje - z uporem ciągnęła Phaedra, co natychmiast sprawiło, że się najeżyłam. Jednak kiedy spojrzałam jej w twarz, stwierdziłam, że ma życzliwy wyraz. Z dzieckiem w ramionach stawała się zawsze lepszą osobą. Dlatego tylko zaśmiałam się krótko i

lekko rzuciłam:

- Ja i niemowlę. Potrafisz to sobie wyobrazić?

- Oczywiście, że potrafię. Doskonale. I ty też.

Chociaż zirytował mnie jej triumfujący uśmiezek i w życiu bym jej tego nie przyznała, musiałam przyznać sama przed sobą, że częściowo miała rację. Może nie wyobrażałam sobie tego doskonale, ale jednak mogłam to sobie wyobrazić. A prawdę mówiąc, nawet nieraz to sobie wyobrażałam. Jednak za każdym razem przywoływało mnie do rozsądku przekonanie, że zanim ktoś sprowadzi na ten świat nowe życie, powinien sam zacząć żyć naprawdę.

Niestety, dreptałam w miejscu, i to już od dłuższego czasu. Jeżeli zdziwicie się, dlaczego kobieta po trzydziestce, która zadała sobie trud studiowania na uniwersytecie i przedzierania się przez alegoryczne średniowieczne teksty, zatrzymała się w swym rozwoju zawodowym na stanowisku kierowniczkii kawiarni, to nie będę wam miała tego za złe. Sama się nad tym zastanawiam. Najrozsądniejsze, co mi przychodzi do głowy, to że nie wymyśliłam dla siebie niczego lepszego - przynajmniej jeszcze nie. Jeśli kiedykolwiek miałabym bez reszty oddać się jakiemuś zajęciu, zamiast tylko wykonywać obowiązki w byle jakiej pracy, to musi to być coś, co będę kochać, a z moich doświadczeń wynika, że czasem trudno jest określić, co naprawdę kochasz. Może się to wydawać łatwe, ale wcale tak nie jest. Poza tym, jeśli siedzisz w czymś dłużej, to taka kawiarnia, podobnie jak każde inne miejsce, staje się dla ciebie całym światem.

Nagle poczułam się znużona widokiem Phaedy, Allegry i błyszczącego czarnego wózka. I jeżeli o kobiecie ważącej poniżej czterdziestu kilogramów można powiedzieć, że się dźwignęła, to dźwignęłam się ciężko z krzeselka i powlokłam na swoje miejsce za barem.

Wszystko to opowiadam, żeby pokazać, jak zwyczajny był ten dzień i jak jego zwyczajność zaczęła nawet przybierać nutę znużenia i bezsensu. Zależy mi bowiem, żebyście zrozumieli, jak wyglądało moje życie w okresie „przed” i jak bardzo zmieniło się „po”. Zwyczajne, zupełnie zwyczajne. Chociaż... - i szczerze w to wierzę, mimo zarzutów Linny na temat doszukiwania się filmowych momentów - tuż przedtem, zanim drzwi kawiarni otworzyły się po raz kolejny, zwykły dzień nabrał odrobinę koloru, jakby w oczekiwaniu.

Łagodne dotychczas światło wpadające przez wysokie łukowate okno stało się nagle jaskrawe, zmieniając starą miedź ekspresu do kawy w czyste złoto. I muzyka - głos Sarah Vaughan, którą uwielbiam, śpiewający piosenki George'a i Iry*, których uwielbiam - unosił się i opadał jak ptak w czystej przestrzeni nad dymem papierosowym i gwarem rozmów. Delikatnie pachniała kawa, kwiaty, które kupiłam rano, przeszywały powietrze błękitem, filiżanki do kawy jaśniały, jakby były z najcieńszej chińskiej porcelany, a ja, w czerwonym swetrze i klasycznej

zamszowej spódnicy, ze stopami w kozaczkach opartymi pewnie na podłodze, czułam się niemal wysoka.

* Gershwinów (przyp. tłum.).

A wówczas drzwi Café Dora otworzyły się i wszedł Cary Grant.

Jeśli jeszcze nie widzieliście *Filadelfijskiej opowieści*, to przerwijcie czytanie, wypożyczcie ją i obejrzyjcie. Może lekką przesadą będzie stwierdzenie, że do chwili jej obejrzenia wiedzieliście niepełne i bezbarwne życie, niemniej jednak można ją niewątpliwie umieścić na liście rzeczy idealnych. Wiecie, o co mi chodzi - o listę zawierającą rozgwieżdżone niebo nad pustynią, grillowane kanapki z serem, *Wielkiego Gatsby'ego*, budynek Chryslera, Elłę Fitzgerald śpiewającą *It Don't Mean a Hing (If You Ain't Got That Swing)*, białe piwonie i te małe szkice dłoni Leonarda da Vinci.

Jeśli oglądaliście już ten film, to wiecie, że jest tam taki moment, gdy Katharine Hepburn grająca Tracy Lord wychodzi z kabiny przy basenie. Ma na sobie cudowną białą suknię opadającą prosto z drobnych obojczyków, suknię żłobkowaną i precyzyjną jak grecka kolumna, a jednocześnie falującą z lekkością dymu. Suknia paradoks, składająca się z przeciwieństw dobranych tak idealnie, że aż przechodzi cię dreszcz.

Kiedy po raz pierwszy obejrzałam *Filadelfijską opowieść*, miałam czternaście lat. Było to na trzy dni przed Bożym Narodzeniem, które w moim rodzinnym domu oznaczało - a właściwie oznacza i zawsze będzie oznaczać - okres przeładowany doznaniem zmysłowymi. Wszystkie pokoje wypełnione do granic możliwości girlandami i ostrokrzewem, cały dom rozbrzmiewa głosem Johnny'ego Mathisa, a w salonie stoi monsturalnej wielkości choinka obwieszona najrozmaitszymi świecidelkami, w tym dziesiątkami niemożliwych do opisanie ozdóbek, które moi bracia, siostra i ja robiliśmy w szkole.

Nie wspominam zbyt dobrze wieku czternastu lat. Dojrzywałam jako ostatnia z ostatnich, miałam około stu dwudziestu centymetrów wzrostu i byłam chuda jak kot, toteż ubierałam się nadal w dziale dziecięcym. Miałam silną alergię na wszystkich członków swojej rodziny i byłam przekonana, że nigdy w życiu nie poczuje się szczęśliwa.

Ale w pewnym momencie, kiedy w ponurym nastroju przerzucałam kanały telewizyjne, znalazłam się w samym środku biało-czarnego nieba: Tracy, sukienka.

Poraziło mnie do tego stopnia, że zapomniałam, jak się przełyka, i niemal się udławiłam kolejnym łykiem napoju. A kiedy nieco później Tracy zdjęła pasek ze swej szczupłutkiej talii, a

jej nieskazitelne ciało wyslizgnęło się z nieskazitelnej sukni, skoczyłam na równe nogi i krzyknęłam: „Cholera! To jest narzutka na kostium kąpielowy!”, co nie spodobało się mojemu ojcu, który akurat siedział na podłodze, przymocowując - nie żartuję - dzwoneczki do obróżek naszych kotów.

Skupiłam się każdym atomem ciała na reszcie filmu. Zapewne przez pokój przechodzili pospiesznie różni ludzie, bo zawsze tak robią, szczególnie moi bracia, Cam i Toby, którzy wówczas mieli osiem i dziewięć lat. Jednak wtedy mógłby wybuchnąć obok mnie wulkan, a i tak bym tego nie zauważyła. Siedziałam. Wpatrywałam się w ekran. Jeśli dziewczyna mogła zarzucić taki poemat na strój kąpielowy, jakby to była stara koszula, to co jeszcze było możliwe?

Przesunęłam palcami po twarzy, starając się wyczuć wysokie kości policzkowe Tracy. A kiedy Dexter (Cary Grant) przywoływał Tracy do porządku, mówiąc: „Nigdy nie będziesz prawdziwą kobietą ani prawdziwą istotą ludzką, jeśli nie będziesz miała odrobiny wyrozumiałości dla ludzkiej niedoskonałości”, uznałam to za niezwykle mądre i zaczęłam się zastanawiać, czy ja mam ten rodzaj wyrozumiałości, a jeśli nie, to jak go zdobyć.

Podczas studiów wybrałam zajęcia z dziedziny filmu zatytułowane mniej więcej „Stawianie zasad na głowie”, podczas których profesor mówił między innymi o sztuczce, jakiej udało się dokonać *Filadelfijskiej opowieści*. To w żadnym wypadku nie powinno zadziałać: stworzenie cudownej sceny miłosnej pomiędzy dwoma postaciami, o których wiemy, że nie kochają się nawzajem, przekonanie widza, żeby całym sercem był z nimi podczas tej sceny, a jednocześnie później czuł się w pełni usatysfakcjonowany, kiedy każde z nich związało się z kimś innym.

Zanim nabierzecie mylnego przekonania, chcę zaznaczyć, że nie jestem i nigdy nie byłam jednym z tych fanatycznych miłośników filmu, którzy do rana gorąco dyskutują o teorii filmu autorskiego lub o tym, czy Spielberg jest nowym Caprą i czy John Huston w niewidoczny sposób wpływa na każdą sekundę amerykańskiego życia. Nie znam się na kątach ustawienia kamery i brakuje mi encyklopedycznej wiedzy o kinie niemieckim sprzed drugiej wojny światowej, ale niemal zakochałam się w profesorze od filmu, kiedy spojrzał na nas roziskrzonymi oczami i oświadczył: „Nie, to nie powinno się udać. A jednak się udało!”, bo przemawiała przez niego pasja i miał rację.

Kiedy usłyszałam, jak Mike (Jimmy Stewart) mówi do Tracy czułym, zachwycającym głosem: „Nie, ty jesteś z krwi i kości. Na tym polega ta niewiarygodna, piekielna niespodzianka. Jesteś złotą dziewczyną, Tracy”, złożyłam gwałtownie ręce pod swoim spiczastym podbródkiem, modląc się, żeby z nim uciekła, i przysięgając sobie przed Bogiem, że pewnego dnia również do

mnie jakiś mężczyzna wypowie te słowa takim głosem albo umrę. Jednak potem, pod koniec filmu, mój ojciec usłyszał głośnie wiwaty i zostawił odkręconą wodę nad zlewem, żeby przybiec do mnie i zobaczyć swoją tak ostatnio zamkniętą w sobie, zniechęconą do życia córkę, jak uderza pięściami w poręczę fotela, odwraca się do niego, płacząc, „z twarzą otwartą jak kwiat” (to jego nieprawdopodobne słowa), i mówi bez tchu: „Tatusiu, ona wychodzi za Dextera”.

Muszę to powiedzieć. Zawsze byłam z siebie dumna, że mając czternaście lat i nie znając się niemal na niczym, miałam dość rozumu, żeby dostrzec uniwersalną prawdę: „Jimmy Stewart jest zawsze i bezdyskusyjnie najwspanialszym mężczyzną na świecie, chyba że akurat pojawi się Cary Grant”.

Nazywał się Martin Grace. Doskonale zestawienie imienia i nazwiska, zawierające oprócz trzech wszystkie litery, z których składa się „Cary Grant”. Oczywiście, jeśli nie jesteście wybrykiem natury, to zapewne wcale tego nie zauważyliście i niewątpliwie z ulgą się dowiecie, że mnie również początkowo nie przyszło to do głowy. Wykombinowałam to dopiero w nocy, leżąc w łóżku i pracowicie wykreślając w myślach litery wymaginowanym ołówkiem. Wymagało to sporej koncentracji, ale udawałam, że robię to od niechcenia, z zaledwie nieznacznym zainteresowaniem, toteż niedbale przekrzywiłam głowę na poduszce, chociaż w sypialni nie było nikogo, kto mógłby mnie zobaczyć.

Prawdę mówiąc, jestem nieco przesadna, jeśli chodzi o nazwiska. Podczas studiów spotykałam się z wielkim i tępym blondynem obdarzonym tubalnym głosem, który należał do bractwa uniwersyteckiego z Baton Rouge, wyłącznie dlatego, że nazywał się William Powell, jak aktor znany z serii filmów o Człowieku-Cieniu, ale który jest jeszcze lepszy w *Romantycznej pułapce*, a poza tym należy do tych mężczyzn, w których urodę świecie wierzymy, nawet jeśli wiemy, że nie istnieje.

Kiedy moja mama poznała Williama, natychmiast się domyśliła, co mi chodzi po głowie. „Twój nos jest podobny do nosa Myrny Loy* - oświadczyła - i to ci powinno wystarczyć”. Jednak wtedy jeszcze nie rzuciłam Billa. Zrobiłam to dopiero po kilku dniach, kiedy stojąc w siedzibie jego bractwa - georgiańskiej rezydencji zamienionej w zatęchłą jaskinię - zobaczyłam, jak tańczy bez koszuli na stole, a jego nagi, żaloszny brzuch faluje jak cierpiąca meduza. Meduza falowała, a William Powell z lekkim wzruszeniem ramion odłączył się na zawsze od Billa i wyślizgnął w pachnącą kapryfolium noc.

* Myrna Loy grała rolę żony Nicka Charlesa, odtwarzanego przez Williama Powella bohatera serii filmów według pomysłu Dashiella Hammetta (przyp. tłum.).

Śliska sprawa te nazwiska. A jednak... Martin Grace... Dobrze, naprawdę dobre.

Stanął w drzwiach, ciemnooki, z półuśmiechem na ustach. Wysoki. Garnitur, włosy, szczeka - wszystko o nieskazitelnych liniach. „Szlachetnie szczupły”, natychmiast przyszło mi na myśl to określenie z przerabianego w czwartej klasie wiersza. Jednak mężczyzna z wiersza popełnił na końcu samobójstwo, jak przypomniałam sobie później, natomiast ten, mój mężczyzna, mógł mieć przed sobą wyłącznie bezproblemowe, fascynujące i wygodne życie. Może będzie to przesada, ale niewielka, jeśli powiem, że kiedy szedł w stronę lady, psy, szachy, gracje, wózki itd. rozstępowały się przed nim jak Morze Czerwone.

- Dzień dobry - powiedział. Nie miał wcale słodkiego, tubalnego, powalającego ani wyjątkowo dźwięcznego głosu, a jednak nie było wątpliwości, że ten mężczyzna jest stworzony do ról pierwszoplanowych. Jak można się było spodziewać, miał dołeczek w podbródku i przez jedną szaloną sekundę czułam przemożną chęć, by go dotknąć i zapytać, jak się tam goli, bo jeśli zamierzasz od kogoś ściągać, może to być równie dobrze Audrey Hepburn. Nie zrobiłam tego, ale wyraźnie poczułam, jak ten dołeczek odciska się w mojej podświadomości, jeśli to w ogóle możliwe.

- Witam - odparłam.

- Kawę proszę, czarną. - I wyglądało na to, że taką właśnie lubi, że ta prośba nie oznacza ukrytej obsesji wywierania wrażenia macho.

Podając mu kawę, przytrzymałam spodeczek dłonią o sekundę za długo, tak że nadal tam była, kiedy on wyciągnął swoją. Lubię przed sobą udawać, że filiżanka stała się przez chwilę przewodem elektrycznym i wstrząsnął nią przepływający między nami prąd. W każdym razie gorąca kawa prysnęła mi na rękę, a ja krzyknęłam i przyłożyłam ją do ust jak małe dziecko.

Nieznajomy spojrzał na mnie z prawdziwą troską i powiedział:

- Powinni mnie trzymać w klatce.

- Ryzyko zawodowe. - Wzruszyłam ramionami i dodałam: - Nic się nie stało.

- Wszystko w porządku? Naprawdę? Bo jeśli nie, musi mi pani powiedzieć, żebym mógł się utopić w Delaware.

- Bez sensu - odparłam. - Schuykill jest znacznie bliżej.

- Ale Delaware jest głębsza. Nie mam dość odwagi, żeby utopić się na płyciźnie, nawet dla pani.

Nawet dla pani, nawet dla pani! - śpiewało moje serce.

- Tyle że... - zaczął.

- Tak? - ponagliłam go.

- Tyle że to będzie musiała być Tamiza, bo za dwie godziny wyjeżdżam do Londynu.

Kiedy się czyta tę rozmowę, może się wydawać, że nie było w niej nic wyjątkowego, nic szczególnie inteligentnego czy romantycznego, ale uwierzcie mi, że było. Od samego początku intuicyjnie złapaliśmy wspólny rytm, coś, co mogłabym zapewne porównać do szóstego zmysłu, którym kierują się muzycy jazzowi improwizujący razem, gdybym znała się cokolwiek na jazzie. Widzieliście filmy ze Spencerem Tracy i Katharine Hepburn, prawda? To była rozmowa, na którą czekałam całe życie.

I to odbijanie piłeczki trwało dalej. On mówił o swoim wyjeździe służbowym - cztery dni w Londynie, finansowanie tego czy tamtego - i o mgle, o tym, jak naprawdę mgliście jest w Londynie.

Mnie przechodziły ciarki, byłam spięta i zaróżowiona, jakbym miała na sobie nową skórę, ale właściwie nie czułam się zdenerwowana. Jakimś cudem potrafiłam sprostać wyzwaniu, jakim było poznanie tego mężczyzny, mężczyzny idealnego. Funkcjonowałam na wysokich obrotach. Mimo obecności Martina Grace'a obecny był również mój rozum, tak że mogłam kontynuować swoją pracę, i całe szczęście, bo życie takie już jest. Nawet kiedy stoisz twarzą w twarz z ucieleśnieniem swoich marzeń i tworzycie właśnie własny mały świat, nieuniknione jest, że do kawiarni wejdzie dwóch nastolatków z deskorolkami pod pachą, położą na ladzie garść drobnych i zamówią potrójne kawy z mlekiem. Poza tym zazwyczaj mężczyzna twoich marzeń nie wybiera sobie momentu, kiedy nie odrywasz wzroku od jego okolonych czarnymi rzęsami czekoladowych cudów, które obnosi przez cały dzień, jakby to były zwykłe oczy, tylko ten, kiedy mozolnie rozdzielasz bilon do przegródek kasy, żeby ci zaproponować:

- A może pojechałabyś ze mną?

Bo tak właśnie powiedział Martin Grace. Do mnie.

Usłyszałam to ponownie, niesamowicie wyraźnie, w wyobraźni, kiedy leżałam tego wieczoru w łóżku i nieskończenie wiele razy obracałam w myślach spostrzeżenie o zgodności wszystkich oprócz trzech liter. Kiedy głos Martina Grace'a rozległ się w mojej głowie, usiadłam na łóżku, po czym wstałam, podeszłam do okna w białej nocnej koszuli powiewającej wokół mnie jak duch i usiadłam na fotelu, który pokryłam minionej wiosny wytłaczanym, ciężkim, zielonym jedwabiem, będącym niegdyś straszliwą suknią balową z lat pięćdziesiątych, wiszącą w sklepie z używaną odzieżą w Buena (wymawianym jako Bjuna) Vista w Wirginii. Otworzyłam korbką moje okno na drugim piętrze, spojrzałam na mój kawałek Filadelfii i pozwoliłam, żeby moje uczucie do tego miasta uniosło się ze mnie lekko, jak zapach z kwiatu, i popłynęło w

chłodnym powietrzu. Spruce Street: samochody i światła, synagoga na rogu, a przed nią męskie prostytutki, boleśnie młodzi chłopcy. Zawsze kiedy na nich patrzę, czuję się rozdarta - nie wiem, czy pragnąć, żeby samochody się przy nich zatrzymywały, czy też, żeby się nie zatrzymywały.

A mogłabym być teraz w Londynie, pomyślałam. Właśnie teraz leżeć na obcych angielskich poduszkach obok Martina Grace'a.

Dlaczego zatem mnie tam nie ma? To długa historia, tak długa, że pewnie przestaje już być opowiadaniem. Prawdopodobnie po prostu taka już jestem. Jednak to, co mu odpowiedziałam, te beznadziejne słowa, które z siebie wydobyłam, ten konwersacyjny odpowiednik przewrócenia się na twarz, całkiem nieźle streszczają moje powody.

Stałam przed nim z mętlikiem w głowie, głos rozsądku walczył z pragnieniem, obawa z duchem przygody, a ostrożność z impulsywnością, gdy tymczasem w głębi ducha waliłam głową o ścianę, bo wiedziałam, że niezależnie od tych wahań moja odpowiedź jest sprawą przesądzoną.

- Chciałabym, ale nie mogę. Mojej mamie by się to nie spodobało.

- To tym razem zostawimy ją w domu. Może pojechać z nami do Paryża.

Kiedy siedziałam tak w oknie, odtwarzając naszą rozmowę - samotna, w koszuli nocnej, z pałającą twarzą, a jednak w jakimś stopniu szczęśliwa - obserwowałam unoszący się w oddali śmigłowiec rzucający w dół strumień światła i przesuwający nim wahadłowym ruchem po ziemi. Wyobraziłam sobie parę w wieczorowych strojach, wykonującą na ulicy popis wokalnie-taneczny, podczas którego suknia kobiety rozkwita w trakcie obrotów jak biały goździk.

Potem próbowałam wyobrazić sobie sytuację, w której moja matka mogłaby towarzyszyć mnie i mojemu starszemu (o jakieś piętnaście lat?) kochankowi w wycieczce do Paryża, ale skończyło się to tylko ironicznym prychnięciem:

- Ha!

Moja matka ustawia przyprawy w porządku alfabetycznym, nosi obuwie sportowe firmy Tretorn i nigdy, przenigdy nie podchodzi do kasy dla osób z maksimum dziesięcioma produktami, jeśli ma ich w koszyku jedenaście. Przewodniczy klubowi ogrodniczemu, i to zarówno dosłownie, jak i w przenośni. Pozornie moje życie w niczym nie przypomina tego, które ona prowadzi. Bardzo się o to postarałam. Jednak w rzeczywistości jestem córką swojej matki - dosłownie, w przenośni, na zawsze.

Mimo wszystko dopilnowałam, żeby Martin Grace nie wyszedł z kawiarni bez mojego numeru telefonu. Przechyliłam się przez ladę, odchyliłam klapę marynarki i własnoręcznie włożyłam karteczkę z numerem do wewnętrznej kieszeni. Potem rzuciłam mu spojrzenie tak godne Veroniki Lake, że niemal poczułam dotyk nie istniejącej blond treski opadającej mi na

jedno oko.

2. Clare

To zaczęło się od ręczników. Dziesięć kompletów z grubej egipskiej bawełny w kolorze ciemnej śliwki, jasnej żółci i ciemnoróżowym. Matka upuściła wielkie białe reklamówki z ręcznikami na podłogę w pokoju Clare, po czym wybiegła z powrotem do samochodu po następne, i nosiła je, aż na dywanie spoczęło dziesięć toreb ustawionych w rzędzie jak zęby.

- Tylko poczekaj, aż je wszystkie zobaczysz, kochanie. Są takie piękne. Najlepsze. Najlepsze z najlepszych.

Clare oparła się o futrynę drzwi, mocno przyciskając ramię do drewna, w połowie w pokoju, w połowie na zewnątrz. Słuchała szczebiotania matki i patrzyła, jak ta rzuca ręczniki na łóżko. Rzeczywiście nimi rzucała, toteż ręczniki kąpielowe rozwijały się w powietrzu jak transparenty, a myjki trzepotały jak ptaszki. Zieleń jabłkowa, karmazyn, błękit hortensji. Na łóżku zebrała się ich cała sterta. Clare włożyła kciuk do buzi, nie ssała go, ale trzymała.

- Czy widziałaś kiedykolwiek tak piękne ręczniki? Dosłownie czuję te kolory w środku, naprawdę. A ty nie, Clarey? - Matka oddychała ciężko, niemal dyszała, jakby patrzenie na ręczniki było równie męczące jak bieg czy taniec.

- Mamy już ręczniki - odparła Clare.

Matka podeszła do niej i otuliła ją ręcznikiem w delikatnym kolorze brązowego jajka. Ręcznik był ogromny. Clare miała prawie jedenaście lat i była wysoka jak na swój wiek, ale starczyło go na dwukrotne owinięcie i jeszcze reszta leżała na podłodze u jej stóp. Czuliła się w nim chuda i zgarbiona. Matka delikatnie ujęła jej buzię w dłonie. Dziewczynka dostrzegła, że jej twarz pod makijażem jest mocno zarumieniona.

- Koniecznie trzeba je wyprać przed pierwszym użyciem. Należy każdy komplet wyprać osobno, żeby się nawzajem nie zafarbowwały. Rozumiesz? - Ponieważ mówiła to przytłumionym, poważnym głosem, Clare skinęła potakująco głową. Wówczas matka odsunęła ręce i spojrzała jej przez ramię na łóżko zasłane ręcznikami.

- Mamo, zejdźmy teraz na dół i zjedźmy lunch - zaproponowała Clare.

- Och, na ich widok mam ochotę się rozplakać - oświadczyła jej matka, po czym rzuciła się na ręczniki i zaczęła łkać.

Następnego ranka Clare siedziała na lekcji swojej piątej klasy i tworzyła listy.

Sieroty. Wszystkie ulubione postaci Clare były sierotami. Wypisała ich nazwiska z tyłu

zeszytu, podczas gdy nauczycielka omawiała pytania sprawdzające zrozumienie autobiografii Helen Keller, którą klasa ostatnio czytała. Pytania te znajdowały się na kartce leżącej na ławce Clare, a pod każdym z nich była jej odpowiedź wpisana ołówkiem.

Matka Clare określała jej arkusze ćwiczeń jako „bezduszne”, i to wcale nie dlatego, że pytania były głupie i sprowadzały czytanie do garści podstawowych faktów, ani nie dlatego, że za pieniądze, jakie matka płaciła za szkołę Main Line, powinni zaproponować uczniom coś znacznie ciekawszego niż te ćwiczenia, tylko z powodu powielania tych arkuszy na kserokopiarce. Opowiadała Clare o powielaczu z czasów jej młodości - zwijający się, śliski papier, różowofioletowy, rozmazany tusz i ten zapach, woń niepodobna do niczego innego. Brałam tę kartkę i najpierw wdychałam jej zapach, Clarey! Ta woń to był zapach szkoły.

Clare bardzo chciała znaleźć dobrą odpowiedź, powiedzieć coś oryginalnego i pełnego efektów retorycznych na temat własnej szkoły, jej zapachu lub jego braku, tak żeby mama zrozumiała, że są zespołem, dwoma interesującymi osobami, które zauważają zapachy i bezduszność. Usilnie starała się rzucać matce cięte, oryginalne uwagi - dowcipkować, tak o tym myślała, tak jak zawsze dowcipkują dziewczęta w książkach. Na przykład Ania z Zielonego Wzgórza była w tym wspaniała. Od czasu do czasu, w szkole lub w rozmowie z Max, ich panią sprzątaczką, która wcale nie była panią, tylko dziewiętnastolatką z wytatuowanym na chudych łopatkach Feniksem rodzącym się z dymiących popiołów, Clare udawało się dowcipkować. Ale przy matce było gorzej. Zauważyła, że pozostaje daleko w tyle, podczas gdy umysł i głos matki pędzą naprzód, zawracają, w niezwykle sposób odrzucają piłeczkę.

Ania Shirley, Sara Crewe i Mary Lennox. To były trzy sieroty znajdujące się na czele listy Clare, przy czym Ania o kilka długości wyprzedzała pozostałe dwie. Ich imiona i nazwiska Clare wypisała ponaddwucentymetrowymi literami, i na tyle kaligraficznie, na ile jej się udało zwykłym ołówkiem przy ograniczonych zdolnościach artystycznych. Kiedy była młodsza, obok nazwisk robiła czasem rysunek: trzy blade, wielkookie twarze, niemal idealnie trójkątne i zwieńczone odpowiednio czerwonymi, czarnymi i jasnymi włosami. Za tą Wielką Trójką wypisywała pozostałe. Heidi. Sieroty Roalda Dahla: James i Sophie. Dzika, trochę przyprawiająca o gęsią skórę Pippi Pończoszanka, jeśli wierzycie, tak jak Clare, że ojciec Pippi nie był królem kanibali, tylko został utopiony. Tom i Huck, David, Pip, Estella, Oliver i reszta dający sobie jakoś radę na zamglonych, ponurych ulicach oraz ich skomplikowane, gęsto zaludnione historie. Czwórka sierot z wagonu kolejowego z powieści Gertrude Chandler Warner. Mściwy Heathcliff, Hareton, który wieształ szczeniaki na oparciu krzesła, Jane Eyre. Sieroty z bestsellerowych powieści ostatnich lat: Harry Potter i rodzeństwo Baudelaire o smutnych twarzach. Była też podkategoria

pólsierot, zazwyczaj bez matek, oraz podkategoria pólsierot z życzliwymi gospodyniami: Scout i Jem, cała czwórka dzieci Melendy (piątka po adoptowaniu Marka, pełnej sieroty), a nawet Nancy Drew, która była prawie dorosła i ledwo ją można było zaliczyć. Clare stale segregowała i przegrupowywać swoje sieroty, dzieląc je według wieku, płci, koloru włosów, narodowości czy statusu ekonomicznego. Zaczęła właśnie sporządzać listę biednych sierot, które stały się bogate, kiedy uświadomiła sobie, że nauczycielka przestała mówić.

Niezależnie od nieciekawych arkuszy zadań pani Packer jest miła i może nawet jest dobrą nauczycielką, pomyślała, choć z pewnością nie umywa się do Ani Shirley, która kiedy dorosła i została nauczycielką, kochała każdego ucznia jak własne dziecko, zawojowała wstrętą Jankę Pringle i przyczyniła się do tego, że przystojny Jaś Irving został słynnym poetą. Pani Packer miała donośny głos, szeroką talię i rzadkie włosy, nosiła zdrowotne sandały marki Birkenstock, które zakładała na skarpetki, pierścienie na kciuk i, jak szeptano, nie nosiła stanika. Jednak była miłośniczką książek i nieraz opowiadała o postaciach literackich ze łzami w oczach i ściśniętym gardłem, jakby to byli prawdziwi ludzie. Była niezamężna, a Clare uważała, że to z powodu szalonej miłości do Charlesa Darnaya, któremu żaden inny mężczyzna nie mógł dorównać.

Poprzedniego wieczoru, zgodnie z propozycją pani Packer, Clare zatkała sobie uszy watą i chodziła z zawiązanymi oczami przez bite dwie godziny. Kiedy przycięła sobie palec szufladą, uderzyła gołenią o biedermeierowski stolik i rozlała całą szklanekę mrożonej herbaty, usiadła na dłużej w fotelu i po pewnym czasie zrozumiała, że bycie głuchym i niewidomym oznacza przebywanie sam na sam ze swoimi myślami i narastające uczucie zdenerwowania.

Teraz pani Packer stała, przerwawszy w połowie zdania, z ołówkiem w powietrzu, i wpatrywała się w tył klasy. Kiedy Clare obróciła się wraz z resztą kolegów, żeby sprawdzić, co się stało, zobaczyła w drzwiach swoją matkę. Była ubrana w kopertową sukienkę, buty na obcasach, była umalowana i miała na nosie okulary przeciwsłoneczne. Wyglądała smukło i elegancko, a włosy spływały jej jak jedwab na ramiona. Kiedy spojrzała na Clare i uśmiechnęła się, dziewczynka poczuła, jak rozluźnia się węzeł pod żebrami, którego istnienia nawet sobie dotychczas nie uświadamiała. Moja mama, pomyślała. Tylko patrzcie. Kto martwiłby się o taką kobietę?

Po chwili jednak za plecami matki dostrzegła panią Jordan, asystentkę dyrektorki nauczania początkowego, stojącą z urażoną miną, i przypomniała sobie, że rodzicom nie wolno wchodzić do klas. Zawsze czekają koło recepcji, a pani Jordan wysyła pomocnicę, żeby przyprowadziła dziecko. Clare wyobraziła sobie matkę podążającą krokiem modelki przez szkolne korytarze i panią Jordan, która drepcząc za nią, poucza ją napiętym, lecz uprzejmym głosem na

temat zasad obowiązujących w szkole. Węzeł ponownie się zacisnął.

- Przepraszam, że przeszkadzam, pani Packer, ale Clare jest mi potrzebna - oznajmiła matka, uśmiechając się do nauczycielki. - Potem przykucnęła jak tancerka lub atakująca pantera i odrzuciła włosy do tyłu. Wyciągnęła ręce do Clare, jakby ta była małym dzieckiem, i powiedziała: - Potrzebuję cię, Clare.

Kiedy pani Packer i Jordan wymieniały nad głową matki zakłopotane, pełne dezaprobaty spojrzenia, Clare podjęła decyzję, po czyjej jest stronie. Przeniosła wzrok z nauczycielki na asystentkę, po czym uśmiechnęła się do matki, starając się, żeby ten uśmiech nie był tylko grymasem ust, ale objął również oczy. Wrzuciła książki i zeszyty do plecaka i wstała.

- Prześle mi pani e-mailem zadanie domowe, pani Packer, dobrze? - powiedziała zdecydowanym tonem do nauczycielki, z leciutką intonacją wznoszącą, tak żeby zmienić to stwierdzenie w pytanie.

Zerknęła na swoją przyjaciółkę Josie, siedzącą w ławce obok, i dostrzegła na jej twarzy znajomy wyraz podziwu i przyjaznej zazdrości, który zawsze pojawiał się na twarzy Josie, kiedy przebywały z matką Clare. Przyjaciółka powiedziała jej kiedyś, że uważa jej mamę za skrzyżowanie księżniczki z bajki z jakimś egzotycznym stworzeniem, na przykład pawiem. Josie była bystrą dziewczynką, ale niezbyt kreatywną, i to stwierdzenie było jednym z najciekawszych, jakie wypowiedziała, co pokazuje, jak bardzo matka Clare ją fascynowała. Nawet kiedy mama robiła coś zwyczajnie matczynego, na przykład podawała im talerz z ciasteczkami, Josie wpatrywała się w nią z podziwem, jakby prezentowała magiczną sztuczkę. I choć pojawienie się matki Clare w klasie było czymś dziwnym, Josie z pewnością tak nie uważała, bo dla niej wszystko, co ta robiła, było wyjątkowe i nieoczekiwane. Zasady obowiązujące inne matki jej nie dotyczyły.

Pani Packer skinęła Clare głową, ale brwi miała nadal ściągnięte. Clare obróciła się na pięcie tak zgrabnie, że nie powstydzilaby się tego książkowa heroina, podeszła do drzwi i zrobiła coś, czego nie robiła od lat, i to nie przejmując się, co pomyślą dzieci w klasie - wzięła matkę za rękę.

Potem szła z nią krok w krok, z wysoko uniesioną głową i huśtającym się na boki końskim ogonem, przez szkolne korytarze, wyłożony dębowym drewnem przedsionek i w końcu na zewnątrz. Były konspiratorkami wychodzącymi razem w zalane słońcem popołudnie. Ale na parkingu matka spojrzała na wyraz twarzy Clare i odezwała się z nutką irytacji:

- Nie masz powodu się denerwować, Clarey. Jestem twoją matką. Wolno mi zabrać cię ze szkoły bez tych wszystkich ceregieli.

- Mamo, ale ja nie jestem zdenerwowana, naprawdę nie jestem - odparła Clare, niemal podskakując. - Pani Packer i pani Jordan byłyby całkiem w porządku, gdyby nie były takie... konwencjonalne. - Matka ścisnęła jej dłoń.

- Czasem, najdroższa, matka po prostu musi wszystko rzucić i zabrać córkę na lunch.

- Zgadzam się z tobą - niemal zaśpiewała Clare i poczuła, że wszystko jest w porządku, a nawet znacznie lepiej. Użyła dobrego słowa - „konwencjonalne” - a mama lekkim, roześmianym głosem nazwała ją „najdroższą”, użyła tego luksusowego, staromodnego pieszczotliwego określenia, na które Clare tysiące razy natykała się w książkach, ale którego nigdy nie usłyszała w odniesieniu do siebie.

W restauracji o różowych ścianach, zanim jej matka wypowiedziała słowa nie do pomyślenia, Clare czuła się szczęśliwa. Początkowo dlatego, że tak sobie postanowiła, a potem już się rozluźniła i po prostu odczuwała szczęście.

Restauracja była chłodna, z wysokim sufitem, kelnerami w nieskazitelnych białych koszulach i z ciasno związanymi bukietami fioletowych kwiatów w malutkich wazonach na stolikach. Było to miejsce dostatecznie pewne siebie, by pozwolić sobie na gwar i krzątanie zamiast dostojnego przyciszenia, i Clare bardzo się to podobało. Sposób, w jaki woda wypełniała szklanki, menu, którego nie trzeba było otwierać, bo było pojedynczą jasnożółtą kartą, niewielkie kolorowe obrazki wiszące w równych odległościach na jednej ze ścian, wszystko to było olśniewające.

- Jeśli potrafi nam pan powiedzieć, które z tych dwóch win by pan polecił i dlaczego, to ma pan u nas plus - odezwała się mama Clare do przystojnego, czarnowłosego kelnera.

Wręczyła mu listę win i pokazała dwa, o których wspomniała, dotykając przy tym lekko jego ręki długimi, smukłymi palcami. Mówiła niskim głosem i kelner się uśmiechnął. Miał wyszczerbiony przedni ząb, co uświadomiło Clare, jaki jest młody. W taki sposób mężczyźni uśmiechają się do pięknych kobiet, pomyślała i poczuła dumę, że nawet ten facet, który był jeszcze niemal chłopcem, uległ urokowi jej matki.

Kiedy kelner przyniósł wino, napełnił kieliszek jej matki, a następnie zastygł z butelką nad jej kieliszkiem. Clare chciała mu powiedzieć, że dziękuje, ale on wcale nie patrzył na nią, tylko na matkę, a ona ku jej zaskoczeniu skinęła przyzwalająco głową. Dziewczynka przyglądała się, jak ciemne wino napełnia kieliszek, jak ręka kelnera na koniec lekko obraca butelkę, a potem siedziała, wpatrując się w wino, niepewna, co ma zrobić. Czy powinna przypomnieć mamie o jej siostrze, cioci Patsy, która w wieku dziewięciu lat wślizgnęła się po zakończonym przyjęciu do salonu i wysączyła resztki alkoholu z kieliszków gości? „Znaleźli ją w ogródku przed domem,

śmiejącą się do księżycy. Od tej chwili była okropną pijaczką. Okropną". To były słowa jej matki, jej umoralniająca historyjka. Niemożliwe, żeby o niej zapomniała.

Jednak w tej chwili matka podnosiła swój kieliszek i patrzyła na Clare z uniesionymi brwiami. Kieliszek był duży, na długiej nóżce i nie przypominał żadnego naczynia, z jakiego Clare dotychczas piła. Delikatnie otoczyła palcami nóżkę, a potem - patrząc na matkę - podłożyła dłoń pod czaszę i uniosła kieliszek. Matka skinęła głową z aprobatą. Więc może nie ma w tym nic złego, z pewnością nie.

- Trzeba wiedzieć, kiedy łamać zasady, a kiedy ich przestrzegać. Wypijmy za wagary!

Matka dotknęła swoim kieliszkiem kieliszka Clare i dziewczynka wypła łyk. Poczowała dziwną, głęboką cierpkość, ale mimo wszystko przełknęła. W oczach stanęły jej łzy i zaczęła energicznie mrugać. Proszę, nie pozwól, żebym się stała okropną pijaczką, modliła się, ale po chwili przestała. Najwyraźniej jedni ludzie stają się okropnymi pijakami, a inni nie, i jej mama z pewnością wie, że Clare należy do tych drugich, bo inaczej na pewno nie pozwoliłaby jej pić, w życiu. Wyobraziła sobie matkę wytrącającą jej kieliszek, który właśnie podnosi do ust, rozpryskujące się szkło, bordową plamę wina na ścianie.

Jedzenie wyglądało interesująco. Na środku dużych talerzy spoczywały maleńkie kompozycje, skropione sosem tworzącym połyskujące wzorki, a mięso leżało na warzywach zamiast obok nich. Clare zastanawiała się właśnie, czy rozłożyć kompozycję na części, czy zacząć od brzegów, kiedy wniesiono następny talerz. Jedzenia było za dużo - o wiele za dużo - ale to nic, bo matka jadła z ogromnym zapałem, naprawdę wcinała, a Clare uświadomiła sobie, że ostatnio jej mama niewiele jadła. W porze obiadu biegała po kuchni, czasem przysiadła na blacie, tak że jedna noga była podkulona, a druga się huśtała, ale rzadko siadała na dłużej. Clare usiłowała przypomnieć sobie, kiedy widziała ją, jak rzeczywiście coś gryzie i przełyka. Matka zawsze była szczupła, lecz ostatnio zrobiła się wręcz chuda - jej dłonie stały się półprzezroczyste i przypominały szpony, skóra napięła się na kościach policzkowych, a biodra sterczały alarmująco spod sukienki. Clare pocieszała się, że wygląda po prostu jak modelka, ale mimo wszystko z dużą ulgą obserwowała, że w końcu je, i czuła się szczęśliwa.

- Posłuchaj, Clare - odezwała się nagle matka - w tym roku uciekniemy przed tą okropną nudą amerykańskiego Bożego Narodzenia i pojedziemy do Hiszpanii. Madryt - pociągnęła duży łyk wina, po czym potrząsnęła głową. - Nie, nie. Barcelona! Gaudi! Nie uwierzysz własnym oczom. Tam jest jak w krainie baśni. Co myślisz?

Clare poczuła się zaszczycona tym, że mama pyta ją o zdanie, więc odparła:

- Zdecydowanie tak! - choć uwielbiała święta, jakie urządzały sobie w Filadelfii. Zawsze

były tylko we dwie. Rodzice Clare byli jedynakami i sierotami, choć pełnymi sierotami stali się dopiero jako dorośli, a ojciec nigdy nie spotykał się z nią na Gwiazdkę. Z ojcem tradycyjnie jedli wspólną kolację w Nowy Rok, choć właściwie trudno to nawet nazwać tradycją, skoro rzadko dochodziła do skutku. Przeważnie w ten dzień ojciec przebywał poza miastem albo był czymś zajęty, ale Clare to nie przeszkadzało.

Co roku przed świętami Clare z matką wsiadały do tramwaju i oglądały wszystkie oświetlone choinki w mieście, po czym siedząc na posadzce domu towarowego Lord & Taylor, oglądały w kółko pokazy świateł, następnie robiły zakupy i słuchały kolęd. Obie uwielbiały kolędy, a mama nauczyła ją słów *Cicha noc* i *Hark, the Herald Angels Sing*, których prawie nikt nie znał. W Wigilię jadły kolację w wiejskiej gospodzie Juno i Larsa, gdzie podawano smakołyki wymieniane w kolędach, w tym gęś, gruszki, jadalne kasztany i prawdziwy pudding figowy. Clare czuła się spokojnie i bezpiecznie, siedząc z mamą przy stole w sali wypełnionej hałaśliwymi, rozbawionymi nieznajomymi w eleganckich strojach, z kopułą wiejskiego nieba nad dachem i Bożym Narodzeniem zbliżającym się powolutku jak śnieg.

Jednak teraz mama w tak radosnym nastroju opisywała iglice w cukierkowych kolorach zdobione spiralami, rysując ich kształty dłońmi w powietrzu, i planowała, jak będą wspólnie uczyły się katalońskiego, że Clare bez żalu przystała na spędzenie ferii bożonarodzeniowych w Hiszpanii. Nawet jeśli głos mamy był nieco wyższy niż zazwyczaj i brzmiała w nim nuta rozgorączkowania, Clare kładła to na karb podniecenia i przyływu energii po tak ogromnej porcji jedzenia.

Nagle matka przerwała tę żywą, radosną pogawędkę, rozejrzała się po różowych ścianach i oznajmiła:

- Mój mąż miał zwyczaj zabierać mnie do tej restauracji - mówiąc to obcym, twardym głosem, który powstrzymał Clare przed odpowiedzią. Rodzice Clare rozwiedli się, gdy dziewczynka miała dwa lata. Clare od czasu do czasu widywała się z ojcem, ale matka nigdy nie opowiadała o powodach jego odejścia, w ogóle niewiele o nim mówiła, a już z pewnością nigdy nie użyła określenia „mój mąż”. Jeszcze bardziej wstrząsnęła nią nagła zmiana głosu i wyrazu twarzy matki, zupełnie jakby stała się ona inną osobą, która przerywa samej sobie.

Kiedy w chwilę później podszedł do nich kelner, wzrok matki złagodniał, a kąciki ust wygięły się w lekkim uśmiechu. Ku zdumieniu dziewczynki, matka ujęła rękę mężczyzny w swoje dłonie, odwróciła ją, przyjrzała się wnętrzu, obróciła z powrotem, a następnie podsunęła mu w górę mankiet koszuli i spojrzała na zegarek.

- Widzę, że ma pan czas - powiedziała niskim głosem, którego użyła już wcześniej.

Kelner spojrzał na Clare, po czym uśmiechnął się do jej matki.

- Czy życzy sobie pani rachunek? - spytał. Jego dłoń nadal lekko spoczywała w jej rękach, a kiedy skinęła głową, otworzyła palce, uwalniając ją jak ptaka.

Kiedy kelner odszedł, matka Clare wstała, starannie złożyła serwetkę i odłożyła ją na stolik. Jej twarz wyrażała miłość do córki.

- Idę do toalety. Czekaj tu, najdroższa - powiedziała, ale teraz „najdroższa” brzmiało jakoś fałszywie, jakby wcale nie mówiła do Clare. Nagle usiadła z powrotem i pochyliła się ku dziewczynce. Głośnym szeptem, niemal sycząc, powiedziała: - Nigdy nie daj sobie wmówić, że mężczyźni bardziej pragną seksu niż kobiety. Twój ojciec był w łóżku do niczego, ale z właściwym mężczyzną seks jest cudowny. Cudowny! Słuchaj swojego ciała, Clare. - Ponownie wstała i odeszła.

Clare miała wrażenie, że otrzymała cios pięścią w brzuch. Było jej niedobrze, z trudem łapała powietrze. Złożyła ręce na piersi i zacisnęła dłonie na ramionach, żeby powstrzymać się przed drżeniem. Co tu się dzieje? Chciałaby, żeby matka była pijana, ale tak nie było, bo jej kieliszek z winem stał niemal pełny. Matka, którą znała, w żadnym razie nie wypowiedziałaby tych słów, nie zabrałaby jej ze szkoły na lunch, nie pozwoliłaby jej pić wina, nie dotykałaby kelnera. Czy powinna komuś o tym powiedzieć? Ale komu? A jeśli to zrobi, czy mama nie będzie miała kłopotów?

Clare wiedziała, jak się zachować, kiedy ukochana osoba umrze. Trzeba wysoko unieść głowę i trzymać się prosto jak księżniczka, uprzejmie i z suchymi oczami przyjmować kondolencje, a później gwałtownie i oczyszczająco wypłakać się w poduszkę. Jednak w żadnej z książek, które przeczytała, nie było nic na temat tego, co zrobić, kiedy matka nie umiera, tylko zamienia się w osobę, której nie znasz, kogoś, kto przestał się tobą opiekować.

3. Cornelia

Jeśli nie wierzycie w znaki, to jesteśmy po tej samej stronie. Jeśli w kontaktach z ludźmi, którzy nieustannie interpretują całkiem zwyczajne zbiegi okoliczności jako znaki (oczywiście po nabrzmiałej znaczeniem pauzie), wasze zniecierpliwienie sięga zenitu, rozumiem, co czujecie. A jeśli dostrzegacie, że takie osoby niemal zawsze traktują jako znaki wyłącznie zdarzenia wskazujące im drogę, którą i tak chcieli wybrać, natomiast ignorują inne potencjalnie ważne sygnały, to znaczy, że zgadzamy się w stu procentach.

Na przykład ten arogancki Luka z tłustymi włosami, bywalec naszej kawiarni, wpadł

któregoś dnia i zaczął entuzjastycznie opowiadać o kobiecie, którą właśnie poznał w Nowym Jorku, a którą nazwał swoją „bratnią duszą” - przy czym przez chwilę pozwolił temu określeniu unosić się w powietrzu, tak jakby było to coś odkrywczego, a nie zwrot tak wyświechtany, że stracił już znaczenie dla każdej myślącej osoby. Potem zrelacjonował nam swoje spotkanie, pozbawiony subtelności i naładowany seksualnymi aluzjami dialog oraz późniejszy śladowy-lecz-obiecujący kontakt seksualny. Puentą tej opowiadki, lśniącym gwoździem, który w zamierzeniu Luki miał ją na zawsze umocować w naszej pamięci, było to, że obydwójce byli ubrani całkowicie na brązowo. Brązowe koszule, brązowe spodnie, brązowe skarpetki, brązowe buty. Brązowe paski! Brązowe paski do zegarków! (Najwyraźniej tak naprawdę brały go skórzane drobiazgi.) Po odpowiedniej pauzie podniosłem tonem dorzucił:

- To był znak, że należymy do siebie.

Smutne jest to, że jego opowieści słuchało co najmniej pięć osób, a nikt nie nazwał go idiotą, tylko wszyscy bez słowa uśmiechali się do niego i powoli potakiwali głowami. Nikt nie lubił Luki, bo jego po prostu nie dało się lubić, ale odnoszono się do niego z pewnym respektem, gdyż był najbogatszą osobą, jaką znaleźmy osobiście. Wprawdzie zajmował się wyprowadzaniem psów, ale jego dziadek doskonale ustawił całą rodzinę i jej następne pokolenia dzięki wynalezieniu jakiegoś pierścienia czy uszczelki, czy nakrętki motylkowej, czy jeszcze innego malutkiego gadżetu w stylu doktora Seussa. Jednak ponieważ trzeba to było zrobić, przedarłam się przez otaczające Lukę opary bogactwa i powiedziałam:

- A to, że jest mężatką z dwójką małych dzieci? Czego to jest znak?

Zatem możecie sobie wyobrazić, z jakim zażenowaniem opowiem wam teraz, jak następnego dnia po poznaniu Martina zabrałam się do tworzenia własnej kolekcji znaków. Z radością donoszę, że nie była ona duża - składała się z trzech eksponatów. Powiedziałabym, że z trzech marnych eksponatów, ale o ile pierwsze dwa były rzeczywiście nędzne, o tyle trzeci był spektakularny - wręcz filmowy.

Pierwszego z nich nawet nie uznałam za znak aż do chwili, gdy w ślad za moją przyjaciółką Linny przestąpiłam próg antykwariatu Fringera, co stało się około dziesiątej następnego ranka, czyli mniej więcej w dwadzieścia godzin po tym, jak ów znak pojawił się w moim życiu. Właściwie to nie tyle się pojawił, ile wydobył się z moich ust. Chodzi mi o odniesienie do mojej matki, słowa wypowiedziane, kiedy Martin zaprosił mnie, żebym pojechała z nim do Londynu.

Niemal nigdy i z nikim nie rozmawiam o moich rodzicach. Kocham ich. Nie oczekujcie, że odsłonię przed wami jakieś mroczne sekrety z dzieciństwa - i mam nadzieję, że nie jestem jednym

z tych wypadających poniżej oczekiwań, niemaltretowanych dzieciaków, które winią rodziców o swoją kulejącą karierę, marnie wykonane buty czy zepsuty toster (nawiasem mówiąc, moje buty są zazwyczaj dobrej jakości). Powiedzmy po prostu, że od czasów mojego wczesnego dzieciństwa mój dom przypominał plan filmowy, na który trafiłam przez przypadek. Jeśli widzieliście Katharine Hepburn jako chińską rewolucjonistkę w *Dragon Seed*, wiecie, o czym mówię. Dobre chęci, utalentowani aktorzy, wszyscy bardzo się starali. Tyle że źle dobrana obsada.

W każdym razie wspomnienie przy Martinie tematu, który tylko czasami poruszam z najbardziej zaufanymi osobami, było czymś niezwykłym. Uznałam to za znak.

- Uważam, że to znak - oznajmiłam Linny.

- Znak, że jesteś stuknięta - palnęła Linny w chłodnej ciszy sklepu. Postukała się palcami w głowę owiniętą apaszką. Była to obrzydliwa chustka z poliestru drukowana w lilie wodne Moneta.

- Ciii! - syknęłam, bo pan Fringer skłonił głowę, żeby rzucić nam spojrzenie ponad oprawkami okularów. Jego sklep nie był w typie tych eleganckich antykwariatów z Pine Street, a w oknie wystawowym próżno by szukać osiemnastowiecznego biureczka w dobrym stanie wspinającego się na palce jak balerina. W zasadzie nic tu nie było w dobrym stanie. Ale sklep był dobry, a nawet mój ulubiony. Śmieci, rzeczy niezłe, rzeczy zapomniane przemieszane były ze wspaniałymi-gdyby-nie,-uszkodzona krawędź,-bez gałki,-z plamą z wody,-podartym pokryciem, których jedyną cechą wspólną było to, że w którymś momencie przypadły do gustu staremu panu Fringerowi.

Pan Fringer był surowy, ale z dwóch powodów go lubiłam. Po pierwsze, miał niesamowitego bzika na punkcie swojej żony - na ścianie za jego biurkiem wisiało mnóstwo jej fotografii w złożonych ramkach, a do niemal każdej rozmowy potrafił wpleść wzmianki o jej urodzie. Rzeczywiście była piękna, z szerokimi ramionami i arystokratycznym wyglądem w stylu Ingrid Bergman. Najwspanialsze w miłości pana Fringera do żony było to, że wbrew temu, co niektórzy mogliby sądzić, pani Fringer wcale nie umarła. Nawet spotkałam ją parę razy. Wzruszało mnie, że mężczyzna może być tak przepełniony czcią wobec kobiety, którą codziennie widuje w domu.

Lubiłam pana Fringera także dlatego, że był rozsądnym człowiekiem, z którym można było się targować. Raz udało mi się go przekonać, żeby spuścił z pięciuset dolarów do dwustu za wspaniałą, ogromny żyrandol z okresu Wielkiego Kryzysu - zniszczony, ale do uratowania, jak pomyślałam, kiedy go zobaczyłam, choć nie miałam pojęcia o antykach. Ale miałam rację. Nie

chcę się przechwalać, lecz najwyraźniej w takich kwestiach zazwyczaj mam rację.

Wypolerowałam mosiężne elementy, poszukałam pasujących kryształów i namówiłam gospodarza domu, żeby zawiesił żyrandol pod wysokim sufitem mojego mieszkania. Teraz codziennie, kiedy spojrzę w górę, mogę obserwować, jak migocze moja prywatna galaktyka. Zatem jeśli panu Fringerowi zależało, żeby jego sklep i cenne towary spowijała nabożna cisza, chętnie się temu podporządkowywałam.

- Ale miałaś rację, że mu odmówiłaś - odezwała się scenicznym szeptem Linny. - To mógł być maniakalny morderca.

Wzięłam do ręki czarną, asymetryczną trąbę powietrzną ustawioną do góry nogami, wykonaną z filcu.

- Mógł być. Ale nie był. Skąd możesz wiedzieć, nie widziałaś jego oczu. Były brązowe - szepnęłam.

- Och, dlaczego od razu tego nie mówiłaś? - prychnęła Linny. - Dałaś mu swój numer? I co to, do diabła, jest?

- Kapelusz. Dałam. Wykaligrafowałam go najpiękniej, jak umiałam. - Odłożyłam kapelusz. Bardzo w stylu Ninoczki, lecz ja, podobnie jak żadna inna ludzka istota poza jedną, nie jestem Gretą Garbo. Poza tym niektóre rzeczy po prostu nie nadają się do przeniesienia z przeszłości do teraźniejszości, i ten kapelusz zdecydowanie do nich należał.

Do sklepu wszedł spacerowym krokiem młody człowiek ubrany w coś, co trzeba chyba nazwać bluzką - z gazy w tureckie wzory z bufiastymi, pirackimi rękawami zebranymi przy nadgarstkach w mankiety. Na jednym ramieniu niósł przeładowany plecak, który zapewne nazywał ruzakiem, bo to był właśnie taki typ.

Zauważyłam, że pan Fringer wyostrza spojrzenie i kieruje je na plecak, oceniając jego odległość od rzeczy łatwo się tłukących. Jednocześnie odchylił plecy i głowę do tyłu, tak że wyglądał jak kobra szykująca się do skoku.

Z kolei młody człowiek spojrzał akurat na Linny i jego twarz pociemniała, kiedy ją rozpoznał. Podeszedł do nas, powiewając rękawami.

- Pani wybór poezji nadaje się dla głupich kur - oznajmił, unosząc brwi. Kilka lat temu moja przyjaciółka odroczyła rozpoczęcie studiów prawniczych, na które ją przyjęto, i pracowała teraz w księgarni.

- Ko-ko-ko-dak - zagdakała głośno w odpowiedzi po idealnej długości pauzie. Linny jest mistrzynią pauz. Mężczyzna wytrzeszczył na nią oczy, zamrugał, po czym ulotnił się ze sklepu. Pan Fringer obdarzył Linny pełnym aprobaty uśmiechem. Odwzajemniła jego uśmiech ze

skromnym wzruszeniem jednego ramienia i dopiero wówczas odwróciła się do mnie z rozszerzonymi oczami.

- Jego koszula - powiedziała. Zamknęłam oczy, żeby odpędzić to wspomnienie.

- Śliczna - dodała Linny. Otworzyłam oczy i spojrzałam na przyjaciółkę w apaszcze, roboczym kombinezonie w paski i haftowanych chińskich pantoflach. Poczułam, że ogarnia mnie fala miłości. Linny jest jedyną znaną mi osobą, która nosi, co jej się żywnie podoba. Jeśli kiedykolwiek popłynie z wiatrem i rozpocznie studia prawnicze, to zapewne odeślą ją do domu, żeby się przebrała. Chociaż może i nie. Pewnego dnia po wstaniu z łóżka Linny przeciągnęła się i stwierdziła, że pójdzie na test kwalifikacyjny do szkoły prawniczej, po czym zdała go z takim wynikiem, że na myśl o jej przyjęciu najlepsze uniwersytety śliniły się jak basset.

- Mnie się podoba to - oznajmiłam. Boska, idealna, jakby dla mnie stworzona. Uszyto ją pewnie z siedemdziesiąt lat temu, ale niewątpliwie dla mnie. Czarna, bez rękawów, wąska, z obniżoną talią i odrobiną naszytych czarnych koralików, może nawet prawdziwych dżetów. Leciutka jak piórko i bez wyblakłych plam pod pachami, dzięki Bogu. Wymarzona sukienka na pierwszą randkę, sukienka na pierwszą randkę, za którą nawet Louise Brooks oddałaby wszystko. Wiedziałam, że będzie pasować.

- Przecież w to nie wejdzie nawet chihuahua - odezwała się Linny.

Jak rękawiczka. Znak numer dwa.

Zaskakująco mało osób wie, że zanim Joan Crawford zaczęła wyglądać przerażająco z brwiami jak skrzydło kruka, była urocza, delikatna i zabawna. Pod koniec *Forsaking All Others*, filmu, który was oczaruje, ale nie wywróci do góry nogami waszego życia, Joan odkrywa, że to stary kumpel Clark Gable, a nie Robert Montgomery, którego kochała przez całe życie, wypełnił jej pokój chabrami, jej ulubionymi kwiatami, w dniu, w którym miała brać ślub. Kiedy dowiaduje się o tym od przyjaciółki, jej śliczna twarz się rozjaśnia i spadają jej z oczu łuski. Kwiaty są znakiem! Przechodzi przemianę! To Clark jest jej mężczyzną! Odsuńmy na bok fakt, że nawet jeśli Robert Montgomery miał ładną sylwetkę i miło byłoby się do niego przytulić, to wybór między nim a Clarkiem Gable'em był z góry przesądzony. Pomińmy też to, że w przeddzień ślubu z Joan RM upił się i ożenił z lafiryndą o wyjątkowo sztucznym głosie. To właśnie kwiaty dały Joan impuls, by wypaść z domu, zostawiając RM samemu sobie nazajutrz po planowanym dniu ślubu i popędzić na statek, który miał zabrać Clarka na zawsze.

Miałam dzień wolny, ale kiedy już Linny przypomniała mi po raz kolejny, że Martin Grace nie wkroczył do mego życia ze srebrnego ekranu, a ja wywróciłam oczami i przepchnęłam ją przez drzwi jej księgarni, zajrzałam jeszcze do Café Dora.

I tam je ujrzałam: dwa tuziny w pełnym rozkwicie. Przesłane przez mężczyznę, któremu podczas naszej półgodzinnej rozmowy ani słowem nie wspomniałam o kwiatach. Obłok, puch, aria, symfonia piwonii, bujnych jak nadzieja, białych jak obietnica. Skinęłam im głową, a dwadzieścia cztery śnieżne główki odpowiedziały mi ukłonem.

Znak numer trzy.

4. Clare

Clare siedziała na łóżku i segregowała w zeszycie przykłady. Zasadniczo dzieliły się one na dwie kategorie: dziewczynki słodkie i dziewczynki dzielne. W *Małych kobietkach* występowały oba rodzaje. Beth March była łagodna i nieśmiała i dlatego przerażający pan Laurence podarował jej fortepian. Z kolei kiedy Jo March spojrzała mu prosto w oczy i powiedziała, że nie jest tak przystojny jak jej dziadek, roześmiał się i stwierdził, że ma charakter.

Clare zależało na zrozumieniu, jak należy się zachowywać, żeby mężczyzna ją polubił, bo postanowiła zadzwonić do ojca. Co prawda jej ojciec nie był przerażający, nie w normalny sposób. Nie był brzydalem ze zmierzwionymi włosami, nie krzyczał, a nawet nie pamiętała, żeby kiedykolwiek się na nią gniewał. Clare nie była właściwie pewna, czy się go boi, ale na myśl o zadzwonieniu do niego serce zaczynało jej walić. Nigdy jeszcze do niego nie dzwoniła. Kiedy powiedziała o tym Max, ich pomocy domowej, ta zaczęła prychać i mamrotać, i wycierać stół kuchenny energicznymi pociągnięciami, które bardziej przypominały klapsy.

- Jezu Chryste, masz prawie jedenaście lat i nigdy nie dzwoniłaś do własnego ojca! Ten skurczybyk musi dosłownie wychodzić z siebie, żebyś czuła się przy nim cholernie swobodnie. - Clare uśmiechnęła się do pleców Max, gdyż dzięki tej tyradzie wygłaszanej z szybkością karabinu maszynowego na parę sekund opuściło ją zdenerwowanie. Zdaniem Clare Max miała najbardziej nie pasujący do osoby głos na świecie. Choć z wyglądu była uosobieniem artystycznego luzu - chuda, z kolczykami w różnych miejscach oraz smolistoczną grzywką uciętą równo w połowie czoła nad okularami w kształcie kocich oczu - jej głos brzmiał jak szczebiot ptasich mózdzków z kreskówki. Dlatego potok jej wymysłów, zamiast brzmieć ostro, płynął jak małe srebrne bąbelki w akwarium.

- Pewno mu się wydaje, że wystarczy wypisać czek, a już spełni swoje ojcowskie obowiązki. Co tam więzi, co tam zainteresowanie życiem własnego dziecka. Kompletnie popierdolony, pewnie się zgodzisz - przerwała i spojrzała pytająco na Clare.

- Nieźle popierdolony - odparła Clare ze wzruszeniem ramion, ciesząc się cierpkością

niedozwolonych słów na języku, jednak niezbyt przekonana, że są słuszne. Nie dzwoniła dotychczas do ojca nie dlatego, żeby jej zabraniał, tylko nigdy jej to nie przyszło do głowy. Zastanowiła się teraz, że może powinna była do niego dzwonić, by opowiedzieć mu o nowej przyjaciółce, dobrej książce czy roli w szkolnym przedstawieniu. Może to ona była popieprzona. Rozważała przez chwilę, czy nie spytać o to Max, ale zrezygnowała.

Obserwując pracę Max, rozmyślała o tym, że dziewczyna sprząta w taki sam sposób, jak robi wszystko inne - z pewną siebie siłą, a jednocześnie ostrożnie. Wyobraziła sobie małe mięśnie w ręce Max napinające się pod tatuażami. A może w ogóle nie dzwonić do ojca? Może lepiej opowiedzieć o swoim problemie Max? Może ona będzie mogła pomóc?

Jednak w końcu postanowiła nic jej nie mówić. Wprawdzie dla niej Max była dorosła, ale wiedziała, że nie wszyscy tak sądzą. Niektórzy z pewnością uważają ją za dziecko, a dzieci prawie nikt nie słucha, szczególnie jeśli mają tatuaże i śmieszne okulary. Poza tym, nawet jeśli ktoś wysłuchałby Max, gdyby starała się zdobyć pomoc dla mamy, to musiałaby tym ludziom powiedzieć, jak zły obrót przybrały sprawy i że mama przestała już być bardzo dobrą matką - a myśl o tym przerażała Clare.

Dziewczynka usiłowała sobie wyobrazić, jak wyglądałoby mieszkanie z ojcem zamiast z matką, ale po prostu nie umiała. I była pewna, że ojciec też nie potrafiłby sobie tego wyobrazić. Jedno wiedziała o ojcu na pewno, że nikomu nie pozwoliłby zabrać jej matki. Gdyby chciał pomóc, to znalazłby rozwiązanie, które pozwoliłoby im pozostać razem.

- Naprawdę chciałabym dostać tego dupka w swoje ręce - ćwierkała Max i Clare pomyślała, że może tego właśnie by mu było trzeba. Max byłaby jak Maria zjawiająca się w domu kapitana von Trappa z torbą na ramieniu i zabawną fryzurą, budząca wszystkich domowników, szyjąca ubrania z zasłon i sprawiająca, że kapitan pokochał muzykę, swoje dzieci i ją. Nie, to by się nie udało. Przypomniała sobie, jak kapitanowi drgały kąciuki ust, kiedy jego mała córeczka Gretel zapomniała powiedzieć swe imię podczas apelu. Czuło się od początku, że pod chłodną, ponurą powłoką zewnętrzną kapitan von Trapp kryje miękkie serce, a Clare nigdy nie miała tego wrażenia w odniesieniu do ojca, choć on przez cały czas się uśmiechał i nazywał ją Wróbelkiem. Poza tym kapitana von Trappa usprawiedliwiała to, że był pogrążonym w żalu wdowcem, a ojciec Clare nie był ani jednym, ani drugim.

- On nie jest dla mnie niemiły czy coś w tym rodzaju - zaczęła. - On po prostu ma...

- Co ma? - ponagliła ją Max, która przestała sprzątać i obróciła się, żeby na nią spojrzeć. Ściągnęła rybacki sweter i usiadła na podłodze obok Clare, wyciągając przed sobą cienkie jak cybuch od fajki, opięte w dzinsy nogi. Max była zazwyczaj okutana w liczne warstwy odzieży:

kaptury, długie podkoszulki, flanelowe koszule, maleńkie topy, a czasem jeszcze na tym wszystkim nosiła zbyt obszerne, fioletowo-zielone poncho. Kiedyś je zostawiła i Clare chodziła sobie w nim po podwórku, zachwycając się, że czuje się w nim tak miłutko i bezpiecznie, a jednocześnie jak motyl. Teraz Max miała na sobie maleńki czarny T-shirt z napisem HAUSFRAU wykonanym gotyckimi literami.

- Ten sposób patrzenia na mnie. Tak samo wygląda mama, kiedy idziemy na kolację do Shrewsburych. Uśmiecha się, rozmawia i śmieje, ale widać, że naprawdę to się nudzi. I tak właśnie patrzy na mnie tata, jakby nie mógł się doczekać, kiedy nasze spotkanie się skończy. - Clare była zadowolona, że powiedziała o tym Max oraz że znalazła odpowiedni sposób, żeby to wyrazić. Nigdy dotychczas nie ubierała tych myśli w słowa, nawet we własnej głowie.

Max objęła ją ramieniem i powiedziała:

- Jego strata, skarbie.

Kiedy Clare miała dziewięć lat, jej najbliższa przyjaciółka Molly przeprowadziła się do Taos w Nowym Meksyku. Wśród wszystkich strat, które to dla Clare oznaczało - a uważała to do niedawna za największe nieszczęście w swoim życiu - najbardziej bolesna była utrata rodziny Molly i jej wspaniałego, walącego się domu w stylu Tudorów.

Matka Clare była wówczas właścicielką firmy organizującej przyjęcia - i obecnie nadal miała w niej większość udziałów, choć stopniowo przekazywała coraz więcej codziennej pracy swojej partnerce Sissy Sheehan, a sama stała się raczej figurantką. Jednak kiedy jeszcze rzeczywiście prowadziła firmę, zajmowała się głównie planowaniem, zamawianiem i organizacją, czyli wszystkim, co można było zrobić w dzień, natomiast na samą imprezę wysyłała zazwyczaj Sissy. Clare zastanawiała się, jak mama to znosi: wybiera świece, jedzenie, talerze, kwiaty i muzykę, czasem nawet aranżuje wszystko w określonej tematyce, na przykład Ali Baby czy lat dwudziestych, dopilnowuje takich szczegółów, jak oświetlenie czy powieszenie draperii na zielonych ścianach, żeby goście nie wyglądali na chorych, a potem nie idzie na przyjęcie, żeby zobaczyć, jak to wszystko wypadło. Kiedy zapytała ją o to, mama odparła:

- Ja to widzę, Clare. Widzę to tutaj. - Poklepała się po głowie, po czym uśmiechnęła się i podniosła palcem podbródek córki. - Poza tym i tak wolę widzieć ciebie - zakończyła, tak żeby Clare zrozumiała, dlaczego pracuje tylko w dzień.

Jednak czasami, szczególnie w okresie świątecznym, przyjęcie było tak ważne, że mama musiała być na nim osobiście. Wówczas ubierała się w długą sukienkę z krey lub dzerseju, zazwyczaj czarną, bez niczego jasnego czy błyszczącego poza długimi kryształowymi kolczykami, które zakładała przy wyjątkowych okazjach. Chodzi o to, żeby być niewidoczną, wyjaśniła

Clare, ale dziewczynka wiedziała, że jej mama i tak będzie błyszczała jak gwiazda. Potem podrzuciła Clare do domu Molly i czasem wysiadała z samochodu, żeby porozmawiać z Liv lub Jimem, rodzicami Molly, albo zrobić zabawny autoironiczny obrót i ukłon, a następnego ranka ją odbierała. Zazwyczaj przyjeżdżała po nią, kiedy jeszcze wszyscy siedzieli przy śniadaniu, i też siadała na chwilę, żeby wypić kawę z Liv i opowiedzieć zabawne historyjki z przyjęcia: o lawinie groszku ptysiowego, o niecenzuralnym toaście podpitego gościa, o gospodyni przyjęcia omdlewającej w zbyt mocno zasznurowanej gorsetowej sukience. Clare pieczołowicie gromadziła wspomnienia tych chwil - smak grzanek z cynamonem, kwiaty na stole, radosny śmiech matki, dwie dziewczynki i dwie kobiety, szczęśliwe i zaprzyjaźnione.

Kiedy rodzina Molly się przeprowadziła, Clare nie miała gdzie zostawać na noc, więc jej matka zatrudniła dla Sissy asystenta imieniem Seth, tak żeby mogli we dwójkę wykonywać całą nocną pracę. Jednak przedtem mama Clare musiała osobiście dopilnować jeszcze jednego wydarzenia towarzyskiego - weekendowego wypadu do górskiego ośrodka wypoczynkowego dla uczczenia małżeństwa dzieci dwóch skłóconych potężnych rodzin.

- Muszę tam jechać i dopilnować, żeby nikt nikomu nie dosypał trucizny do martini. To nie najlepsza reklama dla firmy, kiedy goście opuszczają przyjęcie na noszach - wyjaśniła córce, po czym dodała łagodniejszym głosem: - To tylko ten jeden raz, Clarey.

I w ten sposób po sześciu latach krótkich dziennych wizyt Clare trafiła do mieszkania ojca w centrum miasta na cały weekend. Nie było tak źle, z początku. Ojciec zaplanował mnóstwo zajęć; wypełniał nimi każdą chwilę: Muzeum Nauk Przyrodniczych, muzeum sztuki, piknik w parku z jedzeniem z restauracji zapakowanym w zabawne małe pudełka, wycieczka po sklepach, podczas której kupił jej parę skórzanych kozaczków na wysokich obcasach (uznanych przez mamę za nieodpowiednie dla ośmiolatki, w związku z czym nie pozwoliła jej ich nosić) oraz dwustronnie wykończony wełniany płaszczyk haftowany przy mankietach w kwiatki i pasujący do niego kapelusz, który spokojnie mógłby pochodzić z szafy Sary Crewe. Pierwszego wieczoru poszli na kolację do Four Seasons, a później Clare znalazła się w łóżku z białym misiem wielkości trzyletniego dziecka.

Jednak drugiej nocy obudziła się około północy i poczuła nagły strach w obcym pokoju, do którego przez wysokie okna wpadało zbyt dużo światła. Podeszła do jednego z nich i spojrzała w dół na pędzące samochody i ludzi poruszających się po chodnikach. Ogarnęło ją uczucie osamotnienia, gdy patrzyła na ruch i światła w dole i wyobrażała sobie wszystkie dźwięki, których nie mogła tu usłyszeć. Zaczęła się zastanawiać, dlaczego chciałaby wrócić do domu, skoro ojciec jest dla niej bardzo miły. Może dlatego, że nie pamiętał, jak nazywają się osoby, o

których dopiero co mu opowiadała, i nieraz dwa razy zadawał to samo pytanie. Ale najgorsze było to, jak na nią patrzył, kiedy mówiła - to spojrzenie uciekające na boki lub ponad jej ramieniem, sprawiające, że czuła się nudna i niemal niewidzialna. Zachowywał się jak dziecko zmuszane do rozmowy, gdy w pokoju gra telewizor, i Clare miała wrażenie, że jego wzrok przeszukuje otoczenie, jakby w polu widzenia mogła w każdej chwili pojawić się inna, lepsza córka.

Po chwili Clare postanowiła napić się wody, więc prześlizgnęła się cicho obok sypialni ojca do kuchni. Nieco czasu zabrało jej znalezienie szklanki, a kiedy naląła już do niej wody, usłyszała niski, jakby zwierzęcy odgłos dobiegający z salonu. Już niemal rzuciła się do ucieczki do pokoju gościnnego, gdy przypomniała sobie, jak Mary Lennox z *Tajemniczego ogrodu* po usłyszeniu płaczu rozlegającego się w angielskim dworze, do którego została wysłana, kiedy jej rodzice umarli na cholere, ruszyła dzielnie upiornymi korytarzami w poszukiwaniu źródła dźwięku.

Dlatego wstrzymała oddech i powolutku zaczęła posuwać się w stronę salonu, trzymając przed sobą szklankę z wodą, jakby to była świeca oświetlająca jej drogę. Niemal upuściła ją na podłogę, kiedy zobaczyła obcą kobietę półleżącą na sofie, z włosami opadającymi na jedną stronę, ręką zwieszoną na dół, zwiotczałą twarzą i otwartymi ustami, przez które wydobywało się chrapanie. Z gardła Clare wyrwał się ostry dźwięk i dziewczynka ruszyła pędem do pokoju ojca, rozchlapując po drodze wodę ze szklanki. Pokój był pusty. Z płaczem zadzwoniła na telefon komórkowy matki, a ta natychmiast opuściła górską imprezę i ruszyła w drogę. Clare z walącym sercem spakowała swoją torbę, zjechała windą do holu apartamentowca i tam czekała na matkę. Przez dwie godziny, które upłynęły, zanim mama do niej dotarła i Clare mogła wreszcie wtulić rozpaloną twarz w miękką wełnę jej płaszcza, ojciec nie wrócił do domu, a kobieta, którą zatrudnił, żeby jej pilnowała, nawet nie zauważyła, że wyszła.

Od tamtej pory w uczuciach Clare do ojca pojawiła się nowa nuta. Mógł to być gniew, ale przejawiał się jako niepokój i czujność, które nie pozostawiały zbyt wiele miejsca na słodycz.

Z tego wynika, że musi postawić na dzielność. Siedziała i wpatrywała się w telefon. Z oddali dobiegał dźwięk odkurzacza, uspokajający szum zmieszany z dziarskim, fałszującym sopranem Max: „Już na zawsze stąd odeszłaś. Jakże żal mi Clementine!” W wykonaniu Max te słowa brzmiały całkiem wesoło.

Clare jeszcze przez chwilę słuchała śpiewu Max, po czym zdecydowanym ruchem zepchnęła książki z łóżka. Dzielna czy nie, ale woli jednak zadzwonić, póki Max jest w domu.

Poza tym mama może niedługo wrócić z torbami pełnymi dziwnego, drogiego jedzenia

wyszukanego w rozmaitych sklepach ze specjalną żywnością. Od ponad tygodnia matka przeżywała szal gotowania, kupowała całe stosy książek kucharskich, czasopisma o gotowaniu, winach i wykwintnej kuchni oraz różne akcesoria kuchenne, drogie i o bardzo specjalistycznym zastosowaniu, jak ogromna patelnia do paelli z własnym okrągłym palnikiem gazowym.

Clare obserwowała, jak matka wypakowuje torby, ostrożnie wyjmując artykuły spożywcze szczupłymi dłońmi, jakby każdy z nich był kruchym, cennym podarkiem lub ofiarą: smardze, olej z białych truflí, sola z Dover, torebka małych, fioletowych ziemniaków, długa, gruba łydyga z brukselką rosnącą wokół niej jak kręcone schody. Potem gotowała w gorączkowy, nerwowy sposób i czasem wyrzucała na pół gotowe danie do zlewu i zaczynała od nowa, a innym razem wyciągała z piekarnika upieczone na złoty kolor suflety czy babki i ustawiała je przed córką gestem nie mającym nic wspólnego z chęcią nakarmienia kogoś. Nieraz Clare budziła się w środku nocy i słyszała, jak matka coś sieka. Wówczas czekała, aż pójdzie spać, i schodziła cichutko na dół, żeby pogasić światła, a raz czy dwa nawet palniki na kuchence.

Clare wybrała numer do biura ojca, a kiedy odezwała się jego sekretarka, powiedziała stanowczym głosem:

- Mówi Clare. Poproszę ojca. To bardzo ważna sprawa i muszę z nim natychmiast porozmawiać.

Nastąpiła chwila ciszy, po czym sekretarka odparła:

- Ach, tak, jak się masz, Claro? - Jej głos brzmiał młodo, śmiało, a poza tym... jak jeszcze? Chyba życzliwie. Pomimo że przekreśliła imię Clare, wydawała się całkiem miła, co dziewczynkę nieco wytrąciło z równowagi. Łatwiej być dzielną, gdy się czuje opór.

- Dobrze - odparła, wbrew sobie nieco łagodniejszym tonem.

- Twojego ojca nie ma w biurze, ale mogę mu powiedzieć, żeby do ciebie oddzwonił.

Dobrze?

Clare poczuła, jak uchodzi z niej powietrze. Nie. Nie była pewna, czy oddzwoni, a nawet gdyby to zrobił, mogłoby być za późno. Mama mogłaby już wrócić do domu, a nawet odebrać telefon.

- Nie - stwierdziła, podnosząc głos. - Muszę porozmawiać z nim teraz. Proszę.

Kolejna chwila ciszy, w końcu kobieta odezwała się znowu:

- Hmm, posłuchaj, kochanie, przed chwilą skończyłam rozmawiać z nim przez telefon, więc z pewnością jeszcze go złapię. Oddzwoni do ciebie w ciągu kilku minut. Co ty na to?

- W porządku - odparła łagodnie Clare. - Dziękuję.

Odłożyła słuchawkę i czekała, jak jej się wydawało, przez długi czas, trzymając jedną rękę

na telefonie. Kiedy zadzwonił, podskoczyła i błyskawicznie zabrała dłoń, jakby ją oparzył. Potem odebrała.

- Halo.

- Wróbelku! - odezwał się ojciec. - Jak miło cię słyszeć! Jak ci mija popołudnie? -

Rzeczywiście, „Jak ci mija popołudnie?” Zupełnie jakby codziennie z nią rozmawiał! Clare zaczęła się zastanawiać, czy ktoś jeszcze jest z nim w pokoju i słucha.

- Muszę z tobą porozmawiać - odparła.

- Niestety, mam tylko około pięciu minut, ale na te pięć minut zamieniam się w słuch.

Clare zebrała siły.

- To jest ważne. Może zabrać więcej niż pięć minut. Chodzi o mamę. - Spodziewała się, że coś powie, o coś zapyta, ale tego nie zrobił. - Myślę, że ona jest chora. Albo... - głos jej się załamał - albo się zmienia, nie zachowuje się tak jak zwykle. I to już trwa od dłuższego czasu.

- Jestem pewien, że nie ma się czym martwić, Clare - odparł. - Ludzie się zmieniają. Ty też jesteś inna za każdym razem, kiedy się spotykamy. Ostatnio kiedy u mnie byłaś, wypijałaś może dwa łyżki koktajlu czekoladowego, a kiedyś go uwielbiałaś.

Clare poczuła nagły przypływ nienawiści, słysząc jego żartobliwy ton.

- Nie, nie. To nie to. To nie są żadne normalne zmiany. Słuchaj, co mówię!

- Słucham. - W głosie ojca dało się słyszeć znużenie.

- Ona stale gotuje, czasem całymi nocami.

- No, to chyba nie jest aż tak złe. Mów dalej.

- I kupuje różne rzeczy, dziwaczne rzeczy. Ogromne patelnie i książki kucharskie.

- Cóż, nigdy nie miała problemu z wydawaniem pieniędzy - zauważył sucho ojciec.

- Nie rozumiesz! Na przykład ręczniki. Kupiła wszystkie te ręczniki, we wszystkich kolorach. - To brzmiało śmiesznie, nawet dla niej. Słyszała, że ojciec zakrywa mikrofon słuchawki i mówi do kogoś w pokoju. Zaczęła ją ogarniać panika. Traciła go. - I zabrała mnie ze szkoły na lunch. Dała mi wino! - Nie chciała, żeby w jej głosie słyhać było taką rozpacz. Ale była zrozpaczona.

- No, to akurat uważam za rozsądne. We Francji dzieci młodsze od ciebie piją wino. I jak ci smakowało?

- Jak mi smakowało? Ohydne! I flirtowała z tym bardzo młodym kelnerem, trzymała go za rękę. I mówiła do mnie rzeczy, których nie powinna mówić. Których normalnie by nie powiedziała. Rzeczy o, o... - Teraz Clare już płakała.

- Uspokój się, Wróbelku. O czym? Clare zamknęła oczy.

- O seksie. - No i zrobiłam to, pomyślała. Zdradziłam mamę. Nie do wiary! Ojciec się śmiał.

- Posłuchaj, Clare. Twoja mama jest dorosłą samotną kobietą i, jeśli dobrze pamiętam, piękną kobietą. Jeśli chce flirtować z kelnerem czy kimś innym, to jej sprawa. Pewnie czujesz się w takiej sytuacji niezręcznie, ale to jest zupełnie naturalne. Poza tym masz prawie jedenaście lat. Nie wiem, dlaczego mama nie porozmawiała jeszcze z tobą o tym, skąd się biorą dzieci.

Clare zignorowała tę uwagę.

- Jedyne powód, jaki mi przychodzi na myśl, to nietoperz.

- Nietoperz?

- Pewnego dnia, kiedy obudziłyśmy się rano, w domu był nietoperz. Mama powiedziała o tym doktorowi Adubie, a on poradził, żebyśmy dla bezpieczeństwa wzięły serię zastrzyków przeciw wścieklicznie. Ale nie tych w brzuch. Mama nie wierzyła, że można być ugryzionym przez nietoperza, ale i tak kazała mi zrobić te zastrzyki. Ale sobie nie. I teraz jest chora.

- Twoja mama nie ma wściekliczyny, Clare. - Mówił teraz głosem osoby, która demonstruje, jak bardzo jest cierpliwa. Pomimo wysiłków Clare przez chwilę rozpacz wzięła w niej górę nad dumą. Kiedy się odezwała, jej głos był znacznie cichszy, niż chciała.

- Tato? Boję się tego, co się dzieje. Nie mogę spać.

- Nie ma czego się bać. Zapewniam cię. A teraz muszę już iść, przykro mi. - Za chwilę odłoży słuchawkę. Dzielna, pomyślała Clare, musisz być dzielna.

- Wcale ci nie jest przykro. Ale jesteś moim ojcem. Musisz mi pomóc. - Chwila ciszy.

- Mówię ci, jako ojciec, że wszystko jest w porządku, Clare. Niedługo się odezwę. -

Rozłączył się.

Clare spoglądała przez chwilę na telefon, po czym wepchnęła go pod poduszkę, żeby nie musieć na niego patrzeć. Ześlizgnęła się na podłogę, podciągnęła kolana pod brodę, naciągnęła na nie spódnice i objęła je mocno rękami.

To bez sensu czuć się jeszcze bardziej samotnie po tej rozmowie, pomyślała. Przecież niczego nie straciła, bo nigdy nie było czego tracić. A jednak czuła się bardziej samotna.

5. Cornelia

Niecałe dwadzieścia cztery godziny po tym, jak dostałam kwiaty, zadzwonił. Nie tak po prostu zadzwonił, tylko zadzwonił z Londynu, wyobraźcie sobie. Kiedy usłyszałam jego głos, dosłownie wyczułam gorące babeczki i pastę cytrynową na stojącej przy nim tacy i czerwone

piętrowe autobusy przejeżdżające na zewnątrz.

- Cześć - powiedziałam.

- Czy ty jadasz? - spytał.

- Czasami - odparłam.

- Czy ja cię spytałem, czy jadasz? Chodziło mi o to, co jadasz.

- Och, różnie - powiedziałam. Dotknęłam dwoma palcami nadgarstka. Puls szalał. Ale głos był spokojny.

- Wegetarianka?

- Wszystkożerna.

- To znaczy, że jesz dosłownie wszystko?

- Żadnych języków. I nie jem lukrecji.

Roześmiał się czystym, ciepłym, bursztynowym śmiechem, który sprawił, że poczułam się czysta, ciepła i bursztynowa.

Byłam ubrana w sukienkę, którą kupiłam wtedy z Linny, i lekką, krótką marynarkę z wełny w kolorze żurawiny z rękawami siedem ósmych, a do tego moje ulubione czarne kozaczki do kolan. Jediną zaletą nietypowo niskiego wzrostu są proporcjonalne do niego nietypowo małe stopy, dzięki którym można niezłe się obłowić na wyprzedazach butów. (Nie wpadajcie w panikę, nie zamierzam was uraczyć opisami wszystkich ubiorów, które noszę, chociaż pamiętam, że jako dziecko właśnie to uwielbiałam w książkach o Nancy Drew: „Nancy, ubrana w elegancką bladoniebieską bluzkę, otworzyła drzwi”, „Nancy narzuciła miękkie żółty sweterek na szczupłe ramiona i wsunęła się do kabrioletu”, „Nancy zdjęła bluzkę, spódnicę i buty i ubrała się w jasnozieloną prostą sukienkę na ramiączkach i naszyjnik z pereł”. Niemniej jednak czasami ubranie ma znaczenie.)

Będąc nieodrodną córką swojej matki, zignorowałam głos wewnętrzny, który z całych sił wołał do mnie: „Zaufaj temu mężczyźnie bez reszty”, i kiedy Martin zapytał, dokąd ma po mnie wpaść, zaproponowałam, żebyśmy spotkali się w restauracji. Pięć dni później weszłam, i oto był, czekał na mnie. Nie będę się rozplęwać nad jego wyglądem. Powiem tylko, że był piękny w taki sposób, jak piękne są niektóre ręcznie wykonane drewniane przedmioty - takie nieskazitelne, gładkie, wygięte, lśniące, tak w pełni zrealizowane i samowystarczalne, że dopiero po chwili dociera do ciebie, i to z obezwładniającą siłą: „O mój Boże, przecież to jest krzesło!” A wtedy siadasz i pragniesz nigdy z niego nie wstawać.

Restauracja przypominała stylem szkatułkę na biżuterię: malutka, z boksami i krzesłami wyłożonymi srebrnoszarym aksamitem, z kominkiem wiszącym na ścianie jak obraz oprawny w

ramę.

Jedzenie było znakomite, jestem pewna, przyrządzone ze świeżych sezonowych produktów, niewątpliwie odpowiednio chrupkie na wierzchu i rozplývające się w ustach w środku, natchnione, lecz bezpretensjonalne, proste, lecz oryginalne. Jak przez mgłę pamiętam, że zaskoczył mnie smak fig, i jestem pewna, że podnosiłam do ust łyżkę czegoś kremowego w kolorze zachodzącego słońca. Jednak moje zmysły, którymi całkowicie zawładnął Martin, niemal nic nie zarejestrowały z prawdopodobnie najlepszego posiłku w moim życiu.

Rozmawialiśmy i rozmawialiśmy, i rozmawialiśmy. Być może miłość wkrada się do naszego serca przez oczy, ale na pewno nie w takim stopniu jak przez uszy, przynajmniej w moim wypadku. Kiedy rozmawialiśmy, w mojej głowie rozbłyskały kolejne światełka i pod koniec wieczoru czułam się jak planetarium.

Martin powiedział mi, że niezwykle podoba mu się moje imię, że jest zaledwie kilka kobiecych imion, przy których wszystkie inne wydają się watą cukrową, a moje należy do tych kilku.

- Razem z jakimi? - zainteresowałam się.

- Eleanor, Mercedes, Augusta - po czym wymienił jeszcze cztery czy pięć dalszych, jakby recytował wiersz, więc opowiedziałam mu o mojej pierwszej współlokatorce w college'u, czystej krwi klaczce z Savannah z nieskazitelnymi łydkami i zabytkowym ametystem wielkości orzecha włoskiego na szyi.

Rzucała fresbee jak zawodowiec, mówiła bezbłędnie po francusku i miała słodki uśmiech, który odsłaniał długie i ostre kły, uśmiech, który mógł powalić na ziemię połowę szeregu studenckiego bractwa jak domek z kart. Gdyby była odrobinę mniej śliczna albo pieniądze jej rodziny byłyby odrobinę mniej odwieczne, z pewnością zadzierałaby wobec mnie swój urodziwy nosek, ilekroć nadarzyłaby się okazja. Jednak ponieważ jej pozycja towarzyska była całkowicie niezagrożona, mogła lubić, kogo jej się podobało. Polubiła mnie. Wiem o tym, bo mówiła innym osobom swoim śpiwnym, nieco zachrypłym (jak przypuszczam, po latach krzyczenia przez boisko do lacrosse'a lub z końskiego grzbietu do innych osób na koniach) głosem, jaki mają wszystkie przyszłe przewodniczące siostrzanego bractwa Tri-Delta, że „Cornelia jest świetną dziewczyną!” Ja też ją lubiłam, bo była miła, a ponadto rzucała złocisty blask na wszystko, co ją otaczało, w tym na swoją niewymiarową współlokatorkę.

Jednak po dwóch tygodniach uznała, że moje imię zbyt „odstaje”, i postanowiła wymyślić jakieś przezwisko na podstawie „Cornelii”.

- No, pierwsze, co przychodzi na myśl, to... - zaczął Martin, mrugając.

- Nie waż się tego mówić. Nawet tego nie myśl - ostrzegłam. - Myślisz o tym?

Martin potrząsnął przecząco głową i zrobił gest przysięgi. Powiedziałam mu, że koleżanka w końcu zdecydowała się na C. C, chociaż ani moje drugie imię - Rose - ani nazwisko Brown nie zaczynają się na C. Przez dwa semestry byłam C. C. Brown.

- Gdyby dodać do tego jeszcze „Little” albo „Blind”, brzmiałoby to jak u bluesmanki - zauważył uprzejmie Martin. - A jak nazywała się ta twoja współlokatorka?

- Selkirk Dalrymple - odparłam.

Roześmiał się tym przypominającym roztopione srebro śmiechem, a ja poczułam się jak dziecko, któremu udało się rozwalić piniatę. Dumna ze zwycięstwa i obsypywana słodkimi skarbami.

Martin opowiedział mi o swoim pierwszym współlokatorze, który miał szczególne upodobanie do „grzecznych dziewczynek”, a jego sztandarowa technika uwodzenia polegała na wspomnianiu mimochodem, że czytał *W poszukiwaniu straconego czasu* Prousta, wszystkie siedem tomów (tak, Martin użył w pewnym momencie francuskiego tytułu i prawidłowo go wymówił, ale nie w taki sposób jak Alex Trebek, więc nie macie się czym martwić), co działało jak zaklęcie. Spytałam, czy jego kolega rzeczywiście to przeczytał, a Martin odparł, że na tym polegał cały urok tej metody: Ci, którzy najbardziej mu zazdrościli i w związku z tym mogliby najbardziej złośliwie podważać jego wiarygodność, należeli do ludzi, którzy woleliby umrzeć, niż się zdradzić, że sami tego nie czytali lub nie posunęli się poza *W stronę Swanna*, i dlatego nie mieli pojęcia, o co bezpiecznie pytać, żeby go sprawdzić.

I tak toczyła się ta rozmowa - przyjazna, z zabawnymi historyjkami, które każde z nas nieco ubarwiało i robiło z nich prezent rozmówcy, a ten miło je przyjmował. Żadne z nas nie wywlekało na wierzch nagiej duszy, pozwalając jej tańczyć wokół stolików w restauracji, ale te krótkie opowieści były rzutem oka do wnętrza, kolorowymi pocztówkami z krainy Martina i Corneli. Dobry sposób na zapoczątkowanie znajomości.

Później Martin odprowadził mnie pod drzwi mojego apartamentowca. Spojrzał na mnie w świetle latarni i przesunął dłonią po mojej głowie, zatrzymując ją na chwilę tuż powyżej szyi.

- Pasuje do ciebie ta czapeczka z włosów - stwierdził.

- A spójrz na siebie - odparłam. - Te twoje rzęsy.

Wyglądają jak maleńkie miotelki. - Wtedy on się roześmiał, sięgnął po moją rękę i pocałował mnie w środek dłoni.

Następnego ranka:

Linny: Niech zgadnę. Patrzyłaś, jak odchodzi, a potem wbiegłaś po schodach,

przeskakując po dwa stopnie naraz i śpiewając *I Get a Kick Out of You*.

Cornelia: Nie. Pudło, pudło, pudło.

Linny: *Embraceable You*.

Cornelia: Diablica. Diabelska przyjaciółka z piekła rodem.

Linny [zawodząc, z zadowolonym z siebie uśmiechem] : *Don't be a naughty baby. Come to mama, come to mama doooo*.

Na drugiej randce jedliśmy palcami w etiopskiej restauracji z czerwono-złotymi draperiami, nie odrywając wzroku od nieziemskiego, wyrafinowanego, długoszyjego, ciemnookiego piękna całego personelu, począwszy od kierowniczk sali po pomocnika kelnera. Potem przez godzinę spacerowaliśmy, ja z dłonią wciśniętą w zagięcie jego ramienia w sposób, który aż się prosił, żebym miała na rękach zapinane na perłowe guziczki rękawiczki sięgające nad nadgarstek, a później w holu mojego budynku wypełniliśmy pięć minut pocałunkami tak delikatnymi, tak intymnymi i łagodnymi, że potem wchodziłam po schodach do swojego mieszkania, niosąc tę chwilę tak ostrożnie, jakby była szklaną kulą wypełnioną motylami.

Następnego ranka:

Linny: Wiem, Etiopczycy są niesamowici. Uwierzysz, że ten fotograf Peter Beard zbiera tyle pochwał za odkrycie Iman? Rzeczywiście, znalezienie piękności w tym kraju było naprawdę trudne! To istotnie wymagało wnikliwego spojrzenia!

Cornelia: Tyle że Iman pochodzi z Somalii.

Linny: Etiopia, Somalia, jeden pies.

Cornelia: Pięknie, pięknie. Grunt to poszanowanie dla odmiennych kultur.

Pewnie, mogłam powiedzieć Linny o rękawiczkach zakrywających nadgarstek i szklanej kuli z motylami albo pójść jeszcze dalej i od razu wsadzić sobie widelec do zakąsek w ucho.

Na trzeciej randce poszliśmy na sztukę Toma Stopparda o A. E. Housmanie, po której czułam upojenie i podziw. Gdy wychodziliśmy z teatru, a potem mijaliśmy kolejne przecznice, rozplýwałam się nad inteligencją tej sztuki i grą słów, i pasją, i współczuciem, i bezwzględnością, i tym, jak siedziałam w teatrze i dygotałam, mając poczucie, że to, co się dzieje na scenie, zmienia mnie w lepszego człowieka. Martin odparł, że czuł to samo.

- Tyle że ty oglądałaś sztukę, a ja ciebie. Niewiarygodne, prawda? Czego więcej można by oczekiwać, prawda? A jednak było więcej.

- Uwielbiam filmy, ale po sztukach zazwyczaj czuję się podekscytowana - powiedziałam mu po pauzie wypełnionej zarówno radością, jak i onieśmieleniem.

- A, podekscytowana. Jedno z tych słów - stwierdził Martin, kiwając głową.

- Wiem - odparłam, niemal przekonana, że rzeczywiście wiem.
- Jedno z tych słów, które znaczą coś innego, niżby wskazywało ich brzmienie.
- Wiem - powtórzyłam, bo teraz wiedziałam już dokładnie. - Jak amoralny.
- Amator - dorzucił Martin.
- Spódnica.
- Cynik.
- Obcowanie.
- Obcowanie - przytaknął Martin, który nie przeoczył tej dwuznaczności.

Pod moimi drzwiami całowaliśmy się gwałtownie przez jakieś dwadzieścia minut.

Następnego popołudnia:

Linny: Czyli ty i twój nowy facet jesteście dokładnie takimi samymi niereformowalnymi żalotnymi świrusami. Nie-pięknie.

Cornelia: Od-pieprz się.

Ale ja wzięłam z tego zwrot twój facet, zawinęłam go i włożyłam do tylnej kieszeni, żeby pomyśleć o nim później.

Przy wietnamskim jedzeniu na szóstej randce niespodziewanie przeskoczyłam z opisywania swego najbardziej udanego kostiumu na Halloween (Charlie Chaplin; wyglądałam kropka w kropkę jak on, ta sama za mała marynarka - a niełatwo było znaleźć zbyt małą marynarkę na kogoś takiego jak ja - wielkie buty, wielkie oczy, laseczka... i wszyscy poza może trzema osobami myśleli, że jestem Hitlerem, ale ja wiedziałam, a tylko to się naprawdę liczy, prawda?) do spowiadania się z najgorszej cechy swojego charakteru.

- Lękliwość - oznajmiłam. - Jestem bojaźliwa. Z gruntu lękliwa, przesadnie ostrożna i pozbawiona zamiłowania do przygód.

- Nie jesteś lękliwa, Cornelio - odparł Martin.

- Zrezygnowałam ze spędzenia przedostatniego roku studiów za granicą na trzy dni przed planowanym wyjazdem do Hiszpanii, chociaż strasznie mi na tym zależało. Nie kąpię się w oceanie, bo mógłby mnie zaatakować wielki żarłacz ludojad. Nigdy nie miałam psa, bo te bestie mogą w mgnieniu oka zwrócić się przeciw tobie. Studiowałam w swoim mieście, na tym samym uniwersytecie, gdzie mój ojciec wykłada na wydziale medycznym. Jestem jedyną ze znanych mi osób, które nigdy nie mieszkały w Nowym Jorku. No i odrzuciłam twoją propozycję wyjazdu do Londynu.

- Lękliwość wcale nie jest taka zła. W zasadzie pod pewnymi względami jest nawet dobra - stwierdził Martin, zanurzając roladkę w podanym do niej sosie. Sięgnęłam przez stół i

dotknęłam dłonią jego policzka, pozornie, żeby podziękować mu za tę próbę pocieszenia mnie, ale w rzeczywistości dlatego, że mogłam, i napawałam się tym. Skóra pod moimi palcami była ciepła i jędrna.

- Moja była żona mawiała, że jestem lękliwy - dodał - ale jako dziecko miałem mopsa imieniem Puggy, więc z pewnością się myliła. - Jeszcze przez chwilę nie zabierałam ręki z jego policzka, żeby zademonstrować swój spokój w obliczu nowiny o byłej żonie, po czym uniosłam ją z lekkością motyla.

Martin zatopił zęby w roladce. Nie spadła mu ani odrobina makaronu, ani kropla sosu. Nigdy dotychczas nie widziałam, żeby ktoś tak schludnie jadł. Podziękowałam niebiosom, że na swojej liście strachów nie ujęłam lęku przed mężczyznami z byłymi żonami.

- A jak długo byliście razem? - spytałam, badając palcem kawałek fistaszka leżący na obrusie, z nadzieją, że wygląda to beztrosko. Chociaż, jak się później zastanowiłam, poświęcanie uwagi kawałkowi orzeszka wyraźnie zdradza, że nie czujesz się beztrosko.

- Niewiele ponad rok. Ona miała jakieś problemy z układem oddechowym i oddech jak zgniły kalafior. Pewnego razu wyjechałem na tydzień na kemping, a kiedy wróciłem, jej już nie było.

Spojrzałam na niego, z palcem na fistaszku.

- Poza tym nie kontrolowała czynności fizjologicznych. Nie spuszczałam z niego wzroku.

- Cztery lata - powiedział w końcu.

- Co się stało? - spytałam.

- Nic szczególnego. Dobrze nam szło na krótkim dystansie, tyle że najwyraźniej nie byliśmy stworzeni, żeby iść razem dłużej. - Było to pełne galanterii i dobrotliwe, lekkie jak piórko i cywilizowane, tak bardzo w stylu Cary'ego Granta. Powinnam się delektować tą odpowiedzią, a tymczasem doprowadziła ona do tego momentu. Wiecie, o co mi chodzi. Tego szczególnego momentu w bliższej znajomości, kiedy uświadamiasz sobie, że od pięciu i pół tygodnia unosisz się w powietrzu, a jednocześnie odkrywasz, że twoje stopy opadły nieco ku ziemi.

- Mówisz to tak, jakby ona była koniem wyścigowym czy sztuką teatralną - rzuciłam. Żartobliwie, mam nadzieję.

- Rzeczywiście, Viviana miała w sobie po trochu tego i tego. Długonoga, przerasowana, nie stroniła od dramatu, a czasem i melodramatu.

Przy moim wzroście nigdy nie zostaną nazwana długonogą.

- Viviana. Czyli jest Latynoską? - W mojej głowie natychmiast pojawiły się Jennifer

Lopez, Salma Hayek i Penelope Cruz i zaczęły uwodzicielsko wirować na nieskończenie długich nogach. Cameron Diaz też, chociaż trudno mi uwierzyć, że ona jest Latynoską, a skoro Natalie Wood wystąpiła w *West Side Story*... cóż, mogę jedynie powiedzieć, że poczułam lekkie wzburzenie.

- Viviana Hobbes. Jej imię to jeden z tych zabiegów arystokratycznych anglosaskich rodzin, żeby dodać sobie nieco egzotyki. - No i natychmiast ujrzałam Grace Kelly zmiatającą wszystkie latynoskie i pseudolatynoskie ślicznotki jednym ruchem swojej charakterystycznej torebki.

Tego wieczoru, kiedy całowałam Martina na pożegnanie (stojąc o kilka schodków wyżej niż on), wyobraziłam sobie, że dostrzegam ponad jego ramieniem przyglądającą nam się Grace Kelly w roli Viviany Hobbes. Ale kiedy nasze oczy się spotkały, nie dostrzegłam chłodnego, niebieskookiego spojrzenia, które kojarzymy z Grace, niewzruszonego spojrzenia ze *Złodzieja w hotelu czy Wyższych sfer*. Były to raczej oczy Georgie Elgin z *Dziewczyny z prowincji*, pełne żalu, cierpliwości i samotności.

Nad jajkiem w koszulce na grzance u Linny: Linny: Mogę ci zadać tylko dwa pytania?

Cornelia: Nie.

Linny: Po pierwsze, dlaczego kiedy słyszysz „anglosaska arystokratka”, torturujesz się obrazem Grace Kelly? Czy Grace Kelly jest jedyną anglosaską arystokratką na świecie? A pomyślałaś, na przykład, o Jackie Pieprzonej Bouvier Kennedy? A przyszło ci na myśl, że Vivian Hobbes może mieć oczy rozstawione na boki jak wydra?

Cornelia: Muszę przyznać, że nie.

Linny: Tak myślałam.

Cornelia: W każdym razie to nie chodziło o tę Grace Kelly, nie to mi przeszkadzało. Tylko ta beztroska.

Linny: Beztroska?

Cornelia: Jego ton. Jakby małżeństwo było restauracją.

Linny: Nie bardzo łapię.

Cornelia: Albo tenisem. Albo marynarką z dwoma guzikami. Czymś, co wypróbował albo kiedyś robił, ale po prostu już tego nie robi.

Linny: Czyli: „Byłem żonaty, ale to nie było nic osobistego”.

Cornelia: Jakby cztery lata małżeństwa zupełnie nic nie znaczyły.

Linny: No dobra, ale przynajmniej nie zachowuje się jak ten facet w tym filmie, do którego obejrzenia mnie zmusiłaś.

Cornelia: ???

Linny: No, ten facet, co miał obsesję na punkcie swojej nieżyjącej żony.

Cornelia: To prawda. Tym bardziej że miał obsesję dlatego, że wywiercił dziury w jej żagłówce i zatopił jej ciało na dnie morza.

Linny: Pytanie numer dwa. Czy ktoś wprowadził może zakaz uprawiania seksu?

Sześć randek. Muszę przyznać, że miała rację.

A potem nadeszła randka siódma. Randka, którą lubię nazywać *Randką siódmą albo To się zdarzyło pewnej nocy*.

6. Clare

Przez trzy dni, które nastąpiły po rozmowie z ojcem, Clare żyła w środku nawałnicy - czarnego, wirującego huraganu własnego strachu. W nocy leżała, słysząc w uszach jego ryk, a jeśli zasnęła, słyszała go znów, zanim jeszcze otworzyła oczy. Nie czytała. Nie chodziła do szkoły. Kiedy sekretarka szkolna zadzwoniła do domu, słyszała, jak jej mama mówi, że Clare jest chora, a czystość i pewność jej głosu sprawiły, że burza szalejąca wokół dziewczynki stała się jeszcze mroczniejsza. To, że jej matka potrafiła mówić, jakby wszystko z nią było w porządku, podczas gdy było naprawdę źle, było równie przerażające jak to, że nawet nie zmierzyła jej temperatury, nie przyniosła koca ani gorącej herbaty i niemal nie zauważała jej obecności.

Skóra Clare spierzchła i swędziała, oczy i policzki przez cały czas ją piekły, ale były też chwile - szczególnie kiedy wybiegała myślą zbyt daleko w przyszłość - że całe jej ciało ogarniały gwałtowne dreszcze. - Jestem chora ze strachu - tłumaczyła sobie. - Jestem zrozpaczona. - Jednak o ile w dawnym życiu pomagało jej nadawanie nazw rzeczom przerażającym lub niezrozumiałym, o tyle teraz już nie. Pocierała ręce dłońmi od góry do dołu, żeby je rozgrzać, i wyczuwała przy tym kości tuż pod skórą, a kiedy natrafiła na guzowate miejsca przy łokciach, dusiła je mocno, aż poczuła ból. - Pod spodem jestem szkieletem - szepnęła do pomalowanych na żonkilową żółć ścian swego pokoju.

Trzeciego dnia po południu usłyszała szybkie, lekkie kroki matki wchodzącej na schody, a potem do swojej sypialni, po czym dobiegł ją dźwięk otwieranych i zasuwanych szuflad. Matka na pół śpiewała, na pół mruzczała jakąś piosenkę, a Clare zamarła, nasłuchując całym ciałem. Kiedy tak słuchała, niemal drząc z wysiłku, poczuła, jak w jej piersi budzą się leciutkie początki gniewu. Ześlizgnęła się z łóżka, lecz zaskoczył ją widok własnych gołych stóp na podłodze - były takie odległe i dziwne, po prostu kształty, z żółtymi nitkami dywanu widocznymi w wąskiej

przestrzeni pomiędzy pierwszym i drugim palcem.

Ruszyła chwiejnie korytarzem w stronę sypialni matki. Drzwi były otwarte i Clare zatrzymała się tuż przed nimi, ale nie zajrzała do wnętrza pokoju, tylko wstrzymała oddech i słuchała, jak matka śpiewa. *Wild Is the Wind*, piosenkę z kompaktu Niny Simone, płyty, której lubiły słuchać razem w samochodzie. *Wild Is the Wind* była piosenką numer dziesięć. Numer dwa to była *Mississippi Goddam*, i obie ją uwielbiały, puszczały ją głośniej i śpiewały razem na całe gardło, obracając „god” w ustach i wyrzucając z całą siłą „damn”. Mimo że znajdowały się na autostradzie, a obok nich śmigwały inne samochody, były też w swoim własnym świecie i w takich chwilach Clare wydawało się, że wnętrze wozu, ta wspólna przestrzeń naładowana ich głosami, nieomal się skrzy. Teraz słuchała, jak matka śpiewa jedną z ich wspólnych piosenek zupełnie obcym głosem denerwująco oscylującym pomiędzy chropawym a aksamitnym, głosem, który do tego stopnia wydawał się skierowany do kogoś, że Clare nieświadomie weszła do pokoju, żeby zobaczyć, kto to jest.

Oczywiście nie było nikogo poza matką, która właśnie narzuciła przez głowę wąską letnią sukienkę i teraz, wyginając się, ściągała ją, wygładzała dłońmi na biodrach i udach. Nie podniosła wzroku, kiedy weszła Clare.

- Jest grudzień - poinformowała ją Clare. Jej głos był ochryply i skrzekliwy, jak u starej kobiety.

Matka jakby jej nie słyszała, śpiewała dalej tym nowym głosem, po czym usiadła w foteliku do czytania obitym skórą w kolorze burgunda, który nazywała bordo, żeby założyć sandały na wysokich obcasach, z paseczków. Clare dostrzegła, że sandały są dokładnie w tym samym kremowym kolorze co stopy mamy. Na podłodze leżała torba na zakupy i pudełko po butach, lecz Clare patrzyła na nie z takim samym dystansem jak przedtem na swoje stopy. Wpatrywała się nierozumiejącym wzrokiem w te dwa kształty, zmiętą torbę z grubego plastiku, szarozieloną z ciemniejszymi zielonymi literami z boku, i czyste linie czarnego prostopadłościanu pudełka. Patrzyła i patrzyła, starając się skoncentrować i zrozumieć, czym są te dwa kształty. Wiele miesięcy później Clare przeczyta wiersz Williama Carlosa Williamsa o czerwonej tarczy i kurczętach i przypomniał sobie te dwa kształty. Tak wiele zależy od... czego? Dwa zwykłe przedmioty. Torba na zakupy, pudełko po butach.

Kiedy Clare uświadomiła sobie, czym są, przestały być tym, czym były, i stały się dwoma zbędnymi rzeczami. Coś się w niej załamało. Gniew, który rozwijał się powoli jak kiełek pod wpływem śpiewu matki, teraz zalał ją całą, wypełniając płuca, wypełniając wszystkie komórki ciała jak dym. Zaczęła krzyczeć zdławionym, urywanym głosem, który brzmiał okropnie nawet w

jej własnych uszach. Wpadła - kości pokryte skórą, ze zmierzwionymi włosami i trzęsącą się głową - do pokoju i zaczęła kopać pudełko, deptać je, a potem szarpać torbę, starając się rozedrzeć ją na strzępy. Plastik przylgnął jej do dłoni.

- Nienawidzę cię! - krzyczała co chwilę. Potem: - Wykańczasz mnie! - I na koniec ponuro i bez modulacji: - Nic cię to nie obchodzi, nic cię to nie obchodzi, nic cię to nie obchodzi.

Po dłuższym czasie opadła na podłogę przy łóżku matki, ściągnęła na dół kołdrę i wpiła się w nią palcami jak szponami. Była to ciężka kołdra z pierza pokryta pięknym materiałem - we florencki wzór w kolorach ciemnego koralu, różu i jasnej zieleni. Owinęła ją wokół siebie i siedziała tak, niemal zawstydzona, przyglądając się matce.

Mama przestała śpiewać i odwzajemniła jej spojrzenie. Clare zdała sobie sprawę, jak wiele czasu minęło od chwili, gdy mama na nią patrzyła, gdy patrzyła jej prosto w twarz. W oczach matki nie było widać wstrząsu ani strachu i nie był to wzrok kobiety, która potrafiła pójść sobie na zakupy, gdy jej córka leżała w swoim pokoju, niemal wariując z lęku i poczucia straty. Mama patrzyła na nią spojrzeniem pełnym życzliwości.

- Mamusiu - odezwała się cicho Clare. - Mamusiu, nie możesz wyjść w tym na zewnątrz. Jest zima. Jest chłodno.

Matka uśmiechnęła się do niej matczynym uśmiechem.

- Twoje nowe buty - szepnęła Clare ze zdziwieniem - przecież nie powinni sprzedawać letnich butów zimą. - Nadal owinięta w kołdrę przeczołgała się na kolanach do fotelika w kolorze bordo, zaczęła chwilę, po czym położyła głowę na kolanach matki. - Proszę, zostań tu, zostań, zostań. Nie wychodź. Cały czas za tobą tęsknię - błagała.

Mama podniosła jej głowę ze swych kolan, dwoma rękami, delikatnie, zupełnie jakby głowa Clare była ze szkła, po czym wstała, obeszła córkę i obeszła fałdy kołdry tworzące na podłodze rodzaj krajobrazu. Clare podniosła na nią wzrok i czekała.

- Och, Clarey - odezwała się matka, łagodnym, cierpliwym głosem. - Kurort. Pamiętasz? Clare potrząsnęła przecząco głową.

- Ubrania na wyjazdy do kurortów. W sklepach. Dlatego można kupić letnie rzeczy zimą. Powiedziawszy to, wyszła z pokoju, stukając głośno obcasami na dębowych deskach podłogi w korytarzu, a potem na schodach.

Clare siedziała dalej na podłodze, kompletnie oszołomiona. Przez jakiś czas czuła pustkę w głowie, ale po chwili zaczęła sobie przypominać pewne piżamowe party, na którym była wiosną, tuż przed końcem szkoły. Były tam również dwie bardzo popularne dziewczynki, dwunastolatki, z wyskubanymi brwiami i długimi, kołyszącymi się włosami. Postanowiły, że

dokonają „zmiany wizerunku” najbrzydszej dziewczynki na tej imprezie, dziewczynki, z którą Clare chodziła do szkoły od czasu, gdy miała cztery lata, i której straszliwa nieśmiałość powstrzymywała nawet najsurowszych nauczycieli przed wywoływaniem jej do odpowiedzi, aż do rozpoczęcia pierwszej klasy.

Miała na imię Candy, co było tak nieodpowiednim dla niej imieniem, że wydawało się okrucieństwem je wypowiadać, i też prawie nikt tego nie robił. Starsze dziewczyny zrobiły jej okropny, krzykliwy makijaż, zamieniając jej twarz w pomarańczowo-różowo-niebieską maskę, oraz poskręcały i natapirowały blond włosy w splątaną strzechę. „Wyglądasz wspaniale, Candy! Zupełnie jak gwiazda filmowa, przysięgam na Boga” - wmawiały jej czułymi głosami, jednocześnie rozglądając się dookoła i kiwając na inne dziewczynki, żeby się do nich przyłączyły. Niektóre to zrobiły i stłoczyły się gruchającym, zachwycającym się tłumkiem wokół zaróżowionej i oniemiałej Candy, która mrugała uszczęśliwiona lepkimi od tuszu rzęsami.

Clare, siedząc wyczerpana na podłodze w pokoju matki, przypominała sobie własny wstyd, kiedy bez słowa przyglądała się transformacji Candy. Kiedy w końcu się odezwała, spowodowała katastrofę, o czym zresztą z góry wiedziała. „Zamknijcie się, dziewczyny. Doskonale wiecie, że wygląda okropnie. Zostawcie ją w spokoju”.

Wszystkie koleżanki wybałuszyły na nią oczy, a potem jedna z dwunastolatek powiedziała: „Świnia! Pewnie ci się wydaje, że jesteś najmądrzejsza. Zobacz, płacze przez ciebie”. I to było najgorsze, ten beznadziejny smutek ogarniający twarz Candy, kiedy uświadomiła sobie, że przez cały czas się z niej wyśmiewano. Clare, wychodząc z pokoju, żeby zadzwonić po mamę, zauważyła jeszcze, jak jedna z dwunastolatek obejmuje Candy i ją pociesza, a ta na to pozwala.

Clare powinna być mądrzejsza - i była mądrzejsza - ale szalę przechylił sposób, w jaki dziewczęta mówiły do Candy, faktura ich głosów. Taka podłość podawana tak słodkim tonem, i to w stosunku do osoby tak rozpaczliwie potrzebującej miłości.

Najgorsze, co może być, myślała teraz Clare. Gorsze od bicia, najgorsze, co ktoś może zrobić. I nagle podskoczyła, wzdrygnęła się jak ktoś, kto budzi się ze snu, w którym spada. Głos jej matki znów mówił „Och, Clarey”, drwiąc z niej i podstępnie próbując wzbudzić w niej zaufanie i nadzieję. Być może małeńka część Clare wiedziała, że to nieprawda, ale jej reszta cierpiała i pulsowała na myśl o matce gnębicielce, matce, która jej nienawidzi.

Kiedy Clare znalazła się już z powrotem w swoim łóżku, usłyszała dźwięk otwierania i zamykania frontowych drzwi, toteż podeszła do okna i zobaczyła, jak matka odchodzi przez trawnik żwawym, niemal tanecznym krokiem. Szła bez płaszcza, wymachując długimi, gołymi rękami, jakby to było lato, z koszykiem piknikowym w jednej i termosem w drugiej dłoni, i

weszła do lasku oddzielającego ich dom od domu sąsiadów.

Wróciła późną nocą, tak że Clare spała już ciężkim, otepiałym snem, a trzaśnięcie ogromnych frontowych drzwi zabrzmiało w jej głowie jak niemal niesłyszalny stuk.

Ponieważ Clare była jedenastolatką, jedenastolatką samotną i z problemami, z których nie widziała wyjścia, czwartego dnia - a była to niedziela - obudziła się, pooddychała przez minutę lub dwie, wstała z łóżka i powróciła do swego codziennego życia.

- Najpierw prysznic, potem śniadanie - powiedziała do siebie stanowczym tonem, jakby mogła się sprzeciwić.

Jak tylko weszła pod prysznic, zrozumiała, że powinna to zrobić na odwrót. Głowa bolała ją już od kilku dni, ale pod spływającą z prysznica wodą ból otworzył się jak róża - jasnoczerwony, wielowarstwowy i skomplikowany. Uderzał od wewnątrz w twarz, w uszy, w kark. Clare wyłączyła wodę i usiadła na krawędzi wanny. Ciężko łąpała powietrze, a w uszach jej dzwoniło. Jeść. Musi coś zjeść.

Owinięta w szlafrok zeszła do kuchni i chwyciła pierwszą jadalną rzecz, jaką zobaczyła - banana - błyskawicznie go pochłonęła i po chwili zwróciła do zlewu. Spróbujmy mleka czekoladowego. Lepiej. Popijając je małymi łykami, upiekła sobie dwie grzanki, posmarowała dokładnie masłem i przekroiła ukośnie, tak jak lubiła, po czym usiadła i jadła z zamkniętymi oczami. Była to jedna z tych chwil, kiedy jedzenie *jest* jak modlitwa. Zebrała siły. Pokładała wiarę w chrupkości chleba, w słoności masła na języku, przyjęła ich złocisty kolor do swego ciała i kiedy skończyła, poczuła, że jej dusza odżyła - przynajmniej na tyle, żeby dała radę wejść po schodach, wziąć prawdziwy prysznic i się ubrać. Myjąc zęby, przyglądała się badawczo swojemu odbiciu w lustrze.

- Ta sama stara Clare. Ta sama twarz co zawsze - powiedziała uspokajająco do twarzy w lustrze, i była to niemal prawda. Wprawdzie skóra naciągnęła się nieco mocniej na policzkach, a pod oczami widniały fioletowawe plamy, ale zasadniczo wyglądała jak zwykle. - Ta sama stara Clare - powtórzyła i niemal roześmiała się z poczucia ulgi.

Spakowała do plecaka zeszyt, dwa ołówki i, dla towarzystwa, *Anię z Avonlea* (książkę o Ani z Zielonego Wzgórza, w której jest najmniej smutnych fragmentów, poza *Anią ze Złotego Brzegu*, którą Clare gardziła za jej głupotę i nadużywanie wielokropków i w głębi serca była przekonana, że wcale nie napisała jej L. M. Montgomery). Potem zeszła na dół do biblioteki, gdzie z niewiadomych przyczyn od pewnego czasu sypiała jej matka.

Teraz też tam była. Leżała na kanapie przykryta brązowym kaszmirowym kocem z frędzlami, który miały od wieków, obrócona twarzą w stronę wysokiego oparcia. Clare cieszyła

się, że nie widzi jej twarzy, ale stała przez chwilę, przyglądając się włosom matki spływającym z kanapy, włosom w kolorze miodu, błyszczącym jak wodospad nawet w tym półmroku. Taka właśnie była matka - wychwytywała całe światło w każdym pomieszczeniu i sprawiała, że stawało się jej częścią. Smutek pojawił się nagle. Otoczył Clare ze wszystkich stron i całkowicie wypełnił pokój, tak że musiała wstrzymać oddech jak człowiek znajdujący się pod wodą i zająć się tym, po co przyszła. Torebka matki leżała na regale. Clare wyjęła portfel, a z niego kartę do bankomatu, po czym, nawet nie spojrzawszy na śpiącą, wybiegła z pokoju. Kiedy już nałykała się dość powietrza, żeby móc mówić, wezwała taksówkę.

Poleciała kierowcy, żeby zabrał ją z podjazdu sąsiadów. Cohenowie byli parą zbliżającą się do siedemdziesiątki i mieli zwyczaj spędzać zimę na karaibskiej wyspie, której nazwę starannie utrzymywali w tajemnicy, ale pan Cohen zdradził ją pewnego razu Clare, bo bardzo ją lubił. „Trzymaj ją w sekrecie, siostró - ostrzegł Clare, puszczając do niej oko. - Jeśli zaczniesz się tam zjeżdżać całe miasto, będziemy musieli znaleźć sobie nowe miejsce”. To skłoniło dziewczynkę do zastanowienia, co też takiego Cohenowie tam robią, że nie chcą, żeby sąsiedzi się dowiedzieli. Jednak oprócz zapisania nazwy w notesie rzeczywiście nikomu jej nie zdradziła. Teraz Cohenów też nie było w domu, ale jacyś ludzie wymieniali łupkowe gonty na dachu. Jeden z mężczyzn pomachał do Clare. Był młody, miał mocno opaloną twarz i żółte włosy jak surfer, a Clare pomyślała, że komuś o tak letnim wyglądzie musi być szczególnie zimno na dachu. Też mu pomachała.

Kierowcą taksówki okazał się niewielki człowieczek siedzący we wnętrzu ogromnej puchowej kurtki z kapturem. Wyglądał zbyt młodo jak na kierowcę, ale w okienku oddzielającym przednie i tylne siedzenia wisiała jego licencja taksówkarska, więc Clare poprosiła go, żeby ją zawiózł do banku w centrum. Podczas jazdy nie rozmawiali, lecz słuchali kobiecego głosu śpiewającego arię operową. Clare po jej wznoszącym się, a potem gwałtownie opadającym głosie poznała, że niezależnie od tego, co jej się przytrafiło, zaczynała śpiewać zła, a skończyła smutna.

Matka Clare zazwyczaj płaciła za zakupy kartą kredytową, ale kiedy szła gdzieś razem z córką, pozwalała jej wybrać pieniądze kartą z bankomatu, gdyż Clare była jeszcze na tyle mała, że proces ich pobierania wydawał jej się czarodziejski. Pinem była data urodzin dziewczynki. Teraz Clare wprowadziła cyfry i zamarła, wpatrując się w cztery ikсы na ekranie: 1202. Drugi grudnia, a dziś był trzeci.

Clare poczuła chęć uzalenia się nad sobą, ale po chwili zmusiła się do wzruszenia ramionami.

- Olewam to - powiedziała w kierunku czterech ikсы, używając zwrotu, który większość

dzieciaków stale powtarza, lecz właśnie z tego powodu ona postanowiła go ignorować. Teraz poczuła jego moc. Zaprzeczenie - krótkie, ostre i twarde jak srebrna szpilka, którą można wypuścić powietrze niemal ze wszystkiego, coś nowego w jej arsenale. Nacisnęła kolejny przycisk i cztery ikсы zniknęły. Przez większość życia Clare nie miała wielu okazji do litowania się nad sobą, ale stojąc przy bankomacie, uświadomiła sobie, że to uczucie kryje się całkiem niedaleko, takie ogromne, zupełnie jakby to był las, a ona stanęła na jego skraju. Jeśli się w nie zagłębi, może już nigdy nie będzie umiała z niego wyjść.

Kiedy na małym ekranie bankomatu pojawiło się imię i nazwisko matki, Clare poczuła się jak złodziejka i uzurpatorka, ale mimo wszystko wypłaciła pieniądze, bo były jej niezbędne. Niewiele wiedziała o samotności w świecie, lecz zdawała sobie sprawę, że samotni ludzie potrzebują pieniędzy. Sto dolarów. Mnóstwo pieniędzy, znacznie więcej, niż kiedykolwiek dotąd trzymała w ręku. Szybko włożyła je do portmonetki, wrzuciła ją na dno plecaka i ruszyła ulicą, oddalając się od banku.

Śródmieście było właściwie jedną długą ulicą, wzdłuż której ciągnęły się sklepy i restauracje. Nawet sklep z artykułami metalowymi był ładny, dzięki drewnianemu szyldowi w kształcie piły i złotym literom w oknie wystawowym. Clare nie odwiedzała zbyt wielu miast, ale zdawała sobie sprawę, że to śródmieście nie jest typowe. Na przykład chodniki były wyłożone cegłą i rozstawiono na nich ogromne kamienne kwietniki, w których zmieniano rośliny zależnie od pory roku. Teraz były pełne zieleni, pośród której umieszczono małe choinki przystrojone lampkami.

Był tu również sklep z zabawkami pełen ręcznie robionych zabawek z drewna, niezwykłych staromodnych kolejek elektrycznych i lalek w marszczonych sukienkach z twarzami prawdziwych dzieci. Był też sklep odzieżowy, o którym mama mówiła „Anglosaska elegantka instant”, gdzie sprzedawano drogie ubrania o prostych liniach w kolorze cukierkowego różu, żółci mleczu i zieleni rzekotki, a także zestawy sukienek dla matek i córek Lilly Pulitzer, na których widok Clare i jej mama wznosiły oczy do góry i stwierdzały „Nigdy w życiu!” Przy ulicy była piekarnia i cukiernia z pięknie pachnącym pieczywem i najlepszymi na świecie tortami urodzinowymi (raz mama zamówiła dla Clare tort w kształcie zamku) oraz prawdziwa włoska lodziarnia oferująca takie smaki, jak persymona, cynamon, espresso i róża. W pizzerii Pizza by Edie można było dostać pizzę z pepperoni, ale również z karmelizowaną cebulą, surową szynką wędzoną, wiórkami sera manchego i sosem z żółtych pomidorów.

Clare wiedziała, że nawet zwykłe śródmieścia są już rzadkością, a te, które pozostały, sprawiają wrażenie porzuconych, rozpadających się dekoracji filmowych, tymczasem tu

wyglądało, jakby ktoś wziął takie śródmieście, machnął czarodziejską różdżką i wszystko stało się trochę lub dużo lepiej zrobione, świeższe, ładniejsze i bardziej kosztowne niż normalnie. Gdyby Clare była o kilka lat starsza, mogłaby mieć z tego powodu poczucie winy. Jednak niedawno skończyła jedenaste lat i była po prostu szczęśliwa, że mieszka w takim ładnym miejscu.

Restauracja, do której weszła, nosząca nazwę Lorelei's Down Horne, serwowała oczywiście potrawy podane pięknie i interesująco. Clare wielokrotnie jadła tu z mamą. Jej ulubionym daniem był klops z indyka nadziewany ostrym provolone i bazylią podawany z ziemniakami ugniecionymi z czosnkiem i śmietaną. Dziś była niedziela i można było przez cały dzień zamawiać potrawy śniadaniowe. Jedna ze znajomych kelnerek skinęła na Clare i wskazała jej stolik nakryty na dwie osoby. Stał na nim dzbanuszek z kawą, cukierniczka pełna jasnobrązowych kawałków cukru i wazonik z gerberami.

Kiedy kelnerka podeszła z dwoma jadłospisami, Clare odezwała się czystym głosem:

- Jestem sama. - Kelnerka zawahała się przez chwilę, marszcząc czoło, więc Clare czym prędzej zaczęła wymyślać wytłumaczenie. Chciała powiedzieć: „Mama robi zakupy, a ja zgłodniałam”, ale kobieta uśmiechnęła się i stwierdziła:

- W porządku, kotku. Kawę? Gorącą czekoladę? Clare odwzajemniła uśmiech.

- Gorącą czekoladę poproszę.

Kiedy ją dostała i zamówiła fritatę farmerską z wędzoną szynką i mozzarellą z bawolego mleka, a potem zapytała, czy bawoły rzeczywiście żyją na farmach, i kelnerka się roześmiała, Clare wyjęła notes i zaczęła opracowywać listę. Na górze strony napisała pogrubionymi literami **SPRAWY DO ZAŁATWIENIA**, a pod spodem ich spis:

1. Zadzwoić do mamy Josie. Poprosić o odwożenie do szkoły i przywożenie do domu. Powiedzieć, że M zaczęła pracować od rana. Powiedzieć, że M nie dzwoni sama, bo akurat jest w trakcie gotowania obiadu. Pamiętać, żeby zadzwonić w porze obiadowej.

2. Zanieść do szkoły list zezwalający na wracanie do domu z mamą Josie. Napisać na komputerze, tak żeby do sfalszowania został tylko podpis.

3. Zadzwoić do sklepu spożywczego Jordana, żeby dostarczyli zakupy. Kupić makaron, sos, warzywa w puszkach, masło orzechowe, dżem, masło, płatki owsiane Quaker, rzeczy, które się nie zepsują. Wziąć mleko Parmalat w pudełkach. Kupić chleb i zamrozić. Może też ciasteczka. Multiwitaminę, żeby się nie rozchorować. Poprosić, żeby dostarczyli wcześniej rano, zanim pojedę do szkoły. I zanim M się obudzi.

4. Zadzwoić do Max i znów odwołać, żeby nie zobaczyła M śpiącej na kanapie.

Powiedzieć, że wyjeżdżamy z miasta. Jeśli zapyta dokąd, powiedzieć, że do Nowego Jorku. Nie mówić, że na przedstawienie, bo potem Max może o nie zapytać.

Pomiędzy kęsami fritaty i łykami czekolady Clare podzieliła swoje życie na dwudziestoczwierogodzinne kawałki i ułożyła plan, dzięki któremu miała nadzieję przeżyć jakoś dzień po dniu.

I okazało się, że plan działał. W każdym razie mniej więcej, bo zdarzyło się kilka poślizgnięć. Pewnego razu Sissy Sheehan, prowadząca firmę mamy, zaniepokoiła się, bo nie mogła z nią nawiązać kontaktu, a mama nie oddzwoniła do klienta, z którym współpracowały od wielu lat.

- To do niej niepodobne, Clare. Czy dzieje się z nią coś, o czym powinnam wiedzieć? To znaczy, powiedziała byś mi, gdyby była chora, prawda?

Tak, wiem, że to niepodobne do tej matki, którą znasz, ale zupełnie w stylu osoby, jaką jest teraz; nie, nie powinnaś o tym wiedzieć; albo tak, może powinnaś; tak, powiedziała byś ci, gdyby była chora w pewien sposób; nie, nie powiedziała byś ci, gdyby chorowała w inny sposób; tak, tak, tak, jest chora w sposób, którego sobie nawet nie wyobrażasz. Clare zgromadziła w myślach te wszystkie prawdziwe odpowiedzi i odłożyła je na bok. Nie miała powodu, żeby gniewać się na Sissy, a jednak była na nią zła. Najchętniej krzyknęłaby: „Mam jedenaście lat, jestem jeszcze dzieckiem. To nie moja sprawa. Poszukaj odpowiedzi gdzie indziej”.

- Sissy - zaczęła ostrożnie - z mamą wszystko w porządku, ale wydaje mi się, że ona jest w okresie pewnych zmian.

- Zmian? To znaczy, że myśli o sprzedaniu firmy? - w głosie Sissy dało się słyszeć podniecenie. Clare wiedziała, że Sissy już od pewnego czasu chciała odkupić od mamy jej udziały w firmie.

- Być może. Nie jestem pewna. Dokonuje teraz pewnych... introspekcji.

- O Boże, czyż wszyscy tego nie robimy? Czy raczej powinniśmy robić. Seth i ja właśnie o tym rozmawialiśmy któregoś dnia. Żyjemy tak z dnia na dzień, wykonując codzienne czynności, i utykamy w tym wszystkim, gubimy się. Tracimy z oczu siebie, swoje potrzeby, swoje... jak to się mówi...

- Priorytety?

- Dokładnie! Jezu, Clare, czasem mam wrażenie, że wcale nie jesteś dzieckiem. Potrafisz odgadywać cudze myśli! Ty po prostu wiesz. Wiesz?

- Wiem - odparła Clare. A więc tak należy rozmawiać z dorosłymi, pomyślała. Wystarczy rzucić kilka słów ze słownika wyrazów obcych i pozwolić im zrobić resztę.

- No więc dobrze, powiedz jej, żeby się nie spieszyła. Seth i ja radzimy sobie, nie ma problemu. Życz jej ode mnie wszystkiego najlepszego. Z Bogiem i tak dalej. Dobrze?

- Dobrze. Mama skontaktuje się z tobą, jestem pewna - obiecała Clare, choć to akurat była ostatnia rzecz, której była pewna.

Z własnymi przyjaciółkami Clare nie poszło tak łatwo. Pewnego popołudnia odwiedziła ją niespodziewanie Josie z Marie, inną dziewczynką z ich klasy. Przyjechały rowerami z domu Marie, który wprawdzie był następny przy drodze, ale była to kręta trasa i całkiem spory kawałek do przejechania dla jedenastoletnich dziewczynek. Kiedy stanęły przed Clare, ciężko dysząc, z czerwonymi twarzami, od razu zrozumiała, że pojawiły się w konkretnym celu, toteż wyszła na zewnątrz, zamknęła za sobą drzwi i czekała. Nie poprosiła ich, żeby weszły, bo choć mamy nie było, i to od wczesnego ranka, mogła w każdej chwili przyjechać. Clare nie chciała dopuścić, żeby koleżanki były obecne, kiedy mama wróci.

- Słuchaj, czy ty już nie chcesz się z nami przyjaźnić? - To pytanie zadała Marie, bo miała zwyczaj robić takie rzeczy, chociaż wcale nie była zbyt bliską przyjaciółką Clare ani Josie. Clare uważała ją za dziewczynę zajmującą mnóstwo przestrzeni. Miała donośny, gardłowy głos i nosiła T-shirty, które już wybrzuszały się wyraźnie na piersiach. Zazwyczaj zadawała pytania w taki sposób, że nie bardzo było wiadomo, jak odpowiedzieć.

- Nie. - Clare zdecydowała się na „nie”, ale na wszelki wypadek dodała: - Nadal chcę.

- No bo już nie zapraszasz Josie do domu - ciągnęła Marie. - A u niej jesteś stale, no nie? Mieszkaś tam, czy co?

Było w tym sporo prawdy. Clare nie tylko jeździła z Josie do szkoły i wracała, ale też czasem odrabiała u niej lekcje po zajęciach. Sądziła, że nikomu to nie przeszkadza. Prawdę mówiąc, mama Josie, pani Arthur, była dla niej miłsza niż kiedykolwiek i rzucała jej współczujące spojrzenia oraz odzywała się do niej cichym, zatroskanym głosem, który w mniemaniu Clare dorośli rezerwują dla sierot i dzieci chorych na raka. Clare wiedziała, że pani Arthur nie podejrzewa, że jej mama popada w obłąd, czy co to tam jest. Po prostu uważała ją za zaniedbywane dziecko samotnej matki.

Pewnego razu, kiedy Clare siedziała z Josie przy kuchennym stole, pomagając jej odrabiać zadanie, do pani Arthur wpadła pani Castleberry, która miała starsze dzieci w szkole dziewczynek, i ponieważ obie należały do tych dorosłych, którzy wiedzą znacznie mniej o dzieciach, niż im się wydaje, Clare udało się usłyszeć większość ich rozmowy na jej temat.

- Niemal codziennie - odezwała się pani Arthur.

- Jej matka jest zajęta czym innym? - spytała pani Castleberry, ale takim tonem, jakby

znała odpowiedź. Chociaż siedziały w innym pomieszczeniu, Clare wprost czuła, jak jej zbyt cienkie brwi unoszą się do góry, kiedy to mówi.

- Pracuje - westchnęła pani Arthur. Jak większość matek koleżanek Clare pani Arthur nie pracowała zawodowo.

- Wcale nie musi. Ma pieniędzy więcej niż Bóg. To jedynaczka bogatych rodziców jedynaków. W czepku urodzona - stwierdziła pani Castleberry. Zazdrości, pomyślała Clare.

- Nie mam pojęcia, czemu nie wychodzi za męża. Mnóstwo mężczyzn by ją chciało - zauważyła pani Arthur.

Clare spojrzała na Josie, która wywróciła oczami i wypowiedziała bezgłośnie słowo „jędza”.

- Ooo, mężczyźni to tam są - po czym obie ściszyły głosy.

Twarz Clare płonęła. Dziewczynka miała ochotę wbiec do pokoju, najchłodniejszym głosem dobitnie powiedzieć tym babom, co o nich myśli, a wychodząc, trzasnąć drzwiami, tak żeby zakolysały się te głupie rodzinne fotografie zrobione w jakimś głupim studiu fotograficznym, porozwieszane przez panią Arthur na wszystkich ścianach. Tyle że jeśli nie mogłaby siedzieć w domu Josie, musiałyby we własnym, a tego nie mogła znieść, nie codziennie. Poza tym mama Josie była jej jedynym sposobem powrotu ze szkoły.

Josie pochyliła się i szepnęła: „Przepraszam” - a ponieważ Clare uważała ją za miłą, a na dodatek wiedziała lepiej niż większość dzieci w jej wieku, że córki nie są odpowiedzialne za zachowanie matek, wzruszyła ramionami, uśmiechnęła się i odparła: „W porządku”.

Teraz, kiedy Josie stała obok Marie przed jej domem, Clare domyślała się, że przyjaciółka czuje się bezradna i wołałaby, żeby do tego wszystkiego nie doszło. Zapewne rzuciła Marie parę słów, a potem została wciągnięta w falę oburzenia i plan działania, które w istocie nie były jej. Clare postanowiła jej wybaczyć, bo wiedziała, że Josie jest słaba, a nie zła, i dlatego, że jej potrzebowała.

- Po prostu moja mama była ostatnio bardzo zajęta - odpowiedziała, patrząc Marie prosto w oczy.

- Bo co robiła? - spytała Marie, dla której nie istniało pojęcie „to nie moja sprawa”.

- Pracowała.

- Nikt nie musi tyle pracować - stwierdziła Marie. - Założę się, że się spotyka z jakimś facetem i nie chce, żebyś o tym wiedziała.

Clare pomyślała, jakie to dziwne, że wszyscy myślą o jej matce to samo. Może dlatego, że mama jest znacznie piękniejsza niż większość matek. Przez taką urodę ludziom się wydaje, że

wiedzą wszystko o twoim życiu. Nic nie wiecie, pomyślała, mając ochotę gorzko się roześmiać. To, co ludziom się wydawało, było niczym w porównaniu z tym, co naprawdę się działo.

- Kiedy się z kimś spotyka, mówi mi o tym. Jeśli mam ochotę, zapoznaje nas ze sobą - wyjaśniła, i to była prawda, chociaż mama niezbyt często kogoś miała i nie trwało to długo. Clare natychmiast przyszły na myśl słowa matki o seksie wypowiedziane w restauracji, ale odpędziła je od siebie.

- A, olać to - podsumowała Marie, co nie zaskoczyło Clare. Każda rozmowa z Marie prędzej czy później kończyła się tym stwierdzeniem.

Clare zwróciła się do Josie:

- Jesteś na mnie zła? - spytała, na co Josie zerknęła na Marie, wzięła głęboki oddech i potrząsnęła przecząco głową.

- Nie, nie jestem zła - odpowiedziała, a Clare poczuła się z niej dumna.

- Muszę już iść do domu - powiedziała Clare.

- Olać to - powtórzyła Marie, a kiedy wsiadły na rowery i ruszyły z powrotem, Clare weszła do domu.

Doszła do wniosku, że wizyta koleżanek będzie jednak dla niej korzystna, bo dobrze wiedziała, czym się kończy „olewanie” ze strony Marie. Jej „olać to” dotyczące tematu Clare i jej matki będzie jak kamień wrzucony do wody, od którego będą coraz dalej rozchodzić się fale, aż wszyscy koledzy i koleżanki z klasy Clare dowiedzą się, że jej matka ma jakiegoś tajemniczego faceta. Wprawdzie myśl, że będą tak sądzić, nie była zbyt miła, ale z drugiej strony było to wygodne, bo wyjaśniało nieobecność i dziwne zachowania matki. Poza tym wiedziała, że Marie ma raczej ograniczoną wyobraźnię, niezdolną do tworzenia ciekawych scenariuszy. Nie trzeba się obawiać, że rozpowie wszystkim, iż mama spotyka się z seryjnym mordercą, prezydentem czy międzynarodowym szpiegiem. Ta myśl jednocześnie pocieszyła Clare i obudziła w niej lekkie niezadowolenie.

Istotnym niedociągnięciem planu Clare okazało się to, że nie zastanowiła się nad taktyką przebywania z matką w tym samym domu, a tymczasem tej mamy, którą znała, z każdym dniem coraz bardziej ubywało. Clare powinna była opracować listę tonów głosu, tematów rozmów i aspektów zachowania matki, które należy ignorować. Trzeba było się zastanowić, co wtedy robić z rękami i gdzie kierować wzrok oraz jak długo można sobie pozwolić na przyglądanie się twarzy matki w poszukiwaniu tego, co w niej jest lub czego nie ma.

Przez pierwszą dobę to nie miało znaczenia. Ich dom był zawsze o wiele za duży na dwie osoby, pełen pokoi, do których nie wchodził nikt poza Max, która odkurzała nieużywane meble i

dywany i, jak mówiła, „przepędzała duchy”. Max czasem robiła im psikusy, na przykład zawieszala obrazy do góry nogami i czekała, czy ktoś to zauważy. Teraz ten dom okazał się idealny, jeśli zważyć na to, że jedna z jego mieszkańek usiłowała być sama, a druga przetaczała się przez dni i pokoje jak planeta otoczona własną atmosferą szaleństwa. Dom był jakby w zмовie z Clare, której potrzebni byli wszyscy możliwi sojusznicy, żeby uniknąć spotkania z matką.

Jednak w srode rano, gdy Clare kończyła grzanke, mama weszła do kuchni z gazetą i usiadła naprzeciw niej.

- Dzień dobry, Clarey - powiedziała.

Clare odłożyła grzanke. Przyszło jej na myśl, że teraz wszystko w jej życiu wymaga decyzji. Decyzja, żeby odłożyć grzanke. Decyzja, żeby spojrzeć na własną matkę. Spojrzała. Mama, bez makijażu, ubrana w miękki, płowy sweter, z włosami zebranymi na karku w kok jak u baleriny, wyglądała całkowicie normalnie. A właściwie wyglądała niezwykle pięknie. Ale Clare nie dała się zwieść. Uroda może być kłamstwem jak wszystko inne, a ona już nie miała zamiaru robić sobie nadziei.

I miała rację. Matka zaczęła czytać urywki z gazety, co z początku wydawało się zupełnie normalne, więc Clare w odpowiednich miejscach wtrącała „och” i „naprawdę”, ale w końcu zwróciła uwagę, że wszystkie te wiadomości dotyczyły spraw smutnych lub przemocy. Dzieci-żołnierze w Afryce. Samobójcze zamachy bombowe. Snajperzy kładący trupem ludzi tankujących benzynę lub odwożących dzieci do szkoły. Mama zaczynała czytać artykuł, urywała w połowie zdania, zaczynała następny, a wszystko to z pośpiechem, jak osoba skacząca z kamienia na kamień, żeby przebyć potok.

- Tyle nieszczęść i bałaganu. Jak świat może to wszystko wytrzymać? - powiedziała mama żałośnie.

Clare zgarnęła okruchy ze stołu na talerz i wstała. Rozejrzyj się, mamó, chciała krzyknąć, nieszczęście i bałagan są również tutaj. Nic jednak nie powiedziała, tylko podeszła z talerzem do zlewu.

Wtedy matka zaczęła narzekać na prezydenta, w czym właściwie nie było nic dziwnego, bo zawsze uważała go za człowieka głupiego i niebezpiecznego, tyle że tym razem nadała słowom dziwny rytm, jakby była tak wściekła, że zapominała oddychać.

- Dajcie mi jeden dzień w Białym Domu - mówiła. - Wystarczyłby jeden dzień.

Clare wybuchnęła ostrym śmiechem.

- O tak, mamó. Byłabyś wspaniałym przywódcą światowym. Rzeczywiście trafilibyśmy w ręce kompetentnej osoby, gdybyś ty była u władzy!

Clare nigdy dotąd nie odzywała się do matki w taki sposób i niemal natychmiast pożałowała wypowiedzianych słów, tak były kąśliwe i bezwzględne. Jedno spojrzenie na matkę wystarczyło, by się upewnić, że wcale do niej nie dotarły, ale Clare uznała, że nawet jeśli ktoś nie zauważy, że jesteś złośliwy, niczego to nie zmienia, a właściwie sprawia, że twoje zachowanie jest jeszcze wstrętniejsze, jakbyś krzywdził dziecko. Muszę uważać, pomyślała, żeby nie stać się bardzo złym człowiekiem.

Tego samego ranka, siedząc w szkolnej ławce, otworzyła notes i napisała O.L.E.W.A.M T.O. Jeśli nic się dla ciebie nie liczy, nic nie może cię zmienić w okropną i okrutną osobę. Potem przewróciła kartkę i na czystej stronie zaczęła nową listę: panna Havisham, ciocia Sponge i ciocia Spiker, panna Minchin, Uriasz Heep, Voldemort, profesor Snape. Ludzie, którzy dopuścili do tego, by życie przepelniło ich nienawiścią. Postaci, którymi nikt nie chciałby być.

Clare nie zrobiła sobie listy *rzeczy*, które straciła. Gdyby potrafiła się na to zdobyć, i tak nie umieściłaby na niej najbardziej oczywistych i bolesnych strat. Na pewno wykluczyłaby matkę, gdyż to słowo na początku listy byłoby czarną dziurą wsysającą wszystko i nie pozostawiającą ani odrobiny światła, przy którym można by dojrzeć inne rzeczy. Skupiłaby się na zwykłych, możliwych do zniesienia stratach albo nawet zawęziła listę do „rzeczy utraconych, z których istnienia nawet nie zdawałam sobie sprawy”. Blisko początku takiej listy znalazłaby się cisza. A może nawet nie cisza, tylko ten krzepiący spokój, w którym pogrążyła się ona, jej mama, dom i wszystko w domu każdej nocy jej dotychczasowego życia. Od kiedy stała się zbyt duża na kołysanki właśnie ten spokój codziennie ją usypiał.

Tymczasem w nowym życiu noc stała się porą nasłuchiwania, leżenia - bezsennego lub w półśnie - i oczekiwania na łomot garnków, otwieranie i zamykanie drzwi, puszczenie muzyki, trzeszczenie podłóg, kiedy matka chodziła, gdzie nie powinna o tej porze chodzić, i robiła, czego nie powinna robić. W nocy „Olewam to” nie skutkowało. W nocy dla pozbawionej spokoju Clare wszystko miało znaczenie.

Pewnej nocy nieco ponad tydzień od dnia, kiedy Clare siedziała w Lorelei's Down Horne i planowała przyszłość, obudziła się nagle, nie wiedząc, co usłyszała, ale całkowicie przekonana, że w domu jest ktoś obcy. W ponurym nastroju zwlokła się z łóżka, nie zastanawiając się, co powinna zrobić, i wyszła na korytarz, ale po chwili cofnęła się do pokoju, żeby zabrać telefon. Jeśli ta osoba okaże się niebezpieczna, zadzwoni z niego na policję, a niezależnie od tego, chciała trzymać w dłoni jakiś znajomy przedmiot, żeby nie czuć się tak samotnie.

Kiedy schodziła powoli po schodach, niemal odruchowo unikając bardziej skrzypiących miejsc, małe skrawki dźwięków zaczęły łączyć się w całość. Clare nie miała doświadczeń,

które nauczyłyby ją rozpoznać, co słyszy, ale była przekonana, że doskonale wie, co te odgłosy oznaczają. Mogła zatem zawrócić i pójść z powrotem do pokoju, ale chciała być odważna. Lepiej jednak wiedzieć, pomyślała, wiedzieć na pewno i potem zdecydować, co zrobić. Chorzy też pytają: „Czy jest bardzo źle? Ile mam czasu?”

Mimo że spodziewała się zobaczyć to, co zobaczyła, minęło parę sekund, zanim to do niej dotarło. Najpierw pomyślała sobie, że to litera L, L z ludzkich ciał. Albo T, odwrócone. Długie, ciemne włosy matki na jej białych plecach, kołyszące się, gdy unosiła się i opadała. Dźwięk, który nie był ani śmiechem, ani łkaniem. Wyciągnięty pod nią mężczyzna. Światło księżyca wpadające przez okna kładło długie cienie na muskularnym udzie mężczyzny i oświetlało jego twarz. I to właśnie widok tej twarzy wstrząsnął Clare, wstrząsnął do tego stopnia, że zaczęła wibrować jak uderzony dzwon i zrobiło jej się niedobrze. To był ten surfer z dachu Cohenów, ten, który do niej machał. Z niewiadomego powodu przez to, że go rozpoznała, widok, który miała przed oczami, stał się jeszcze gorszy i bardziej rzeczywisty. Do tej chwili wszystko było w porządku, ale po rozpoznaniu go nie mogła już tego znieść.

Oni jej nie zauważyli. Wycofała się ostrożnie z pokoju i ruszyła prosto do tylnych drzwi. Na wieszaku przy drzwiach wisiało futro matki, należące kiedyś do jej babki, i złapała je, wychodząc. Na dworze było zimno; powietrze pachniało tak, jakby miał padać śnieg. Clare upuściła telefon na ziemię, włożyła futro i przyjrzała się ogrodowi - żywopłotowi z bukszpanu, huśtawce zwieszającej się z dębu - i na koniec wpatrzyła się bezmyślnie w wiszący wysoko, płonący biały księżyc. Nie płakała. Po prostu siedziała na ziemi jak wiewiórka czy szop w swoim futrze. Z szeroko otwartymi oczami, oparta plecami o drzewo czekała na świt.

7. Cornelia

Jeśli przysłoby wam kiedyś na myśl rozmawiać o swoim życiu seksualnym w sklepie z serami w południowej Filadelfii, to natychmiast powstrzymajcie tę myśl i ukręćcie jej chudą szyjkę.

Dlaczego?

Jak się pewnie domyślacie, powiem wam dlaczego. Ale najpierw powinnam powiedzieć, że nic nie mam przeciwko takim sklepom. W rzeczywistości wręcz kocham pewien sklep z serami w południowej Filadelfii - właśnie on występuje w tej historii - miłością tak przesadną i słodką, że nieraz pojawiał się on w moich snach. Parę lat temu, kiedy uległam presji społecznej i towarzyskiej i zapisałam się na zajęcia z jogi, instruktorka poleciła nam zacząć od wyobrażenia sobie

siebie w znajomym, ukochanym miejscu. Inni zapewne przenieśli się myślami nad brzeg oceanu, na farmę dziadków czy do dziecięcego domku na drzewie, ja natomiast znalazłam się wśród kręgów parmigiano reggiano, półtwardych klinów bel paese, cudownych białych gomułek mozzarelli i gigantycznych provolone zwisających z sufitu jak worki treningowe.

Nie znaczy to, że łączą mnie szczególnie bliskie więzi z pracownikami sklepu. Prawdę mówiąc, nie potrafię nawet ich wszystkich rozpoznać, bo jest ich bardzo wielu i się zmieniają, przy czym wszyscy są bliżej lub dalej ze sobą spokrewnieni i wszyscy bardzo mili. Rozmawiają o serach - a także oliwkach, garmażerze, pasztetach i tak dalej z bezceremonialnością i pasją kojarzoną częściej z bibliotekarzami pomagającymi wyszukiwać potrzebne książki. (Wszyscy znają słownik *The American Heritage Dictionary of Idioms*, ale czy miała pani kiedyś w rękę *Brewster's Phrase and Fable, Millennium Edition*? Jeśli nie, to niech się pani trzyma, bo to będzie jazda pani życia!) Najbardziej do mnie przemawia panująca w tym miejscu obfitość, język - „artisan”, „pokryte popiołem”, „myte w solance” - oraz nieprawdopodobieństwo tego wszystkiego. Z czyichś rąk we Francji, Wisconsin, Włoszech, Argentynie, Irlandii czy Grecji przywędrowały do tego jedyne, dobrze oświetlone sklepy na Dziewiątej Ulicy i do mnie, kiedy mnie na nie stać. Rozumowo wiem, że dotyczy to wielu sklepów, że jest wynikiem rozmów telefonicznych i złożenia zamówień, ale w wypadku tego szczególnego sklepu moje serce dostrzega tylko zrządzenie losu. Tu wierzę w szczęśliwy traf.

Tyle że tym razem, w dzień po *Randce siódmej*, mam pecha i wchodzę do tego sklepu wraz z Linny, która w swój denerwujący sposób postanawia kontynuować wątek, który zaczęłyśmy dwie ulice temu, a który ona urwała, żeby wbiec do sklepu odzieżowego i kupić wełnianą czapkę w kolorze odblaskowej zieleni prosto z głowy wystawowego manekina. Manekin wyglądał na zadowolonego, że się jej pozbył.

Mniejsza o to. Z powodów, które za chwilę staną się dla was jasne, wolę opowiedzieć tę historię w trzeciej osobie, co umożliwi mi utrzymanie jak największego dystansu między nią a mną. No, to do dzieła. Sklep z serami w spokojne popołudnie. Za ladą dwaj panowie w średnim wieku. Wchodzą Linny i Cornelia. I nagle:

- Przykro mi, że seks z Martinem nie był udany - szczebiocze Linny.

Mężczyźni za ladą uśmiechają się do Cornelii ze współczuciem. Cornelia syczy:

- Seks nie „nie był udany”.

Mężczyzna w Średnim Wieku Numer Jeden poprawia ją:

- Seks był nieudany.

Cornelia protestuje, ale nie piskliwie (jeszcze nie):

- Seks był w porządku!

Z zaplecza wysuwa się starsza kobieta o obfitych kształtach, prawdopodobnie matka obu mężczyzn, i uśmiecha się współczująco do Cornellii.

- W porządku? My tutaj nazywamy to potępieniem za pomocą zbyt nijakiej pochwały - odzywa się Mężczyzna w Średnim Wieku Numer Dwa.

- Naprawdę? - Linny jest pod wrażeniem.

- Właściwie to nie to chciałam powiedzieć - usiłuje wtrącić Cornelia, ale nikt jej nie słucha.

- On tego nie wymyślił! - ryczy tęga kobieta, szturchając Mężczyznę w Średnim Wieku Numer Dwa palcem w klatkę piersiową, zupełnie jakby od lat był niepoprawnym plagiatorem, a ona właśnie stwierdziła, że nie ma zamiaru stać z boku i znosić tego ani sekundy dłużej.

Cornelia, sprytnie łapiąc okazję, żeby odciągnąć rozmowę od tematu jej życia seksualnego, pyta:

- Szekspir?

- Pope - poprawia ją łagodnie Mężczyzna w Średnim Wieku Numer Jeden, a jego ociekający współczuciem głos brzmi niemal płacząco. Biedaczka nie umie czytać, nie umie mówić i nie umie uprawiać seksu, myśli zapewne.

Tęga kobieta macha w stronę Linny i Cornellii dwoma plastrami ementalera. Linny bierze swój, przez chwilę wdycha jego aromat, po czym pakuje go do ust. Osłoda, myśli Cornelia i zaczyna przecząco potrząsać głową, ale brwi kobiety unoszą się do góry, więc nie czeka, aż to uczucie - nie wiadomo, gniew czy ból - ogarnie całą twarz kobiety. Bierze i je.

- I co, lepiej? - dopytuje się kobieta o obfitych kształtach.

- Tak. Nie. To znaczy, i tak nie mogłabym czuć się lepiej. Właściwie chodzi mi o to, że dlaczego miałabym czuć się „lepiej”. Zaraz, mam na myśli, że jest świetnie. Czuję się świetnie! - Teraz głos Cornellii jest już piskliwy, co można było przewidzieć, biorąc pod uwagę okoliczności. Nie piskliwy z natury - chyba przyznacie, że doprowadzono ją do tego stanu przez nieustępliwe atakowanie litością pomieszaną ze zrozumieniem.

- Czyli Martina mamy już z głowy, jak rozumiem - wzdycha Linny.

Oprócz Cornellii wszyscy w sklepie, a może też wszyscy na ulicy przed sklepem albo nawet wszyscy w mieście kiwają porozumiewawczo głowami.

- Nie, nie mamy. Oczywiście, że nie! - Jak do tego doszło, zastanawia się Cornelia. Ma wrażenie, że temat jej życia seksualnego jest szczeniakiem lub fretką, czymś, czego będąc przy zdrowych zmysłach, nigdy nie spuściłaby ze smyczy, a co tymczasem biega jak oszalałe

pomiędzy całkiem obcymi ludźmi. Doprowadzona do kresu wytrzymałości, przegania przyzwoitość na cztery wiatry. Jej głos rozlega się w sklepie donośnie jak syrena mgłowa, tyle że bardziej piskliwie: - To był pierwszy raz! To, że za pierwszym razem nie było fajerwerków, nie oznacza, że nigdy ich nie będzie. Jesteśmy ludźmi, jesteśmy dorośli, uczymy się od siebie nawzajem, porozumiewamy się. Fajerwerki nie wybuchają ot tak, bum-bum, fajerwerki ewoluują!

Wszyscy zamierają w milczeniu, porażeni kompletnym bezsensu tej metafory. W to milczenie kobieta o obfitych kształtach wrzuca jedno słowo:

- Bzdura. - Po chwili powtarza: - Bzdura.

- O ludzie, teraz zacznij opowiadać dzieje swojego życia seksualnego - jęczy Mężczyzna w Średnim Wieku Numer Jeden.

- Nie mam zamiaru mówić o swoim życiu seksualnym, choć byłoby o czym opowiadać.

Fajerwerki! Ja przeżyłam fajerwerki. Ale teraz mówię o nauce.

- Nauce? - dziwi się Linny.

- O feromonach. - Kobieta zwraca się do Cornellii. - Związki chemiczne w jego organizmie nawołują. Związki w twoim odpowiadają. Albo tak się dzieje, albo nie.

Cornelia stoi osłupiała. Kobieta obraca się do Linny.

- Czy ona nigdy nie słyszała o feromonach?

- Słyszałam o feromonach - jęczy Cornelia. Jest niewyobrażalnie żałosna.

- Cornelia nie jest zbyt mocna w naukach ścisłych i przyrodniczych - wyjaśnia Linny. - Jej siostra Ollie jest w tej rodzinie naukowcem. Cenionym genetykiem. Do tego piękna. Wysoka. A żebyście widzieli jej męża!

Kobieta o obfitych kształtach składa dłonie razem i kiwa potakująco głową, jakby to wiele wyjaśniało, i pewnie wyjaśnia, ale to zupełnie inna historia i nie jej sprawa, do cholery. A poza tym, choć Cornelia nie chciałaby się czepiać, to chyba trudno powiedzieć „wysoka” o osobie, która ma metr sześćdziesiąt siedem wzrostu.

- Jeśli chcecie wiedzieć, miałam doskonałe oceny z przedmiotów ścisłych! Przez całe liceum, doskonałe stopnie! - zawodzi nieszczęsna Cornelia.

I dlatego właśnie nie należy rozmawiać o swoim życiu seksualnym w sklepie z serami w południowej Filadelfii. Bo zawsze skończy się to w jeden sposób: że mając trzydzieści jeden lat, będziesz stać na środku sklepu z odrzuconą do tyłu głową i piszczeć na cały głos na temat swoich świadectw szkolnych.

W drodze powrotnej do mojego mieszkania zatrzymałyśmy się z Linny, jak zawsze, przy ogrodzeniu placu zabaw na skrzyżowaniu Jedenastej i Lombard, aby popatrzeć przez płot na

dzieci. Był grudzień i zbliżał się już wieczór, ale panujący chłód najwyraźniej był niestraszny bawiącym się maluchom. Biegały w rozpiętych kurtkach i bez rękawiczek wspinały się na drabinki. Ja miałam skórzane rękawiczki i trzymałam kubek z gorącą kawą, ale moje dłonie wyraźnie pamiętały to uczucie, to piekące zimno metalowych szczebli drabinek, to odrętwienie pełnące ku czubkom palców. Przyglądałam się, jak jeden z chłopców płacze, kiedy mama odczepia go od słupka, do którego przyłgał. On chciał się dalej bawić, nie chciał iść do domu - i to także pamiętałam.

- Pamiętasz to? - spytała Linny. - To uczucie, że za nic nie chcesz przestać, mimo że jesteś skostniała z zimna? Jak myślisz, gdzie się podziało to uczucie?

Ona zawsze to robi, zawsze mówi to, co ja myślę. Chciałam jej opowiedzieć, jak po zjeżdżaniu na sankach Cam, Toby, Ollie i ja, a czasem też nasi przyjaciele Gwiazdka i Teo, siadaliśmy w przedsionku i ociekając wodą, ściągaliśmy buty, i dopiero kiedy stopy i dłonie zaczynał nam przeszywać ten ostry ból wracających do życia kończyn, zdawaliśmy sobie sprawę, że zmarzliśmy. Ale miałam zamiar ukarać Linny za sklep z serami, więc tylko wzruszyłam ramionami.

- Nie potrafisz być długo na mnie wściekła, Cornelio. Wiesz, że nie, więc po co w ogóle próbować?

Nie odpowiedziałam. Dalej obserwowaliśmy dzieciaki. Mniej więcej trzyletni chłopczyk w cytrynowożółtej kurteczce i śmiesznej wielobarwnej błazeńskiej czapce z polaru ciągle jeszcze się huśtał. Mama popychała huśtawkę, a on śpiewał, fałszując, ale z werwą: „Odłożę swój miecz i tarczę tam przy rzece, tam przy rzece, tam przy rzece”. Biorę go, pomyślałam.

- Biorę tamtego - powiedziała Linny, wskazując na tego samego chłopca. - Ale tylko razem z czapką.

Spojrzałam na nią.

- Nie chodzi o to, że nie umiem być długo na ciebie wściekła - powiedziałam. - Ja po prostu nie umiem się na ciebie wściec. Jeśli kiedyś to mi się uda, z pewnością będę umiała długo pozostać w tym stanie. Chcę, żebyś o tym wiedziała.

Poszłyśmy dalej, a nad naszymi głowami poleciało jak serpentyna: „Nie będę dłużej uczył się wojaczkiiii!”

Nie chodzi o to, że seks był zły. Naprawdę nie był. Natomiast rzecz w tym, że ten wieczór był tak wyjątkowy, tak nieskazitelny pod każdym innym względem, że seks powinien być rewelacyjny, powinnam nie posiadać się ze szczęścia. A tak nie było.

Kiedy powiedziałam to Linny, już w moim mieszkaniu, stwierdziła:

- Więc mówisz, że jedyną rzeczą, której zabrakło podczas tej nocy idealnego, niewiarygodnego seksu, był idealny, niewiarygodny seks.

Jeśli chodzi o alegorie mojego życia, nie potrafię się zdecydować, czy Linny jest Potworem czy Prawdą.

- Absolutnie tego nie mówię. Szkoda, że nie widziałaś kolacji, którą przygotował. Kwiaty na stole. Światło, które wpadało przez okno. Gdybyś widziała jego twarz, kiedy na mnie patrzył. I usłyszała, co mi mówił, nie tylko przedtem, ale i potem. Prawdę mówiąc, potem było wspaniale. To było cudowne „potem”, a wiesz, jak często bywa niezręczne. - Mówiłam i mówiłam, w końcu przestałam.

Jeśli w alegorii mojego życia Potwór i Prawda okażą się tą samą postacią, wcale mnie to nie zdziwi.

Jestem miłośniczką sugestii, niejasności, dyskrecji, przeskoku do poranka „po”, przesunięcia obiektywu kamery w górę czy w bok - na niebo, na zegar z kukułką nad łóżkiem, na płynącą rzekę. Nie dla mnie te śliskie ciała splecione na podłodze czy zapasy na kuchennym stole. Dla mnie seksowni są Jimmy Stewart i Donna Reed mówiący do tej samej słuchawki telefonicznej, ich gniew niechętnie przeradzający się w pożądanie, pożądanie widoczne zarówno w odległości dzielącej ich usta, jak i we wzajemnej bliskości. Chodzi mi po prostu o pokazanie seksu bez przedstawiania szczegółów, w każdym razie najdrobniejszych szczegółów. Jeśli jesteście choć trochę do mnie podobni, a jak większość ludzi zakładam, że większość ludzi jest, to zupełnie wam to wystarczy.

Skoro już to wyjaśniliśmy, to ryzykując, że uznacie mnie za osobę nienormalną, a przynajmniej wyjątkowo dziwną, opiszę wam, w jaki sposób myślę o *Randce siódmej*, jak ją przeanalizowałam i skatalogowałam w pamięci. Najlepiej będzie to wypunktować. Oto moje punkty:

- Komplement pierwszy
- Niemal *Okno na podwórze*
- *Oslawiona*
- Nie *Casablanca*
- Komplement drugi
- Jedzenie
- Spanie/Bezsenność

Komplement pierwszy: To nie on skłonił mnie do pójścia do łóżka, jeśli tak wam się wydawało. I to nie dlatego, że nie jestem podatna na piękne słówka. Jestem, szczególnie na

właściwy ich rodzaj, a ten komplement niewątpliwie był bardzo odpowiedni. Powodem było to, że jak tylko Martin zaprosił mnie na kolację do swojego mieszkania trzy dni przed nocą, o której tu mowa, pójście do łóżka wydawało się nieuniknione. Obydwoje wiedzieliśmy, że tak się stanie, i obydwójce wiedzieliśmy, że wiemy, że tak się stanie, ale żadne z nas nic na ten temat nie mówiło ani nawet nie robiło aluzji, co nam obydwójcu odpowiadało.

Jego mieszkanie było urządzone perfekcyjnie, co wcale mnie nie zaskoczyło. „Kawalerska chata”, jak mnie uprzedził, ale jedyną kawalerską cechą tego mieszkania była żelazna konsekwencja jego wystroju. Wszystkie meble, od szezlongu poprzez kanapę po krzesła w jadalni oraz wszelkie inne przedmioty - lampy, talerze, shaker do martini, młynek do pieprzu - miały czyste, zaokrąglone kształty i były genialnie dobrane. Moje mieszkanie było niejednolite, przeładowane, miejscami zaniedbane, ale narastało wokół mnie w naturalny sposób, jak narasta muszla łodzika. Kochałam je i kochałam wszystko, co w nim było - każdy przedmiot w określony sposób. Jednak dziewięć i pół osoby na dziesięć wolałoby niewątpliwie idealny wystrój mieszkania Martina, wystrój, który musiał przez jakiś czas tkwić w głowie wizjonerskiego projektanta, zanim stał się prawdziwym wnętrzem mieszkalnym. I nawet mnie, malutkiej półosobie z uporem trzymającej się własnej koncepcji zabawnego, zabałaganionego domu, podobało się wrażenie, że jestem malutką półgwiazdą filmową w eleganckim mieszkaniu Martina.

Martin przygotował drinki, a ja w tym czasie wyglądałam przez długie okno wychodzące na plac Rittenhouse, rozświetlony teraz dekoracjami świątecznymi i wyglądający z tej odległości jak podwodne miasto. Na stoliku przy oknie jaśniała pojedyncza orchidea z pojedynczym białym kwiatem.

- W zasadzie to kupiłem widok - odezwał się Martin. Wręczył mi zimne, połyskujące martini w zimnym, połyskującym kieliszku. Obserwowałam go, gdy wyglądał przez okno. - Agentka rozpyłyła się nad gzysamsami i bezszmerowymi zmywarkami do naczyń, dając najbardziej niezwykły pokaz elokwencji, jaki kiedykolwiek słyszałem. Pewnie miała to przygotowane, ale sprawiało wrażenie, jakby improwizowała. Jeśli dobrze pamiętam, to całą zwrotkę tego poematu poświęciła pięknie wykonanemu parkietowi. Pamiętała o odpowiedniej gestykulacji i wszystkim, co trzeba. Ale ja w tym czasie tylko chodziłem od okna do okna i wyglądałem na zewnątrz. - Jego głos brzmiał jak muzyka, niska i ciepła. Obój albo może waltornia. - Odwrócił się do mnie. - Teraz ta agentka mnie nie znosi. Przez te lata spotkałem ją parę razy w mieście i bardzo niegrzecznie mnie traktowała. Wiesz, co najbardziej w tobie kocham? - Ot tak, po prostu.

Minęła chyba minuta, zanim spytałam „Co?”, bo słówko kocham fruwało po całym pokoju

jak ptaszek, machając skrzydłami. Spojrzałam na małą, rozświetloną twarz orchidei w poszukiwaniu pomocy, ale ona, jak wszystkie orchidee, była całkowicie skupiona na sobie, pogrążona we własnym pięknie.

- Twoje milczenie. Milczenie, kiedy słuchasz. Nie znam nikogo, kto potrafiłby zachować takie milczenie, gdy inni mówią.

Ten komplement, ten widok, światła, orchidea, drinki w naszych dłoniach, Chet Baker śpiewający cicho *Time After Time*. To była jedna z tych danych przez niebiosa cudownych chwil, kiedy wydaje ci się, że dosłownie wszystko na świecie jest delikatne, śliczne i precyzyjne, szczególnie ty. Odstawiłam kieliszek i na ustach, które obdarzyły mnie tak pięknymi słowami, złożyłam naprawdę wspaniały pocałunek.

Niemal *Okno na podwórze*: Grace Kelly być może przypomina wyniosłą orchideę patrzącą na świat z wysokiego, biało-złotego piedestału, ale potrafi również uwodzić i flirtować jak mało kto. Właśnie to najbardziej podoba mi się w *Oknie na podwórze* - jak bardzo ludzka się staje, gdy przychodzi do Jimmy'ego Stewarta, ten blask w jej oczach, kiedy otwiera tajną przegródkę swojej torebki od Marka Crossa i widać peniuar i ranne pantofle, które ze sobą przyniosła. Czyżby miała wobec pana jakieś plany, mówią te przedmioty z cudowną szczerością.

Podczas tego wspaniałego pocałunku wpadliśmy na stolik z orchideą. Oczywiście orchidea ani drgnęła i pozostała obojętna, ale stojąca na drugim końcu moja torebka poszybowała na podłogę, rozsypując po drodze - nie, nie całą zawartość - tylko dwa przedmioty. Martin i ja pochyliliśmy się, żeby je podnieść, przy okazji ledwo unikając zderzenia głowami. Ja podniosłam szczoteczkę do zębów, on świeżą sztukę bielizny. Zastanawiałam się, czy zacząć się z zażenowaniem tłumaczyć, ale zamiast tego wybrałam znaczące, mówiące i-co-ty-na-to, uwodzicielskie spojrzenie. Martin - i chwała mu za to - odpowiedział tym samym.

Oslawiona: Nasze zaloty przerwał sygnał kuchennego zegara i natychmiast przemknęło mi przez myśl, proszę, proszę, proszę, niech nie powie „Uratowani przez dzwonek”, bo to byłoby zbyt oczywiste, zbyt amatorskie, ale oczywiście on tego nie powiedział i jestem pewna, że nawet nie przeszło mu to przez myśl, czego niestety nie da się powiedzieć o mnie. Odszedł, obracając się raz po drodze, żeby rzucić mi moją bieliznę i błysnąć uśmiechem, a ja wsunęłam współczesną wersję peniuaru i rannych pantofli do torebki, po czym ruszyłam za nim do kuchni.

To była kaczka, z lśniącą ciemną skórką i bosko pachnąca. Martin nakłuwał ją z pewnością siebie, jaką ja rzadko odczuwam przy gotowaniu, choć jestem całkiem dobrą kucharką, i ten widok sprawił, że zapragnęłam podejść i objąć go od tyłu. I tak też zrobiłam. Dzięki niebotycznie wysokim obcasom i praktykowanej przez całe życie umiejętności stania na palcach udało mi się

oprzeć policzek na jego ramieniu. Jego sweter w kolorze szaławii był najbardziej miękkim swetrem, jakiego dotykałam.

- Uwielbiam mężczyzn w swetrach - powiedziałam.

- Ja jestem mężczyzną w swetrze - odparł.

- Opowiedz mi o kacze - poprosiłam, a on obrócił się w moich ramionach i zaczął opowiadać, zaczynając od rynku, na którym ją kupił, oraz przypuszczalnej czystości kaczej diety - i tak rozpoczęła się część wieczoru pod znakiem *Oslawionej*. Znowu Hitchcock, wiem, ale ten człowiek umiał pokazać scenę miłosną. Ingrid i Cary, całując się i śmiejąc przez całą drogę z balkonu do salonu i przez rozmowę telefoniczną, rozmawiają o kolacji - że zostaną w domu, ona przyrządzi kurczaka, będą go jedli palcami. Całując go i śmiejąc się, Ingrid oskarża go, że jej nie kocha. „Kiedy przestanę cię kochać, to ci powiem”, odpowiada Cary, również ją całując. My nie powiedzieliśmy sobie nic takiego - przytaczam tę kwestię, bo ją uwielbiam - i zamiast o kurczaku rozmawialiśmy o kacze, ale przenoszenie się z pokoju do pokoju, uśmiechanie się usta w usta, cienie wślizgujące się we wszystkie właściwe miejsca, pod kości policzkowe, wzdłuż linii szczęki, i sama przyjemność płynąca z tego wszystkiego, szczęście przesycające każde spojrzenie i dotknięcie, to wszystko było bezbłędne, wprost idealne.

Nie *Casablanca*:

- Główny urok kaczkę polega na tym, że może poczekać - powiedział mi Martin w połowie pocałunku, i to jest moment, w którym kamera się odwraca, na przykład przesuwając się po zmysłowych liniach mebli w stylu modernistycznym i art déco, zerkając przez okno na widoczną w dole ulicę i spoczywając na chwilę na kacze stygnącej w brytfannie, zanim wyłączy się zupełnie.

Jeśli się zastanawialiście, czy Martin jest jednym z tych mężczyzn, którzy tak bosko wyglądają w ubraniu, że po jego zdjęciu wydają się jacyś mniejsi i zbyt nadzy, to nie jest.

Miał cudowną pościel.

Udało nam się odnaleźć tę tak trudną do złapania równowagę pomiędzy intensywnością a delikatnością, wymaganiami a szczodrością. Naprawdę nam się udało.

Nie było żadnej niezręcznej chwili, żadnego poprawiania się, okrzyków w rodzaju: „Au, moja ręka się wykręciła pod... tak lepiej”. Nasz rytm był równie naturalny jak rytm oceanu, jak rytm walca i tanga.

A jednak ziemia nie zadrżała w posadach. A powinna. Naprawdę powinna. Trudno by było o bardziej sprzyjający układ gwiazd. Ale nie zadrżała.

Nie wiem dlaczego. Ale tuż po, jeszcze zanim złapaliśmy oddech, spojrzałam na jego

nieskazitelny profil, rzęsy spoczywające na policzkach i na zagłębienie u podstawy szyi, które jest jedną z moich ulubionych części ludzkiej anatomii, podobnie jak większości ludzi, i w obecności całego tego piękna przysły mi do głowy słowa: „Kim naprawdę jesteś? I czym byłeś przedtem? I co robiłeś, i co myślałeś?” Tyle że kiedy Rick zadaje lisie podobne pytanie w paryskiej retrospekcji, wiesz, że oni już wiedzą o sobie nawzajem wszystko, co ma znaczenie. Wiesz, gdyż widziałeś ich razem w Casablance, widziałeś wzrok Ricka, kiedy ona wchodzi do sali w białej sukience, jego mroczne, załamane, tęskne spojrzenie, i widziałeś, jak ona podnosi twarz, żeby go zobaczyć, jej oczy pełne łez, i zrozumiałeś, że niezależnie od nazistów, mężów i odległości, i pożegnania, i historii są złączeni ze sobą w najgłębszy sposób i na wieki.

Dokładnie mówiąc, nie byłam rozczarowana. Ale leżąc na łóżku Martina, czułam w głębi ducha, że ta noc nigdy nie doprowadzi do chwili w przyszłości, kiedy Martin i ja będziemy stali razem, sami i poza czasem, podczas gdy wokół nas będzie szalał świat, i powiemy sobie nawzajem „Zawsze będziemy mieli Filadelfię”. To nie była taka noc.

Komplement drugi: Martin powiedział, że mam ładną twarz.

Powinniście coś o mnie wiedzieć: Rzeczywiście mam ładną twarz. Skłamałabym, gdybym powiedziała, że nie.

Chociaż absolutnie nie jestem blondynką, mam w sobie wiele z Mii Farrow z czasów *Dziecka Rosemary*. I z Jean Seberg. Jean Seberg to nazwisko często rzucane w rozmowach w kawiarni - jak pewnie się domyślacie - głównie dlatego, że pragnienie dyskusowania o Jean-Lucu Godardzie czai się tuż pod powierzchnią rozmów, które tu wszyscy prowadzą, więc korzystają z każdego pretekstu, żeby je zrealizować.

Ludzie mają zwyczaj porównywać widywane codziennie osoby do rozmaitych sław. Chłopak, który dostarcza ciastka, ma linię włosów Humphreya Bogarta i lekko wystające zęby, dziewczyna jeżdżąca na rołkach przed muzeum jest uderzająco podobna do June Allyson z *Mających kobiety* z 1949 roku, księgowy twoich rodziców jest z pewnej odległości tak podobny do Sidneya Poitiera w *Polnych liliach*, że dosłownie zapiera dech. Tego typu rzeczy. Zatem ja słyszę porównania do rozmaitych sławnych kobiet z nieco trójkątnymi twarzami i dużymi oczami, które, będąc sławne, są bez porównania piękniejsze ode mnie.

A, i od dwóch mężczyzn doczekałam się Audrey Hepburn. Wprawdzie w takim porównaniu nie ma ani odrobiny prawdy, ale musiałam im przyznać, że przynajmniej wiedzieli, co warto powiedzieć.

A zatem jestem ładna - całkiem ładna. Kłopot w tym, że jest to rodzaj urody, który mnie nie bardzo odpowiada. Słyszałam już wszystkie te określenia: chłopczyca, pikantna, chudzinka...

co chcecie. Słyszałam też elf, co mnie dotknęło. I skrzat... skrzat? Dobra rada: Naprawdę niewiele jest dorosłych kobiet, które chciałyby być kojarzone z istotami o spiczastych uszach wspinającymi się na grzyby i noszącymi żółdziowe czapeczki. Wszyscy wiemy, co takie określenia znaczą - że niewiele mnie dzieli od „milutka”. A „milutka” to śmierć. Poniżenie, śmierć, degrengolada.

Wracając do tematu, każdy z moich chłopaków mówił mi, że mam ładną twarz. (Spotykałam się z pewnym niewydarzonym facetem, który powiedział mi nawet: „Twoim zdecydowanym atutem, Cornelio, jest twarz”, co można przetłumaczyć - jeśli to w ogóle jest potrzebne - jako: O twoim ciele nie ma co mówić. Ta twarz to była kość rzucona ci przy poczęciu i nie każdy mężczyzna by ją docenił, ale ja tak.)

Ale Martin, Martin, Martin. Kiedy leżałam, snując rozmyślenia w stylu „Nie *Casablanca*”, Martin zrobił coś, co odepchnęło wszystkie te myśli, może nie całkowicie je usunęło, ale zepchnęło do ciemnego zakątka mojego umysłu, gdzie nawet ich własne matki by ich nie rozpoznały. Martin oparł się na łokciu, a następnie poważnie i delikatnie zaczął przesuwając palcami po mojej twarzy. Robił to bardzo długo, a jego wzrok i czubki palców oddawały mi cześć, najśłodszy rodzaj podziwu. Pod jego dotykiem moje kości i skóra zamieniały się w złoto.

W końcu się odezwał:

- Kłopot z twoją twarzą polega na tym, że niszczy mój stosunek do innych twarzy. Zmusza mnie do przemyślenia na nowo poglądów na temat wszystkich twarzy, które mi się dotąd podobały.

Potem się uśmiechnął, a jego oczy wcale nie mówiły „Cóż za uroczy podbródeczek!” W jego wzroku mogłam wyczytać: „Garbo, Gardner, Bacall nie umywają się do ciebie, Cornelio”.

Jedzenie: Rozmawialiśmy, śmialiśmy się, jedliśmy kaczkę. Jeśli chodzi o kaczkę, to było to wspaniałe osiągnięcie. Kaczka była cudowna.

Spanie/Bezsenność: Poszliśmy z powrotem do łóżka. Martin mnie obejmował i spał. Spał tak, jak można się było spodziewać: spokojnie, z godnością, bez chrapania i bez gadania przez sen, a jego profil rzucał elegancki cień na ścianę, łóżko i kobietę w jego ramionach. Ja byłam kobietą w jego ramionach i przez całą noc nawet nie zmrużyłam oka.

8. Clare

Opowiadanie nosiło tytuł „Annika i niedźwiedzie”. Początek opowiadania jest w rzeczywistości jego końcem, a Annika wpatruje się szeroko otwartymi oczami w nową,

aksamitnie czarną ciemność. Jej oczy były niegdyś brązowe, dokładnie w kolorze piwa korzennego, i pełne iskierek, ale teraz są puste i bladoniebieskie, niemal białe. Annika czeka, aż jej ciało się rozgrzeje, tak żeby mogła zasnąć, a czekając, wspomina życie, jakie prowadziła przed nastaniem ciemności, wspomina świat, który kochała, i to, jak się zmienił. Kiedyś jej ojczyzna nazywała się Krainą Wiosny i Jesieni, bo tym właśnie była, miejscem, gdzie pory roku nie zmieniały się w koło, lecz przesuwały jak pozioma huśtawka - jesień stawała się wiosną, która stawała się jesienią, która stawała się wiosną. I co roku następowała chwila, kiedy huśtawka znajdowała się w idealnej równowadze. To była ulubiona pora roku Anniki, bo pączki rozkwiwały na gałęziach obok czerwonych i złotych liści, krokusy wyrastały pomiędzy rzędami kukurydzy, a zwierzęta rodziły się pod jesiennym niebem. W Krainie Wiosny i Jesieni nigdy nie było zbyt zimno lub zbyt gorąco, żeby się bawić na dworze, stawy nigdy nie zamarzały ani nie wysychały, liście nigdy nie opadały z drzew, a ludzie i zwierzęta nigdy się nie starzeli ani nie umierali.

Jednak pewnego dnia w tej krainie pojawiła się czarownica, która z niewiadomego powodu była potwornie wściekła i rzuciła zaklęcie, które zamieniło te ziemie w krainę wiecznej zimy. W Zimolandii zaczęły się dziać okropne rzeczy. Ludzie i zwierzęta zaczęli chorować i cierpieć z powodu szarpiącego kaszlu i palącej gorączki. W rozpaczliwym poszukiwaniu ciepła zaczęli zabijać swoich zwierzęcych przyjaciół, żeby owinąć się w ich futra. Brakowało żywności i wszyscy zaczęli walczyć o tę odrobinę, która jeszcze pozostała. A najdziwniejsze ze wszystkiego, że po kolei wszystkie żywe istoty w tej krainie stawały się białe jak kreda, tak pozbawione koloru jak śnieg, gdy nie świeci na niego słońce.

Pewnego dnia Annika siedziała w oknie, spoglądając smutnym wzrokiem na bezbarwny świat, kiedy ujrzała, jak przez śnieg przedziera się jej ukochany przyjaciel, niedźwiedź John, wraz ze swoją rodziną niedźwiedzi. Niektóre z nich były białe, inne popielate, lecz John nadal zachował orzechowobrazową barwę sierści. Niedźwiedzie maszerowały ze zwieszonymi łbami, a niektóre z nich nawet płakały. Ich łzy zamieniały się w kuleczki lodu, zanim jeszcze wpadły w śnieg. Annika wybiegła z domu, wołając Johna. Niedźwiedź zatrzymał się, spojrzał na nią dobrymi oczami i powiedział, że odchodzą do jaskini znajdującej się w jednym z wysokich wzgórz otaczających Zimolandię. „Będziemy spać - wyjaśnił. - I czekać”. Annika objęła go ramionami, na chwilę zanurzyła twarz w jego pięknym futrze, a potem stała i obserwowała, jak procesja niedźwiedzi cierpliwie podejmuje swoją długą wędrówkę.

Tej nocy Annika obudziła się nagle, przestraszona. Usiadła na łóżku, a wtedy zobaczyła, że jej włosy spływające na ramiona są białe jak śnieg. Podbiegła do lustra. Kiedy wpatrywała się w swoje odbicie, z jej policzków zaczął odpływać różowy kolor. „O nie - szepnęła. - Zaczęło się.

Zmieniam się w kogoś innego. W zimową dziewczynkę". Błyskawicznie włożyła buty i najgrubszą wełnianą pelerynę, po czym wybiegła z domu. W odrobinie księżycowego światła, które przebijało przez gęste chmury, można było dostrzec błyszczący szlak, który utworzyły zamarzniete łyzy niedźwiedzi, więc Annika, brnąc przez śnieg i czując, jak zimno wżera jej się w kości, wyruszyła ich śladem.

Kiedy dotarła do jaskini i odsunęła głaz zasłaniający wejście, przekonała się, że wszystkie niedźwiedzie oprócz Johna śpią. John położył łapę na płaskiej kupce miękkiego piachu obok siebie. „To dla ciebie, droga przyjaciółko” - powiedział sennym głosem. Potem przesunął głaz na miejsce i położył się z powrotem. Annika skuliła się pomiędzy Johnem i innym niedźwiedziem i wsłuchując się w ich powolne oddechy, przygotowywała się do snu. Czowała, jak ciepło niedźwiedzich ciał przenika do wnętrza jej ciała i ogrzewa ją. Na końcu rozgrzało się jej serce i wtedy Annika zasnęła.

Opowiadanie kończy się następująco: „Wyobraźcie sobie najgłębszy sen, w jakim kiedykolwiek byliście pogrążeni. Pomnóżcie jego głębokość przez liczbę gwiazd na niebie i liczbę ryb w morzu. Wówczas zrozumiecie, jakim snem śpi Annika i niedźwiedzie”.

To było najlepsze i najdłuższe z opowiadań napisanych dotychczas przez Clare. Pracowała nad nim przez cały semestr, wypełniając stronicę noszonego ze sobą notesu podczas każdej wolnej chwili w szkole. Pani Packer śledziła jej postępy i czasem nawet prosiła o przeczytanie fragmentów na głos w klasie. Niezwykle podobał jej się opis Krainy Wiosny i Jesieni, a przy części o huśtawce napisała „Cudowne porównanie!” W grudniu, kiedy opowiadanie było niemal ukończone, nauczycielka zasugerowała Clare, że mógłby to być gwiazdkowy prezent dla jej mamy.

- O co chodzi, Clare? - spytała. - Przecież to niezwykła historia. Z pewnością będzie zachwycona, nie sądzisz?

Clare nie pozostało nic innego, jak się uśmiechnąć i skinąć głową, a od następnego dnia zaczęła przepisywać opowiadanie na kremowy, gładki papier. Podczas zajęć plastycznych przygotowywała okładkę. Najpierw na arkuszu jasnoniebieskiego kartonu narysowała łeb brązowego niedźwiedzia, a następnie wycięła z białej bibułki mnóstwo płatków śniegu i przykleiła je na całej okładce, również na niedźwiedzim pysku. Potem wszystko pomalowała klejem rozpuszczonym w wodzie, żeby nadać okładce połysk. Kiedy skończyła, z okładki wyglądał niedźwiedź, wprawdzie zamglony i trudny do dostrzeżenia, ale jednak tam był.

Pani Packer przeczytała zakończenie opowiadania, gdy reszta klasy poszła na lunch. Clare nie była głodna, a przy tym nie mogła się doczekać, jak przypuszczała, pochwał, więc poprosiła o

pozwolenie na pozostanie w sali. Siedziała przy swoim biurku i udawała, że pisze coś w zeszycie. Kiedy nauczycielka skończyła czytać, przysiadła się do Clare, a wtedy dziewczynka ujrzała z przerażeniem, że ma oczy pełne łez. Pani Packer wzięła obie jej ręce w swoje.

- Och, kochanie - powiedziała zdławionym głosem.

Clare odwróciła twarz. Miała wrażenie, że jej ręce są dwoma zimnymi kamieniami w pulchnych, ciepłych dłoniach nauczycielki. Chciała, żeby pani Packer ją puściła, ale ta trzymała dalej.

- Co się stanie, kiedy Annika się obudzi? - spytała nauczycielka.

- O co pani chodzi? - Clare była zaskoczona tym pytaniem.

- Sądziłam, że Annika znajdzie sposób, żeby przełamać złe zaklęcie, ale tak się nie stało. -

Clare potrząsnęła głową i spojrzała na buty pani Packer. Były to czerwone płócienne tenisówki z białym gumowym wykończeniem na palcach. Głupie tenisówki dla małego chłopca, pomyślała mściwie. - Ona po prostu pograża się we śnie - ciągnęła pani Packer, a Clare wyraźnie czuła jej wzrok na swojej twarzy, czuła, jak bardzo nauczycielka czeka na jej odpowiedź. Usiłowała sobie wyobrazić, co pani Packer chciałaby od niej usłyszeć.

- Zgadza się. Zapada w sen i czeka, aż się skończy zima - wyjaśniła. - Uważam, że to dobre zakończenie. - Wysunęła dłonie z rąk nauczycielki. - Sądziłam, że podoba się pani to opowiadanie - dodała. Nie płacz, nie płacz, nie płacz, powtarzała sobie.

- Nie chodzi o to, że nie podoba mi się opowiadanie. To świetne opowiadanie. Naprawdę doskonałe. Chciałabym tylko wiedzieć, co się stanie, gdy Annika się obudzi. Czy zaklęcie przestanie działać? Czy powróci wiosna?

Clare wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. To tylko opowiadanie.

Pani Packer zawahała się, po czym dotknęła podbródka

Clare palcami, żeby odwrócić jej twarz ku sobie. Clare odruchowo odchyliła się przed jej dotykiem.

- Chcę już iść na lunch - oświadczyła i zaczęła wstawać, jednak pani Packer ją powstrzymała, kładąc jej dłoń na ramieniu. Dotyk był stanowczy, nie silny, ale Clare skuliła się pod nim i usiadła. Miała ochotę krzyknąć, żeby nauczycielka przestała ją co chwilę dotykać, lecz nic nie powiedziała.

- W twoim domu nie wszystko jest w porządku. - Pani Packer wypowiedziała te słowa jak stwierdzenie faktu.

- Właśnie że jest - odparła Clare automatycznie. Czuła bicie serca gdzieś w szyi i z boku

głowy i musiała się skoncentrować, żeby utrzymać normalny oddech, wdychać powietrze do końca, aż do piersi. Clare od paru tygodni widziała, że pani Packer jej się przygląda. Patrzy na mnie jak na swoje krzyżówki, które rozwiązuje w wolnym czasie, zapisała w notatniku, zupełnie jakbym była jakimś problemem, który usiłuje rozwiązać. Jednak już pisząc te słowa, czuła, że są niesprawiedliwe. Dobrze wiedziała, że nauczycielka się o nią troszczy. Pani Packer uważała, że coś złego dzieje się w jej domu, i miała rację.

Jednak, choć Clare nie potrafiłaby dokładnie wyjaśnić dlaczego, to coś złego stało się tajemnicą, a zachowanie tej tajemnicy było teraz dla Clare najważniejszym celem życia, najważniejszym zadaniem każdego dnia. A ten sekret nie był czymś twardym i niewielkim, co można schować na dno kieszeni lub w zaciśniętej ręce. Ten sekret był żywą istotą. Towarzyszył jej wszędzie, trzepotał w zasłonach, przykucał w rogu pokoju lub pędził przez środek podłogi, a Clare spędzała dzień na odciąganiu ludzkiej uwagi od jego istnienia. Pochłaniało to całą jej energię, ale jakoś się udawało. Była o tym przekonana.

Ciągle się uśmiechała, śmiała i trajkotała z koleżankami z klasy podczas lunchu i na boisku przed lekcjami. Przygotowywała sobie obfite i zdrowe drugie śniadania, odrabiała starannie wszystkie zadania domowe i skrupulatnie dbała o higienę i wygląd. Codziennie przed wyjściem do szkoły oglądała się na wszelki wypadek w dużym lustrze. Czyste, uprasowane rzeczy, schludny koński ogon, szalik, czapka i rękawiczki w zimne dni. Kąpała się i szorowała zęby częściej i dokładniej niż przedtem. Innymi słowy, Clare stała się dzieckiem idealnym, wyraźnie zadbanym i kochanym.

Dlatego kiedy pani Packer zaczęła zadawać pytania, Clare mogła powiedzieć pewnym głosem:

- Dlaczego pani sądzi, że coś jest nie w porządku? Czuję się dobrze. Wyglądam dobrze. Czyż nie?

Nauczycielka lekko westchnęła.

- Wyglądasz... - Potem jakby zmieniła zdanie i powiedziała: - Tak, wyglądasz dobrze. - Uśmiechnęła się. - Nie chciałam cię zdenerwować, Clare. Idź na lunch.

Ta rozmowa z panią Packer odbyła się trzy dni przed początkiem ferii zimowych i chociaż była dla Clare okropna, to cała sytuacja obróciła się dla niej na dobre. W pewnym sensie rozmowa okazała się pomocna, bo dotychczas Clare strasznie obawiała się końca szkoły. Jak człowiek zwisający nad przepaścią trzymała się kurczowo krawędzi, jaką był dla niej znajomy rytm życia szkolnego. Szkoła oznaczała ustalony wzorzec postępowania, zorganizowane życie, przewidywalną ilość nudy. Przerwa zimowa czaiła się przed nią jak wróg: niemal miesiąc w

domu, godziny, podczas których nie wiadomo co robić, matka - dzień w dzień matka - poczucie, że wszystko może się zdarzyć, że może się zdarzyć najgorsze, a na dodatek do tego wszystkiego Boże Narodzenie, które nie będzie Bożym Narodzeniem, tylko okrutnym żartem z tych świąt. Clare starała się, jak mogła, odpędzać te myśli, ale mogły ją osaczyć w każdej chwili, nigdy nie była przed nimi bezpieczna.

A potem pani Packer wypowiedziała słowa: „W twoim domu nie wszystko jest w porządku” i wówczas szkoła zamieniła się we wroga. W jednej chwili tygodnie w domu zaczęły jej się kojarzyć z ulgą i możliwością utrzymania sekretu. Musiała tylko przetrwać jeszcze trzy dni.

Trzeciego dnia, tuż przed pójściem do domu, dzieci z klasy Clare zaczęły zabierać z gablotek i ścian zrobione przez siebie prezenty gwiazdkowe dla rodziców. Clare również wzięła „Annikę i niedźwiedzie” i przesunęła lekko dłonią po okładce. Opowiadanie to tylko słowa żyjące w czyjejs głowie, pomyślała, ulotne i niewidzialne. Ale ona zapisała te słowa i zrobiła książkę - przedmiot, który zajął swoje miejsce w świetle przedmiotów. Czowała dumę, wążąc książkę w ręce. Nigdy jeszcze nie wykonała projektu tak dokładnie według swojego wyobrażenia. Przerzuciła plecak przez ramię i ruszyła korytarzem, ostrożnie niosąc książkę w rękach. Mijały ją pędem inne dzieci, rozradowane feriami. Ktoś zawołał „Wesołych Świąt” i po chwili wszyscy już to krzyczeli radosnymi, pełnymi głosami. Clare słuchała.

Po chwili zatrzymała się i odsunęła na bok, poza strumień innych dzieci. Oparła się plecami o ścianę, podniosła jedno kolano i oparła na nim plecak, jednocześnie odsuwając zamek. Jednym szybkim, gniewnym ruchem zwinęła książkę w rulon, jakby to była bezwartościowa gazeta, którą zabija się muchę, i wepchnęła do plecaka, niszcząc okładkę.

- No i dobrze - powiedziała na głos. Kiedy podniosła wzrok, zobaczyła, że pani Packer przygląda się jej, więc szybko się odwróciła i pobiegła korytarzem.

Kiedy wyszła na powietrze, ciężko oddychając, rozejrzała się za swoją przyjaciółką Josie. Przechylała głowę z boku na bok, przeszukując oczami tłum, jak odchodząca od zmysłów bohaterka jakiegoś filmu. Ona właśnie odchodziła od zmysłów. Zapomniała uważać na to, jak wygląda w oczach innych. Obchodziło ją tylko to, żeby się stąd wydostać. W końcu zobaczyła ciemnoniebieskie volvo na początku kolejki samochodów odbierających dzieci - samochód matki Josie, jej transport do domu. Zaczęła biec w tym kierunku, ale nie zdążyła nawet się zbliżyć, gdy auto ruszyło. Przerazona, zaczęła wymachiwać rękami i wołać:

- Stójcie, zapomnieliście o mnie! Zapomnieliście o mnie! - Ale samochód odjechał. Clare opuściła ręce i stanęła w miejscu. Tłum powoli rzedniał, gdy kolejne dzieci wsiadały do

samochodów i odjeżdżały do domów.

Dobiegł ją dźwięk klaksonu. Podczas odbierania dzieci trąbienie było zabronione, a mimo to ktoś raz po raz naciskał klakson. Dźwięk dobiegał z parkingu dla nauczycieli, znajdującego się blisko wejścia do szkoły.

- Pani Packer - szepnęła do siebie Clare, ale ponieważ była pewna, że trąbienie nie ustanie, odwróciła się powoli i spojrzała.

To nie była pani Packer. To była jej matka. Nie siedziała w białym land-roverze, tylko stała obok niego, wyprostowana jak królowa, jedną ręką naciskając klakson przez otwarte okno, a drugą machając do córki.

- Och, nie - wykrztusiła Clare. - Och, proszę, proszę, proszę. - Ruszyła biegiem w stronę parkingu. - Och, proszę, proszę, proszę.

Kiedy matka zobaczyła, że Clare nadbiega, przestała trąbić, wsiadła do samochodu i włączyła silnik.

- Proszę, proszę, proszę - powtarzała nadal Clare, wsiadając do land-rovera i zatraskując drzwi. Spuściła głowę i przyłożyła obie ręce do czoła, lekko się kołysząc.

- O co prosisz, Clare? - zapytała matka normalnym głosem, ale Clare nie wiedziała. Nie wiązała tego słowa z niczym konkretnym, bo mogłoby to obudzić w niej nadzieję. Tymczasem nie miała nadziei. „Proszę” w jej ustach było czystym pragnieniem.

Siedziała w takiej pozycji jeszcze przez kilka minut. Czoło opierała na dłoniach, kolana miała podciągnięte w górę, ręce ciasno przyciśnięte do boków, zupełnie jakby dosłownie usiłowała się utrzymać w całości. Kiedy w końcu się rozprostowała i wyjrzała przez okno, nie poznała drogi, którą jechały, i to jechały bardzo szybko - wąskiej drogi z zakrętami i dziurami, i przemykającym po obu stronach rozmytym szeregiem brązowych drzew. Słyszała ciężkie stukoty, kiedy jakieś przedmioty w tylnej części samochodu przesuwwały się i podskakiwały. Instynktownie zapięła pas.

- Zwolnij - powiedziała, też odruchowo, ale wiedziała, że matka i tak jej nie posłucha.

Mama powiedziała coś, czego Clare nie zrozumiała, ciąg pozbawionych znaczenia dźwięków. Dziewczynka nie spuszczała wzroku z drogi. Matka znów powtórzyła te dźwięki, tym razem głośniej, i najwyraźniej się śmiała. Clare dostrzegła kątem oka, że macha czymś niebieskim.

- Co mówisz? - spytała. - To, co mówisz, nie ma sensu. - Wzięła głęboki oddech i obróciła się, żeby spojrzeć na matkę. Mama była ubrana w miękkie, grube, białe półgolf i ciemnoniebieskie dżinsy, a w uszach miała wkręcane diamentowe kolczyki. Włosy zczesaała gładko za uszy. Clare

poczuła, że nie znosi jej za ten wygląd, wygląd modelki albo aktorki na wakacjach. W dłoni mamy tkwiły dwie niebieskie koperty.

- *Bon Nadal i un Bon Any Nou!* - zaintonowała matka ponownie. - To jest Wesołych Świąt po katalońsku, kochanie. Chyba nie zapomniałaś?

Bilety na samolot - dwa bilety na samolot w niebieskich kopertach. Z tyłu postukuje bagaż. Barcelona. Z gardła Clare wydobył się wysoki jęk, tak że matka odwróciła głowę, żeby na nią spojrzeć.

- Nie, nie, nie, nie możemy lecieć do Barcelony, mamo. Jesteś chora. Nie możemy wsiąść do samolotu ani jechać do Hiszpanii czy gdzie indziej, kiedy jesteś chora. Czy nie rozumiesz, że coś jest z tobą nie w porządku? Zatrzymaj samochód, mamo. Proszę. - Clare przemawiała, jakby mama była dzieckiem. Zdawała sobie sprawę, że nie wolno jej wpaść w panikę. Jeśli się jej podda, będą zgubione. Jednak kiedy mówiła, uświadomiła sobie, że w twarzy matki widzi coś dziwnego: jej prawe oko było duże, z czarnymi rzęsami, natomiast lewe mniejsze, niewyraźne, jakby wymazane gumką. Obie strony nie pasowały do siebie i ten brak harmonii załamał Clare. To już przekroczyło jej wytrzymałość, więc się poddała. Po raz drugi w życiu została opanowana - czy raczej opętana - przez krzyk, przez gniew, który był jakby poza nią. W uścisku tego gniewu wrzeszczała, kopała i waliła pięściami w deskę rozdzielczą, ile jej sił starczyło.

Jakimś cudem matka rzeczywiście się zatrzymała. Zjechała na pobocze i przestawiła dźwignię na parkowanie. Gniew Clare nie ustąpił od razu - potrzebowała nieco czasu, żeby stać się znowu sobą. Nawet kiedy jej oddech się uspokoił, jej ciałem zaczęły wstrząsać przerywane szloch, które, jak sądziła, zdarzają się tylko niemowlętom. Miała ochotę wymiotować. Objęła rękami brzuch i spojrzała na matkę.

Ku jej zdumieniu, matka płakała. Łzy spływały jej po twarzy i moczyły sweter. Trzęsły się jej policzki i kąciki ust. Trwało to przez dłuższy czas, a kiedy ustało, matka otworzyła usta i wydawała z siebie długie dźwięki „aaaa, aaaa, aaaa”, raz za razem, jak automat.

- Masz rację, Clarey, to musi się skończyć. To musi się skończyć. Wszystko. Wszystko. Masz rację. - Głos, jakim to mówiła, był najsmutniejszym głosem, jaki Clare dotąd słyszała. Mama sięgnęła nad jej kolanami i otworzyła drzwi pasażera. - Tak mi przykro. Jak to się stało, że wszystko diabli wzięli? Nie wiem. Nie chciałam, żeby tak było. Tak mi przykro, Clare. - I rzeczywiście było jej przykro, było to wyraźnie widać. Jej matka przepraszała za wszystko na świecie.

Nic więcej nie można było zrobić. Clare odpięła pas, pchnęła drzwi i wysiadła na żwir i chwasty. Mama nadal płakała, z głową odchyloną do tyłu i opartą o zagłówek, z zamkniętymi

oczami.

- Mamusiu - odezwała się Clare bezbarwnie, pochyliwszy się, tak żeby zostawić to słowo w samochodzie.

Potem się cofnęła i zamknęła drzwi. Ich kliknięcie było najbardziej ostatecznym dźwiękiem, jaki kiedykolwiek słyszała.

Land-rover ruszył i odjechał. Clare obserwowała go, dopóki nie minął zakrętu i nie zniknął. Niebo nad jej głową i między czubkami drzew miało równomiernie jasnoszary kolor.

- To koniec - powiedziała drzewom i niebu. W jej głosie nie było ulgi. Zarzuciła plecak na ramiona i ruszyła w drogę.

9. Cornelia

Co może złamać ci serce? Czy można złamać ci serce? Powiedz mi. Kiedy ktoś kiedyś złamał ci serce? - spytałam Martina. Bo skoro już zamierzasz zadać głupie, nietaktowne pytanie, to równie dobrze możesz zadać je trzykrotnie z niewielkimi zmianami. Okropne pytanie. Wiedziałam o tym, jeszcze zanim je zadałam, zanim rozbrzmiało dookoła jak bardzo fałszywa nuta, zanim zobaczyłam, jak przez jego twarz przemyka wyraz „och, nie, zaczyna się” i znika. Nie można zadać takiego pytania niedbale, tym bardziej jeśli zadałam je w potrójnej wersji i do tego w łóżku - moim, nie jego, tym samym wykorzystując przewagę własnego terenu - a na dodatek po opowiedzeniu historii, która mnie rozdarła serce. Kolejnej nieproszonej historii, jeśli zależy wam na dokładności, a wiem, że zależy. Polegam na tym.

Zanim zadałam Martinowi to pytanie - wiele dni wcześniej, kiedy rozważałam, czy je zadać - już byłam sobą znudzona, znudzona tym, w jak nieciekawym świetle mnie ono stawia. Jak zła wróżka - bach! - to pytanie zamieniło mnie w samo imię, hipotetyczną postać z jednego z poradników. Postać z tego rodzaju książek, jakimi wszyscy gardzimy, bo redukują one do prostych formułek nasze nieredukowalne ludzkie „ja”, ale o których kupnie przynajmniej myślimy (tym samym stając się współnikami w pożeraniu pozycji z listy bestsellerów „New York Timesa”). Tym razem obydwójce byliśmy okropnie przeziębieni i apatycznie przerzucaliśmy kanały w maleńkim telewizorze, z którego bardzo rzadko korzystamy i nawet zapomnieliśmy, że go mamy. W pewnym momencie natrafiliśmy na program Oprah, w którym dyskutowano o takiej książce i musieliśmy przyznać, choć bardzo niechętnie, że książka brzmiała prawdziwie, a przynajmniej jej część brzmiała dość prawdziwie, bardziej prawdziwie, niż się spodziewaliśmy. „On nie mówi do mnie” - jęczy Cornelia i, patrzcie tylko, nie jest już Cornelią, tylko uniwersalną,

alegoryczną Jęczącą Kobieta. Nagle Martin jest z Marsa, a Cornelia, niech jej Bóg pomoże, z Wenus.

Jedyną pociechę czerpię z faktu, że nadałam temu jęczeniu odrobinę własnej interpretacji, zabarwiłam je leciutko w stylu Cornelii. Nie chodzi o to, że Martin ze mną nie rozmawiał. Rozmawiał, dzielił się, dostarczał mi regularnie ogromnych porcji informacji o sobie.

Oprócz tego, co już o nim wiecie, dowiedziałam się, że urodził się i wychował w Rye w stanie Nowy Jork. Wiem, że jako dziecko był blondynem. Wiem, że studiował na University of Chicago i zdobył MBA na Uniwersytecie Harvarda. Wiem, co swoim zdaniem powinien lubić, ale skrycie nie lubi: koni, rosyjskich powieści, produktów z papieru makulaturowego, wierszy Langstona Hughesa, kina francuskiego, Nowego Orleanu i serów na deser.

Wiem również, czego swoim zdaniem nie powinien lubić, lecz lubi: samochody sportowe, pomarańczowe cukierki z pianki żelowej, ubrania z kory (nigdy ich nie nosił, ale chciałby), olimpijską jazdę figurową na lodzie oraz film Jerry'ego Lewisa *Kopciuch*. (Wiem, bardzo umiarkowane, jeśli chodzi o grzeszne przyjemności. Spodziewaliście się gigantycznych ciężarówek i wrestlingu?) Wiem, że po *Egzorcystie* nadal ma koszmary senne i że tylko raz czuł się prawdziwym patriotą, a było to, gdy słuchał instrumentalnej wersji *America the Beautiful*. Wiem, że w wieku trzynastu lat był zabierany helikopterem z puszczy w stanie Maine, bo wszedł na gniazdo pszczoł podczas letniego obozu na łonie natury. Wiem, że wydaje astronomiczne sumy na szyte na miarę koszule i ma z tego powodu poczucie winy. Wiem, że uważa mnie za zabawną, piękną i mądrą.

On mówił do mnie. Ja mówiłam do niego. Prawdę mówiąc, rzadko nie rozmawialiśmy. Pod względem konwersacji byliśmy jak Ginger i Fred - obrót, ślizg, dosunięcie nogi, skłon. Wirowaliśmy z zawrotną szybkością. Bez wysiłku. *Tuptuptup tuptuptup tuptuptup bum bum klap* - to ja. *Tuptuptup tuptuptup tuptuptup bum bum klap* - odpowiadał Martin, a potem zakrecał mną, tak że wirowałam jak nigdy dotąd, moja sukienka rozwijała się jak kwiat, moje włosy w kolorze platynowy blond błyszczały jak księżyc.

Ale wydawało mi się, że zrozumiałam, dlaczego nasze życie seksualne nie było bardziej fascynujące, a mówiąc dokładniej, bardzo wiele mu brakowało do fascynującego. Mianowicie, mimo wszystkich naszych rozmów, nigdy nie zaoferowaliśmy sobie niczego, co by miało prawdziwe znaczenie. Nasze spotkania pełne były śmiechu, lekkości i blasku. Lubiliśmy się bezgranicznie, ale ja nigdy nie widziałam jego zranionych miejsc, niczego miękkiego, pięknego czy połowicznie zagojonego. On u mnie też nie. Doszłam do wniosku, że naprawdę wspaniały seks jest niemożliwy bez takiej wiedzy. Podobnie jak miłość, choć w owym momencie nie byłam

gotowa na nic więcej, niż rzucić miłości przelotne spojrzenie, skinąć głową na znak, że ją zauważam. „Bądź cierpliwa - powiedziałam jej po cichu. - W końcu się tobą zajmę”.

Nie myślcie, że od razu zaczęłam od bezpośrednich pytań. Uznałam raczej, że jeśli ja się odsłonię, to on również to zrobi. Zatem czekałam na najłżejszą zachętę, żeby się otworzyć. Nie doczekałam się, więc zaczęłam mu opowiadać te nieproszone historie, o których wspomniałam powyżej. Pewnego popołudnia opowiedziałam o swojej najbliższej przyjaciółce, Andy, która umarła na białaczkę na początku piątej klasy. Po pogrzebie jej mama dała mi nowiutką kurtkę zimową, której Andy nie miała okazji włożyć - fioletową parkę z kapturem obszytym futrem, którą odtąd wieszałam w swojej szafie w każdym miejscu, gdzie mieszkałam, włącznie z moim obecnym mieszkaniem.

Opowiedziałam mu też o tym, jak odpadłam ze studiów doktoranckich w połowie pierwszego semestru, chociaż to samo w sobie nie było aż tak ciężkim przeżyciem, bo nie znosiłam wszystkich zajęć i byłam przekonana, że jeśli zostanę tam choćby chwilę dłużej, to nigdy już nie polubię żadnej książki. Jednak potem tygodniami żyłam w czterech ponurych ścianach swojej porażki, swojej pierwszej wielkiej porażki, i nie potrafiłam nikomu o tym opowiedzieć.

Powiedziałam mu też o mojej siostrze Ollie, dwa lata starszej ode mnie, z którą niezmiernie się kochałyśmy jako dzieci, ale jakoś tak się stało, że już teraz nie. W zasadzie to nie było opowiadanie, bo nie krył się za tym żaden dramat, żaden splot wypadków czy przełomowa kłótnia, i być może to właśnie było w tym najgorsze. Po prostu przestałyśmy być siostrami. Akurat robiłam sałatkę, kiedy mu o tym opowiadałam, więc kiedy zaczęłam płakać, obwiniłam o to cebulę i wyrzuciłam sałatkę do śmieci.

Wszystko to nie było łatwe, bo tak samo nie lubię się odsłaniać jak inni, a może nawet jeszcze mniej, a poza tym wspomniane wydarzenia i sytuacje należą do tych kilku tematów, których nie potrafię bagatelizować żartem czy drwiną. To powinno wam pokazać, jak bardzo pragnęłam Martina. Po prostu go pragnęłam.

A on wcale mi tego nie ułatwiał. Za każdym razem, kiedy zaczynałam którąś z tych rozdzierających historii - a mówiłam to wszystko rzeczowo, bez dramatyzowania, oszczędnie używając słów, i tylko raz płakałam - niemal widziałam, jak celowo układa po kolei swoje części ciała w pozę, która w zamierzeniu miała wyrażać zainteresowanie, ale w rezultacie sygnalizowała raczej cierpliwość czy wyrozumiałość. A zatem okazywał wyrozumiałość, a przy tym był czuły i niezwykle przystojny. Potem za każdym razem obdarzał mnie smutnym uśmiechem, w którym marszczyły się kąciki jego oczu, i dotykał mojego policzka albo głaskał mnie po przedramieniu.

Oczywiście nie ma w tym nic złego, jest to jak najbardziej odpowiednie zachowanie, tyle że zawsze miałam wrażenie, jakby poklepał mnie po głowie.

Tuż przed tym, zanim wyskoczyłam z pytaniem „Co może złamać ci serce?” i pozostałymi, opowiadałam Martinowi o pani Goldberg - Suzette Goldberg. Doszłam do jej historii w miarę naturalnie, choć kiedy już zaczęłam, nie miałam nic przeciwko włączeniu jej do mojego planu wyciągnięcia czegoś osobistego z Martina. A pani Goldberg by to nie przeszkadzało, jestem tego pewna. Jak już wspomniałam, Martin i ja leżeliśmy w łóżku, podparci poduszkami, a moja głowa spoczywała na jego ramieniu. Tym razem wyjątkowo milczeliśmy, a ja przerwałam tę ciszę i powiedziałam:

- *Mousquetaire*.

- Muszkieter czy moskitiera? - spytał Martin

- *Mousquetaire* - powtórzyłam, wskazując na przeciwległą ścianę sypialni. - Tak nazywano rękawiczki do opery.

Te rękawiczki były oprawione. Koniec dziewiętnastego wieku, z białej koźlącej skórki z perłowymi guziczkami. Wyłożyłam tył gablotki liliowym aksamitem. Gdyby w moim mieszkaniu wybuchł pożar, rękawiczki w gablotce byłyby pierwszą rzeczą, którą bym złapała.

- Dała mi je pani Goldberg - zaczęłam. Była naszą sąsiadką i choć była o wiele za stara, żeby być moją matką - nie pamiętam czasów, kiedy nie wydawałaby się stara - często miałam wrażenie, jakby była moją mamą, w sposób, którego ta prawdziwa nigdy nie prezentowała. Można by o niej opowiadać w nieskończoność. Kiedy opisywałam ją Martinowi, uderzyło mnie, jak zwyczajnie i bezbarwnie to brzmi - jak zbiór komunałów - a pani Goldberg i moje uczucia do niej z pewnością takie nie były. Karmiła mnie kruchymi babeczkami i świeżymi figami. Opowiadała mi o swoim życiu w Nowym Jorku i o mężu, Gordonie, w którym się zakochała, gdy miała jedenaście lat, a on siedemnaście.

Przesiadywałyśmy godzinami na jej jasnym strychu, przeglądając starannie zmagazynowany dobytek, wszystko w odpowiednich pudełkach lub owinięte w kawałki miękkiego materiału. Malowany wachlarz, wenecka koronka, cztery sznury błyszczących pereł, każdy z zameczkiem w kształcie innego owada: biedronki, ważki, motyla i trzmieła. Ona i jej trzy siostry otrzymały po takim naszyjniku w dniu szesnastych urodzin. Na strychu były też albumy z fotografiami i niezliczone portrety rodzinne, niektóre wielkości znaczka, inne większe niż naturalne. W dłoniach pani Goldberg kryła się magia, tak że każdy przedmiot, którego dotknęła, stawał się natychmiast czymś rzadkim i ważnym, eksponatem z Atlantydy czy Troi.

Z każdym wiązała się też jakaś historia - a może raczej nie wiązała, tylko jaśniała wokół

niego delikatnie jak aureola. Opowieści pani Goldberg były skomplikowane i gęste od szczegółów, pełne światła Nowego Jorku, wojen, muzyki i tańca, podróży, a nawet seksu, choć pani Goldberg nie należała do osób, które ostentacyjnie demonstrują, że rozmawiają z dziećmi, jakby były dorosłe. Kiedy rozmawialiśmy, czułam się wyróżniona i wyjątkowa. „Widzisz linię tego obcasa, Cornelio - mówiła, podając mi but do ręki. - Oczywiście nie wykonano ich z myślą o pieszych wędrownkach, ale spacerowałam w nich całe mile w wiejskiej posiadłości siostry Gordona, Lizzie, tego lata, gdy skończyłam dziewiętnaście lat”.

Znałam ją całe życie, ale moja prawdziwa przyjaźń z panią Goldberg zaczęła się, kiedy miałam osiem lat i nawet kiedy rozpoczęłam studia, odwiedzałam ją przynajmniej raz w miesiącu. Kochałam ją bardziej, niż jej potrzebowałam, ale potrzebna też mi była. Jej życie było takie wspaniałe, tak intensywnie i z uwagą przeżyte, że dzięki kontaktowi z nim czułam się bogata, podekscytowana i pełna nadziei, nawet kiedy byłam najbardziej otumaniona i nie mogłam znaleźć sobie miejsca.

Mgła zaczęła napływać, kiedy byłam na ostatnim roku studiów - najpierw ledwie zauważalna mgiełka, która jednak z biegiem lat gęstniała. Przypuszczam, że to był Alzheimer, choć ani moi rodzice, ani jej dzieci nigdy nie wspomnieli przy mnie tego słowa. Wiem, jak bezsensowne i aroganckie jest przypisywanie naturze celowości działania, ale i tak wyobrażałam sobie złe geny siedzące na jakiejś odległej odnodze spletanego chromosomu, który uważają za swój dom, i przeklinałam je z całych sił. Trudno było nie dostrzegać złośliwości, gdy właśnie ta choroba zaatakowała właśnie tę osobę, tę kobietę będącą żywą szkatułką na biżuterię - jeśli wybaczyście tę żenującą metaforę - przechowującą w sobie tyle wspomnień, wyjątkowych i zaskakujących, prawdziwe jajko Fabergé pamięci. Jej dzieci znalazły idealnie prowadzony ośrodek opieki, położony w dolince wśród gór Blue Ridge, niezbyt daleko od miasta, a ponieważ nie mogła pogodzić się z myślą o sprzedaży domu, nie sprzedały go. Jej córka Ruth zadzwoniła do mnie do Filadelfii: „Ona chce, żebyś pomogła jej wybrać rzeczy, które ma zabrać ze sobą. Tyle że nie może ich być dużo”. Zatem pojechałam.

To był dobry dzień. To znaczy, w sumie okropny, ale dobre było to, że choroba pani Goldberg odrobinę się cofnęła, przynajmniej na tyle, że mogłyśmy wybrać z jej jaskini Ali Baby jedno strasznie małe pudełko skarbów. Kiedy miałam już wyjść, wręczyła mi rękawiczki operowe. „Należały do mojej matki, potem do mnie, a teraz są twoje, dziecko mojego serca” - powiedziała mi. To był dobry dzień - dzień podarowany - ale jakże okrutny.

Martin poklepał mnie po głowie. No dobrze, nie poklepał. Pogłaskanie to nie klepanie, a to było pogłaskanie - dokładnie dwa razy, jakby dwa razy były lepsze niż raz, jakby ta opowieść

zasługiwała na dwa pogłaskania. Prawdę mówiąc, mimo mojego planu otworzenia Martina, niemal zapomniałam o jego obecności. Więc kiedy się od niego odsunęłam, zrobiłam to bardzo gwałtownie, a potem wlepiłam w niego wzrok. Poczułam się dotknięta. Dotknięta i zrozpaczona, a nawet zła, i to trzygłowe, żalosne pytanie po prostu mi się wymknęło.

- Co może złamać ci serce? Czy można złamać ci serce? Powiedz mi. Kiedy ktoś złamał ci serce?

Mam nadzieję, że nie powiedziałam tego zaczepnym tonem, ale nie gwarantuję. Ani rozdrażnionym, ani żądającym, chociaż żądanie to żądanie, obojętne, jak je przyprawisz. Mam też nadzieję, że nie było w nim podtekstu „wet za wet”, bo to byłoby okropne. Płaczliwy, jestem raczej pewna, że mój ton był płaczliwy. Jest taka stara piosenka Sheili E. - proszę nie odchodzić - w której kobieta kupuje sobie bieliznę z kategorii „jeśli musisz pytać, to cię na nią nie stać”, i właściwie nie jestem całkiem pewna, dlaczego tutaj to przytaczam, i niewątpliwie nie powinnam, ale to ma coś wspólnego z moimi pytaniami do Martina. No, nie wiem, czy coś z tego rozumiecie. Pytania, których zadanie usuwa powód, dla którego zostały zadane. Coś jak: „Jeśli musisz pytać, absolutnie nie otrzymasz odpowiedzi, na której ci zależy”. Albo bardziej: „Jeśli musisz zadać to pytanie, żeby go zatrzymać, dziewczyno, to już go straciłaś”.

Kiedy z twarzy Martina zniknął ledwie zauważalny wyraz irytacji, natychmiast stał się dawnym sobą. Uśmiechnął się i wziął moją twarz w dłonie. Czuję, czarującym tonem, zabarwionym leciutko śmiechem powiedział:

- Najwyraźniej mam to jeszcze w rezerwie. Czekałem, żeby doświadczyć tego przy tobie, C. C. Brown.

Był tak słodki i oddany, jak to możliwe. Nadal w to wierzę.

Po wyjściu Martina tego ranka - całkiem beztróskim wyjściu, bo niczego nie zauważył - nastąpiło czterdzieści osiem ponurych godzin. Chodziłam w szlafroku po domu, powłócząc nogami, i płakałam, wypijałam mnóstwo herbat i gorących zupek oraz zjadałam inne rzeczy nadające się dla chorych. Otwierałam książki i zamykałam. Podnosiłam słuchawkę telefonu i odkładałam z powrotem. Przypominałam sobie jego głos i wszystkie niezwykle rzeczy, które mi powiedział. Półyżalam na kanapie, powalona nieszczęściem, i usiłowałam oglądać *Oto John Doe*, bo niezależnie od tego, co inni sobie myślą, nikt nie potrafi przedstawiać ciemnych stron życia tak jak Frank Capra. Tłumaczyłam sobie, że w porównaniu z rozczarowaniami i samotnością innych ludzi moje rozczarowanie i samotność są niczym. Jednak film odniósł odwrotny skutek, bo jak we wszystkich obrazach Capry, miłość ratuje tu sytuację, a byłam całkowicie przekonana, że mojej nie uratuje, nie tym razem.

W sobotę rano, bardzo wczesnym rankiem, obudziłam się i ujrzałam niezmierny blask wpadający przez okno przy moim łóżku. Śnieg. Śnieg pod latarniami i rozjaśnionym niebem. Błękitnawy i czysty, wygładzający wszystkie krawędzie. Dzień nigdy nie wyglądał tak nowo i świeżo.

- Ty głuptasie - szepnęłam do siebie. - Co się z tobą dzieje?

Jak sobie wmówiłam, że wszystko zawisło na tym jednym pytaniu? Po prostu go zaskoczyłam. Powinnam się wstydzić. Nie wszystko było stracone. Wszystko? Czy naprawdę tak pomyślałam? Nic nie było stracone, nic.

Stałam w oknie, pozwalając, żeby uczucie ulgi ogarnęło mnie całą. Potem wzięłam prysznic, pochłonęłam ogromne śniadanie i poszłam w śniegu do pracy.

W kawiarni zapowiadał się ruchliwy dzień, gdyż można się było spodziewać świątecznych zakupowiczów i klientów spoza miasta, ale na razie było jeszcze spokojnie. Jacques, niezauważalny francuski student, którego ostatnio zatrudniłam, jeszcze nie przyszedł, ale nie przeszkadzało mi to. W tej chwili absolutnie nic mi nie przeszkadzało. Skąpana w blasku i krocząca w piękności jak noc, sama poustawiałam wszystko, co trzeba, wdychając aromat cynamonu i czekolady, i nalałam do dzbanuszków gęstą, białą śmietankę. Powitałam Boba, naszego cukiernika, jak dawno zaginionego brata, odśpiewałam arię nad rogalikami i tartą owocową, a kiedy przyszli Hayes i Jose, obdarzyłam obu błogim uśmiechem.

Dziesięć minut później kroiłam cytryny w plasterki i w pewnej chwili podniosłam wzrok. Tuż przede mną stał Martin Grace, wyglądający dokładnie jak on sam. A obok niego stała malutka zjawa z kasztanowymi włosami ubrana w staromodne, sięgające podłogi futro z nerek.

Zamrugałam oczami i potrząsnęłam głową, żeby się w niej przejaśniło - naprawdę to zrobiłam - i ponownie spojrzałam na malutką kobietę. To było dziecko, mała, śliczna dziewczynka. Jej oczy miały niesamowity wyraz, mieszankę zaciętości, wściekłości, strachu i niezmiernego smutku. Tej dziewczynki nikt nie musiałby pytać, czy coś złamało jej serce.

Zauważyłam wyraz jej oczu, zanim zauważyłam same oczy. Kiedy już zauważyłam oczy, poznałam je natychmiast. Niezwykle podobieństwo.

- Cornelio, to jest Clare - przedstawił mi ją Martin z nieznacznym uśmiechem.

Dziewczynka zaczęła się trząść i podniosła wyżej podbródek.

- Clare Hobbes - powiedziała czystym, dumnym głosem, po czym wybuchnęła płaczem - łązy dosłownie z niej eksplodowały. Długie zawrota głowy i głębokie, rozdzierające szlochy. Martin bardzo nieznacznie się odsunął. Hayes i Jose wyszli, zostawiając na stoliku parujące kawy. Zostaliśmy sami, dwoje dorosłych i jedno dziecko. A ponieważ ktoś musiał to zrobić, podbiegłam

do Clare Hobbes i otoczyłam ją ramionami - byliśmy dokładnie tego samego wzrostu - i trzymałam ją najmocniej i najlepiej, jak umiałam.

10. Clare

Clare leżała na boku w pokoju gościnnym ojca, lecz nie spała, tylko starała się sobie wyobrazić, że jest kawałkiem dryfującego drewna. Podkuliła kolana, objęła je rękami i mocno przyciągnęła do siebie, tak żeby być jak najmniejsza. Chciała, żeby każda część jej ciała dotykała innej części ciała, żeby czuć wszystkie swoje krawędzie, wszystkie miejsca, gdzie kończyła się Clare, a zaczynała reszta świata. Unoś się na wodzie, dryfuj, myślała, chociaż wolałaby wcale nie myśleć. Spojrzała na lampkę na nocnym stoliku przy łóżku, przedmiot, który nigdy nie musiał myśleć, tylko po prostu był. Myślenie, wyobrażanie sobie, decydowanie, denerwowanie się - już z tym wszystkim skończyła. Dryfuj. Nawet pokołysała się nieco na łóżku, pozwalając falom przepływać pod sobą i nieść ją, gdzie zechcą.

Jednak nawet kiedy tak leżała, usiłując stać się przedmiotem i zapomnieć o wszystkim, zdawała sobie sprawę, że to nic nie da. W tej chwili naprawdę nie myśleć mogłaby, tylko gdyby zasnęła, czego również jej organizm rozpaczliwie się domagał. Jednak kiedy tylko myśli zaczęły jej się rozmywać, a głowa ciążyć i już była gotowa zapaść w sen, pojawiła się znów ta dziewczynka Clare, mówiąc „Nie” - ostatnio powiedziałam, że nigdy więcej nie będę spała w tym miejscu, i nie będę. Nigdy.

Co to ma za znaczenie? Próbowała sobie wytłumaczyć. Kogo to jeszcze obchodzi. Dryfuj. Unoś się. Pozwól, żeby było, co ma być. I tak się stało, co się miało stać, prawda?

Ale w jej głowie stale rozbrzmiewały te słowa. „Nie. Nigdy. Nie. Nie. Nie”. W końcu Clare niechętnie usiadła, a wówczas nieokreślone szумы i szelesty, które dobiegały ją z sąsiedniego pokoju, zamieniły się w głosy. Ojciec i jego przyjaciółka, ta bardzo mała pani obciążona chłopakiem, która ścisnęła ją, gdy płakała.

Clare nie mogła odżałować, że to zrobiła, że wrzeszczała jak niemowlę w obecności ojca, ale nic nie mogła na to poradzić. Ten płacz po prostu się zdarzył, tak jak wszystko się teraz zdarzało. Zjawił się jak pogoda - burza z piorunami, która uderza, a potem odchodzi. Mała kobieta obejmowała ją mocno chudymi rękoma, nawet kiedy Clare opadła na podłogę. Kiedy płacz minął, pomogła jej usiąść na krześle i nadal ją obejmując, wydała cicho kilka poleceń wysokiemu chłopakowi z kudłatymi włosami i wyrazem zdumienia na twarzy, którego wejścia nie zauważyła. Potem ta kobieta Ukucnęła przed nią i spojrzała jej w oczy.

- Jesteś gotowa? - spytała.

Po chwili Clare skinęła głową, a mała pani, nie mówiąc ani słowa, nawet do ojca Clare, poprowadziła ją do drzwi, potem ulicą, przez plac, do budynku, gdzie mieszkał ojciec, i w końcu do jego mieszkania.

Rozmawiają o mnie, pomyślała. Chociaż bardzo nie chciała tego robić - ani niczego innego - ześlizgnęła się cicho z łóżka i ruszyła korytarzem, żeby usłyszeć, co mówią. Usiadła na podłodze i oparła policzek na szezlongu wykonanym ze skóry i metalu, meblu, który pamiętała z ostatniej wizyty tutaj. Wówczas, w czasie, kiedy jeszcze była dzieckiem, uznała, że przypomina gaśienicę. Teraz siedziała przy nim, w zasadzie się nie ukrywając. Jej ojciec i ta kobieta siedzieli przy stole w jadalni, naprzeciwko siebie. Clare widziała twarz kobiety, ale ojca nie. Gdyby kobieta spojrzała we właściwym kierunku, zobaczyłaby Clare.

- Od kilku miesięcy uczę się czytać w twojej twarzy, Cornelio. Przemawia ona bardzo subtelnym językiem.

Cornelia. To imię zaskoczyło Clare. Nawet nie zdawała sobie sprawy, że myśli o imieniu małej kobiety, ale kiedy ojciec powiedział „Cornelio”, uświadomiła sobie, że spodziewała się raczej Meg, Kate czy Jill. Czegoś krótkiego, bardziej proporcjonalnego do tej kobiety i jej fryzury, czegoś energicznego i władczego. Cornelia. Długie - trzy sylaby lub nawet trzy i pół - i staromodne. W *Wymarzonym domu Ani* jest postać o imieniu Cornelia. Przyjaciółka Ani. Ta Cornelia jest przyjaciółką jej ojca i Clare wcale nie była pewna, czy chce ją poznać. Ale gdyby kiedykolwiek zdecydowała się jakoś ją nazywać, to Cornelia było imieniem, którego mogłaby używać.

- Martin - próbowała zacząć ta kobieta - Cornelia. Clare uznała, że może w myślach używać jej imienia, gdyż nikt się nie dowie, że to robi.

- Zaczynałem to już chwycić, myślę, że zaczynałem rozumieć. Jednak najwyraźniej źle to odczytuję, bo nie widzę w twojej twarzy gniewu. Przecież musisz być na mnie zła. Każdy by był. - Jego głos brzmiał cicho i poważnie. Clare pomyślała, że ma rację: na twarzy Cornelii malował się jakiś wyraz, ale nie był to gniew.

- Zła - powtórzyła Cornelia neutralnym tonem, jakby rozważała to słowo. Siedziała nieruchomo.

- Za to, że tak się pojawiłem, z nią. Ta sytuacja... jeszcze nie rozumiem, co się dzieje, ale wiem, że to oznacza kłopoty. I wiem też, że to nie twoje kłopoty, a zostałaś w to wplątana. - Ojciec Clare sięgnął przez stół i wsunął dłoń pod rękę Cornelii. Przyglądał jej się przez kilka sekund, po czym powiedział: - Byłaś dla niej dobra, wiesz. Dziękuję ci.

- Nie dziękuj. - Głos Cornellii był napięty, a twarz jej się ściągnęła. - Myślisz, że to dla mnie jakiś kłopot? Pomóc małej dziewczynce? Twojej córce. - Słowo „córka” powiedziała tak, jakby dopiero się go nauczyła, jakby to było obce słowo, które stara się prawidłowo wymówić. Clare dostrzegła, że Cornelia spogląda na swoje ręce leżące na stole. Potem zabrała je i nieco bardziej się wyprostowała.

- Rozmawiamy nie o tym, co trzeba, Martin. Będziemy musieli porozmawiać o mnie i o nas, i o tym, czy jestem zła, ale nie teraz. Co się stało? Co się stało Clare?

- Niewiele wiem. Wczynie rano zadzwoniła do mnie jakaś dziewczyna... jakaś jęzda, wściekła jak diabli. Chyba na mnie, ale nie jestem pewien o co. Przyszła posprzątać i znalazła Clare samą. Clare powiedziała jedynie, że jej mama odeszła.

- Co to znaczy odeszła?

- Właśnie. Odeszła. Clare nie chciała powiedzieć nic więcej. Kiedy tam przyjechałem, ta dziewczyna, Max, czekała z Clare. Clare siedziała obok niej na kanapie, w tym futrze, z plecakiem na kolanach i wpatrywała się w przestrzeń. Max wyszła z nami do auta i chyba przez minutę myślałem, że Clare jej nie puści.

Clare zauważyła, że Cornelia ma oczy pełne łez.

- Biedna Clare. Biedna mała, przerażona dziewczynka. - Jednak powiedziała to w taki sposób, że Clare wcale nie poczuła się na nią wściekła, mimo że nie chciała litości.

- Max szepnęła coś do Clare i włożyła jej coś do kieszeni. Potem Clare ją puściła i wsiadła do auta.

- A czy powiedziała coś więcej o matce? O tym, co się stało?

- W ogóle się nie odzywała i uznałem, że najlepiej jej nie naciskać. Kiedy spytałem, czy jadła śniadanie, potrząsnęła przecząco głową.

- Dlatego przyprowadziłeś ją do kawiarni. Żeby zjadła śniadanie. - Po raz pierwszy w głosie Cornellii słyhać było gniew lub może oskarżenie, ale kiedy ojciec znów się odezwał, mówił zupełnie normalnie, jakby nie zauważył zmiany.

- Tak. Pomyślałem, że może będzie miała ochotę na rogalika albo gorącą czekoladę.

Cornelia spojrzała w sufit i wypuściła powietrze.

- Mniejsza o to - powiedziała. - Czy przychodzi ci na myśl, czemu jej mama mogła zrobić coś takiego? Czy robiła coś podobnego już wcześniej?

- Naprawdę nie umiem powiedzieć. Raczej nie, lecz Viviana zawsze była...

Clare nie życzyła sobie, żeby wymawiał jej imię. Podniosła się więc i krzyknęła:

- Nie! Ona by mnie nie zostawiła! Ona tego nie chciała. Coś jej się stało.

Cornelia odepchnęła się od stołu i wstała, przewracając krzesło.

- Musimy wezwać policję, Martin! - Zwróciła się do Clare: - Czy ktoś przyszedł i ją zabrał? Wszystko będzie z nią w porządku, na pewno, ale musisz nam powiedzieć. Czy ona po prostu wyszła i nie wróciła do domu? Czy była w samochodzie?

Clare zamarła, usiłując ocenić, ile im powiedzieć. Utrzymała ten sekret tak długo i nie знаła tych ludzi - nawet własnego ojca. Nie może im ufać. Ale nie może też pozwolić, żeby zadzwonili na policję.

- Nie dzwońcie na policję. Nie możecie tego zrobić. Nikt jej nie zabrał. Była chora. Nie była sobą. I dlatego odeszła. I nie wiem, czy w ogóle wróci. Ale nie możecie dzwonić na policję, bo ona nie chciała zrobić niczego, co zrobiła. - Mówiła te słowa w pośpiechu i zobaczyła, że Cornelia idzie w jej kierunku. Podniosła dłoń, żeby ją powstrzymać. Spojrzała teraz prosto na ojca, który nadal siedział przy stole. - Ona była chora - powtórzyła powoli, lodowatym tonem. Cornelia spojrzała na Martina i czekała.

- Nic nie wiedziałem - powiedział Martin do Cornelii, podnosząc dłonie, jakby chciał zademonstrować, że są puste. Clare słuchała, jak to mówi. On się nie liczył. Nigdy się nie liczył, i teraz też nie.

- Chcę jechać do domu - odezwała się do Cornelii. - Ona może tam wrócić.

Cornelia zapytała łagodnie:

- Sądzisz, że wróci?

Clare przypomniała sobie mamę w land-roverze, mówiącą, że jej przykro, tym smutnym, ostatecznym tonem. Potrząsnęła przecząco głową. Poczula, że łzy spływają jej po policzkach, więc zakryła twarz dłońmi.

- Twój tata pojedzie tam i zostawi mamie liścik - zaproponowała Cornelia. Stała teraz tuż przy Clare, ale jej nie dotykała. Clare nie chciała, żeby ją dotykano. - Dzięki temu mama będzie wiedziała, gdzie jesteś, i będzie mogła cię znaleźć. Ale nawet jeśli nie wróci, my ją znajdziemy. Znajdziemy ją i pomożemy jej wyzdrowieć.

Od wielu tygodni Clare bardzo się starała wyzbyć wszelkiej nadziei, była dla siebie pod tym względem bardzo surowa, więc choć ją kusilo, nie pozwoliła, żeby słowa Cornelii obudziły w niej nadzieję. Mimo wszystko była zadowolona z jej obecności i z jej słów. Gdyby jej tu nie było, byłaby sama, toteż kiedy Cornelia spytała, czy tak będzie w porządku, skinęła głową.

Usiadła na podobnym do gąsienicy szeszlunku, a Cornelia obok niej.

- Ale tu nie zostanę. Nienawidzę tego miejsca. Mogę zamieszkać w hotelu czy gdzieś. A może mogłabym zostać z Max. Dała mi numer swojej komórki. - Clare wyjęła z kieszeni

wizytówkę. Obok numeru widniały słowa „W każdej chwili”, a „każdej” było podkreślone trzy razy. - Ale tu nie zostanę.

Cornelia spojrzała na ojca Clare. Potrząsnął głową, jakby zagubił się w tym wszystkim, po czym złożył dłonie i przycisnął je do czubka głowy. Przybrał nieszczęśliwą, bezradną minę, a następnie wstał i wyszedł do kuchni.

- Pójdźmy teraz w inne miejsce i porozmawiajmy o tym - zaproponowała Cornelia.

- Dobrze - odparła Clare tępo, choć była już wykończona rozmawianiem. Czuła się taka zmęczona. Powieki jej opadały, a futro wydawało się niezwykle ciężkie.

- W takim razie poczekaj tu chwilkę. Chcę porozmawiać z twoim ojcem. - Cornelia wstała i poszła do kuchni. Clare słyszała ich głosy. Chyba się kłócili, ale nie była pewna. Kiedy Cornelia wróciła, jej oczy też miały zmęczony wyraz, ale się uśmiechała.

- Twój ojciec zostawi wiadomość dla twojej mamy w waszym domu. A my pójdziemy do mojego mieszkania, jeśli ci to odpowiada. To niedaleko. On przyjdzie później, prawda, Martin?

- Oczywiście. Przyjdę - odparł. Mówił do Cornelii.

Cornelia i Clare przeszły przez całe mieszkanie, a ojciec z nimi. Kiedy wszyscy troje stanęli przy drzwiach wejściowych, zaczął coś mówić, przestał, a potem wyciągnął rękę i dotknął pasma włosów Clare, które zwieszało się tuż przy twarzy. Nie pociągnął go żartobliwie ani nie włożył za ucho, jak to robiła mama, tylko trzymał pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym przez sekundę... dwie sekundy. Poczekala, aż zabierze rękę, po czym wraz z Cornelią wyszła. Na zewnątrz Cornelia ruszyła zaśnieżonym chodnikiem, obracając się od czasu do czasu, żeby sprawdzić, czy Clare za nią idzie. Clare, w futrze mamy, z oddechem unoszącym się przed nią w powietrzu, szła o kilka kroków dalej, wyczerpana jak niedźwiedzie z jej opowiadania.

Kiedy dotarły do mieszkania Cornelii, Clare stanęła tuż za drzwiami, chwiejąc się lekko. Nad ich głowami świecił żyrandol, ale wszystko inne wydawało się rozmazane, zamglone, na wpół realne. Cornelii wystarczyło jedno spojrzenie na dziewczynkę, żeby wziąć ją za łokieć i poprowadzić do sypialni. Clare padła na łóżko, a potem spadała i spadała, i spadała. Kiedy się obudziła, było ciemno, i w tej ciemności zaczęła wołać mamę.

11. Cornelia

Nie bój się rodzicielstwa; niektórzy rodzą się rodzicami, inni osiągają rodzicielstwo, a jeszcze inni są na nie skazani".

I mimo że zrobiłam z siebie idiotkę w sklepie z serami, dostatecznie dobrze znam

Szekspira, żeby wiedzieć, że w rzeczywistości ten fragment brzmi nieco inaczej. W końcu chodziłam przez dwa miesiące na studia doktoranckie z literatury angielskiej, prawda? Prawda. A *Wieczór Trzech Króli*, jeśli nie jest moją ulubioną sztuką W. S., to w każdym razie zdobywa pierwsze miejsce ex aequo z *Królem Learem: Wieczór Trzech Króli* za dowcip i urok, *Król Lear* za chwytające za serce przeżycia. Dobrze zbilansowana dieta, zawierająca wszystkie główne grupy umysłowej i emocjonalnej żywności. Bywałam na przyjęciach, gdzie wygłoszenie takiego poglądu przypominałoby wrzucenie krwawiących ryb do zbiornika pełnego rekinów: mnóstwo krwawej agresji, zacięta walka i nikt nie wychodzi bez szwanku. Jest to rodzaj sporów, które sobie cenię, ale których również unikam, z jednej strony bowiem sztuka jest ważna i warto się o nią wściekać, a z drugiej ja mogłabym bombardować kogoś sceną pojednania Leara z Kordelią w więzieniu lub słowami: „Powiesili biedactwo”, a ten ktoś mógłby z kolei cisnąć we mnie: „Być albo nie być”, i dokąd by nas to zaprowadziło? Ludzie kochają, co kochają. Tak już jest.

Albo nie kochają tego, czego nie kochają. To oczywiście sprowadza mnie z powrotem do zasadniczego tematu po mojej żalostnej próbie dygresji i odwrócenia uwagi, które, jak pewnie zauważyliście, są moją specjalnością. Jednak nawet ja nie potrafię uciec przed faktem, że w tym momencie możliwy jest tylko jeden temat, który wcale nie jest tematem, tylko dzieckiem - Clare Hobbes, niegdyś Clare Hobbes Grace, córką Martina, jak Kordelia była córką Leara.

Przytoczyłam wcześniej ten przekreślony cytat głównie po to, żeby pokazać, że jest on tylko częściowo słuszny, bo, niezależnie od okoliczności, rodzic zostaje skazany na rodzicielstwo. Nikt nigdy nie jest na nie całkiem gotowy, każdy jest wzięty z zaskoczenia. To rodzicielstwo wybiera ciebie. A ty otwierasz oczy, patrzysz na to, co otrzymałeś, mówisz: „O mój Boże” i uświadamiasz sobie, że ze wszystkich piłek na świecie tej jednej nie wolno ci upuścić. To nie jest kwestia wyboru.

Zanim zjeży ci się sierść twoich politycznych poglądów - a uważam, że to potrzebna sierść, i sama mam jej sporo - powinnam wyjaśnić, że nie mówię o wyborze w sensie za aborcją i przeciwko niej. Mówię o wyborze po fakcie, o ucieleśnionym niemowlęciu, przesądzonej sprawie, dziecku pojawiającym się w obłokach chwały itede. A ponieważ widzę, że wspomniana sierść znów się podnosi, przyznaję, że jest wiele osób, u których ta sprawa jest już przesądzona, które mają dość rozsądku i odwagi, żeby uznać, że powinny przekazać rodzicielstwo komuś innemu, komuś z większymi zasobami. I bynajmniej nie te osoby chcę tu zganić. Jeśli już zamierzam zmyć komuś głowę, a najwyraźniej właśnie to robię, to tym ludziom, którzy mają dostateczne zasoby materialne (jeśli stać cię na luksusowy apartament, więcej niż jedną fotografię Edwarda Westona, sygnowaną i numerowaną, i szezlong projektu Miesa Van der Rohe, to chyba

stać cię także na dziecko, prawda?), są dorośli, cieszą się doskonałym, subtelnie rzeźbionym, pełnym blasku, szokująco przystojnym zdrowiem i z całą pewnością nie ma żadnego powodu, żeby im odpuścić.

Mówię o Martinie. Oczywiście, że o Martinie. Bo kiedy jego jedenastoletnia córka spała snem wyczerpanej i zrozpaczonej osoby w sąsiednim pokoju, w cudzym łóżku, Martin usiadł obok mnie na kanapie i powiedział:

- Ja po prostu nie jestem stworzony do tego, żeby być rodzicem. Nigdy nie byłem - usiłując tymi słowami zgrabnie wywinąć się z sytuacji i nawet nie pognieść sobie przy tym swojej szytej na miarę w Anglii koszuli.

Tyle że ja nie zamierzałam mu na to pozwolić. Mogłam podziwiać jego szczerość. Mogłam napawać się tak długo wyczekiwaną szczyptą osobistych wynurzeń, delektować ich słodyczą, a potem przejść nad tym do porządku dziennego. Tak łatwo byłoby mu odpuścić, ale nie mogłam tego zrobić.

- Ojcem - odezwałam się.

- Co?

- Ojcem. Powiedziałaś rodzicem, nie ojcem.

- Czy to ma znaczenie? Jest jakaś różnica? - dopytywał się, i to nie wyłącznie retorycznie, chwala niebiosom.

Mimo to w mojej głowie znów rozbrzmiewała piosenka Sheili E. *Jeśli musisz pytać, to cię na to nie stać...* Zrezygnowałam z zaśpiewania jej na głos, za co ponuro przyznałam sobie parę ponurych punktów.

- Może bycie ojcem to nie jest coś, co robisz, bo jesteś do tego stworzony. Może robisz to, bo twoje dziecko tego potrzebuje. - Naprawdę to powiedziałam. Potem nastąpiła długa cisza.

- Nie znamy się zbyt długo, Cornelio, ale coś między nami jest. Myślę, że coś między nami jest. Wystarczająco dużo, żebyś stała się dla mnie osobą, której nie oceniam pochopnie. Daję ci przywilej wątpliwości. Czy ty również mogłabyś to dla mnie zrobić? - Jego głos był taki cichy, a poza tym było tyle innych rzeczy, które mógłby mi powiedzieć. Na przykład: „Jesteś samotną i bezdzietną trzydziestojednoletnią kierowniczką kawiarni, Cornelio. Co ty, u diabła, wiesz o rodzicielstwie?” Albo: „Zastanówmy się. Czy ty we wszystkich sprawach w życiu postąpiłaś w najlepszy możliwy sposób?” Albo: „Zapewne bardzo miło jest na tych twoich wyżynach moralnych, Cornelio. Czyste powietrze na tej wysokości pozwala ci dostrzec wady innych w najdrobniejszych szczegółach”.

Ale on był delikatny i smutny, i znacznie bardziej sprawiedliwy, niż na to zasługiwałam, a

poza tym, niezależnie od opuszczonego dziecka w sąsiednim pokoju, nadal chciałam pokochać Martina. Nie zrezygnowałam z tego. Pragnęłam, żeby nasza miłość pozostała w sferze rzeczy możliwych. Poza tym zdawałam sobie sprawę, że wszystko to, czego nie powiedział, lecz mógł, było prawdą i uczciwą odpowiedzią, i czułam się z tym źle. Nie przeszkadza mi świadomość, że się pomyliłam, ale nie mogę znieść tkwienia w błędzie, trzymania się tego, co niesłuszne.

- Przepraszam, Martin - powiedziałam. - Bardzo cię przepraszam i mogę to dla ciebie zrobić. - Miałam łzy w oczach. Wzięłam jego dłoń i ucałowałam. - Jednak skoro już rozmawiamy o nas, chciałabym cię spytać... - zamknij się, zamknij się, Cornelio - dlaczego nie powiedziałeś mi o Clare? - Dobry Boże, czy ja mogłabym kiedyś trzymać gębę na kłódkę? Czy to w ogóle możliwe?

I wtedy zobaczyłam na jego twarzy ten zdezorientowany wyraz, który mówił: „Nie powiedziałem ci o Clare, bo nawet nie przyszło mi to na myśl. Nie sądziłem, że to na tyle ważne, żeby ci mówić”. Nadal z tym wyrazem zaczął:

- Nie wiem. Nie myślałem, że to... - a w powietrzu zawisły słowa „ma znaczenie”. Niemal je widziałam, jak wiszą, czarne i poszarpane, ale tymczasem Martin się pozbierał. - Chciałem ci powiedzieć. Miałem zamiar. Wystarczyło ustawić jedno słowo za drugim, ale nie potrafiłem tego zrobić. Jak sama widzisz, to nie są łatwe relacje, moje i Clare. Może się bałem, że ode mnie uciekniesz.

Niewątpliwie była to dobra odpowiedź. Wspaniała odpowiedź na piątkę. Wyrażał swoją wrażliwość, a o to mi chodziło, czyż nie? Wyrażał też pragnienie zatrzymania mnie przy sobie - tego też chciałam, prawda? Tyle że była to odpowiedź spóźniona. Zdażyłam już zerknąć za kurtynę i dojrzeć maleńkiego człowieczka pociągającego sznurki Wspaniałego i Silnego Martina.

Zamierzam to przemyśleć - z pewnością przemyślę, muszę. Ale choć trudno mi to przyznać, potrafię unikać nieprzyjemnych prawd, przynajmniej przez pewien czas, a fakt, że Martin jest człowiekiem, który potrafi zagubić myśli o swoim dziecku jak pęk kluczy, należał niewątpliwie do gatunku tych prawd, dla których stworzono słowo „później”. Poza tym teraz miałam do rozważenia bardziej naglące kwestie. Rzecz w tym, że nigdy dotychczas w moim łóżku nie spała mała dziewczynka. Wczoraj nie było dziewczynki. Rano nie było dziewczynki. No, a teraz była. Była Clare.

- Co powinniśmy teraz zrobić, Martin? To znaczy, dla Clare - spytałam.

- Tak, słusznie - Martin był znów dziarski i rzeczowy. - No, oczywiście musimy znaleźć Vivianę. Wiem, że powinienem zgłosić na policji jej zaginięcie. Jeśli Clare ma rację i Viviana jest chora lub przechodzi jakieś załamanie, może zagrażać sama sobie. Niewiele brakowało, żebym

zadzwoił na policję dziś po południu, ale zrezygnowałem. Nie znam się na tyle na prawie, ale nie wiadomo, czy Viviana nie wpadłaby w poważne kłopoty z powodu porzucenia Clare. Kłopoty prawne. Z tego mogłyby wynikać daleko idące konsekwencje. No i Viviana jest dość znaczącą osobą w swoich kręgach towarzyskich. Przeżyłyby z Clare trudne chwile, gdyby te sprawy stały się publicznie znane. Clare potrzebuje matki. Potrzebuje tego, żeby jej życie wróciło do normalności, najszybciej jak to możliwe i przy jak najmniejszym zamieszaniu.

Tak samo jak ty, pomyślałam bezlitośnie.

- Więc zdecydowałem się na dość śmiały krok i zatrudniłem dziś prywatnego detektywa - dokończył Martin.

- Naprawdę? - zdziwiłam się i natychmiast w moich myślach pojawili się Sam Spade, Philip Marlowe i inni bohaterowie czarnych kryminałów, których bez wahania można było określić mianem twardzieli. Kiedy spojrzałam na Martina, jego zazwyczaj wyrafinowana, pełna blasku i nieskazitelnie czysta postać stała się nieco mroczniejsza, a jej krawędzie bardziej nierówne. Zaintrygował mnie.

- Z tego, co słyszałem, to bardzo dobra firma detektywistyczna. Dostałem nazwę od jednego faceta z pracy, który kilka razy korzystał z ich usług z dobrym rezultatem. Wydaje mi się, że z tego rodzaju pracą nieuchronnie wiąże się pewna porcja brudów, ale to miejsce jest tak dyskretne i bez zarzutu, jak większość firm. Czy sądzisz, że dobrze zrobiłem? - Przyłapałam się na tym, jak wielką przyjemność sprawia mi sposób, w jaki Martin pyta o moją opinię, jakby moje zdanie miało dla niego ogromne znaczenie.

- Tak sędzę - odparłam. - Jeśli ta agencja jest rzeczywiście godna zaufania. - Jednak w rzeczywistości wcale nie byłam tego pewna. Jak wspomniałam wcześniej, jestem nieodrodną córką swojej matki, a ona jest chyba najostrożniejszą i najściślej przestrzegającą prawa istotą na świecie. W żadnym wypadku nie zwróciłaby się do prywatnego szpicla, cynicznego prywatnego detektywa. Skontaktowałyby się z odpowiednimi władzami i pozwoliła, żeby sprawy toczyły się swoim torem. Tak też mnie wychowała. Ale kiedy czujesz się kompletnie zdezorientowany, najmądrzej trzymać się tego, co wiesz. Jedynym pewnym faktem było to, że Clare potrzebowała swojej mamy, a skoro to było jasne, właściwym sposobem postępowania było podjęcie działań, które doprowadzą do jej powrotu.

- Ale do tego czasu - zaczęłam, bo zanim Martin zaczął mówić o swoim rozwiązaniu z prywatnym detektywem, wcale nie myślałam o odnalezieniu Viviany.

Rozmyślałam natomiast o tym dziecku w futrze, leżącym na łóżku, dziecku, które nie będzie spać w nieskończoność, ani nawet dopóki jego mama nie wróci, chociaż z pewnością by

chciało. Clare się obudzi. Obudzi się i będzie potrzebowała różnych rzeczy. - Co z Clare?

Martin wydawał się zbity z tropu, a nawet dotknięty.

- Ja... ja nie wiem. Nie wiem, co robić. Ona potrzebuje... cóż... - zaplątał się. Potem jego twarz rozjaśniła się na chwilę. Podniósł z podłogi plecak i mi go podał. Był to plecak firmy L. L. Bean, w dwóch odcieniach różu, a na przedniej kieszeni widniało wyhaftowane CLARE. - Zostawiła to w aucie. Może tu jest coś, co jej się przyda.

Otworzyłam plecak i znalazłam w nim notes w spiralnej oprawie z mnóstwem zapisków oraz rodzaj książki, pogniecionej, pewnie jakiś projekt. Nie czytałam ani jednego, ani drugiego. Martin patrzył na mnie z nadzieją.

- Pewnie zechce to mieć - powiedziałam łagodnie - ale myślałam raczej o takich rzeczach, jak szczoteczka do zębów i swetry. Piżamy. Jedzenie. Łóżko. Sądzę, że będziesz musiał wziąć wolne w pracy, żeby się nią zająć.

Nie wolno nie doceniać siły fizycznego piękna. Fizyczne piękno jest przebiegłe. Działa na ciebie w taki sposób, że nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy i zupełnie nad tym nie panujesz. Zapewne za pięknem i naszą reakcją na nie kryją się jakieś przyczyny genetyczne i ewolucyjne, o które mogłabym spytać moją siostrę genetyka, która bada dokładnie tego typu kwestie jako naukowiec w jakimś nowoczesnym laboratorium na Long Island, a pewnie także we własnym życiu, bo niewątpliwie nie jest ostatnia, jeśli chodzi o urodę. Jednak, jak już wspomniałam, Ollie i ja nie jesteśmy sobie szczególnie bliskie.

Jeśli o mnie chodzi, to nie potrafię się oprzeć niezwykle pięknemu mężczyźnie w rozpaczy, a kiedy zapytałam Martina, co powinniśmy zrobić w sprawie Clare, stał się natychmiast pięknym mężczyzną w rozpaczy. Poruszyło mnie to.

- Och - odezwał się najcichszym głosem, jaki dotychczas u niego słyszałam. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zamknął je bez słowa. Rozejrzał się dookoła, szukając właściwej odpowiedzi na temat Clare, ale znalazł tylko poduszki kanapy. Raz za razem pukał kostkami jednej ręki w dołek w podbródku. Myśl, myśl, myśl. Niemal słyszałam, jak myśli.

Potem spod klasycznego czoła, spod czarnych, gęstych, lecz nie za gęstych włosów, ładnie ukształtowanych, lecz nie w wymuskany kobiecy sposób brwi podniósł czarne oczy w niezwyklej oprawie czarnych rzęs, żeby napotkać mój wzrok, a w ich cudownej głębi dostrzegłam panikę, czystą panikę. Nie jestem z kamienia, toteż powiedziałam:

- Może zostać tutaj. Ze mną. Jeśli zechce.

- Oczywiście, będę często przychodził, kiedy tylko będę mógł. Zrobię wszystko, co mi każesz. Dziękuję ci, Cornelio. Dziękuję za pomoc. - Martin był bliski skakania z radości. Jego

wdzięczność wprost nie miała granic. - Nie wiem, jak ci dziękować.

- Już mi podziękowałaś. Podziękowałaś mi wystarczająco. - Martin nie należał do ludzi nie zważających na to, jak inni ich postrzegają, tymczasem teraz jego ogromna ulga była zupełnie niestosowna. To, że tego nie zauważył, wyraźnie wskazywało, jak bardzo dał się ponieść emocjom, jak bardzo bał się spędzać czas z własną córką. Rozgniewało mnie to.

Skup się na Clare, upomniałam się, na potrzebach Clare. I nagle uderzyła mnie ironia tej sytuacji. W całym dorosłym życiu nie miałam nawet zwierzątka. Jak kobieta, która nie ufa sobie, że potrafi zaspokoić potrzeby chomika, może mieć pojęcie, co należy zrobić dla dziecka? Odpędziłam te myśli. Skup się.

- Ubrania? Wzięłaś coś z ubrań, kiedy byłeś zostawić wiadomość? - spytałam.

Zmieszał się.

- Obiecałam jej, że pójdziesz. Nie byłeś tam. - Zrozumiałam.

- Pójdę jutro. Nie potrafiłem myśleć o niczym innym niż znalezienie Viviany. Przez cały dzień szukałem agencji detektywistycznej i zatrudniałem detektywa. W każdym razie detektyw, nazywa się Lloyd, musi pójść do tego domu. Może znajdzie coś, co go naprowadzi na ślad. Jutro go tam zabieram. Trzeba mu udzielić wszelkiej pomocy.

- I przywieziesz ubrania dla Clare - przypomniałam mu.

- Tak, przywiozę ubrania dla Clare. I wszystko, czego będzie chciała. Zapytaj ją.

Przywiozę wszystko, czego będzie chciała - powtórzył.

I właśnie wtedy z sypialni dobiegł nas najbardziej zagubiony, najbardziej żaloszny dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszałam. Clare. Właśnie mówiła nam, czego pragnie.

- Mamusiu, mamusiu, mamusiu.

Skoczyłam na nogi. Ale się zatrzymałam. Spojrzałam na Martina, który podniósł się powoli i poszedł do sypialni. Zabawił tam tylko chwilę.

- Ona mnie nie chce - powiedział. - Prosi, żebyś ty przyszła. Ona chce ciebie.

Nie sądziłam, żeby tak było, ale w każdym razie nie chciała jego. Tyle to wiedziałam.

- Idź. Dalej. Wszystko w porządku. Zadzwoń rano - poprosiłam.

Martin wziął moją twarz w obie ręce, pocałował mnie i wyszedł.

I po raz drugi tego samego dnia tuliłam w ramionach dziecko, które wypłakiwało sobie serce. Głaskałam ją po włosach i mówiłam „cii, cii” i, co zdumiewające, to chyba pomagało. Kiedy obejmowałam Clare i szeptałam jej uspokajające słowa, miałam wrażenie, że czuje się lepiej. Co jednak bardziej zdumiewające, mnie to też dobrze robiło. Jeszcze dwanaście godzin temu nie znałam tej dziewczynki. Mogłam na palcach policzyć słowa, które ze sobą

wymieniłyśmy. Nie należała do mnie. Ale pasowała do moich ramion, naprawdę pasowała. Nie kochałam jej. Jednak nagle zrozumiałam, że niewiele brakuje, bym ją pokochała.

Ciemność wiele ułatwia, gdyż jej miękki spokój zaciera linie pomiędzy osobami. Natomiast w jasnym świetle kuchni wszystko wygląda inaczej. Kiedy Clare przestała płakać i przeszłyśmy do kuchni, gdzie stanęłyśmy wśród błyszczących płaszczyzn i wyraźnych krawędzi, poczułam się nagle jakby naładowana nerwowością jak ładunkami elektrycznymi. Miałam wrażenie, że jeśli dotknę Clare, porazi nas prąd. Dlatego stałam, patrząc na nią, i czekałam, aż się dowiem, co robić.

Twarz Clare miała ten czysty, jaśniejący wygląd, który pojawia się u dzieci po płaczu, a ten blask jeszcze bardziej oddalał ją ode mnie, jakby była półaniołem, któremu smutek przydawał świętości. Powiedz mi, co robić, pomyślałam, i po paru sekundach uspokajająco ludzkim głosem powiedziała.

- W brzuchu mi burczy. Jestem głodna. A ty? - Umieram z głodu - przytaknęłam.

W przeddzień ugotowałam rosół, więc teraz podgrzałam go i napełniłam dwie miski. Kiedy jadłyśmy, powiedziałam Clare, że jej ojciec nie zadzwonił na policję, tylko wynajął kogoś bardzo bystrego, żeby pomógł nam odnaleźć jej mamę. Spytałam, czy chce zostać ze mną, na co skinęła głową. Nie mówiłam, że Martin nie zostawił wiadomości dla mamy, jak jej obiecałam, ale powiedziałam, że jutro wybiera się do jej domu, żeby zabrać rzeczy, których będzie potrzebowała. A wtedy przyszło mi coś na myśl.

- Clare - zaczęłam - kiedy byłam dzieckiem, uwielbiałam robić listy. Czy ty kiedyś robiłaś listy?

Jestem niemal pewna, że kiedy o to spytałam, Clare się uśmiechnęła.

12. Clare

Clare siedziała przy stoliku w Café Dora i obserwowała dwóch mężczyzn grających w szachy. Jeden z nich był wysoki, miał zakrzywiony nos i niebieskie oczy, a ubrany był w czerwoną koszulę z białymi lamówkami zapinaną na perłowe napy także na klapkach kieszeni. Kilka lat temu jeden z chłopców z klasy Clare przebrał się w Halloween za kowboja i miał podobną koszulę, ale ciekawe, że robią takie same dla dorosłych. Drugi mężczyzna miał mnóstwo czarnych sprężystych loków, oczy smutne jak u basseta i zaskakujący uśmiech - szeroki, nieco dziewczęcy uśmiech gwiazdy filmowej, w którym kąciaki ust unosiły się do góry i po obu stronach pojawiały się dołeczki. W pewnej chwili kowboj przestraszył Clare, klaszcząc w dłonie i wołając:

- Rany, Josie, złapałeś mnie na pierdoleniu się! - na co drugi mężczyzna, który najwyraźniej miał na imię Josie, potrząsnął głową, wprawiając w gwałtowny ruch swoje loki, tak że wyglądały jak żywe, a jego uśmiech objął powoli całą twarz.

Clare zerknęła na stojącą za ladą Cornelie, żeby napotkać jej wzrok. Oczy Corneli były duże, lekko skośne jak u kota, z tym że nie miały złotego, zielonego czy niebieskiego koloru, jaki mają kocie oczy. Były brązowe, może z odrobiną orzechowego, ale głównie po prostu brązowe. Cornelia miała ładny, leciutko zadarty nos, prostokątny uśmiech, odsłaniający górne i dolne zęby, i lekko spiczasty podbródek. Prawdę mówiąc, jej twarz przypominała kształtem twarze Ani, Sary i Mary, które Clare rysowała w swoim notesie. Twarz sieroty, chociaż Clare nie wiedziała, czy Cornelia jest sierotą. Kiedy spojrzała na Cornelie ponad barem, ta wywróciła oczyma na hałaśliwość kowboja i chociaż w zasadzie się nie uśmiechnęła, Clare odpowiedziała jej tym samym.

Strach Clare bardziej niż kiedykolwiek, bardziej niż wówczas, gdy mieszkała z nieprzewidywalną i odmienioną matką, przypominał ryczący, oślepiający sztorm, który mógł ją unieść w powietrze i wessać, zanim zauważy, co się dzieje. „Moja mama może już nie żyć”, skrzeczała nawałnica, a gdyby tak się stało, burza w jednej chwili ogarnęłaby ją i porwała ze słonecznego świata, w którym żyli inni ludzie.

Poprzedniego wieczoru, kiedy siedziała i jadła rosół - sycący i pyszny, z małymi, tłustymi kluseczkami - i grzankę z masłem w mieszkaniu Corneli, odkryła sposób, żeby nie dopuścić do siebie tej burzy. Stwierdziła, że jeśli poświęca całą uwagę temu, co się wokół niej dzieje, naprawdę się koncentruje i dostrzega każdy szczegół, strach się cofa.

Clare obserwowała świecąca złotymi drobinkami powierzchnię rosółu, pofalowany brzeg szklanego talerza, na którym leżała grzanka, haftowaną zielono-niebieską chustę udrapowaną na oparciu aksamitnej kanapy i wiszący na jednej ścianie zbiór małych zabytkowych obrazków, wyłącznie portretów kobiet.

Przy bliższym przyjrzeniu zauważyła, że na każdym z nich był jakiś dziwaczny element: brzydki piesek salonowy z niemal ludzką twarzą, spękane brązowe jajko w kieliszku, stadko dziobiących kurcząt i świnia za oknem. Jedna z kobiet miała po obu stronach twarzy ciasno zebrane pęki loków, które wisiały jak kiście winogron, a wokół niej namalowano pergolę z pnącą się po niej winoroślą, z której zwisały winne grona. Początkowo Clare pomyślała, że te kobiety mogą być przodkami Corneli, ale gdy zauważyła te zabawne szczegóły, wyobraziła sobie, jak na przestrzeni lat wpadały jej w oko i po prostu je polubiła.

Po kolacji Cornelia spytała ją, czy chciałaby się wykąpać. Clare już od dawna zazwyczaj

brała prysznic, ale nadal była zmęczona i nie czuła się na siłach znieść hałasu płynącej z niego wody, więc się zgodziła. Przez kilka sekund trzymała mocno brzegi futra i nie chciała go zdjąć, aż Cornelia powiedziała:

- Chodź, coś ci pokażę.

Clare poszła za nią do sypialni. Obok łóżka znajdował się tam wieszak z kapeluszami, szalami, chustami, jedną małą futrzaną etolą i kilkoma marynarkami. Cornelia pokazała jej puste miejsce.

- Powiesimy futro tutaj i jeśli tylko zechcesz je mieć w nocy, po prostu je sobie weźmiesz. Nie musisz nawet wstawać z łóżka.

Wtedy Clare zdjęła futro i natychmiast tego pożałowała. Podobało jej się, że czuła się w nim trochę jak niedźwiedź, jakby częściowo była kimś innym, a nie sobą. Podobało jej się, że w nim ma wrażenie, że jest duża i zajmuje sporo przestrzeni. Podobało jej się też to uczucie, że jest obejmowana. No i oczywiście futro należało do jej matki, ale o tym akurat nie chciała teraz myśleć.

Spojrzała na Cornelie, która skinęła zachęcająco głową, więc w końcu powiesiła futro na wieszaku.

Po kąpieli Clare włożyła piżamę, którą przygotowała jej Cornelia - tak piękną, jakby wcale nie była piżamą. Wszystko w mieszkaniu Cornellii jest takie, pomyślała, oglądając się w lustrze. Charakterystyczne i piękne, i tak wyraźnie wybrane. Cornelia stała w sklepie, pozwalając, żeby biały, śliski materiał chłodził jej dłonie i mówiła: „Tamtego nie wezmę, ale wezmę to”.

- Elegancka - powiedziała Clare do swojego odbicia. - Jestem elegancka.

Zauważyła rzeźbione brzegi lustra, guziki w kształcie kwiatków przy piżamie oraz sposób, w jaki materiał chwyta światło.

W ten sposób zakotwiczyła się w danym momencie, w tu-i-teraz, i utrzymywała z dala od siebie przyszłość i nieznane najgorsze możliwe scenariusze. Zatem następnego ranka, kiedy Cornelia powiedziała jej, że weźmie dzień wolny, Clare przemyślała to i spytała:

- A czy mogłabyś mnie zabrać ze sobą do pracy? Będę wszystkim schodzić z drogi. Obiecuję. Nawet nie będziesz wiedziała, że tam jestem. - Uznała, że przebywanie w zwykłym, pełnym krzątaniny świecie, w miejscu z mnóstwem nowych rzeczy i ludzi, którym będzie mogła się przyglądać, będzie dla niej dobre. Kiedy zadała to pytanie, Cornelia najwyraźniej miała ochotę ją uściskać. Clare nie była pewna dlaczego, ale tak jej się wydawało po spojrzeniu, którym Cornelia ją obdarzyła. Jednak zamiast uścisku powiedziała:

- Wiesz co? Zabiorę cię do kawiarni, ale tylko jeśli mi obiecasz, że będziesz wszystkim

wchodzić w drogę, ile zechcesz.

Po tej rozmowie wpadł na chwilę ojciec, żeby zabrać listę, która przygotowała - bardzo szczegółową listę. Niektórym dorosłym mogłaby napisać po prostu „ubrania”, wiedząc, że przywiozą to, czego potrzebuje, ale nie ojcu. Ojciec po wejściu pocałował Cornelie, nazwał Clare Wróbelkiem, a potem spytał, czy zjadła kolację, czy jeszcze potem spała i czy jest coś szczególnego, co mógłby jej przywieźć z domu, mimo że trzymał listę w ręce, kiedy zadawał to pytanie.

Kiedy wyszedł, wcale o nim nie rozmawiali. Za to Cornelia obróciła się do Clare, uśmiechnęła i powiedziała:

- Może ci pożyczę jakieś ciuszki?

Cornelia pozwoliła jej wybierać i w końcu Clare ubrała się w gruby, miękki, jasnoniebieski sweter, sztruksowe spodnie w kolorze czekolady i brązowe kozaczki. Wszystko idealnie pasowało i sprawiło, że Clare poczuła się wytworna i dorosła. Dała się nawet przekonać, żeby zostawić norki na drewnianym wieszaku, a zamiast nich włożyć brązową, zadziwiająco lekką kozuchową kurtkę.

- Wyglądasz cudownie - powiedziała Cornelia.

- Czuję się, jakbym miała na sobie przebranie - wyznała Clare, dodając szybko - ale podoba mi się.

Kiedy Clare rozejrzała się baczniej po kawiarni, stwierdziła, że wszyscy tu wyglądają, jakby byli przebrani, przynajmniej częściowo. Był kowboj. Był mężczyzna z brodą jak u amisa, ubrany w koszulę pracownika stacji benzynowej z naszytym imieniem „Bub”. Był też mężczyzna z kocią bródką i w czarnym berecie, była delikatna blondynka w ogromnych, kwadratowych, czarnych okularach oraz piękna kobieta o kasztanowych włosach, ubrana w niebieską jedwabną cheongsam (Clare wiedziała, że to cheongsam, dzięki zajęciom na temat wielokulturowości prowadzonym w jej szkole) i dzinsy, która wrzucała kawałki ciasta do ust swojej rudowłosej córki siedzącej jej na kolanach w wełnianej sukience z marynarskim kołnierzem, czapeczce i czerwonych butach i machającej władczo do gości, a od czasu do czasu posyłającej całusy.

Do stolika Clare dosiadła się Cornelia. Kiedy mężczyzna w czarnym berecie siedzący przy sąsiednim stoliku wyjął papierosa i zamierzał go zapalić, poklepała go lekko po ramieniu.

- Nie, Egonie - powiedziała, potrząsając karcąco palcem. - Dzieci na pokładzie. Znasz zasady.

Egon warknął jak groźny pies, po czym zwrócił się do Clare.

- Uważaj na nią. To dyktatorka. Rządzi żelazną ręką.

Clare rzuciła mu bardzo poważne spojrzenie i odparła bardzo poważnym tonem:

- Będę. Będę na nią uważać. Dziękuję bardzo. - Egon odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się na cały głos, po czym niedbale narzucił płaszcz i wyszedł na zewnątrz zapalić.

- Czy byłam aż tak zabawna? - spytała szeptem Clare.

- Nie chciałam cię urazić, ale nie. Byłaś zabawna, ale nie aż tak. Nie wiadomo, czy w ogóle coś w historii świata było aż tak zabawne. Tyle że gdyby Egon śmiał się jak normalny człowiek, to czy wszyscy ci ludzie obróciliby się, żeby na niego popatrzeć, i zastanawiali się, jaki świetny żart stracili?

- Nie? - upewniła się Clare.

- Nie - potwierdziła Cornelia. - Czy już umierasz z nudów?

- Podoba mi się tutaj - odparła Clare. - Ale czy tu zawsze wszyscy tak wyglądają?

- Jakby przyszli na przerwę z kręcenia dwudziestu różnych filmów? Przeważnie tak.

Dlatego moja przyjaciółka, Linny nigdy tu nie przychodzi. Poza tym twierdzi, że musiałaby schudnąć z pięć kilogramów, wstawić sobie implanty kości policzkowych i zmienić imię na Luna, zanim ją tu wpuszczymy. Ale wiesz co?

- Dziś przychodzi - domyśliła się Clare.

- Właśnie. I wiesz, co przewiduję? Beznadziejnie zakocha się w... - Wskazała na kowboja.

- Zakocha się w kowboju?

- Nie, nie w Hayesie. Nazywa się Hayes i w sumie nie jest złym facetem, ale nie w nim, tylko w koszuli. Tej okropnej, głupawej, koszarnej koszuli, którą ma na sobie. Linny ona się strasznie spodoba. Będzie jej pożądać.

- Nie pożądać - wyrecytowała Clare.

- Powiedz to Linny - odparła Cornelia.

- Czy mogę ci zadać osobiste pytanie? Cornelia obdarzyła ją smutnym uśmiechem.

- Tego wymaga sprawiedliwość - powiedziała.

Clare nie do końca zrozumiała, co ma na myśli, ale postanowiła jednak zapytać.

- Nie musisz odpowiadać, ale zastanawiałam się, czy skończyłaś studia.

- No - odparła Cornelia. - Studia i dwa miesiące studiów doktoranckich.

- Bo jesteś naprawdę mądra.

- Jestem dość mądra. Ale nie powalająco i oślepiająco mądra - stwierdziła Cornelia.

- To i dobrze. Kto chciałby być powalony i oślepiiony? Ja nie - powiedziała Clare. Tak łatwo i dobrze się rozmawiało z Cornelią. Może to te dorosłe ubrania. Albo dlatego, że z całych sił utrzymuje się w środku chwili i w środku rozmowy. Mówiła teraz rzeczy, które czasem

myślała, ale ich nie wypowiedziała, albo które przychodziły jej na myśl po fakcie.

Cornelia szczerze się roześmiała.

- Mam jeszcze drugą część pytania, ale naprawdę, naprawdę nie musisz na nią odpowiadać - ciągnęła Clare.

- Skoro jestem taka mądra, to dlaczego pracuję tutaj, podając kawę bandzie pretensjonalnych, zapatrzonych w siebie eurofilów?

- Nie zamierzałam powiedzieć „eurofilów” - zaznaczyła Clare.

- Bo jesteś zbyt uprzejma - stwierdziła Cornelia.

- Bo nie wiem, co to znaczy - odparła Clare, a Cornelia znów się roześmiała, po czym spoważniała.

- Kiedy byłam o kilka lat starsza od ciebie, zakochałam się w pewnym filmie.

Filadelfijska opowieść, znasz? - Clare potrząsnęła przecząco głową. - No, to w takim razie wiemy, co się znajdzie na szczycie listy filmów do obejrzenia dla Clare. W każdym razie dlatego przyjechałam do Filadelfii. Czy to nie głupie? - spytała Cornelia. Mówiła to lekkim tonem, ale Clare wyczuła, że pyta poważnie.

- Nie. Pewnie nie miałś powodów, żeby pojechać gdzie indziej, a miałś, żeby przyjechać tu, i przyjechałaś.

- Masz zupełną rację. Wprawdzie akcja filmu nie dzieje się właściwie w Filadelfii, tylko raczej w bogatych miasteczkach na przedmieściach, ale i tak. Pomyślałam, że zobaczę. Po przerwaniu studiów doktoranckich nie wiedziałam, co robić. Chciałam przebywać w towarzystwie interesujących ludzi robiących interesujące rzeczy w interesujący sposób i na interesujące tematy, ale bałam się jechać do Nowego Jorku czy Paryża, więc znalazłam sobie pracę w miejscu, gdzie każdy jest w drodze do jakiegoś fascynującego miejsca lub stamtąd wraca, albo przynajmniej na to wygląda - wyjaśniła Cornelia.

- To brzmi rozsądnie - zgodziła się Clare.

- Jesteś bardzo miłą dziewczynką, Clare. Przyszłam tu do pracy i w końcu zostałam kierownikiem, i nie przychodziło mi na myśl, gdzie indziej mogłabym pójść.

- Myślisz, że tu zostaniesz?

- Nie. Tyle że nie wiem, co dalej robić. Problem ze mną polega na tym, że lubię pracować, a to, co robię, lubię robić dobrze i dokładnie, ale nie mam prawdziwego powołania. W każdym razie jeszcze nie. - Cornelia wydeła policzki, a potem powoli wypuściła powietrze. - Jeśli coś przyjdzie ci na myśl, to powiedz mi, proszę.

- Powiem - obiecała solennie Clare.

Cornelia uśmiechnęła się, po czym zerwała się na nogi i pomachała do kogoś, kto właśnie wszedł do kawiarni.

Clare obróciła się i zobaczyła kobietę w długim bordowym płaszczu spowijającym ją jak kokon, czapeczce Sherlocka Holmesa, szalu w tęczowe paski i wysokich gumowych butach, jakie mężczyźni wkładają, gdy idą łowić ryby. Buty były odblaskowo żółte. Kobieta wyglądała tak, jakby wyszła na przerwę nie z jednego, lecz z czterech różnych filmów.

- To Linny - wyjaśniła Cornelia - a propos powalania i oślepienia.

Ze swojego miejsca przy drzwiach Linny rozejrzała się po kawiarni, a potem spojrzała na Cornelie.

- Chyba stoisz sobie ze mnie żarty! - krzyknęła przez całą salę.

Cornelia skinęła na nią, żeby podeszła. Linny posłuchała i, tupiąc, ruszyła w ich kierunku, zatrzymując się przy Hayesie, żeby przyjrzeć się jego biało-czerwonej koszuli. Cornelia spojrzała porozumiewawczo na Clare.

Kiedy Linny opadła w końcu na krzesło obok niej, ostrzegła:

- Nie zaczynaj. Ani słowa o koszuli.

- *Magnifique!* - wykrzyknęła Linny. - Szczęśliwe drogi mnie tu przywiodły. Ty jesteś Clare. - Clare skinęła głową.

- Ładne kalosze. Muszę iść - powiedziała Cornelia. - Ale nie opowiadaj o mnie, kiedy mnie tu nie będzie, Linny. A ty, Clare, przyjmuj wszystko, co ona powie, ze szczyptą rezerwy. - Linny popchnęła w kierunku Cornelii duży pojemnik z białą substancją w środku i ostrzegła: - Z żartami jak z solą, nie przesadz, bo bolą. - Uśmiechnęła się do niej słodko.

- Ale to jest cukier - odparła Cornelia i zaczęła się odwracać. W tym momencie Clare złapała ją za rękę, więc spojrzała na nią i natychmiast pochyliła się, tak żeby ich twarze były na jednym poziomie.

- Barcelona - powiedziała Clare cicho. - Byłyśmy w samochodzie, a ona płakała i zatrzymała się, żeby mnie wypuścić. Szłam bardzo długo, aż się zrobiło ciemno. A potem jacyś chłopcy podwieźli mnie do domu. Ale ona miała dwa bilety. Do Barcelony. Chciała tam spędzić święta. Więc może tam pojechała.

Cornelia wysłuchiwała jej z idealnym spokojem. Potem ujęła jej twarz w obie ręce i skinęła głową.

- Dobrze. Dziękuję ci. To na pewno pomoże. Dzielna dziewczynka. - Ucałowała ją w czoło, co bardzo zaskoczyło Clare, ale najwyraźniej równie zaskakujące było dla samej Cornelii. Ale to całkiem miłe, uznała Clare i uśmiechnęła się, wprowadzając swobodnym, oślepiającym

uśmiechem, ale i tak był to najlepszy uśmiech, jaki pojawił się na jej ustach od dłuższego czasu. W każdym razie miała wrażenie, że jest prawdziwy.

Kiedy Clare pozostała sama z Linny, z jej kaloszami, kapeluszem oraz zupełnie zwykłym swetrem i džinsami, które wynurzyły się spod ogromnego płaszcza, poczuła się onieśmielona.

- No, teraz kiedy ta zaraza sobie poszła, co ty sądzisz o tej czerwonej kowbojskiej koszuli? Tylko szczerze? Boska, co? - Linny pochyliła się konspiracyjnie.

Clare ponownie spojrzała na koszulę i odparła:

- Cóż, jeśli tobie się podoba, powinnaś go zapytać, gdzie ją kupić.

- Bardzo dyplomatycznie, panienko. Rzeczywiście mogę to zrobić.

- Ma na imię Hayes - wyjaśniła jej Clare.

- Oczywiście, że ma na imię Hayes - mruknęła Linny. - Żadnych normalnych imion w tej knajpie.

Na stoliku przed Clare i Linny zmaterializował się nagle rożek ze śmietaną, tarta z niewiarygodnie nieskazitelnymi owocami na wierzchu i czekoladowy rogalik. Po chwili dołączyła do nich gorąca czekolada dla Clare i kawa z pianką dla Linny. Kiedy Clare się odwróciła, zobaczyła, jak maleńka Cornelia wchodzi pospiesznie za ladę.

- Ona jest karmicielką - odezwała się Linny. - Ma to po swojej matce. Obie wyznają filozofię, że nie ma na świecie takich bolączek, których nie wyleczyłaby odpowiednia porcja dobrego jedzenia, chociaż Cornelia się do tego nie przyzna.

- A więc ona ma matkę - powiedziała Clare z namysłem, jakby do siebie.

- Słyszałaś o Platonie? - spytała Linny po przerwie, w czasie której Odłamała kawałek rożka i go zjadła.

- Tak jakby. W tym roku przerabiamy głównie mity, ale w przyszłym będziemy robić filozofię.

- Mity są lepsze. Wszyscy ci ludzie zmieniający się w różne rzeczy: drzewa, krowy, łabędzie. Myślę, że ja byłabym pawiem. Miło być przez jakiś czas zachwycającym i głupim. W każdym razie mama Cornelii, Ellie, jest platońską formą matki. I moim zdaniem, nie jest za to dostatecznie doceniana. Jej ojciec też jest kapitalny.

- Czy Cornelia jest dziewczyną mojego ojca? - spytała Clare.

- Hmmm. Tak. Powiedziałabym, że to dobre określenie tego, kim jest. Przynajmniej na razie - odparła zadumana Linny z pełnymi ustami.

- Myślisz, że oni się pobiorą? - Kiedy Clare zadała to pytanie, uświadomiła sobie, że odpowiedź na nie jest dla niej niezwykle ważna, choć nie wiedziała dlaczego. Zastanowi się nad

tym później.

Linny wyglądała, jakby wahała się pomiędzy jedną z dwóch odpowiedzi lub usiłowała odgadnąć, którą odpowiedź Clare chciałaby usłyszeć. W końcu westchnęła:

- O tym akurat nie rozmawialiśmy. Ale jeśli chcesz znać moją opinię, to nie, nie sądzę, żeby Cornelia wyszła za twojego tatę. Jednak ja nie zawsze mam rację. Często, ale nie zawsze. Jest nim zauroczona, to pewne.

Clare nie wiedziała, co powiedzieć, ale okazało się to bez znaczenia, bo w tej chwili zerknęła na drzwi do kawiarni, a tam stanął najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego w życiu widziała, wysoki i szczupły, ubrany w granatową gładką marynarską kurtkę i wysokie sportowe buty. Miał jasnobrażową twarz, przydługie włosy i nawet z takiej odległości widziała, że jego oczy mają kolor butelkowej zieleni.

- Och - westchnęła.

Linny obróciła się i też spojrzała.

- Patrzcie, patrzcie, kto się zjawił. Nagle ja też się poczułam zauroczona.

Mężczyzna spoglądał w kierunku lady. Uśmiechnął się.

I nagle ponad gwarem panującym w kawiarni zabrzmiał głos radośnie śpiewający melodię, którą Clare od razu rozpoznała. To był głos Corneli: *Taaayyyyo! Tay-ay-ay-yo-oh!*

Wielu obecnych, w tym Linny i Clare, przyłączyło się do niej, śpiewając:

- *Daylight come and me wanna go home**. Mężczyzna stojący w drzwiach skłonił lekko głowę i uśmiechnął się ponownie.

Clare znów westchnęła. Potem, kiedy goście w kawiarni powrócili do swoich rozmów, mężczyzna przeszedł przez salę do lady, a Cornelia zza niej wyszła i uścisnęli się tak mocno, że Cornelia znalazła się w powietrzu.

* *Daylight come and me wanna go home* (ang.) - „Dzień nadchodzi i chcę iść do domu”.
Fragment piosenki wykonywanej przez Harry'ego Belafonte (przyp. tłum.).

13. Cornelia

Nigdy w życiu tak bardzo się nie ucieszyłam na czyjś widok. Wiem, że to brzmi niezwykle przesadnie, ale to prawda. Dreszczyk podniecenia w kontakcie z nowością. I ja to lubię, i wy. Nie ma to jak dreszcz nowości. Ja jednak jeszcze bardziej uwielbiam dreszcz rozpoznania, a zanim Teo przekroczył drzwi kawiarni, miałam już dość nowości - nowość była przebrzmiałą śpiewką.

Pragnęłam, żeby moje przyjemności były jak najbardziej znajome, a niewiele mogło być bardziej znajomych niż Teo. Chociaż już od dość dawna o nim nie myślałam, jak tylko go zobaczyłam, w tej kurtce, którą miał od wieków, i z włosami opadającymi na oczy, uświadomiłam sobie, że nikt inny nie mógłby spełnić tej roli. Nikt prócz Matea Sandovala. Teo. Taaayyyyo. Mojego szwagra. Malutkiej cząstki domu.

W zasadzie, kiedy się zastanowić, to nieścisle jest powiedzenie, że od dość dawna o nim nie myślałam. Tak naprawdę to nie myślałam bezpośrednio. Bo Teo nie jest jednym z tych niezliczonych znajomych, którzy pojawiają się w moich myślach, pozostają w nich przez pewien czas i znikają. On po prostu w nich jest, jak Linny, moja matka, ojciec czy rodzeństwo. Tak dawno temu, że już nie pamiętam kiedy, zamieszkał w nich na stałe.

Nawet określenie „szwagier” brzmiało dla mnie jakoś fałszywie, i to nie tylko dlatego, że jego potajemny ślub z Ollie dwa lata wcześniej był dla nas kompletnym zaskoczeniem, lecz również ze względu na to, że znałam go od wieków, zanim został moim szwagrem. Jego rodzina zamieszkała w naszym sąsiedztwie, kiedy ja miałam cztery, a Teo siedem lat. Jego ojciec, podobnie jak mój, był lekarzem. Do dziś grywają razem w golfa. Nasze matki zostały najbliższymi przyjaciółkami, należały do klubu ogrodniczego, grały w tenisa i były filarami swojej społeczności - pomimo że w przeciwieństwie do mojej matki, która była po prostu ładną kobietą, mama Teo, Ingrid, była i jest szwedzką blond seksbombą, którą łatwiej można sobie wyobrazić na festiwalu w Cannes wspartą na ramieniu o dwadzieścia lat młodszego słynnego reżysera niż na rozgrywkach Małej Ligi ubraną w pastelowy bliźniak.

Teo i Estrella (jego młodsza siostra, którą wszyscy nazywaliśmy Gwiazdką, co idealnie do niej pasowało) oraz Ollie, Cam, Toby i ja spędziliśmy całe dzieciństwo nawzajem w swoich domach, ogrodach i nawet łózkach, bez najmniejszych podtekstów seksualnych. (Co prawda to Teo obdarzył mnie pierwszym pocałunkiem, ale wyłącznie dlatego, że miałam czternaście lat i czułam rozpaczliwe pragnienie, żeby ktoś mnie pocałował, a po wszystkim podziękowałam mu i wróciliśmy do rzucania się śnieżkami wraz ze wszystkimi dziećmi z sąsiedztwa.) Dlatego „szwagier” w najmniejszym stopniu nie określa naszych relacji. Może już bardziej towarzysz broni. Albo po prostu brat. Niezależnie od nazwy po prostu go kochałam.

Oczywiście nie kochałam go w taki sam sposób jak moja siostra Ollie, chociaż absolutnie nikt z ich otoczenia niczego nie zauważył. Kiedy pewnego bożonarodzeniowego ranka przyjechali do naszego domu w Wirginii jako świeżo poślubiona para, mój ojciec nie uwierzył w to, dopóki nie pokazali mu aktu małżeństwa. „A od kiedy to wy się tak kochacie?” - palnął Cam, któremu zdecydowanie brakuje taktu, choć jest naprawdę miły. Ollie się roześmiała, a Teo

zmieszał, ale żadne z nich nie odpowiedziało, mimo że wszyscy umieraliśmy z ciekawości.

Jednak kiedy tylko minął pierwszy wstrząs, część z nas ogromnie się radowała połączeniem dwójki młodych, miłych, inteligentnych i odnoszących sukcesy młodych ludzi pochodzących z dwóch miłych, inteligentnych i odnoszących sukcesy rodzin, a inni niemal o tym zapomnieli, bo Teo wydawał nam się członkiem rodziny od wieków, a poza tym te dwa zakochane ptaszki nie okazywały sobie zbyt wylewnie miłości w naszym towarzystwie i zachowywały się w stosunku do siebie podobnie jak wcześniej.

Dla mnie różnica polegała tylko na tym, że w moim rodzinnym domu spali w jednym pokoju oraz że w parę dni po Bożym Narodzeniu wyjechali razem do mieszkania Teo w Park Slope, które stało się teraz mieszkaniem Teo i Ollie w Park Slope, chociaż ona, kiedy pracowała, przebywała w swoim mieszkaniu w pobliżu laboratorium.

Jednak widząc Teo w drzwiach kawiarni, nie myślałam o Ollie ani o naszych rodzinach. Prawdę mówiąc, wcale nie myślałam, tylko po prostu czułam - czułam zadowolenie.

Pociągnęłam Teo przez salę, przywlekłam kolejne krzesło do naszego stolika i nieskładnymi ruchami palców pokazałam Jacquesowi, że ma sobie radzić beze mnie, bo przekonałam się, że ludzie lepiej reagują na próby dyrygowania, kiedy ich szef zachowuje się odrobinę idiotycznie, gdy im rozkazuje.

- Wyglądasz cudownie, Teo - zauważyła Linny, której nieco zabrakło tchu. - To znaczy, cześć, Teo. Wyglądasz... cudownie.

Teo jest jedynym mężczyzną we wszechświecie, który potrafi doprowadzić do tego, że zawsze nieubłagane składna w swych wypowiedziach Linny zaczyna się nieco plątać. Moja przyjaciółka twierdzi, że Teo jest najpiękniejszą z żyjących istot ludzkich, że należy wprowadzić zakaz bycia tak pięknym, że Teo promieniuje niezemskim, być może radioaktywnym blaskiem i że sama uroda zapewniłaby mu miejsce po prawicy Boga. Wcale tego nie zmyślam. Linny wielokrotnie wypowiadała te i inne podobne stwierdzenia po ujrzaniu Teo przy różnych okazjach i za każdym razem, gdy to mówiła, jej twarz jaśniała boską ekstazą, niewątpliwie podobną do tej, która odmieniła rysy twarzy sir Galahada, gdy zdobył Świętego Graala.

Moja siostra Ollie, sentymentalna głuptaska, skwitowała jego wygląd krótko: „Krzyżówka ras”, nawiązując do tego, że Teo jest synem Szwedki i Filipińczyka, co dało kombinację genetyczną, która najprawdopodobniej dodatkowo zmniejsza jego podatność na takie choroby jak Alzheimer i malaria. (No, może trochę pokręciłam, ale mówiła coś w tym rodzaju.)

Wprawdzie wiedziałam, że reakcja Linny na Teo jest na granicy poczytalności, ale zdawałam sobie też sprawę, że on rzeczywiście jest przystojny. Tyle że to wiedza tego samego

rodzaju co fakt, że Jerzy Waszyngton był pierwszym prezydentem Stanów Zjednoczonych. Nie wątpiłam w to, jednak piękno można odbierać obiektywnie lub go doświadczać, a ja po prostu nie odczuwałam, że Teo jest piękny. Linny twierdziła, że postrzegam go tak, jak niektóre osoby autystyczne postrzegają wszystkich - jako zbiór oddzielnych cech. Utrzymywała, że widzę sumę jego części, a nie jego jako całość, całość, która zamieniała inteligentne kobiety - nie wszystkie, ale Linny nie była jedyna - w ryczące wariatki. Może miała rację. Kiedy na niego spojrzałam, zobaczyłam spokojnego, zielonookiego mężczyznę z rozczochranymi włosami, którego styl ubioru niewiele się zmienił od czasów szkoły średniej, jeżeli w ogóle. Ale przede wszystkim widziałam Teo, normalnego Teo, w standardowym wydaniu. Zamiast czuć się oślepią nieziemskim światłem, nadal widziałam chłopaka, który spędził całe skwarne lato w kostiumie Spidermana, udając, że potrafi chodzić po ścianach.

- Mnie też miło cię widzieć, Linny - powiedział Teo, najwyraźniej nieświadom tego, w jakie podniecenie wprawił zazwyczaj niewzruszoną Linny. Nawet gdyby to zauważył, niewiele by to zmieniło, bo jego jedyną reakcją na to, jak działa na kobiety pokroju Linny, jest na ogół zakłopotanie, przez co wydaje im się jeszcze bardziej zachwycający. Błędne koło tak głupie, że aż trudno uwierzyć.

- Och, dzięki, Teo - zaszemrała moja przyjaciółka, nieświadomie poprawiając włosy.

- A ciebie nie miałem jeszcze przyjemności poznać - zwrócił się Teo do Clare. Powiedział to zupełnie naturalnie, nie starając się jej oczarować ani jej pochlebiać, ale kiedy zobaczyłam rumieniec na twarzy Clare, zrozumiałam, że niewątpliwie poczuła się oczarowana. Najwyraźniej choroba Linny była zaraźliwa.

- Clare, to jest mój szwagier, Teo. Teo, to jest Clare - przedstawiłam ich sobie. Clare nie mogła wykrztusić słowa, ale energicznie kiwała głową, jakby chciała potwierdzić, że mam rację. Tak, ona jest Clare!

- Dajmy tym dwóm minutkę na odzyskanie równowagi, Teo. Z pewnością będzie im łatwiej, jeśli przez ten czas nie będziesz się do nich uśmiechał - stwierdziłam. - Zatem opowiadaj, co cię sprowadza do mojego pięknego miasta.

- Konferencja medyczna. Niezwykle nudna konferencja. Siedziałem tam, słuchając niezwykle nudnego referatu, i poczułem, że moje kości zaczynają kamienieć. Dlatego wymknąłem się, żeby odwiedzić moją przyjaciółkę Cornelie - odparł Teo.

- Właściwa decyzja. A gdzie jest nasza bogini DNA? Nieubłaganie podąża tropem Nagrody Nobla? - spytałam i może się mylę, ale odniosłam wrażenie, że Teo leciuteńko się zachnął. Przyszło mi na myśl, że ranię go swoim szyderczym podejściem do jego żony, a tego

absolutnie bym nie chciała. On ją kocha, zgańlam się, i powinnam go w pełni rozumieć, bo przecież przez sporą część życia też ją kochałam.

- Coś w tym rodzaju, jak sądzę - odparł z krzywym uśmiechem. - Wyjechała prowadzić jakieś badania. Przez pewien czas jej nie będzie.

- A co z Bożym Narodzeniem? - spytała Clare, która powróciła na ziemię. W jej głosie brzmiał niepokój.

- Osoby osiągające nadzwyczajne wyniki, jak Teo, Ollie i ja, żyją na płaszczyźnie położonej powyżej tego, co wy, ludzie, nazywacie okresem świątecznym - oznajmiła Linny, która również dołączyła do nas na planecie Ziemia, z tym że jej głos brzmiał zgryźliwie.

- No, tak, Ollie rzeczywiście ciężko pracuje - stwierdził Teo. Po chwili się ożywił. - Hej, Cornelio, pamiętasz te święta, kiedy zmuszałaś całą okolicę do oglądania filmu *To wspaniałe życie* dzień po dniu przez chyba miesiąc?

- Nie bądź śmieszny - odparłam.

- Co najmniej miesiąc - upierał się Teo. Zwrócił się teraz do Clare. - Masz szczęście, że wtedy nie było cię jeszcze na świecie, Clare. Ona nawet dzieci w pieluchach wyciągała siłą z ciepłych domów i sadzała przed telewizorem. To było naprawdę brutalne.

Clare się roześmiała - cóż to był za wspaniały dźwięk.

- Ja ją znam dopiero jeden dzień, a już robi dla mnie listę filmów do obejrzenia - zaśmiała się ponownie.

- Pięknie, to teraz jesteście w znowie przeciw mnie. - Sięgnęłam przez stół i uszczypnęłam Teo.

- To dla niej dobrze, nie sądzisz? - spytał Teo Clare. - Mieć kogoś przeciw sobie w znowie?

- Też tak myślę - odparła Clare, kiwając mądrze głową.

- A zatem, jakie ty masz plany na święta? - zwróciłam się do Teo i natychmiast zrozumiałam, że to błąd.

- Żadnych. Moi rodzice spędzają Boże Narodzenie z Gwiazdką w Londynie. Ollie i ja rozważaliśmy wyjazd do twoich rodziców, ale kiedy wyszła ta sprawa z badaniami, postanowiłem, że sam tam nie pojedę. Może wskoczę do nich na kilka dni w styczniu. A ty? Co planujesz na święta? - Wszyscy bardzo się staraliśmy utrzymać lekki ton, tak żeby z twarzy Clare nie zniknął ten słodki uśmiech, ale było nieuniknione, że wcześniej czy później pojawi się to pytanie, pytanie obciążone całą masą innych, wymagających twardych, trudnych odpowiedzi.

„Wiesz, Teo - mogłam odpowiedzieć - ja nie planowałam wyjazdu do domu, bo miałam

pewne podejrzenia, że mój emocjonalnie odległy chłopak kryje dla nas w zanadru romantyczny wypad, w trakcie którego miałam nadzieję zmniejszyć ten emocjonalny dystans, ale wtedy w kawiarni pojawiła się jego córka, o której istnieniu nie miałam najmniejszego pojęcia, a która została właśnie porzucona przez matkę, i siedzi teraz tutaj, taka nieszczęśliwa i urocza, więc nie mam pojęcia, co będziemy robić w święta". Jednak oczywiście tego nie powiedziałam. W ogóle nic nie powiedziałam. Nikt inny też się nie odezwał. Clare opuściła wzrok na środek stołu, potem na własne kolana.

Linny rozejrzała się wokół stołu. Wstała.

- Przepraszam - powiedziała. - Muszę porozmawiać z tym facetem o koszuli. - Zanim odeszła, położyła dłoń na głowie Clare. Wiedziałam, że to nie ucieczka. Powiedziałam jej dostatecznie dużo o Clare, by zdawała sobie sprawę, że historia dziewczynki - nawet ten niewielki wycinek, który znałam - jest przepełniona smutkiem i jeśli choćby jej część miała być opowiedziana w tej zatłoczonej kawiarni, to im mniejsza będzie publiczność przy stole, tym lepiej. Dlatego Linny ruszyła w kierunku Hayesa, wołając: - Halliburton!

Clare uniosła oczy w górę i napotkała moje spojrzenie.

- On ma na imię Hayes - powiedziała bezbarwnym głosem.

Mimowolnie westchnęłam.

- Wiem - odparłam. Banałem jest stwierdzenie, że powietrze było aż gęste od wypowiedzianych słów, ale czasem banały też są prawdziwe. Trudno mi było oddychać.

- Clare - odezwał się cicho Teo - uważaj. - Wyjął ćwierćdolarówkę i zaczął ją obracać między palcami jednej dłoni, a potem drugiej, w przód i w tył. Widziałam już wcześniej, jak robi tę sztuczkę, widziałam ją też wykonywaną przez innych, choć zazwyczaj tylko jedną ręką, i wiedziałam, że nie jest wcale specjalnie trudna. Tyle że Teo robił ją wyjątkowo dobrze, tak że moneta przelewała się jak woda nad jego długimi palcami. Znużonemu, cierpiącemu dziecku mogła się wydawać cudem.

Oczy Clare się rozszerzyły.

- Czy mógłbyś mnie tego nauczyć? - niemal szepnęła i chociaż nic się nie wyjaśniło, powietrze w sali odzyskało normalną gęstość.

Ćwiczyli z dziesięć minut i Clare nie szło za dobrze, ale to nie miało znaczenia, bo z każdą minutą coraz bardziej wyglądała na jedenastoletnie dziecko. Musiałam odejść, żeby sprawdzić, jak radzi sobie Jacques, a kiedy wróciłam, Teo wyjaśniał:

- Są dwa etapy. Najpierw musisz się nauczyć, jak to robić. A następnie zapomnieć, jak to się robi, i po prostu robić. Wyłączyć umysł i zaufać rękom. - Clare skinęła głową i mogłabym

przysiąc, że zapisuje to sobie w myślach, słowo po słowie.

A potem zrobiła coś zadziwiającego. Włożyła ćwierćdolarówkę między dłonie, splotła je mocno, zamykając monetę wewnątrz, i spytała:

- Teo, czy znałeś kogoś, kto zwariował?

Pytanie było zaskakujące, lecz Teo nie wyglądał na specjalnie zdumionego. Był raczej zamyślony.

- Tak, znałem.

- Czy kiedykolwiek im się poprawiło? - pytała dalej Clare.

- Tak. Tym, których znałem, tak. Ci, których znałem, byli sobą przez długi czas, a potem zaczęli się zmieniać. Robił im się mętlik w głowie albo zapominali różne rzeczy lub też zachowywali się w sposób, którego byś się po nich nie spodziewała. Czasem nawet byli przerażający.

- Przestali być sobą - podsumowała Clare. Nie odrywała wzroku od twarzy Teo. On również cały czas na nią patrzył.

- Cóż, nie, niezupełnie, choć tak mogło się wydawać. Nadal mieli w środku to wszystko, co sprawiało, że byli sobą i nikim innym. Żyli i kochali ludzi, a wszystko to gdzieś tam było.

- Naprawdę myślisz, że nadal kochali tych ludzi, których kochali, gdy byli zdrowi? - spytała.

- Naprawdę. Może trudno im było dotrzeć do tej miłości i nie zachowywali się tak, jak zazwyczaj dyktowała im to miłość, ale miłość nie zniknęła. Mowy nie ma. U ludzi, których znałem, doszło po prostu do tego, że delikatna równowaga pomiędzy różnymi związkami chemicznymi w mózgu została zakłócona, tak że było za dużo pewnych rzeczy, a za mało innych.

- To coś jak bycie chorym?

- Dokładnie jak bycie chorym. A lekarstwa i dobrzy, umiejący słuchać lekarze pomogli im wyzdrowieć.

- Czy wszyscy zdrowieją?

Teo się zawahał.

- Nie wszyscy. Ale bardzo wielu ludzi tak. A naukowcy cały czas pracują nad tym, jak pomóc, żeby nawet najbardziej chorzy mogli wyzdrowieć. - Dzięki spokojnemu, równemu głosowi Teo ta odpowiedź nie stała się ogromnym dzikim obszarem. Obserwowałam, jak Clare się w nią zanurza i wychodzi po drugiej stronie nietknięta. Potem odłożyła monetę i chwyciła krawędzie stołu obiema rękami.

- Z moją mamą tak jest. Zaczęła się zmieniać na początku października. Mieszkałyśmy

tylko we dwie w naszym domu i patrzyłam, jak z każdym dniem jest z nią gorzej. Kupowała najrozmaitsze dziwne rzeczy i zabrała mnie ze szkoły w środku dnia bez żadnego powodu, a raz dała mi wino. - Słuchałam jej zdumiona. Miała niezwykle wyrazistą twarz, a w jej ciemnych oczach, w układzie szczęk i na gładkim czole malował się jednoznaczny wyraz: zaufanie. Widziałam jego przeblysk już wcześniej, kiedy Clare opowiedziała mi o Barcelonie. Tym razem nie był to przeblysk, tylko niezachwiany płomień zaufania, świecący prosto na Teo. W innej sytuacji mogłabym poczuć się urażona - dlaczego Teo, a nie ja? - ale teraz to nie miało najmniejszego znaczenia. Dobry wybór, Clare, pomyślałam, grzeczna dziewczynka.

- Musiało ci być strasznie ciężko - odezwał się Teo, a Clare skinęła głową. W jej oczach błyszczały łzy. Jednak nie było żadnej burzy, żadnego załamania. Łzy nawet nie spłynęły z oczu.

- Przestała się o mnie troszczyć. Zawsze wspaniale się mną opiekowała, naprawdę wspaniale, i przestała. Ale ona tego nie chciała. Dlatego musiałam się starać, żeby nikt nie odkrył, że jest chora.

- Bo się bałaś, że inni nie zrozumieją, że może mieć kłopoty?

Clare skinęła głową.

- Odebrała mnie ze szkoły ostatniego dnia przed wakacjami i znów była inna. Dziwna w inny sposób niż poprzednio. Stale płakała i powtarzała, jak jest jej przykro. A potem wysadziła mnie na poboczu. Dlatego jestem tutaj.

- Czy Cornelia jest przyjaciółką twojej mamy? - spytał Teo.

- Nie, jej ojciec jest moim... - zaczęłam. Przerwałam, przeglądając w myślach standardowe etykiety, przeglądając i odrzucając. Nagle te wszystkie określenia wydały mi się szerokie i niezręczne, miały zbyt wielką wagę lub zbyt małą. Przeszły mi przez myśl moje ulubione imiona alegorycznych postaci z *Widzenia o Piotrze Oraczu*: Tom-Prawdomówny-Nie-Opowiadaj-Mi-Bajek-Ani-Kłamstw-Z-Których-Miałbym-Się-Smiać-Bo-Nigdy-Ich-Nie-Lubiłem.

Dokładnie takiej precyzyjnej nomenklatury potrzebowałam, ale zanim zdążyłam cokolwiek wymyślić, wtrąciła się Clare.

- Chłopakiem. Cornelia jest dziewczyną mojego ojca - wyjaśniła.

- Rozumiem - odparł Teo, ale oczywiście nie rozumiał, przynajmniej nie wszystkie zawilości, a ja oparłam się pokusie, żeby mu wytłumaczyć. Dlaczego chciałam wyjaśniać Teo coś, co nawet dla mnie samej nie było jeszcze jasne? Tak do końca to nie wiem, ale siedziałam przy tym stole i słuchałam, co mówi dwójka najodważniejszych i najuczciwszych ludzi, jakich znam. Być może sama też chciałam być odważna i uczciwa. Na razie jednak dałam sobie spokój.

- Wiesz, co myślę? - zaczęła Clare, a twarz jej się rozjaśniła. - Myślę, że powinieneś

spędzić święta z nami, Teo. Mogę spać z Cornelią w jej łóżku, a ty na kanapie. - Przypomniała sobie o czymś i zwróciła się do mnie: - Jeżeli tobie to nie przeszkadza, Cornelio.

Roześmiałam się.

- Mnie to nie przeszkadza.

Clare odwróciła się ponownie do Teo.

- To naprawdę duża kanapa - dodała.

Skierowany do niego uśmiech zamienił ją w dziewczynkę, której mogłaby się oprzeć tylko osoba o kamiennym sercu, toteż Teo nie miał najmniejszych szans.

14. Clare

W kuchni Corneli Teo uczył Clare siekać.

Kiedy Cornelia była jeszcze w pracy, oni obeszli razem chińską dzielnicę i kupili duży worek aromatycznego ryżu, małe żółte mango oraz składniki do filipińskiej potrawy pancit z makaronu ryżowego. Doskonale się bawili, wybierając desery, jakich Clare nigdy jeszcze nie próbowała, przyrządzone z zaskakujących składników, takich jak ryż, mleko kokosowe i co najdziwniejsze, z różnych warzyw korzeniowych, na przykład manioku, słodkich ziemniaków oraz fioletowych jamsów o nazwie ube.

Szorstka, starsza kobieta w piekarni pozwoliła Clare spróbować różnych deserów, żeby mogła się zdecydować, jednak najpierw zastrzegła, że normalnie tego nie robi, i doskonale odegrała swoją niechęć. Clare wiedziała, że tak naprawdę chce to zrobić, bo Teo ją o to poprosił. Powiedział jej, że jego ojciec pochodzi z Manili, i pozwolił jej, żeby groziła mu palcem i żartobliwie dokuczała na temat zielonych oczu i nieznamomości języka tagalog.

Teo nauczył Clare jednego z niewielu zwrotów, które znał w tym języku - *Maligayang Pasko*, co znaczyło „wesołego Bożego Narodzenia” - a tuż przed wyjściem ze sklepu wziął dłoń kobiety, przycisnął ją sobie lekko do czoła i powiedział: *Salamat*, czyli „dziękuję”. Wyjaśnił później Clare, że taki gest nazywa się błogosławieństwem i wykonują go dzieci, żeby okazać szacunek dorosłym. Clare niezmiernie się on spodobał. Kiedy nikt nie patrzył, wypróbowała go, podnosząc jedną dłoń w rękawiczce drugą.

Kiedy już wszystko kupili, Clare ciągnęła zakupy do mieszkania w małym wózku Corneli, a Teo niósł na ramieniu worek z ryżem jak Święty Mikołaj, tyle że wyglądem zupełnie go nie przypominał. Zdaniem Clare, nikt na świecie nie wyglądał tak jak on, ale uświadomiła sobie też, że nie poświęca każdej sekundy na zachwywanie się jego urodą, co wydawało jej się

nieuniknione, kiedy po raz pierwszy ujrzała go na progu kawiarni.

Natomiast kiedy tak szli razem ulicami pełnymi bożonarodzeniowych dekoracji, zachwycała się tym, jak jest jej łatwo. Po raz pierwszy od bardzo długiego czasu nie czuła napięcia w mięśniach karku i między łopatkami. Jej ciało było znowu sobą, a nie ciężarem, który musiała dźwigać z miejsca na miejsce. Nie odczuła bólu na widok ogromnej choinki przy budynku sądu ani czerwonych, zielonych i złotych ozdób świątecznych, ani girland i lampek owiniętych wokół wszystkiego, co możliwe na Broad Street i Walnut - a tak się tego obawiała. Nad wszystkim rozciągało się niebo w jednolitym kolorze czystego błękitu, jak świeżo uprane prześcieradło. Pod tym niebem, oddychając zapowiadającym mróz powietrzem, potrafiła nawet bez wpadania w panikę pomyśleć o mamie i wszystkich Gwiazdkach, które spędziły, spacerując razem po tych ulicach.

Clare nie należała do tych dzieci, które po spędzeniu jednego poranka w kawiarni na rozmowach z dorosłymi nabierają pewności, że wszystko będzie w porządku. Jednak po rozmowach z Cornelią i Teo znalazła się w świecie, gdzie „w porządku” stało się realną możliwością, a przestało być odległym, majaczącym za mgłą wszechświatem, do którego nigdy już nie wróci. Obserwując idącego przed nią Teo, który z workiem na ramieniu odwrócił się, żeby się do niej uśmiechnąć, zrozumiała nagle, na czym polega różnica, jak prosta zmiana nastąpiła: przez długi czas była samotna, a teraz już nie była sama.

Przyspieszyła kroku i zrównała się z Teo. W zasadzie to nie chciała rozmawiać. Podobała jej się atmosfera niekrępującego milczenia, w której maszerowali, ale musiała zadać jedno pytanie.

- To jest w porządku, żebyś czuła się szczęśliwa, tak? - Miała nadzieję, że on zrozumie, o co jej chodzi.

- Tak. Jak najbardziej w porządku - odparł, nie patrząc na nią ani nie zwalniając kroku. Uśmiechnął się tylko bardzo osobistym uśmiechem - raczej oczami niż ustami - bardziej do siebie niż do niej. Potem spytał: - Jak sobie radzisz z siekaniem?

Jak się okazało, całkiem nieźle. Kiedy Teo pokazał jej, jak to robić, poruszała nożem w górę i w dół jak huśtawką nad szczypiorem, zostawiając szlak małych, w miarę równych kawałków.

- To coś w rodzaju sztuczki z ćwierćdolarówką, co? Wyłączasz umysł i ufasz dłoniom? - spytała.

- Mniej więcej. Jednak na tym etapie lepiej nie ufaj za dużo dłoniom - odparł z uśmiechem Teo.

Teo radził sobie z tym świetnie. Był jednocześnie szybki i opanowany i fascynujące było patrzeć na jego ruchy. Cyk, cyk, cyk i marchew zmieniała się w rządęk plasterków zachodzących na siebie jak przewrócone domino, wszystkie tej samej grubości.

- Ale się popisuje! - zawołała Cornelia z kanapy.

- Jesteś chirurgiem? - spytała Clare, której nieco brakowało powietrza od samego obserwowania go.

Teo się roześmiał.

- Gdyby jakiś chirurg ciął w ten sposób, szybko przestałby być chirurgiem. Nie, moja specjalizacja to radiologia terapeutyczna.

- A co to znaczy? Promienie rentgenowskie?

- On jest onkologiem - włączyła się Cornelia, która akurat podeszła do stołu i wrzuciła sobie kawałek marchewki do ust. - Leczy chorych na raka, tyle że nie lubi tego mówić.

- Ale przecież leczenie pacjentów chorych na raka jest dobre - zdziwiła się Clare.

- Oczywiście, ale wypowiedzenie słowa „rak” może zepsuć najlepsze przyjęcie. Nieraz byłam tego świadkiem - wyjaśniła Cornelia. - „Dostaw jeszcze jedno krzesło, kochanie. Śmierć przyszła w gości!”

- To działa jak zaklęcie. Mówisz to słowo i natychmiast wszyscy wpadają w przygnębienie - dodał Teo, siekając suchą chińską kiełbaskę zupełnie bez wysiłku, jakby się podpisywał lub tasował talię kart.

- To może zostać kierownikiem kawiarni. Kiedy ja mówię, że zarządzam kawiarnią, natychmiast wszyscy wokół mnie myślą sobie, że nie wykorzystuję swoich możliwości - zauważyła Cornelia.

Właśnie kiedy Clare zaczęła się martwić, że być może nawiązuje do jej słów z dzisiejszego poranka, Cornelia objęła ją za ramiona i uścisnęła.

- Tylko czasem nie myśl, że mówię o tobie, kotku. Poza tym są gorsze rzeczy, które ktoś może sobie o mnie pomyśleć. To przynajmniej sugeruje, że jestem zdolna osiągnąć znacznie więcej. O wiele, wiele więcej.

- Z drugiej strony, może sobie pochlebiasz. Może oni myślą po prostu, że jesteś nieudacznikiem - wtrącił niewinnym tonem Teo, co dla Clare było szokiem, ale Cornelia roześmiała się tylko i rzuciła w niego kawałkiem kiełbaski. Trafiła go prosto między oczy.

- Pamiętasz, jak kilka godzin temu powiedziałam, że jesteś miłym facetem? Teraz to cofam i wymazuję.

- Opowiem ci historię Cornellii - zaczął Teo, zwracając się do Clare.

- Och, to piękny sposób rozpoczęcia czegoś, co z pewnością będzie udaną próbą zniesławienia - stwierdziła Cornelia.

Clare przestała już się denerwować ich wzajemnymi złośliwościami. Wyobraziła sobie, że kiedyś ona też będzie miała przyjaciela, z którym będą się wzajemnie tak bardzo szanowali i będą tego tak pewni, że będą mogli powiedzieć sobie wszystko.

- Historia Corneli i zaczyna się od tego, że jest ona bezsprzecznie inteligentna.

- Bezsprzecznie. Nie można się o to sprzeczać - zgodziła się Cornelia.

- Kiedy dorastaliśmy, wszystkie dzieciaki z naszej okolicy musiały wysłuchiwać: „Dlaczego nie przynosisz takich ocen jak ta mała Cornelia Brown?”

- „Mała” jest tu najważniejszym słowem - wtrąciła Cornelia. - Kiedy masz trzynaście lat, a wyglądasz na dziewięć, rozwijasz to, co możesz rozwinąć.

- Jest również bardzo utalentowana. Jednak ulubione talenty, które postanowiła w pełni wykorzystać, niestety nie nadają się do robienia kariery - ciągnął Teo.

- Łatwej - poprawiła go Cornelia. - Nie nadają się do robienia łatwej kariery.

Teo uniósł wzrok znad deski do krojenia i obdarzył Cornelię złośliwym uśmiechem. Clare niemal wydała z siebie stłumiony okrzyk, ale w ostatniej chwili zablokowała ten dźwięk w tylnej części gardła i tam go trzymała, jak dziecko, które przyłapano z papierosem trzyma pełne usta dymu. Tłumaczyła sobie, że przyzwyczaiła się już do urody Teo, ale najwyraźniej się myliła. Zanim uświadomiła sobie, że wstrzymuje oddech, musiała zacząć dyszeć, żeby złapać dość powietrza. Kiedy zauważyła, że Cornelia to dostrzegła, zamieniła dyszenie w kaszel.

- Podczas gdy reszta z nas była w szkołach medycznych, prawniczych i biznesowych czy na studiach doktoranckich - kontynuował Teo - Cornelia również pilnie studiowała, tyle że takie przedmioty, jak sztuka zabawnej konwersacji, sarkazm i błyskotliwość. Czy coś opuściłem?

- Poczucie humoru. Przyznaj mi chociaż poczucie humoru. A także lekkie traktowanie poważnych spraw. No i sztuka pochlebstwa, sarkastycznego oczywiście - uzupełniła Cornelia, udając, że liczy na palcach.

- I własny styl. Według moich źródeł Cornelia nie tarza się w pieniądzach, ale zawsze charakteryzował ją doskonały gust. - Teo wskazał ruchem ręki mieszkanie.

- Naprawdę - przytaknęła entuzjastycznie Clare. - Masz wspaniały styl. Wspaniałe talerze i piżamy.

Cornelia roześmiała się.

- Za późno się urodziłam. Mogłabym być fantastyczną kurtyzaną. - Potem spojrzała na Teo z poważnym, pełnym zastanowienia wyrazem twarzy. - Ale coś w tym jest, Teo. Masz rację.

Tak właśnie jest. To, co opowiedziałeś, to moja historia.

- Oczywiście - odparł Teo.

- Po prostu nigdy nie sądziłam, że ktoś jeszcze o tym wie. Z góry przepraszam, że to, co powiem, zabrzmii jak słowa jakiejś idiotki z liceum, ale chciałabym jednak powiedzieć, że to naprawdę... mnie wzięło. - Przy ostatnich słowach przycisnęła ręce do serca i nadała głosowi wysokie, egzaltowane brzmienie, ale tak naprawdę wcale nie żartowała.

Teo wzruszył ramionami, mruknął:

- Przeprosiny przyjęte - i spojrzał na posiekane mięso i warzywa. Jego twarz przybrała zadowolony, a jednocześnie nieśmiały wyraz, tak jak wówczas gdy stanął w drzwiach kawiarni. Teo, Cornelia i Clare stali tak przez chwilę w milczeniu - Teo patrząc na warzywa, Cornelia na Teo, a Clare na nich oboje. Przez kilka sekund Cornelia czuła się tak miło i spokojnie, i normalnie, jakby znalazła się nagle w potokach słonecznego światła w znajomym miejscu. W domu. Przez kilka chwil miała wrażenie, jakby to miejsce było domem.

Potem rozległo się pukanie do drzwi, Cornelia otworzyła i zobaczyli ojca Clare. Zanim zauważył, że w kuchni jest ktoś jeszcze, objął Cornelię i schylił się, żeby położyć jej na chwilę głowę na ramieniu, a wyprostowując się, ucałował ją w czubek głowy. Kiedy się odsunął, ramiona opadły mu bezwładnie wzdłuż boków, a Clare zauważyła, że jego twarz ma poważny, może nawet smutny wyraz. Wyglądał na zmartwionego, w każdym razie w jego oczach widoczna była troska. Clare przypomniała sobie, jak ojciec mówił, że uczy się czytać w twarzy Cornellii. Ona sama niezbyt się znała na wyrazie twarzy ojca, ale uczucie, które ta twarz odzwierciedlała, było prawdziwe, tego była pewna.

Potem ojciec ją dostrzegł, a po chwili zauważył też Teo.

- Cześć wszystkim - powiedział, a smutek natychmiast zniknął z jego twarzy. Jego uśmiech był pewny siebie, wyczekujący i idealnie symetryczny.

- Cześć - odparła Clare. Jednak po chwili, ponieważ przed chwilą widziała jego smutek, kiedy tak stał w płaszczu z rękami zwisającymi w rękawach i zrobiło jej się go żal, a to uczucie w stosunku do ojca było dla niej czymś nowym, i dodała: - Tato.

- Martin, to jest Teo Sandoval, mąż mojej siostry Ollie. Pojawił się dziś rano w kawiarni głodny i z kamieniejącymi kośćmi, więc zabrałyśmy go do siebie - powiedziała wesoło Cornelia.

- Teo, to jest Martin Grace.

- Miło cię poznać, Teo, ze skamieniałymi kośćmi i wszystkim innym. - Ojciec Clare wyciągnął rękę. - A może już z nimi lepiej?

Teo potarł dłońią o dłoń, po czym uściśnął dłoń Martina.

- Z kośćmi jest lepiej, ale za to ręce mam całe w czosnku. Przepraszam.

- Co się gotuje, Wróbelku? - Ojciec odpiął płaszcz, a Cornelia zsunęła mu go z ramion. Przerzuciła go przez oparcie kanapy, ale po chwili podniosła.

- Zostaniesz na kolacji, Martin? - spytała. - To znaczy, oczywiście zostaniesz na kolacji. - Przegarnęła dłonią włosy, po czym powiesiła płaszcz do szafy.

Clare uświadomiła sobie, że opowiada ojcu o wyprawie na zakupy z Teo i jak wieźli je z powrotem w wózku, a Teo niósł worek ryżu na ramieniu, i o potrawie, którą gotuje wraz z Teo. W tej chwili łatwo jej się z nim rozmawiało i przypominała sobie, że w przeszłości przeważnie też tak było. Przez większość życia oddzielał ją od ojca taki dystans, tyle było między nimi wolnej przestrzeni, że bez trudu mogła ją wypełniać historyjkami i potokiem informacji, bo opowiadanie mu czegokolwiek nie miało w zasadzie znaczenia. Trudności pojawiły się, dopiero kiedy chciała, żeby ją polubił, co na przestrzeni lat zdarzało się od czasu do czasu, kiedy czegoś od niego potrzebowała, czyli tylko ostatnio, oraz kiedy była na niego wściekła, tak jak wczoraj. Na razie ta furia ją opuściła. Znow stał się dla niej niemal obcym człowiekiem, jakim był zawsze.

Opowiedziała mu też o błogosławieństwie Teo dla kobiety w piekarni.

- Może mu pokażesz? - zaproponował Teo. Dzięki temu Clare mogła w końcu zrobić to, czego pragnęła od wyjścia z piekarni. Podeszła do Teo, ostrożnie wsunęła swoją dłoń wnętrzem do góry pod jego, uniosła jego rękę i dotknęła nią swojego czoła. Teo uśmiechnął się do niej, ale potem szybko zerknął na jej ojca. Clare zauważyła na twarzy Teo niepokój. Zdumiona również obejrzała się na ojca. Stał oparty niedbale o ścianę, z jedną nogą skrzyżowaną z drugą, i opowiadał właśnie o jakimś innym kraju, który odwiedził, gdzie dzieci wykonywały podobnie czarujący gest. Z ojcem było wszystko w porządku.

Mimo to była zadowolona, że gotowanie absorbuje ją na tyle, by nie musiała zbyt dużo z nim rozmawiać. Teo pokazał jej, jak obierać krewetki i usuwać z nich żyłę, a potem je kroić wzdłuż. Kiedy się tym zajmowała, on siekał ugotowaną wieprzowinę i kurczaka i szatkował kapustę. Bardzo jej się podobał dźwięk, jaki wydawał ostry nóż, przechodząc przez kapustę. Potem Teo obciął jeszcze końce strączków groszku bezłykowego.

Podczas gdy oni gotowali, Cornelia przygotowała dwa talerze przekąsek: trójkąty żółtego sera, kromki bagietki, mandarynki i winogrona tak ciemne, że niemal czarne. Jeden talerz zostawiła w kuchni dla Teo i Clare, a drugi ustawiła na stoliku do kawy, po czym usiadła obok ojca na kanapie.

Zajęła miejsce w sporej odległości od niego, a wówczas ojciec Clare wyciągnął rękę i położył jej na karku, jakby chciał ją do siebie przyciągnąć. Cornelia nie przysunęła się bliżej, ale

uniósła rękę i krótko ścisnęła mu dłoń. Potem wzięła mandarynkę i zaczęła obierać zręcznymi, delikatnymi dłońmi. Clare pomyślała, jak bardzo niezadowolony musi być jej ojciec. Gdyby to wszystko się nie stało, gdyby jej tu nie było, miałby Cornelie wyłącznie dla siebie. Zapewne zaplanował dla nich wspaniałe święta - romantyczne. Clare wyobraziła sobie podróż samolotem i pudełka schowane w kolejnych pudełkach. Chociaż nie chciała z nim być, a tym bardziej nie chciała, żeby jej mama zachorowała i zostawiła ją samą, poczuła krótki przyływ złośliwej satysfakcji. Nawet jej ojciec nie mógł mieć zawsze wszystkiego tak, jak by chciał.

Cornelia podała mu połowę obranej mandarynki. Jednak on, zamiast ją zjeść, kołysał nią w złożonych dłoniach.

- Rozmawiałem z Lloydem. Miał dla nas dobrą wiadomość, że bilety do Barcelony nie zostały wykorzystane. Właściwie to nic nie wskazuje na to, żeby Viviana wsiadła do jakiegokolwiek samolotu. Jest też zła wiadomość.

Zanim odebrała Clare ze szkoły tego ostatniego dnia, podjęła z konta dużą sumę. Trudno będzie ją wytropić, jeśli będzie płaciła gotówką, a nie kartami.

Clare miała ochotę zawołać do niego: „Ja tu jestem, słyszę cię. Nie jestem głucha, chyba o tym wiesz?”

Tymczasem Cornelia natychmiast przeniosła uwagę z ojca Clare na nią. Ich oczy się spotkały.

- Clare - powiedziała Cornelia, przywołując ją ruchem ręki - twój tata akurat opowiada mi o poszukiwaniach twojej mamy. Przyjdiesz do nas?

Na twarzy ojca pojawił się wyraz zaskoczenia, który oburzył Clare. Nigdy nie uświadamiał sobie, jaka jest już duża. Przypomniała sobie, jak jechała z nim samochodem poprzedniego poranka po opuszczeniu jej pustego domu, a on stwierdził:

- Jestem pewien, że filiżanka dobrej gorącej czekolady zaraz poprawi ci nastrój. - Teraz wyobraziła sobie, że myśli: Dziecko jest tam, zajęte swoim makaronem i krewetkami i nie zauważy, że dyskutujemy o jego życiu tuż pod jej nosem.

- Nie, dzięki - odparła nonszalancko. - Może potem mi to powtórzysz, Cornelio. - Wrzuciła sobie do ust winogrono, odwróciła się do nich plecami i właśnie marzyła w duchu, żeby mieć czym zająć ręce, kiedy Teo wręczył jej wielką patelnię i spytał:

- Gotowa?

Przysmażając czosnek i cebulę, starała się wyrzucić z myśli wszystkie uczucia poza zadowoleniem, że matka nie wyjechała z kraju. To, czego nie wiedzieli o miejscu jej pobytu czy o tym, co teraz robi, usiłowało się wcisnąć, niosąc ciemność i zgiełk, ale zmuszała się, żeby to

ignorować, żeby to wypchnąć i zatrzaskać drzwi. Dopiero kiedy Teo położył rękę na jej dłoni, w której trzymała śmieszna metalowa łopatkę przypominająca dziecięcą zabawkę, uświadomiła sobie, jak mocno ją ściska.

- Tak to się robi - powiedział, przewracając czosnek i cebulę na patelni. - Świetnie.

Pancit był pyszny - wszyscy tak twierdzili, nawet Teo i Clare, a właściwie szczególnie Teo i Glare. Clare oznajmiła, że jest to lepsze niż spaghetti, lo mein, pad thai i szpecle razem wzięte, a Cornelia pogratulowała jej tak wyrobionego podniebienia.

- Kiedy ja miałam jedenaście lat nie odróżniałam szpeceli od precli - powiedziała.

- Albo pad thai od patatów - dodał ojciec Clare.

- Albo lo mein od Rogaine - dorzuciła Clare to, co jej wpadło do głowy w mgnieniu oka, i wszyscy się roześmieli.

- Czy kiedy byłeś mały, twoja mama to gotowała? - spytała Clare Teo.

- Mój tata to robi. Moja mama nieraz opowiada, jak zanim się pobrali, przyjechał ją poznać cały desant ciotek mojego ojca. Przywiozły jej duży pierścionek z perełkami i inne rzeczy, które miała włożyć na ślub, ale ona szybko się domyśliła, że to tylko pretekst. Tak naprawdę to przyjechały nauczyć ją gotować.

- I nauczyła się? - zainteresowała się Clare.

- Pewnie. Nauczyła. Ale po ślubie ciotki wsiadły do samolotu, a ona szybko wszystko zapomniała. Przekazała kuchnię ojcu, za co jesteśmy jej dogonnie wdzięczni - odparł Teo.

Cornelia pogroziła mu widelcem i zaczęła gwałtownie przeżuwać to, co miała w ustach, żeby mu odpowiedzieć.

Teo jęknął i ze szczękiem odłożył widelec pełen jedzenia z powrotem na talerz.

Cornelia w końcu przełknęła i z wyrzutem krzyknęła:

- Teo!

Teo wywrócił oczami, po czym uniósł w górę palec wskazujący.

- Jedno danie - oznajmił. - Jedno.

- Nie mam zamiaru tego wysłuchiwać. Ingrid Sandoval jest wspaniałą kucharką! Super! - zawołała z oburzeniem Cornelia, ale jej twarz promieniała, ożywiona i rozświetlona powstrzymany śmiechem.

Teo roześmiał się i potrząsnął głową.

- Jedna potrawa. A właściwie to nawet nie jest potrawa - wyjaśnił Clare i jej ojcu.

- Szwedzkie naleśniki. Za naleśniki mamy Teo można by umrzeć - oświadczyła Cornelia, piorunując go wzrokiem. - Ilekroć spałam w domu Teo, jego mama robiła je dla mnie. Naleśniki

na kolację, co w moim domu byłoby odstępstwem od normy równorzędnym z przycinaniem krzewów na golasa. Naleśniki na kolację to było coś niebiańskiego.

Clare zauważyła, że jej ojciec obserwuje przerzucających się słowami Cornelię i Teo, a jego wzrok przenosił się z jednego na drugie, jakby oglądał mecz tenisowy. Na jego twarzy widniał pełen rozbawienia uśmieszek, ale widziała w niej również niepewność, jakby czuł się odrzucony - tylko odrobinę, ale do dzisiejszego dnia nigdy nie widziała go w innym stanie niż pewnego siebie i w centrum zdarzeń.

- Z cukrem pudrem i borówkami? - spytał.

Clare to zaskoczyło, a potem zirytowało. Naleśniki należały do Corneli i Teo, nie do niego.

- Z borówkami, kiedy udało się je dostać, ale zazwyczaj z truskawkami - odparł Teo.

- A czasem z syropem truskawkowym. Pamiętasz syrop truskawkowy? A naleśniki były cienkie, tak cieniutkie, że aż szeleściły, szeleściły... - głos Corneli zamarł, a ona bezwładnie opadła na krzesło i zamknęła oczy.

- To straszne, co spotkało Cornelie - odezwał się Teo. - Śmierć z powodu naleśników.

- Śmierć z powodu wspomnienia naleśników, w zasadzie przez wirtualne naleśniki.

Biedna dziewczynka - poprawił go ojciec Clare, a przynajmniej jej się tak zdawało i natychmiast zapłonęła w niej uraza. Odwróciła się do Teo, ale on nie podzielał jej uczuć. Uśmiechnął się do niej, a wówczas zauważyła, że brwi ma ciemniejsze niż włosy, proste jak myślники, lecz ułożone lekko ukośnie ku górze. *Accent grave, accent aigu*, pomyślała. Jednak nawet rozmyślając o brwiach Teo, czuła, jak tli się w niej gniew na ojca.

Cornelia usiadła prosto, zamrugnęła, a potem obdarzyła wszystkich uśmiechem człowieka obudzonego z przyjemnego snu.

- Ona żyje! - wykrzyknął ojciec Clare. - I bardzo dobrze, bo musimy omówić ważne sprawy.

Clare podniosła się gwałtownie i nawet nie spojrzawszy na ojca, wyszła, żeby przynieść desery, które kupili wraz z Teo. Spędziła wcześniej sporo czasu, układając je na dużym talerzu, w artystyczny, jak miała nadzieję, sposób. Były takie ładne.

- Na przykład? - spytała Cornelia.

- Na przykład to, że jutro jest Wigilia - odparł ojciec. Wziął jeden z deserów i nawet nie spytał, co to jest, ani nie wspomniał o wyglądzie talerza. Deser był ułożony na kawałku liścia banana i Clare zastanawiała się gniewnie, jak można wziąć deser z liścia banana i nawet się nie zainteresować, co to jest.

- Teo, sędzę, że ty masz plany na święta, w przeciwieństwie do naszej trójki, która działa kompletnie na wyczucie w całym tym zamieszaniu - ciągnął ojciec. Odwrócił się do Clare i uśmiechnął. - Co, jak wiemy, często okazuje się najlepszym sposobem działania.

- To jest deser zwany bibingka - powiedziała chłodnym tonem Clare. - To, co właśnie jesz. Piecze się go na liściach banana. A Teo zostaje tutaj ze mną i Cornelią. Spędza Boże Narodzenie z nami.

Z satysfakcją zauważyła, że ojciec znów poczuł się poza nawiasem, choć trwało to tylko chwilę. Zerknął na Cornelię, po czym ponownie skupił uwagę na Clare.

- Doskonale - odparł uprzejmie. - Mam na myśli zarówno bibingkę, jak i plany Teo.

- To w zasadzie nie są jego plany - wyjaśniła Cornelia. - Teo został zmuszony. Ollie wyjechała, bo pracuje, a my nie mogłyśmy pozwolić na to, żeby spędził święta sam, oglądając futbol i jedząc sałatkę z tuńczyka prosto z miski, prawda?

- Zdecydowanie nie mogliśmy na to pozwolić - odparł ojciec.

Nie ty, pomyślała zawzięcie Clare. Cornelia miała na myśli siebie i mnie, ciebie to nie obejmowało. Ojciec mówił dalej.

- Ponieważ już jutro jest Wigilia, Clare, a zapewne nie miałaś czasu na zakupy, zanim tu trafiłaś - Clare dostrzegła, że Cornelia patrzy na nią z niepokojem w oczach - pomyślałem, że może zrobilibyśmy je razem, ty i ja. Może też włączymy do tego pokaz świetlny w Wanamakera?

- To się nazywa teraz Lord & Taylor - poprawiła go Clare. - I chyba nie powinnam iść bez... - Nie, nie ma mowy, żeby jeszcze raz się przy nim rozplakała. - I chyba nie mam ochoty iść tam w tym roku.

- Rozumiem - odparł ojciec.

Clare poczuła, jak ogarnia ją chłód i napięcie.

- Niczego nie rozumiesz - odparowała twardym głosem. Wypowiedzenie tych słów wcale nie przyniosło jej ulgi ani satysfakcji. Jednak mimo że później może ich żałować, teraz wcale nie żałowała. Uniosła podbródek. - A poza tym mam już swoje plany co do zakupów. Teo mnie zabiera - dodała. Mówiąc to, uświadomiła sobie, że przecież tylko miała na to nadzieję, że jeszcze nic nie uzgodniła z Teo. Wcale nie rozmawiali o świątecznych zakupach. O nie, pomyślała. Jednak Teo nie wydawał się wściekły ani nawet zaskoczony. Nic nie powiedział. Przez bardzo długą chwilę w ogóle nikt się nie odzywał.

- Clare... - Cornelia powiedziała to niemal szeptem i Clare dostrzegła na jej twarzy troskę i jakby prośbę o coś. Widząc to, odrobinę odtajała. Wiedziała, co prawda, że nie zraniła ojca, bo nic, co do niego mówiła, nie mogło go zranić. Zapewne czuł się zażenowany, że Teo słyszał, jak

się do niego odezwała, ale jego uczucia nie zostały zranione. Clare to wiedziała, ale Cornelia nie, a nie chciała jej martwić.

- Teo mnie zabiera, bo muszę kupić ci prezent, tato - powiedziała do ojca, patrząc jednak na Cornelie.

Cornelia niemal niezauważalnie skinęła jej głową, a dwie głębokie bruzdy pomiędzy jej oczami stały się mniej wyraźne.

- A, rozumiem - odparł ojciec. - W takim razie w porządku, Clare. - Ostrożna uprzejmość i cierpliwość w jego głosie i wyrazie twarzy mówiły: „Jestem dorosłym rozmawiającym z biednym, skrzywdzonym dzieckiem”.

- A to się doskonale składa, bo... Martin, czy muszę ci przypominać o sytuacji z dynią piżmową? - Mówiąc to, Cornelia wzięła ojca Clare za rękę. Linie między jej oczami zupełnie już zniknęły, lecz Clare dostrzegła, jak te słowa wciągają ojca w pewnego rodzaju porozumienie z Cornelie. Niezależnie od tego, na czym polegało zdarzenie z dynią, należało ono do nich obojga. Te słowa i sposób, w jaki trzymała jego dłoń, miały go pocieszyć. Być może Cornelia jest w nim zakochana, pomyślała Clare.

Ojciec się roześmiał.

- Jeśli musisz, to przypomnij, ale wolałbym nie.

- Więc wiesz, że jeśli mnie zostawisz i będę sama kupowała jedzenie na bożonarodzeniowy obiad, to starczy go dla dwudziestu pięciu dorosłych. Musielibyśmy wynająć ciężarówkę, a nie będzie to łatwe w Wigilię. Musisz być przy mnie.

- Raczej dla dwudziestu pięciu wygłodniałych dorosłych futbolistów - odparł ze śmiechem ojciec Clare. - Masz rację. Niewątpliwie mnie potrzebujesz. - Podniósł jej dłoń do ust i ucałował, radośniejszy niż przez cały wieczór. Widać było, że Cornelia odetchnęła z ulgą.

Clare przyszła nagle do głowy pewna myśl: Gdyby Cornelia wyszła za ojca za męża, miałyby ją też dla siebie. Należałyby do siebie w formalny sposób. Wizyty u ojca byłyby wizytami u Cornelii. Przypomniała sobie, jak w dalszych tomach Ania Shirley bawiła się w swatkę, tak że w końcu wszyscy byli szczęśliwi. Może Linny myliła się co do jej ojca i Cornelii? Może przy niewielkiej pomocy Clare jednak by się pobrali? Warto spróbować. Ujrzała w myślach, jak wraz z Cornelie je śniadanie przy stole w jadalni ojca, obie w błyszczących piżamach, śmieją się i popijają gorącą czekoladę z identycznych białych kubków, podczas gdy ojciec siedzi w pewnej odległości, schowany za swoim „Wall Street Journal”, na samym brzeżku tej sceny.

Kiedy napawała się tym obrazem, ojciec wziął kolejny deser, przekroił go na pół, umieścił

jedną połówkę na talerzu Cornellii, a drugą wrzucił sobie do ust. Cornelia podniosła swoją część, malutkie, delikatne ciasteczko wypełnione pastą z ube i spytała:

- Teo, Clare, a teraz powiedzcie mi, co sprawia, że to jest fioletowe?

Scenka z ich trójką przy śniadaniu straciła swoje jasne barwy i zaczęła się rozmywać.

Cornelia jest taka miła. Zasługuje na kogoś lepszego niż jej ojciec.

Clare westchnęła i pozwoliła, żeby obraz zupełnie zniknął.

15. Cornelia

Jednak pojechali obejrzeć pokaz świetlny. To znaczy Teo i Clare. Przez jakiś czas robili zakupy i przez jakiś czas rozmawiali - głównie mówiła Clare - a nad pizzą spytała nagle:

- Wiesz o tym orle z mosiądzu? Tym wielkim orle z mosiądzu pomiędzy działem obuwniczym a jubilerskim?

A Teo pomyślał przez chwilę i w końcu w ten swój niesamowity sposób odparł:

- W Lord & Taylor? - Wpadł na to, chociaż jestem pewna, że nigdy tam nie był, bo nie mieszka w Filadelfii i nie jest entuzjastą zakupów, a nawet twierdzi, że jest uczulony na domy towarowe - i to nie w przenośni, tylko dosłownie. Nieraz słyszałam, jak to mówił, czy raczej mamrotał przepraszająco, zazwyczaj w chwili, gdy odmawiał wejścia do takiego sklepu.

Standardowe usprawiedliwienie obejmowało nieskładne odniesienia do wentylacji i środków czystości, a co ciekawe, ludzie to akceptują, zapewne dlatego, że jest lekarzem, a może po prostu ze względu na to, że jest tak rozbrajający, że trudno mu się oprzeć. Co prawda muszę przyznać, że Teo wykorzystuje tę zdolność rozbrajania znacznie rzadziej, niż robiłaby to większość ludzi.

W każdym razie pomimo swojej starannie pielęgnowanej ignorancji w kwestii domów towarowych Teo zapytał:

- W Lord & Taylor? A Clare odpowiedziała:

- Tak. Tuż obok tego orła jest najlepsze miejsce, żeby usiąść. Jeśli siedzisz bliżej, boli cię szyja, a jeśli dalej, wpadają na ciebie ludzie kupujący szaliki i kapelusze.

No i poszli. Usiedli na marmurowej posadzce tuż po prawej stronie mosiężnego orła i oglądali pokaz świetlny, który jest prezentowany w takiej czy innej formie od 1955 roku. Można by sądzić, że w obecnej dobie, kiedy dzieci mają tak łatwy dostęp do animacji wytwórni Pixar, trójwymiarowego kina i gier komputerowych, które z łatwością przenikają przez ekrany komputerów i szaleją w ich pokojach, nie porazi ich muzyka organowa oraz dziadki do orzechów i wieszczki cukrowe ze światełek, podnoszące najpierw jedną nogę, potem drugą w sztywnym

tańcu. Można by tak sądzić, ale to nieprawda. Patrzą jak porażone.

- Poraziło ją? - spytałam Teo.

Siedzieliśmy na kanapie, która później miała stać się łóżkiem Teo na drugą noc z rzędu, ale na razie była jeszcze kanapą. Clare spała w moim pokoju.

- Hmm, tak, to jest właściwe słowo.

To była tak jednoznacznie dobra wiadomość, że słysząc ją, poczułam ulgę i nadzieję, co z kolei sprawiło, że zagłębiłam się z podnieceniem w rozmyślenia nad odpornością dzieci i dopiero po chwili do mnie dotarło, że twarz Teo wcale nie wyraża ulgi i nadziei, tylko zmartwienie i konsternację.

- Co? - spytałam.

- Nie myślałem o tym w ten sposób - odparł.

- A w jaki? - spytałam nerwowo.

- Czy wiesz, że Clare oglądała te pokazy świetlne od urodzenia? Kiedy poprosiła, żebyśmy dziś tam poszli, pomyślałem sobie, ma jedenaście lat, jest Wigilia, jej matka jest Bóg wie gdzie, a ona chce iść na pokaz, który oglądały razem co roku od chwili jej urodzenia. Niewiele brakowało, żebym się nie zgodził - powiedział Teo tonem człowieka, który żałuje, że jednak się zgodził.

- Nie mogłeś się nie zgodzić - pocieszyłam go.

- Nie mogłem. I to jedyny powód, dla którego się zgodziłem. Ale kiedy już tam siedzieliśmy razem z jakimś milionem szczęśliwych rodzin, czekając, aż się zacznie, jedyne, o czym mogłem myśleć, to: „Skąd ci przyszło do głowy, że musisz być taka dzielna? I ile cię to będzie kosztowało?”

- Och - powiedziałam, i było to jedyne, na co mogłam się zdobyć. Dopiero po chwili dodałam: - Założę się, że masz rację. Z pewnością to było dla niej zbyt wiele. - I jak się okazało, miał rację. Oczywiście, że miał. Jednak zanim przejdę do tego, co się okazało i jakie były tego skutki, chciałabym przerwać i wprowadzić was w to, co działo się ze mną mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Clare siedziała po turecku na marmurowej posadzce, czekając na pokaz świetlny, który miał jeszcze bardziej złamać jej serce.

A co ciekawe, mam poczucie winy, że przerywam opowieść o niej, żeby opowiedzieć wam o tym, co jeszcze niedawno byłoby jasną chwilą mojego życia, być może nawet tą jasną chwilą, rozsyłającym diamentowe błyski momentem, wokół którego kręciłoby się wszystko inne w moim życiu. Był czas, kiedy najchętniej podzieliłabym się z całym światem tym, co Martin mi powiedział w parku w dniu Wigilii.

Jednak wydaje się to niewłaściwe, że kiedy na moich oczach rozwijała się bolesna historia Clare, w moim romansie z Martinem nie nastąpiła pełna szacunku pauza. Nasz romans nie czekał dyskretnie w jakimś kącie na bardziej odpowiednią chwilę, lecz w niepewny, niepokojący sposób również się „rozwijał”.

Czy znacie wiersz Audena o cierpieniu? Wiersz mówiący o tym, że dokładnie w chwili, gdy Ikar spada do morza, nieporuszony tym oracz dalej orze swoje pole? No cóż, co do cierpienia, i wielu innych spraw, Auden się nie mylił. Myślę, że wiecie już, do czego zmierzam. Podczas gdy Clare cierpiała, Martin i ja dalej oraliśmy, choć bardziej powściągliwie i oczywiście nie w metaforycznym sensie f la Szekspir, Sofokles itd., co byłoby obrzydliwe z naszej strony.

Szliśmy właśnie przez skwer w drodze po zakupy, między innymi po odpowiedniej wielkości indyka, kiedy Martin pociągnął mnie nagle na parkową ławkę i zaczął wpatrywać się badawczo w moją twarz. Może już wspominałam, że miał wyjątkowo piękne oczy, co nie umknęło mojej uwagi w tamtej chwili na ławce. Prawdę mówiąc, byłam nawet niezwykle ostro, wręcz boleśnie świadoma tego faktu. Na dodatek Martin miał szczególny sposób patrzenia na mnie, który sprawiał, że czułam się, jakby mnie dotykał.

Patrzył tak przez pewien czas. Potem się odezwał:

- To niewłaściwy moment, żeby ci to powiedzieć - a ja już wiedziałam, co zamierza, i poczułam się rozdarta pomiędzy tyloma możliwościami, że nie mogąc żadnej wybrać, po prostu zamarłam. Powinnam wspomnieć, że wiedziałam w zarysie, co usłyszę, bo język Martina to był cały Martin, a jako taki był wyjątkowo melodyjny i ekspresyjny.

- Dzień po dniu spędzam w zachwycie. Chodzę zachwycony, kładę się spać i wstaję rano zachwycony, niezależnie od tego, gdzie jestem. Nigdy nie znałem kogoś takiego jak ty, bo nikogo takiego nie ma. A ponieważ nie ma nikogo podobnego do ciebie, nigdy nikogo nie pragnąłem tak jak teraz ciebie.

Słowa te nie płynęły gładko. Kosztowały go sporo wysiłku i miały swoją wagę. Nie brzmiały też jak wyuczone, jeśli tak sobie myślicie.

- Cornelio, kocham cię. Jest to niewłaściwy moment, żeby ci to powiedzieć, ale jednak mówię. Kocham cię. A wszystko to, co się dzieje z Clare, chociaż jest i będzie bardzo trudne, może się okazać dla nas dobre, bo jeśli zamierzamy spędzić ze sobą życie, musisz wiedzieć, jak wygląda moje, tak do końca. A chciałbym, żebyśmy razem spędzili życie, Cornelio.

Alarm. W mojej głowie odezwał się dzwonek alarmowy.

- Martin - zaczęłam.

Ale przerwał mi natychmiast, mówiąc z kpiarskim uśmiechem:

- Nie, nie oświadczam ci się w tej chwili. Nawet ja nie mam tak złego wycucia czasu. I nie chcę, żebyś teraz cokolwiek odpowiadała. Nawet ci tego surowo zabraniam. Chciałem ci tylko powiedzieć, że cię kocham, i to wszystko.

Pocałował mnie, a potem ja spytałam:

- A mogę przynajmniej ci podziękować?

- Nie - odparł z uśmiechem.

- Dziękuję - powiedziałam, odwzajemniając uśmiech.

Być może sądzicie, że powinnam wiedzieć, co czuję i czego pragnę w stosunku do Martina. Niewątpliwie jest to dla was zupełnie jasne. Jednak musicie zrozumieć, że wszystkie te banały i zużyte metafory opisujące mętlik w głowie nagle ożyły i okazały się niezwykle trafne: moje życie przypominało jazdę kolejką górską, wszystko działo się zbyt szybko, nie miałam czasu złapać tchu, kręciło mi się w głowie. Nadmiar informacji. Nie mogę przetwarzać, nie mogę przetwarzać, nie mogę przetwarzać.

Nie, Martin nie był takim człowiekiem, jak się spodziewałam. Tak, był chłodny w stosunku do córki, nawet gdy tak bardzo go potrzebowałam. Tak, ten chłód mi przeszkadzał. I tak - nie zapomniałam o tym - moje wątpliwości, czy jest odpowiednim dla mnie człowiekiem, zaczęły podnosić swe nieszczęsne główki, jeszcze zanim Clare pojawiła się w naszym życiu. To znaczy, w moim życiu, bo w jego była obecna od chwili swych narodzin - choć najwyraźniej nie w taki sposób, jak można by się spodziewać i sobie życzyć.

Ale chociaż brzmi to bardzo prosto, wcale proste nie było. Przede wszystkim wyżej wymienione przyczyny, żeby co najmniej trzymać Martina na dystans, a w skrajnym wypadku nawet natychmiast z nim zerwać, nie wymazały innych rzeczy dotyczących Martina, mnie i nas razem. Jeśli uważacie, że powinny były wymazać, to informuję, że tak się nie stało. Kiedy byliśmy tylko we dwojkę, Martin podnosił mnie na duchu i rozpromieniał, przy nim byłam szybsza, inteligentniejsza i zabawniejsza, był delikatny, kiedy potrzebowałam delikatności, uwielbialiśmy te same rzeczy w ten sam sposób, przynajmniej większość - i nie ma się co krzywić.

Po drugie, nie był przecież zbiorem cech, tylko człowiekiem z krwi i kości, bardziej fizycznie obecnym w moim życiu niż ktokolwiek, kogo dotychczas poznałam. Kiedy powiedział, że mnie kocha, powiedział to swoim charakterystycznym głosem, łamiącym się w jego konkretnym gardle, a kości i mięśnie w jego twarzy poruszały się przy tym w znajomy sposób, ale także w taki, który pierwszy raz widziałam. Czy rozumiecie, o co mi chodzi? Nie mówię tym razem tylko o fizycznym pięknie. Niezależnie od mniej-niż-fantastycznego seksu, byliśmy sobie bliscy, także fizycznie - oddychałam jego oddechem, moja skóra знаła dotyk jego skóry, a

końcówki moich nerwów rozpały się pod jego dotykiem. Pod tym względem łączyła nas naprawdę głęboka znajomość i nie potrafiłam ot tak, bez trudu, tego przekreślić. A poza tym miał dobry gust, zmysł dowcipu i niewymuszoną elegancję. Był po prostu elegancki i czarujący, a o ilu mężczyznach można to powiedzieć? No, dobrze, był też taki piękny.

Przypomnienie: Nieznajomi zatrzymywali go na ulicy, żeby mu powiedzieć, że wygląda jak Cary Grant.

I był we mnie zakochany. Dajcie spokój.

Naprawdę miałam mętlik w głowie. Nie wiedziałam, co robić, więc jak tylko znalazłam okazję, zachowałam się paskudnie w stosunku do osoby, która najmniej na to zasługiwała.

Po tym jak Teo opowiedział mi o pokazie świetlnym i przesiedzieliśmy dłuższy czas w milczeniu, wspólnie martwiąc się zmartwieniem Clare, Teo obrócił się do mnie i spytał:

- Cornelio, czy jesteś pewna co do Martina? - Nie było to pytanie, na które byłam gotowa odpowiedzieć czy choćby go wysłuchać z najmniejszą nawet dozą wdzięku.

Byłam już kompletnie wyczerpana nerwowo i przypominałam wysuszony chrust czekający tylko na iskrę. Zdawałam sobie sprawę, że pytanie jest konkretne, ale wolałam przed sobą udawać, że było retoryczne, a takie postępowanie jest podle i niesprawiedliwe, nie mówiąc już o tym, że tchórzliwe. „Cykor”, powiedziałaaby Linny. Kiedy musiałam się zmierzyć z bezpośrednim pytaniem o Martina, okazałam się zwykłym cykorem.

Nie jestem dumna ze swojego zachowania. Iskra spadła. Ja zapłonęłam.

Płonęłam, ale mój głos był lodowaty.

- Zatem jesteś tu od dwóch dni i już stałeś się ekspertem w sprawie Martina?

Co większość ludzi zrobiłaby w odpowiedzi na taką ripostę? Zapewne by się rozzłościła, co byłoby w pełni usprawiedliwione, lub wycofała drobnym kroczkiem, przeprosiła czy obróciła sprawę w żart, jednak Teo wie, jak wykorzystać ciszę. Potrafi zachować milczenie w wymowny, uważny i niewzruszony sposób oraz potrafi rozpoznać pytanie, na które nie ma odpowiedzi. Zawsze podziwiałam u niego te cechy, ale teraz nie byłam w nastroju do podziwiania.

Postanowiłam wypełnić tę spokojną zielonooką ciszę swoim jadem.

- Uznałeś, że jest złym ojcem i złym człowiekiem. Uznałeś, że jest skąpy emocjonalnie, obojętny i Bóg wie co jeszcze.

Milczenie.

- Ale co ty właściwie wiesz o posiadaniu dziecka, Teo? Łatwo wkroczyć w życie dziecka w trudnym momencie i odgrywać bohatera. Ale myślenie, że jesteś teraz ekspertem w sprawie Clare i Martina, że masz prawo do wydawania osądów, to już pójdzie nieco za daleko, nie

sądzisz? - Kiedy skończyłam, nie mogłam złapać oddechu.

- Nie znam Martina - odparł Teo. - Zastanawiałem się raczej, jak dobrze ty go znasz. - Teo był rozgniewany, poznałam to po napięciu wokół oczu i czerwonych plamach rozszerzających się w dół policzków. Jednak kiedy Teo dyskutuje o ważnych kwestiach, to nawet w gniewie nie ucieka się do sarkazmu, i teraz też tego nie robił. Ale nie miało to znaczenia. Mnie już nic nie mogło powstrzymać, nie panowałam nad sobą i najwyraźniej potrafiłam uciec się do wszystkiego.

- Aha, więc nie osądzasz relacji Martina z Clare, tylko ze mną? Zgadza się? Czy teraz dobrze rozumiałam? - Było coraz gorzej. - To świetnie. Wspaniale. A co z tobą? Twoje małżeństwo jest tak szczęśliwe, że twoja żona zostawia cię samego na święta. Ciekawe, jak dobrze znasz Ollie, Teo.

Te słowa byłyby nieprzyjemne w każdych okolicznościach, ale nie byłyby tak okropne, tak podle, gdybym nie żywiła pewnych wątpliwości co do małżeństwa Teo. Na swoją obronę, choć naprawdę na nią nie zasługuję, mogę powiedzieć, że moje podejrzania były wyłącznie podejrzaniem. Całkiem możliwe, że przez minione dwa lata Teo i Ollie cieszyli się bezgranicznym szczęściem małżeńskim, a wówczas zatruta strzała mojego pytania odbiłaby się od zbroi jego szczęścia, nie zostawiając nawet zadraśnięcia. Moja matka niewątpliwie sądziła, że są szczęśliwi. Ale ja miałam wątpliwości.

I w przeciwieństwie do większości moich wątpliwości, te nie wynikały z wrodzonego, a następnie starannie rozwiniętego cynizmu, bo choć potrafię odnosić się cynicznie do pewnych spraw, być może zauważyliście, że do innych mam romantyczne podejście. Wierzę w prawdziwą miłość. Na liście rzeczy, w które wierzę, miłość znajduje się na szczycie.

Z tego, co wiem, Ollie również wierzy w prawdziwą miłość, bo niecałe dwa miesiące przed małżeństwem z Teo przedstawiła mi swoją „bratnią duszę” (to jej słowa, broń Boże nie moje). Był tak jak ona genetykiem i tak jak ona błyskawicznie wschodzącą gwiazdą w ich laboratorium, a na dodatek był niesamowicie przystojny i zapewne dlatego Ollie chciała, żebym go poznała. Prawie dwa metry wzrostu, pochodzący z Jamajki, a wykształcony w Oksfordzie, zapalony kolarz, który prawdopodobnie nie wygrał Tour de France wyłącznie dlatego, że szerokie ramiona, nieziemskie kości policzkowe i potężne IQ przytłaczały go do ziemi.

Jednak jeszcze bardziej zdumiewające niż jego fizyczne i umysłowe zalety było to, że moja stoicko spokojna siostra stawała się w jego obecności beznadziejnie zakochaną, zauroczoną, trzepoczącą rzęsami dziewczyną. Kiedy wszedł do pokoju, niewiele brakowało, żeby Ollie zmieniła się w jedno z tych szalejących za Beatlesami dziewczątek, tych, co otwarcie zalewały

się łzami, ścisnęły sobie policzki obydwoma rękami i wrzeszczały. W ciągu półtorej godziny, które z nimi spędziłam, zdała się nawet na jego intelekt w kwestiach naukowych, i to dwukrotnie.

W każdym razie w pewnym momencie wspólnie złożyli podanie o pokaźny grant przeznaczony na badania na Galapagos i ich miłość nie wytrzymała tej próby, grant otrzymał bowiem tylko Edmund (nazywał się Edmund Battle) i radośnie go przyjął, nie nalegając, żeby Ollie pojechała wraz z nim. Najwyraźniej jej niemałe wdzięki przegrały w konkurencji z syrenim śpiewem żółwi i ziarnojadów oraz karierą. Edmund zniknął, a następną rzeczą, o której się dowiedziałam, byli Ollie i Teo, dopóki śmierć ich nie rozłączy. Wyciągnijcie własne wnioski.

Bzzz. Zatruta strzała trafiła w cel. Chociaż moje zachowanie było niewybaczalne, chciałabym jeszcze raz spróbować się bronić, wyjaśniając, że jeszcze zanim uderzyła, zanim zobaczyłam, jak Teo lekko, lecz niewątpliwie się wzdryga i krzywi z bólu, już żałowałam, że nie mogę cofnąć tych słów. Teo wstał, poszedł do kuchni i po prostu tam stał, opierając się jedną ręką o blat i wpatrując w podłogę. Patrzyłam, jak tak stoi, mężczyzna, który wkroczył przez drzwi Café Dora prosto w te skomplikowane problemy i nie odwrócił się natychmiast i nie wyszedł, jak zrobiliby to inni, tylko zaczął rozplątywać to, co potrafił, jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie. Mężczyzna, który właśnie poświęcił swoją Wigilię i cały zasób energii, żeby samotna, zrozpaczona córeczka chłopaka jego szwagierki poczuła się mniej samotna i zrozpaczona. Mój najdawniejszy przyjaciel, człowiek niespotykanej dobroci.

Ruszyłam w jego kierunku, przedzierając się przez bagno wstydu, które sama stworzyłam, ku mrocznej głębi, która powinna mnie wciągnąć, żebym zniknęła na zawsze, i wzięłam go za rękę i błagałam o wybaczenie jak jeszcze nigdy w życiu.

I Teo mi przebaczył.

Uśmiechnął się do mnie, choć jego oczy nadal miały zraniony wyraz, o który ja sama się postarałam, i powiedział:

- Przeżywasz teraz ciężkie chwile. Bardzo mi przykro, że jest ci tak trudno. Lubię, kiedy jesteś szczęśliwa. - Potem jego uśmiech stał się szerszy. - Jesteś wtedy miłsza.

- Masz rację - odparłam, i wieczór zakończył się śmiechem.

Teo miał rację co do Clare. Dzielność wiele ją kosztowała. Około czwartej rano obudziły mnie łkania.

Usiadłam i zaczęłam gładzić jej plecy kolistymi ruchami, które na mnie zawsze działały uspokajająco. Po pewnym czasie położyła głowę na moich kolanach i powiedziała:

- Ja chcę moją mamusię.

Zaczęłam rozmyślać o tych słowach, które zawierają w sobie o wiele więcej, niż się

wydaje, więcej, niż jakiegokolwiek cztery słowa mogłyby pomieścić. Znaczyły, co znaczyły, a prócz tego były uniwersalnym wołaniem, być może tym jedynym, uniwersalnym, żalonym, szczerym wołaniem o pociechę. Żołnierze w ogniu walki, więźniowie w celi śmierci, badacze samotni na pustyni, w dżungli czy na szczytach gór, każdy człowiek chory, zagubiony lub po prostu zmęczony i zdezorientowany, wszyscy pragniemy mieć przy sobie swoje matki. Pomyślałam w tym momencie o swojej - z wyprostowanymi plecami, wiecznie uśmiechniętej, zawsze mającej na podorędziu chusteczki higieniczne, bandażę, szminkę, aspirynę, optymizm i wsparcie duchowe. Matki - jakim cudem nie padają pod takim ciężarem? Zadrżałam.

Clare pragnęła mieć swoją mamę przy sobie, a jednocześnie chciała, żeby to mama ją pocieszyła po utracie matki. Chwilowej. Chwilowej utracie. Proszę, Boże.

- Wiem, kochanie - odpowiedziałam jej.

- A może wróci do domu na święta. Nie chciałaby być z dala ode mnie na Boże Narodzenie.

Z pewnością by nie chciała. Byłam o tym przekonana. Spojrzałam na profil Clare na swoich kolanach. W ciemnościach ledwo mogłam dostrzec zarys szczęki i linię brwi nad dużym okiem. Dziecko Viviany, pomyślałam. Viviana musi tak bardzo kochać tę twarz.

- Chcesz jechać do domu? - spytałam.

Clare skinęła głową. Całe jej ciało trzęsło się pod kołdrą.

- To pojedziemy - oznajmiłam.

W ten sposób wylądowałam w Strefie Mroku - to znaczy przygotowując bożonarodzeniowy obiad w urządzonej według kanonów bogatego przedmieścia kuchni ogromnej jak kuchnia w restauracji, należącej do zaginionej byłej żony mojego prawdopodobnie-wkrótce-byłego-prawdopodobnie-nie-chłopaka z pomocą szwagra - niech go Bóg błogosławi - podczas gdy mój chłopak (właściwie potencjalny narzeczony, chociaż byłam raczej pewna, że niedoszły) i jego prawie opuszczona i do niedawna dla mnie nie istniejąca córka ubierali na nowo moją choinkę w urządzonej według kanonów bogatego przedmieścia, *jakby-żywcem-wyjętym-z-Filadelfijskiej-opowieści* salonie zaginionej byłej żony. A jeśli macie problem ze zrozumieniem tego, co wam właśnie opowiedziałam, wyobraźcie sobie, jak się czułam, przeżywając to.

Tego ranka, a właściwie jak tylko niebo za oknem mojej sypialni zaczęło zdradzać oznaki, że w niedalekiej przyszłości przestanie być atramentowoczarne, obudziłam Teo, który odgarnął przydługie włosy z oczu, zamrugał może ze dwa razy, po czym zaczął zdejmować ozdoby z mojej choinki.

- Będzie chciała ją tam mieć, nie sądzisz? - spytał. Clare była już ubrana i pakowała w

sypialni swoje rzeczy.

Rozkwitła i stała się istnym ucieleśnieniem ducha Bożego Narodzenia - z rozjaśnionymi oczami i rumianymi policzkami, śpiewając *Joy to the World* - a wszystko to dzięki perspektywie wyjazdu do domu. Była to przemiana, która znacznie bardziej by mnie poruszyła i zaniepokoiła, gdybym miała więcej czasu, żeby się nad nią zastanowić. Ale ja tymczasem gorączkowo pakowałam indyka i ciasta (wydawało się dobrym pomysłem, żeby nieco oszukać i je kupić) i foremkę chleba kukurydzianego (do nadzienia) i świeże zioła i ziemniaki i wino i śmietanę do ubicia i masło i tak dalej i, przez ten pośpiech, mnóstwo niepotrzebnych rzeczy, jak dwa słoiki Nutelli i karton Cheerios, pakowałam to wszystko do toreb na zakupy i kartonów, które podkradłam z piwnicy w naszym budynku.

Mniej więcej w połowie przygotowań przypomniałam sobie, żeby zadzwonić do Martina, który na moje nieco histerycznie radosne oświadczenie „Nastąpiła zmiana planów!” i dalsze wyjaśnienia odpowiedział po długiej chwili milczenia szorstkim:

- Muszę powiedzieć, Cornelio, że jest to absurdalny pomysł.

Słyszając to, przerwałam pakowanie, odłożyłam woreczek z zieloną fasolką, który trzymałam w ręku, i zabrałam telefon do holu, tak żeby córka Martina nie podsłuchiła, jak przypominam jej ojcu o uniwersalnej zasadzie dotyczącej cierpiących dzieci: Jeśli spełnienie ich prośby mieści się w granicach ludzkich możliwości, to po prostu się to robi.

Wiedziałam, że to może się skończyć dla Clare jeszcze większym cierpieniem. Wiedziałam, że jej mama niemal na pewno nie przybędzie w chwili, gdy nóż będzie uniesiony nad indykiem, odbijając w swym ostrzu światło świec, a z głośników będą płynęły słowa *We Wish You a Merry Christmas*, jak być może Clare to sobie wyobraża. Jednak wiedziałam też, że Clare chce być w domu. Wiedziałam, że dla niej Boże Narodzenie poza domem to nie to. A przede wszystkim wiedziałam, że Clare, choć jest dzieckiem, to w rzeczywistości wcale nie wierzy w to, że jej mama się pojawi. Ma tylko na to nadzieję, ale jest to nadzieja wątlutka - cień, duch nadziei. Wiedziałam o tym, bo jestem mądra, ale i dlatego, że zanim poszłyśmy budzić Teo, Clare wsunęła swoją dłoń do mojej i powiedziała:

- Nie martw się. Ja wiem, że ona prawdopodobnie nie przyjdzie.

Szykowałam się, żeby powiedzieć to wszystko Martinowi, żeby rozwiać jego obawy co do Clare, kiedy on odezwał się pierwszy:

- Kiedy przedwczoraj pojechałem tam po Clare, po raz pierwszy od siedmiu lat postawiłem nogę w tym domu. Spędzanie tam świąt byłoby po prostu zbyt krępujące. - I po chwili łagodniejszym tonem: - Rozumiesz to, prawda, Cornelio? - I zrozumiałam, aż za dobrze.

Zrozumiałam, że nie było potrzeby rozwiewać obaw Martina dotyczących Clare, ponieważ on wcale o niej nie myślał.

Przyjęłam do wiadomości tę smutną prawdę i odłożyłam ją ponuro do przegródki zatytułowanej „Powody, żeby nie być z Martinem”, przegródki, która z każdym dniem stawała się pełniejsza i którą przysięgłam sobie przejrzeć od początku do końca później, w przyszłości, kiedy będę miała czas na bolesne prawdy i kontemplację, kiedyś po tym, jak załaduję do pełna samochód Teo świątecznym jedzeniem i przywiążę choinkę do jego dachu.

- Martin, my jedziemy. Ty możesz jechać z nami albo nie - powiedziałam, starając się mówić spokojnym głosem.

- Rozumiem - odparł Martin, a w jego głosie nie było słycać gniewu, jak się spodziewałam. I tak to jest z Martinem. Potrafi zachować się uprzejmie i cywilizowanie w sytuacjach, kiedy inni by nie umieli. Ilekroć masz pokusę, żeby uznać go za złego człowieka, udowadnia, że taki nie jest. - Przykro mi. Nie wiedziałem, że to takie ważne. Dajcie mi kwadrans.

Pomimo że wszystko przemawiało przeciw temu, pierwszy dzień Bożego Narodzenia upływał znacznie lepiej, niż można było oczekiwać, i trwało to dłużej, niż można było oczekiwać.

Dom wyglądał nieskazitelnie, dzięki Max, i było w nim zadziwiająco niewiele oznak tego, że od kilku miesięcy zamieszkiwała go kobieta pograżająca się z wolna we własnym dziwnym świecie oraz zrospaczone dziecko robiące wszystko, co możliwe, żeby utrzymać się w tym normalnym. Było jednak kilka rzeczy, które to zdradzały - naprawdę bolesnych. W pewnej chwili Teo poprowadził mnie bez słowa do spiżarni i pokazał starannie ustawione rządki puszek z groszkiem, marchewką i rosółem z kurczaka oraz trzy półki wyładowane mlekiem Parmalat. Potem znalazłam paragon przypięty do tablicy korkowej w kuchni. Clare kazała dostarczyć produkty spożywcze do domu i zapłaciła kartą kredytową. Widok tej spiżarni ranił serce. Jeszcze gorsze niż podobieństwo do schronu były zgromadzone tu ilości pożywienia. Zasłoniłam usta ręką, a do oczu napłynęły mi łzy, kiedy wyobraziłam sobie, jak moja słodka dziewczynka (tak już o niej myślałam, nic na to nie poradzę) przewiduje całe miesiące, a może nieskończone miesiące, izolacji i tajemnic.

Kiedy pomogłam Clare wnieść walizki do jej pokoju, nie zamierzałam tam węszyć, ale jak wyszła, zobaczyłam kolejną tablicę oraz przypięty do niej kolejny eksponat świadczący o jej samotnym i przerażającym życiu. Była to lista zatytułowana O CZYM NIE WOLNO ZAPO-MNIEĆ, przy czym „nie wolno” było podkreślone trzy razy, która głosiła:

1. Jeść solidne śniadania; nie możesz wydawać się głodna; nie możesz schudnąć.
2. Brać codziennie rano prysznic; umyć włosy, uczesać, schludnie.

3. Ubrania: bluzki włożone w środek, swetry w zimne dni. Sprawdzać, czy nie ma dziur, nawet w skarpetach. W razie deszczu kurtka nieprzemakalna i parasol. Śniegowce na śnieg. Zawsze czapka i rękawiczki, jeśli zimno. Szalik, gdy temperatura poniżej zera.

4. Co wieczór słuchać prognoz pogody, sprawdzić rano, jeśli starczy czasu.

5. Sfałszować: zgodę na wycieczkę na *Dziadka do orzechów*, list od M, dlaczego nie będzie na wywiadówce.

6. M nie będzie na szkolnych jasełkach, bo????

Lista ciągnęła się dalej i zawierała między innymi takie pozycje, jak dni wywożenia śmieci, informacje o płatnościach rachunków, przypomnienia, żeby zadzwonić i odwołać Max, która najwyraźniej sprzątała dom co drugi tydzień, listę produktów żywnościowych (jedną z rzeczy był rosół z kurczaka) i witamin zapobiegających przeziębieniu, co miało ją uchronić przed koniecznością wizyty u lekarza, która zapewne byłaby niemożliwa bez rodzica. Na marginesie Clare napisała drukowanymi literami: ZAPOMNIAŁAM WYSLAĆ KARTKI ŚWIĄTECZNE! ZAMIAST TEGO NOWOROCZNE? LISTA W KOMPUTERZE?

Clare była niesamowita, tak pomysłowa, dzielna i obdarzona wyobraźnią, jak bywają tylko dziewczynki w powieściach - organizujące bunty w sierocińcach czy zbawiające świat przed siłami zła. Ta myśl dodała mi otuchy, bo tego rodzaju dziewczynki zawsze na końcu wygrywają, zawsze. Jednak cierpiałam z powodu jej samotności i zaczęłam się zastanawiać nad tak niezwykle głęboką potrzebą zachowania tajemnicy. Uderzyło mnie, że dochowanie sekretu było dla niej konieczne nie tylko ze względu na matkę, którą świat mógł surowo osądzić za takie postępowanie, ale również dlatego, że było to pewnego rodzaju przedsięwzięcie - ogromne, szczególnie zaplanowane, pochłaniające całą energię przedsięwzięcia. Sposób, żeby przynajmniej nad czymś panować.

Jednak nawet Clare nie mogłaby utrzymywać tego wszystkiego w tajemnicy zbyt długo. Jej lista też mi to zdradziła. Nawet w tej chwili ktoś gdzieś mógł mówić: „Wiesz co, kochanie. Viviana nie przysłała w tym roku kartki, a kiedy tak się zastanawiam, dochodzę do wniosku, że od miesięcy nie mieliśmy od niej żadnej wiadomości. A pamiętasz, jak nieco dziwnie się zachowywała, kiedy ostatnio się spotkaliśmy...” Nawet gdyby Viviana nie zniknęła, ktoś mógłby przybyć Clare z pomocą, chociaż wcale jej sobie nie życzyła. Te rzędy mleka i puszkowanej żywności - myśl, że większość z tego zostałaby mimo wszystko nieruszona, była pocieszająca.

Kiedy stałam, wpatrując się w listę, do pokoju wszedł Martin. To znaczy właściwie nie wszedł, tylko stanął w drzwiach i starannie unikał spojrzenia na cokolwiek poza mną. Takie właśnie wrażenie sprawiał przez cały czas pobytu w tym domu - jakby niepewnie balansował na

progu i wcale do końca tu nie przybył. Pokazałam mu listę, a on szybko ją przeczytał i powiedział:

- Tak bardzo żałuję, że nie wiedziałem, co się tu dzieje. Szkoda, że Clare mi nie powiedziała.

W tych słowach brzmiał taki żal, że zapragnęłam go dotknąć, i zrobiłam to. Przesunęłam palcem od jego ucha do podbródka. Jego linia szczęki zawsze wydawała mi się niezwykła i precyzyjnie ukształtowana, a teraz zauważyłam, jak niezwykle przypomina szczękę Clare. Martin ujął mój palec i przycisnął go do ust.

Jak już wspomniałam, dzień przebiegał zaskakująco dobrze. Wszyscy bardzo się staraliśmy. Teo, ja - i jak przypuszczam, Martin także - bardzo się staraliśmy dla dobra Clare, a ona się starała, bo widziała, jak nam zależy na tym, żeby była szczęśliwa. Naprawdę, to było takie dziecko. Może też dzień przebiegał pomyślnie, bo jednak Boże Narodzenie to Boże Narodzenie. Nie jestem sentymentalna - no dobrze, może jestem w pewnych sprawach, ale nie jeśli chodzi o Gwiazdkę - lecz jeśli latami nam się wpaja, że jakieś święto jest radosne, to takie przekonanie wynosi nas potem na spory dystans. Naszej czwórce pomogło przebyć niemal cały obiad - który, choć może nie wyjątkowo wykwintny, okazał się całkiem dobry. W każdym razie indyk nie był suchy, nawet mięso z piersi, co niełatwo jest osiągnąć w każdej sytuacji i co jeszcze dobitniej świadczy, jak bardzo się staraliśmy.

Ale to nie mogło trwać. Clare przez cały dzień myślała o mamie - i nic dziwnego - i w pewnej chwili odciągnęła mnie na bok, żeby mi pokazać wspólne z nią zdjęcie. Niemal w każdym pokoju wisiały oprawione fotografie Clare, która była ślicznym niemowlęciem i poza krótkim okresem szczerbatej buzi i rozwichrzonych włosów również ładnym dzieckiem. Nigdzie nie było zdjęć Martina i nie widziałam też żadnego Viviany, dopóki Clare nie pokazała mi tego wspólnego w bibliotece. Kiedy je zobaczyłam, uznałam to za wyraz niezwyklej wprost skromności i powściągliwości Viviany, bo gdybym ja wyglądała jak ona, wymagałoby ode mnie herkulesowej skromności i powściągliwości, żeby powstrzymać się przed wytapetowaniem każdej ściany swoją podobizną. Wyobrażałam sobie Grace Kelly i się myliłam, ale nie aż tak bardzo. Viviana była uderzająco podobna do Lizabeth Scott, nie tak dobrze znanej aktorki czarnych filmów gangsterskich, o której czasem się mówi, że jest Lauren Bacall dla ubogich, ale która jest piękna i w *Dziwnej miłości Marty Ivers* kradnie sceny Barbarze Stanwyck. Poza tym, na ile w istocie jest biedny taki ubogi? W końcu mówimy o Lauren Bacall. W najgorszym razie to facet z zaledwie jednym domem letnim i mniejszym jachtem. Zatem darujcie sobie współczucie.

Na tym zdjęciu Clare ma około ośmiu lat. Trzyma ręce uniesione na wysokość podbródka i

otwarte w sposób wskazujący, że przed chwilą były złożone. Patrzy w górę, jakby zachwycona, a jej mama stoi obok, lecz nie patrzy w górę, tylko na nią, i przy całej urodzie Viviany, najpiękniejszym elementem zdjęcia jest jej wyraz twarzy. Jest tak pełen miłości. Miałam ochotę się rozpląkać na myśl, że ta kobieta nigdy w życiu nie chciałaby stać się osobą, która będzie przerażać własne dziecko, a potem je opuści.

- Tam był motyl. Ale w ostatniej chwili odleciał - wyjaśniła Clare i wpatrzyła się w fotografię, a wspomnienia wywołały lekki, tajemniczy uśmiezek na jej twarzy. Nie wyglądała teraz jak dzielna bohaterka powieści, lecz bardzo, bardzo mała dziewczynka - znacznie młodsza niż jedenastolatka. Miałam ochotę ją objąć, ale się powstrzymałam. Wiem, kiedy chwila nie należy do mnie.

Zatem, mimo że Clare była tego dnia radośniejsza i spokojniejsza niż dotychczas, wiedziałam, że po powrocie do domu odczuwa silniej zarówno obecność, jak i nieobecność matki. Nawet ja podświadomie oczekiwałam, że Viviana pojawi się w drzwiach, zatem co musiała czuć Clare?

To się nie zdarzyło, kiedy nóż wisiał w powietrzu, gotowy do pierwszego cięcia. Indyk został już pokrojony, rozdzielony i nasza czwórka właśnie go pałaszowała. A z głośników nie płynęło *We Wish You a Merry Christmas*, tylko czyste głosy członków Wiedeńskiego Chóru Chłopięcego śpiewających *Cichą noc* po niemiecku. Jednak był to niewątpliwie ten moment i nie jest to tylko moje wrażenie w retrospekcji.

Clare właśnie odkryła, że jako dziecko uwielbiałam serię książek L. M. Montgomery o Ani, i twarz jej się tak rozpromieniła, jakby znalazła żyłę złota. Poczulałam się jak człowiek, który dokonał nadzwyczajnych osiągnięć, choć przeczytałam jedynie kilka książek, i to dwadzieścia lat wcześniej. Clare akurat złożyła dłonie i wpatrywała się we mnie jak urzeczona, kiedy w tę przerwę w rozmowie wdarło się nagle pukanie do drzwi.

Wszyscy zamarli, po czym zelektryzowani obrócili się w stronę drzwi, a potem znów się obrócili, żeby spojrzeć na siebie nawzajem. Gdybyśmy byli zwierzętami, nasze futra z pewnością by się nastroszyły. Nikomu jakoś nie przyszło na myśl, że Viviana nie pukałaby do własnych drzwi. A już zupełnie nie pomyślała o tym Clare, która gwałtownie się wyprostowała i skrzyżowała ręce na piersi, przy czym kurczowo trzymała jedną rękę drugą, a oddychała tak ciężko, że słyszałam ją pomimo muzyki.

Potem popędziła do drzwi, otworzyła je jednym szarpnięciem i zrobiła kilka kroków do tyłu. W progu stał mężczyzna zbliżający się do trzydziestki, z długimi włosami, w drucianych okularach i narciarskiej kurtce, z bardzo zaskoczonym wyrazem twarzy. W tej samej chwili wstał

Martin i zawołał:

- Lloyd!

Clare wydała okropny zdławiony dźwięk, na który Teo i ja zerwaliśmy się ze swoich miejsc. Teo dobiegł pierwszy i objął ramieniem jej skulone plecy, ale wyrwała mu się i wypadła z pokoju. Usłyszeliśmy, jak biegnie po schodach. Spojrzeliśmy na siebie.

- Zostawić ją samą? - spytał Teo, a ja w odpowiedzi skinęłam głową.

Przez jakiś czas lepiej zostawić ją samą. Trudno było ocenić, co należy zrobić, bo byliśmy w tym domu intruzami, niewłaściwymi ludźmi, niezależnie od tego, jak bardzo nas lubiła.

Martin poprosił zmęczonym głosem:

- Wejdz, Lloyd - a Lloyd przekroczył próg i zamknął za sobą drzwi, ale nie wykonał żadnego ruchu, żeby zdjąć kurtkę, i nikt mu tego nie zaproponował, nawet Martin, dla którego nieskazitelne maniery są po prostu odruchem.

- Przepraszam, że tak wpadam. Gwiazdka i te rzeczy. Przejeżdżam czasem koło domu, po prostu żeby sprawdzić. Zobaczyłem światło. - Lloyd nie wyglądał jak detektyw twardej z filmów, które oglądałam, ale mówił mniej więcej tak jak oni, krótkimi zdaniami.

- Oczywiście - odparł Martin. - Lloyd, to jest Cornelia Brown i Teo Sandoval. Moja córka Clare otworzyła ci drzwi. Trzyma się zadziwiająco dobrze, ale to trudny okres.

- Nie mam nic nowego. Żadna poczta nie przychodzi. Musiała zgłosić, żeby nie dostarczali. Widziałem parę osób podchodzących do drzwi. - Lloyd wyjął notes ze spiralnym grzbietem i otworzył go jednym machnięciem. - Kobieta z dzieckiem mniej więcej w wieku Clare. Prowadziła forda expedition. Czarnego. Numery z Pensylwanii. Wysoka dama w białym mercedesie. Zostawiła talerz ciastek i kartkę. „Wesołych Świąt. Spędzam sylwestra na Barbados z Zachem. Pamiętasz go? Faceta od kablówki, który wygląda jak Tom Cruise? Seth zajmuje się interesem. Zadzwoń, kiedy wrócę. Uściski, Sissy”. Większość osób nie potrafiłaby zachować całkowicie pozbawionego wyrazu głosu przy słowach „Wygląda jak Tom Cruise”, ale Lloyd nie należał do tej większości.

- Z cukrem czy kawałkami czekolady? - spytałam, bo stałam tam w milczeniu i czułam się jak idiotka. Oczywiście po zadaniu tego pytania poczułam się jeszcze bardziej idiotycznie, ale przynajmniej skłoniło ono Lloyda do pełniejszych wypowiedzi.

- To były ciasteczka bez czekolady, w kształcie choinek i gwiazdek, ozdobione lukrem - odparł i zarumienił się. - Ja... no... pomyślałem, że jeśli będą tam leżeć, mogą przyciągnąć robaki, zwierzęta i takie tam.

Skinęłam głową i podczas gdy zastanawiałam się w duchu, do czego odnosi się „i takie

tam" (do uliczników, mięsożernych roślin?), Martin poklepał Lloyda po ramieniu z uspokajającym śmieszkiem.

- Masz absolutną rację, Lloyd. Doceniam to. Będziesz mnie informował na bieżąco, prawda?

Lloyd machnięciem zamknął notes i skinął głową, ściągając usta i wysuwając dolną szczękę, wypisz wymaluj jak szeryf z telewizji. Potem wyszedł, a Martin, Teo i ja staliśmy, nie wiedząc, co dalej robić.

- Czy wszyscy skończyli jeść? - spytał w końcu Teo i odpowiedzieliśmy twierdząco, bo wydawało nam się niemożliwe, żeby po prostu wrócić do stołu i jeść dalej, jakby nic się nie stało, a także dlatego, że straciliśmy apetyt.

Teo poszedł do kuchni, a ja zaczęłam zbierać talerze ze stołu, kiedy Martin zwrócił się do mnie:

- Czy możemy przez chwilę porozmawiać?

- Oczywiście - odparłam, niewytłumaczalnie zdenerwowana, a potem zawołałam: - Teo, pomogę ci za chwilę, dobrze?

Martin poprowadził mnie za rękę do biblioteki - przyjemnego, wyłożonego dębową boazerią pokoju - i usiedliśmy na skórzanej kanapie. Wówczas wyjął z kieszeni na piersi dwa bilety lotnicze i wręczył mi je. Były do Londynu.

- To miał być mój prezent gwiazdkowy dla ciebie, Cornelio. Wycieczka, na którą chciałaś pojechać tego dnia, gdy się poznaliśmy - powiedział z uśmiechem. - Mam pewne sprawy do załatwienia w Londynie i w Paryżu, ale będę codziennie kończył późnym popołudniem. Myślałem, że spędzilibyśmy po dwa dni w każdym z tych miast.

Siedziałam wpatrzona w bilety i na kilka sekund puściłam wodze wyobraźni, rozmyślając, jak wyglądałaby ta wycieczka. Byłaby cudowna, pozwoliłam sobie myśleć. Zabrałabym ze sobą swoje wątpliwości co do zdolności Martina do związania się (i proszę, traktujcie pojęcie „związanie” tak, jak zostało użyte - tzn. dokładnie w duchu E. M. Forstera, którego szanuję, a nie jako odbicie naszej kultury poradników, mężczyzn-z-Marsa itd.), ale z pewnością Martin uciszyłby je w Paryżu, mieście, w którym praktycznie z mocy prawa kochankowie mają obowiązek odsłonić swoje dusze, prawda? Ale już kiedy sobie to wyobrażałam, moje myśli stały się niewyraźne i ospałe, by po chwili rozwiać się jak dym. Era przed Clare wydawała się nieskończenie odległa i mimo całej jej romantyczności nie mogłam sobie życzyć jej powrotu, bo oznaczałoby to zniknięcie Clare, a to było po prostu niemożliwe. Westchnęłam i podniosłam wzrok na Martina, który ciągnął dalej.

- Mimo wszystko możesz jechać ze mną. Mój kolega ma dwudziestoletnią córkę, która zostałaby z Clare. Ona jest bardzo odpowiedzialna - musiał dostrzec wyraz mojej twarzy - ale z pewnością to nieodpowiedni moment, żeby zostawiać Clare z kimś, kogo nie zna.

- To niemożliwe - odparłam po prostu, a potem coś sobie uświadomiłam. - Czy powiedziałaś, że mogę jechać z tobą?

Martin skinął głową, wpatrując mi się prosto w oczy, zamiast ze wstydem spuścić wzrok, co z pewnością powinien zrobić.

- Ale chyba ty nie jedziesz? - spytałam, ale nawet wtedy się nie zmieszał.

- Staralem się z tego wykręcić, ale nie mają nikogo, kogo mogliby tam posłać. Wyjeżdżam pojutrze - odparł. Potem zaczął: - Niezręcznie mi cię o to prosić... - i urwał, nie prosząc.

Cóż miałam zrobić. Powiedziałam:

- Mogę wziąć parę dni wolnego. Zostanę z Clare. Tutaj albo w moim mieszkaniu, gdzie będzie chciała. Chociaż jeśli zostaniemy tu, będziemy musieli wymyślić jakąś wymówkę, dlaczego ja się nią opiekuję zamiast Viviany. Ale, Martin...

I wówczas jego opanowanie pękło, może nie z wielkim hukiem, ale widocznie.

- Cornelio, ona mnie nie chce. Każdy to widzi. - Potarł czoło dłonią. - Czy sądzisz, że ja nie wiem, że pora, kiedy mogłem być potrzebny Clare, dawno minęła? Straciłem ten okres. Miałem setki szans i wszystkie je zmarnowałem. Teraz moja obecność wcale jej nie pomaga. Jeśli już, to jeszcze pogarsza sprawę. - Nigdy jeszcze nie widziałam, żeby Martin był tak nieszczęśliwy. Nic nie mogłam powiedzieć, żeby go pocieszyć. Każde jego słowo było prawdziwe.

- Zostanę z nią. Wiesz, że zostanę. - Objęłam go mocno i siedzieliśmy tak przez dłuższy czas. Nie kochałam go i uważałam, że akurat ten ból jest dla niego bardzo dobry. Uświadomienie sobie jednak, że wszystko zepsułeś i nigdy nie będziesz mógł tego naprawić, jest jednym z najgorszych uczuć, jakie możemy przeżyć. Nie zostawiłabym go z tym samego.

Kiedy weszliśmy do kuchni, okazało się, że Teo pochował już jedzenie i teraz zmywał naczynia. Odepchnęłam go od zlewu ruchem biodra i zajęłam jego miejsce. Martin wziął ścierkę do naczyń i zaczął wycierać.

- Sprawdziłem, co z Clare. Spała, chyba na łóżku matki. Zdjąłem jej buty i przykryłem ją kołdrą. Nawet nie mrugnęła. - Teo oparł się o ogromną srebrną lodówkę i przeczesał dłonią włosy.

Jak już wspominałam, nie należę do tych, dla których świat trzęsie się w posadach na widok Mateo Sandovala. Jednak powiem, że włosy, które przeczesał, są w kolorze złotawego

brązu, co jest dość zaskakujące, jeśli zważyć na to, że sama dłoń jest tylko odrobinę jaśniejsza, w odcieniu też muśniętego złotem karmelu, a to w połączeniu z czystą zielenią oczu (o raczej nie zmieniającym się odcieniu), doskonałym zdrowiem i skłonnością do rumieńców nadaje Teo niezwykłą wyrazistość. Wspominam o tym tylko dlatego, żeby wytłumaczyć, że każdy, kto spędzi z nim nieco czasu, szybko zauważa, że ta jego, z braku lepszego słowa nazwijmy to promiennosc, zwiększa się lub zmniejsza zależnie od nastroju. Może zatem służyć za barometr jego stanu emocjonalnego i jest niezwykle przydatnym narzędziem, bo Teo nie poświęca zbyt wiele czasu na opisywanie swojego nastroju, szczególnie gdy nie jest szczęśliwy.

Kiedy Teo opierał się o lodówkę, niemal wcale nie promieniał. Zastanowiłam się, czy nie martwi się czymś jeszcze poza Clare. Może tęskni za żoną. Może zbyt ciężko pracuje. Obiecałam sobie, że zapytam go o to, jak tylko zostaniemy sami. Ale ponieważ kiedy następnym razem byliśmy sami, znajdowałam się w wirze osobistych problemów, muszę z przykrością wyznać, że tej obietnicy nie dotrzymałam.

- Mam nadzieję, że będzie długo spała - odezwał się Martin. - Potrzebuje tego.

- Rzeczywiście potrzebuje. Nie tylko po tym, co się stało, jak Lloyd się pojawił. To wyczerpanie narastało całymi tygodniami - wyjaśniłam i opowiedziałam Teo o liście znajdującej się w jej pokoju.

- Jezu - odparł Teo, a głos miał tak zmartwiony, że niemal gniewny. - Jak, u licha, poradziła sobie z tym wszystkim? Wiesz, mówiła mi o tej liście, o jakiejś jej wersji. W dzień po jedenastych urodzinach, o których obie z matką zapomniały, siedziała w restauracji i układała plan na każdy dzień.

Martin odłożył talerz, który wycierał.

- Jaka szkoda, że uważała, że musi utrzymywać chorobę matki w tajemnicy. Mogła przecież komuś powiedzieć. Byłoby jej o wiele łatwiej. Mogła była powiedzieć mnie.

I wtedy to się stało, wtedy domek z kart, który utrzymywałam w całości siłą woli połączoną ze sporą dozą uników i niedopuszczania faktów do świadomości, runął z hukiem. Nie było żadnego zwiastuna, jak przed przyjściem Lloyda, żadnej ciszy przed burzą, nic, co zapowiadałoby nadejście najbardziej gorzkiego końca, jaki można sobie wyobrazić.

Po słowach Martina Teo wypowiedział tylko dwa słowa:

- Powiedziała ci.

Odwróciłam się, nadal trzymając mokry talerz w ręku.

Teo już się nie opierał o lodówkę. Stał wyprostowany, ale bez śladu agresji. Trzymał ręce w kieszeniach dżinsów, a na twarzy miał dziwny wyraz, jakby własne słowa go zaskoczyły.

Martin tylko wpatrywał się w niego. Na twarz wypłynął mu rumieniec, co widziałam po raz pierwszy. Odezwał się w końcu, ale zaczął się jąkać, co też było nowością.

- Cornelio, ja... ja... yym - przerwał.

- Teo - spytałam powoli - co miałeś na myśli? Powiedz mi, co miałeś na myśli.

W odpowiedzi Teo zwrócił się do Martina, nie do mnie, co, jak później zrozumiałam, było gestem szacunku w stosunku do niego. Nie chciał mówić o nim w trzeciej osobie, kiedy znajdowali się w tym samym pomieszczeniu.

- Clare do ciebie zadzwoniła. Wiele tygodni temu, może nawet dawniej. Opowiedziała ci o dziwnym zachowaniu matki, o szaleństwie zakupów, dziwnych godzinach, w których funkcjonowała. Powiedziała ci, że matka zabrała ją ze szkoły i mówiła do niej rzeczy, które ją przeraziły. Mówiła ci, że sądzi, iż mama jest chora.

Martin zwrócił się do mnie.

- To, co mówiła, nie brzmiało tak źle, nie wydawało mi się, żeby działo się coś złego.

Ręce mi się trzęsły i pomyślałam, o Boże, upuszczę talerz, więc wrzuciłam go do zlewu. Uderzył w dno marmurowej misy i złamał się na pół. Widziałam jego części przez mydlaną wodę.

- Martin, czy Clare mówiła ci, że się boi? - spytałam, nie odrywając wzroku od stłuczonego talerza.

- Tak. Pewnie, mówiła, ale nie rozumiałem, jak trudna jest sytuacja. Nawet w przybliżeniu. Powiedziała mi o tych wszystkich drobnych szczegółach: ręcznikach, winie, książkach kucharskich. Może nie potrafiłem należycie złożyć tego wszystkiego razem, ale naprawdę nie wierzyłem, że dzieje się coś strasznego.

Właśnie wtedy wszelkie ciepłe uczucia, jakie miałam dla Martina, wszelkie szczęśliwe wspomnienia i dobre myśli ulotniły się z mojego ciała i odeszły - rozplynęły się w powietrzu jak duchy. Może się to wydać szaleństwem, ale wprost czułam, jak odchodzą. Ten stan nie będzie trwał wiecznie, część z nich wróci, ale teraz, stojąc przy zlewie, czułam miejsce, gdzie były - zimne miejsce w środku mojej klatki piersiowej. Zadrżałam.

- Cornelio, proszę - odezwał się Martin.

- Wiedziałeś, że była przerażona - powiedziałam. - Jedynie to musiałeś wiedzieć. Kogo to obchodzi, że dla ciebie nie miało to sensu? Prosiła cię o pomoc. Już samo to powinno ci powiedzieć, że jest zrozpaczona. I powiedziało. Zwróciła się do ciebie o pomoc, a ty jej odmówiłeś. - Zaczęłam płakać. - Nic dziwnego. Nic dziwnego, że nie powiedziała nikomu więcej. Pewnie myślała, że nikt jej nie będzie słuchał.

Martin podszedł do mnie i złapał mnie delikatnie za rękę. Nad jego ramieniem widziałam, że Teo się odwraca i nas zostawia.

- Cornelio, znasz mnie - ciągnął Martin ze łzami w oczach, ale to nie zmieniało niczego. - Wiesz, jaki jestem. Popelnilem błąd. To był okropny błąd. Ale nie pozwól, żeby ten błąd miał ostatnie słowo. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Rozumiałam.

- Kocham cię. Niech to też się liczy. Nie zostawiaj mnie teraz. Nie mogę cię teraz stracić. Rozumiesz?

Tak. Rozumiałam. I już odeszłam.

16. Clare

W środku snu, w którym wędrowała przez gęstą mgłę, Clare usłyszała trzaśnięcie drzwi i poczuła się, jakby ją ktoś pociągnął, jakby zaczepiono błyszczący hak do pętli przy jej pasku i uniesiono w górę z mgły i z samego snu. Pierwsza myśl, która jej przyszła do głowy, to był protest, nie, niech to się znów nie dzieje. Przez kilka chwil półsnu miała wrażenie, że jest noc, a ona znajduje się znów w swoim domu, sama z matką wędrującą w kruchoj nocnej ciszy, której nie można było ufać.

Usiadła na łóżku. Łóżku mamy. Zobaczyła, że jest całkowicie ubrana, a wówczas błyskawicznie dotarła do niej teraźniejszość. To rzeczywiście jest noc, a ona jest w swoim domu, ale mama odeszła. Ta myśl napełniła Clare najpierw ulgą, a potem poczuciem winy, że tak to odczuwa.

- Nie chodziło mi o to, że nie chcę, żeby tu była - szepnęła do kogoś lub czegoś zajmującego się słuchaniem i wyrażaniem zgody na pragnienia. Nie mogła ryzykować, że ta siła źle ją zrozumie.

Kiedy wcześniej otworzyła drzwi mężczyźnie w małych okularkach, nadzieja, że matka pojawi się na Wigilii, opuściła ją z szyderczym prychnięciem. Dlatego teraz trzask zamykanych drzwi absolutnie nie nasunął jej myśli, że mama wraca. Kiedy obudziła się już na tyle, żeby się martwić, pierwszą myślą było, że przecież jej ojciec przyjechał tu oddzielnie i kto wie, czy teraz Teo i Cornelia nie wsiadają do samochodu i nie zostawiają jej tu z ojcem. Odrzuciła kołdrę, którą ktoś ją przykrył, i pobiegła do własnego pokoju znajdującego się od frontu. Jeśli ktoś wyjeżdża, modliła się w ciemności, niech to będzie ojciec.

I był. Clare patrzyła, jak idzie przez frontowy trawnik w kierunku miejsca, gdzie jego

niewielki samochód lśnił srebrem jak statek kosmiczny na śniegu. W połowie drogi odwrócił się, zrobił krok w kierunku domu, potem się zatrzymał, potarł czoło dłońmi, znów się odwrócił i podszedł do samochodu. Jak tylko włączył silnik, Clare pobiegła schodami na dół. Była akurat u ich podnóża, kiedy usłyszała otwieranie i zamykanie kolejnych drzwi - tym razem tylnych - więc przeszła bezszelestnie do przedsionka, który miał okno wychodzące na ogród z tyłu domu. Ostrożnie przesunęła rząd wysokich butów i ogrodowych drewniaków, po czym usiadła na starej drewnianej ławce pod oknem.

W ogrodzie było zaskakująco jasno. Clare uświadomiła sobie, że matka musiała ustawić sterowanie oświetleniem, żeby włączało się w nocy, tak jak zawsze robiła, kiedy wyjeżdżały. Przez chwilę zastanowiła się nad tajemnicą jej umysłu - nad łatwością, z jaką przechodził od zamroczenia do jasności, i nad tym, jak pod pewnymi względami pozostał sprawny. Ta sama kobieta, która rezerwowała bilety na samolot i ustawiała wyłączniki czasowe, potrafiła również wyjść na mróz w letniej sukience.

Clare nie rozmyślała jednak nad tym zbyt długo, bo niecałe pół metra za oknem zobaczyła Teo siedzącego w jednym z białych ogrodowych foteli, a po chwili ujrzała zbliżającą się do niego Cornelie, w rękawiczkach, która niosła dwa kieliszki wina. Gdy Clare upewniła się, że na nią nie patrzy, uchyliła okno na parę centymetrów. Cornelia podała jeden z kieliszków Teo, a sama usiadła w drugim fotelu. Ze swego stanowiska w ciemności Clare dokładnie widziała ich oboje, razem z małymi chmurkami oddechów i łzami, które pojawiły się w oczach Cornelii. Czowała się, jakby oglądała sztukę. Szpieguje, pomyślała. Zrobiło jej się nieprzyjemnie, ale nie aż tak bardzo. Wszyscy wokół decydowali o jej życiu. Skoro nie miała wpływu na to, co się z nią dzieje, mogła chociaż starać się być na bieżąco.

- Okłamał mnie. Co prawda nie to jest w tym najgorsze. To nawet nie ma znaczenia w porównaniu ze wszystkim innym. Ale mnie okłamał, dwa razy, a nawet trzy, jeśli liczyć to, co się stało przed chwilą. Kilka godzin temu na górze żałował, że nie wiedział, co się dzieje. Jego głos brzmiał tak... Żał mi go było. Ale ze mnie idiotka - głos Cornelii drżał od goryczy.

- Czemu jesteś idiotką? Bo ufałaś osobie, którą kochasz? - odparł Teo zmęczonym, płaskim głosem.

Cornelia rzuciła mu zdumione spojrzenie.

- Teo! A więc tak myślałeś? Nie, nie jest aż tak źle. Lubiłam go. Bardzo go lubiłam. Nigdy nie kochałam. - Przerwała. - Czy miałeś wrażenie, że jestem w nim zakochana?

Teo w zamyśleniu zakręcił winem w kieliszku. Potem spojrzał na Cornelie.

- Nie. To znaczy, ja nie wiem, jak ty wyglądasz, kiedy jesteś zakochana. Ale nie, chyba

nie. Po prostu wydawało mi się, że go kochasz, skoro on jest... - Przerwał. Jaki, zastanowiła się Cornelia. Jaki jest? Przeniosła wzrok na niebo, chociaż Clare wiedziała, że przy tych wszystkich światłach może tam zobaczyć tylko czerń.

- Chciałam być - powiedziała cicho. - Byłam opanowana chęcią zakochania się w nim. Przez to tyle przeoczyłam.

Teo też spojrział w niebo.

- Każdy by przeoczył, jestem pewien. Nie uważam, żeby miłość była ślepa, ale chęć zakochania się prawdopodobnie jest. Nic na to nie poradzisz.

- Nie, nie mów tak. Gdybym była ślepa... Ale nie byłam. Widziałam, ale odsuwałam to, co widzę, na bok albo usprawiedliwiałam. Nie chciałam złożyć jednego z drugim. - Westchnęła. - I prawdę mówiąc, wcale mnie nie zszokowało to, co powiedziałeś w kuchni. Gdybym się dowiedziała, że ktoś inny, na przykład ty, zignorował wołanie dziecka o pomoc, byłabym wstrząśnięta.

- Och - westchnęła Clare. Przycisnęła palce do ust, ale Cornelia i Teo na szczęście jej nie usłyszeli. A więc o to chodzi. O jej rozmowę telefoniczną z ojcem.

Cornelia przestała wpatrywać się w niebo i spojrzała z ogniem w oczach na Teo.

- Wstrząśnięta to niedobre słowo. Walnęłabym go z miejsca. Kłamliwego sukinsyna.

Teo odwrócił głowę, ale Clare wydawało się, że dostrzegła na jego twarzy uśmiech. Jednak kiedy znów spojrział na Cornelie, był ponury.

- Przepraszam, że nie powiedziałem ci tego wcześniej. A może powinno mi być przykro, że w ogóle ci powiedziałem. Albo że w taki sposób powiedziałem, przy Martinie.

Cornelia szturchnęła go w ramię.

- Przestań. Zabraniam ci. Obydwoje wiemy, że próbowałeś. Czy też zacząłeś próbować. Wczoraj wieczorem, zanim zamieniłam się w grzechotnika i cię ukąsiłam.

Clare nie miała pojęcia, o czym Cornelia mówi, ale niezależnie od tego, co się stało poprzedniego wieczoru, było widać, że dziś nie są już na siebie źli.

Cornelia przyłożyła rękę do czoła i syknęła z irytacją.

- Co jest ze mną? Dlaczego tak strasznie chciałam się w nim zakochać?

- Chodzi ci o to, co w nim widziałas? Daj spokój, Cornelio! - odparł Teo i roześmiał się.

- Cicho bądź! - Machnęła palcem w jego kierunku i rzuciła mu gniewne spojrzenie.

- Gdyby podobieństwo było odrobinę większe, byłby winien naruszenia praw autorskich. - Teo znów się roześmiał.

- Wydaje ci się, że jesteś taki zabawny co, chłopczyku? - Cornelia potrząsała głową, ale

jednocześnie się uśmiechała.

- Spadkobiercy Granta mogliby go zaskarżyć.

Teraz obydwójce się roześmieli. Clare nie rozumiała, o czym mówią, ale rozumiała śmiech. Rozumiała, że jeszcze kilka minut temu Cornelia miała łzy w oczach, a teraz śmiała się razem z Teo.

Przypomniała sobie, że tych dwoje dorastało razem, i zastanowiła się, czy tak właśnie zachowują się w stosunku do siebie bracia i siostry. Pewnie nie. Próbowwała sobie przypomnieć rodzeństwa, które miała.

Jednak Cornelia i Teo byli poniekąd jak siostra i brat, ale wyczuwało się w tym coś jeszcze, jakąś tańczącą między nimi energię. Uświadomiła sobie, że tak wygląda przyjaźń między kobietą a mężczyzną, i poczuła zawrót głowy, poczuła się uprzywilejowana, jakby udało jej się zajrzeć do całkiem nowego świata.

- Ale to nie tylko to - ciągnął Teo, kiedy przestali się śmiać. - Urok, dowcip, wyrafinowanie i świetne ciuchy, które nawet ja zauważyłem. Jego mieszkanie wygląda pewnie jak żywcem wyjęte z pisma o urządzaniu wnętrz. Gdybym wrzucił do wyszukiwarki „mężczyzna marzeń Cornellii”, to właśnie on pokazałby się na ekranie.

- Czy to znaczy, że jestem beznadziejnie płytka? - spytała smutno Cornelia, a Clare zrozumiała, że zależy jej na poważnej odpowiedzi, chociaż pytanie wcale tak nie brzmiało. Zadawszy je, Cornelia odchyliła głowę na oparcie fotela i wpatrzyła się w twarz Teo. On przez chwilę odwzajemniał to spojrzenie.

- Nie - odparł energicznym tonem. - Nie ma w tobie nic beznadziejnego.

Siedzieli, popijając wino i wpatrując się w przestrzeń przed sobą. Gdyby światło na dworze nie było tak silne, z pewnością by ją dostrzegli. Potem znów odezwała się Cornelia. Niewiele brakowało, żeby Clare do nich wybiegła, kiedy usłyszała jej słowa.

- Pojechał na przejażdżkę. Kiedy wróci, powiem mu, że to koniec. Bo to koniec. Odchodzę.

Teo siedział nieruchomo. Nie patrzył na Cornelię i nic nie odpowiedział. Clare zaczęła ciężiej oddychać.

- Nie mogę z nim być, Teo. - Jej głos brzmiał wyzywająco.

Teo nadal się nie odzywał. Cornelia wstała i zaczęła chodzić tam i z powrotem. Clare była zdruzgotana.

Więc to koniec, koniec tego poczucia bezpieczeństwa, tego poczucia, że nie jest sama. Koniec, koniec, koniec. Ten wyraz rozbrzmiewał jej w głowie jak odgłos ciężkich kroków, jakby

coś złego podchodziło do niej coraz bliżej.

- Ja nie mogę tego zrobić. Wiesz, że nie mogę, Teo. To nie do pomyślenia. - Głos Cornellii przybierał coraz wyższe tony.

- To prawda. To nie do pomyślenia - odparł Teo spokojnie. - Ale to będzie na krótko. Tylko dopóki jej nie znajdą.

Cornelia zatrzymała się tuż przed nim i objęła się w pasie rękoma. Stojąc tak tyłem do Clare, przypominała jej małą dziewczynkę.

- Czyli co mam robić? Udawać, że jestem w nim zakochana? - niemal wypluła te słowa. Teo szybko podniósł się z miejsca i położył jej rękę na ramieniu.

- Nie - odparł. - Oczywiście, że nie. Po prostu z nim rozmawiaj, pracuj nad waszym związkiem.

- Mam udawać, że pracuję nad naszym związkiem?

Teo skrzywił się i dalej trzymał dłoń na jej ramieniu. Wyglądał, jakby się czegoś wstydził, ale Clare nie wiedziała dlaczego. Jednak przez cały czas nie odwracał wzroku od twarzy Cornellii.

- Nikt nie może ode mnie tego oczekiwać - powiedziała gniewnie Cornelia.

- Nie - potwierdził Teo, patrząc na nią spokojnie.

- Po prostu chcę się od niego uwolnić - wyjaśniła błagalnie.

- Wiem - odparł Teo łagodnie. Tak łagodnie, pomyślała Clare. On z pewnością nie miał się czego wstydzić. Jej zdaniem był najmiłszym mężczyzną na świecie.

Cornelia wyciągnęła dłonie i mocno chwyciła Teo za rękę. Płakała.

- Masz rację - przyznała głucho. - Nie mogę jej zostawić. Oczywiście, że nie mogę. Szczególnie teraz, po tym wszystkim, czego się dowiedziałam.

Jej, pomyślała Clare. To mnie ma na myśli.

- To jest niesprawiedliwe - stwierdził Teo. - Bardzo mi przykro. - Przyciągnął Cornellię do siebie i objął.

Clare najchętniej też by ją objęła. Szepnęła cicho:

- Dziękuję, dziękuję, dziękuję. - Powtarzała to stale od nowa, mając wrażenie, że mały pokój wypełnił się tymi słowami.

- Teo - odezwała się Cornelia, również niemal szepcąc - a co będzie, jeśli to zawalę?

- Co zawalisz?

- Widziałeś twarz Clare, kiedy dziś wieczorem otworzyła drzwi. Ona jest taka wrażliwa.

Nie wiem, jak należy się zajmować tak wrażliwym dzieckiem.

- Nie zawalisz.

Cornelia odsunęła się od Teo.

- No, dobrze. Ale ty musisz wyjechać, dobrze? Jutro.

- Wiem - skinął głową. - Wyjadę.

- Nie zniosłabym, żebyś mnie obserwował. A poza tym masz własne życie. Nie możemy ryzykować, że cię wyleją. Szpital albo Ollie. - Zaśmiała się nerwowo i przesunęła dłonią po twarzy. Potem powiedziała: - Wejdźmy do środka.

Teo wziął kieliszki.

- Tylko, Teo - w głosie Cornelii brzmiało niemal przerażenie - jeśli zadzwonię, to wrócisz? - Potem, już normalnym tonem dodała: - Bo Clare może chcieć, żebyś przyjechał. Myślę, że się zakochała.

To prawda, pomyślała Clare i uśmiechnęła się do siebie.

- Tak - odparł Teo - jeśli zadzwonisz, wrócę.

Clare popędziła schodami do pokoju mamy i wsunęła się pod kołdrę. Serce jej waliło. Przez długi czas leżała bezsennie, rozmyślając o tym, że odkrycie, jak ojciec ją traktował, sprawiło, że Cornelia chciała go opuścić i że jednocześnie z tego samego powodu przy nim zostaje. To dla niej Cornelia zdecydowała się zostać. Musi mnie lubić, pomyślała uszczęśliwiona. Teo też. Obydwoje muszą mnie lubić. Ciesząc się tą myślą, zapadła w sen.

Kiedy następnego ranka Clare zeszła na dół, Cornelia siedziała sama przy kuchennym stole, opierając czoło na skrzyżowanych rękach. W takiej właśnie pozycji dzieci w szkole Clare wypoczywały podczas dziesięciminutowej przerwy po lunchu, a Clare zawsze bardzo lubiła to uczucie towarzyszące przebywaniu w małej przestrzeni między ramionami: była tu odosobniona, sama z dźwiękiem swojego oddechu, a jednocześnie złączona w zaciemnionym pokoju z innymi dziećmi, z których każde było samotne w ten sam sposób. Ale tu, przy stole, Cornelia była jedyną osobą z głową opartą na rękach - była naprawdę samotna.

Clare zauważyła, że krótko obcięte włosy Cornelii układają się w szpic z tyłu głowy, dostrzegła lekkie zagłębienie na środku szyi i wybrzuszenie kręgu nad kołnierzykiem bluzki. Cornelia żyje w swoim ciele tak samo jak ja w swoim, uświadomiła sobie nagle. Ona jest główną postacią w swojej historii, tak jak ja jestem w swojej. Clare nie potrafiła wyjaśnić tych myśli ani wytłumaczyć zaskoczenia, które ją ogarnęło, gdy jej się nasunęły. Wydawały się oczywiste, a jednak takie nie były. W pewnym sensie wydawały jej się objawieniem.

- Cornelio? - powiedziała cicho. Cornelia uniosła głowę, prostując jednocześnie ramiona, jakby zaskoczył ją dźwięk jej imienia. Clare zastanowiła się, czy czasem nie spała. Kiedy Cornelia ją zauważyła, jej ramiona się rozluźniły i powiedziała łagodnie:

- O, cześć. Głodna?

- Okropnie - odparła Clare. Pomyszkowała chwilę po kuchni i znalazła dwa nieruszone ciasta - szarlotkę i ciasto dyniowe. Nie zjedli beze mnie deseru, pomyślała i poczuła przyjemne ciepło w sercu.

- Cornelio - powiedziała z psotnym uśmiechem - zjedźmy ciasto.

Cornelia roześmiała się i stwierdziła:

- Wiesz co, nagle ja też poczułam się strasznie głodna. Nie odmówię, jeśli ukroisz mi spory kawałek szarlotki.

Kiedy jadły, Clare spytała:

- Czy Teo wyjechał? - Cornelia przez chwilę wyglądała na zaskoczoną, ale potem powiedziała: - Teo jest jednym z tych maniaków, którzy wstają o świcie i biegają na mrozie. Spodziewam się, że lada moment tu wpadnie i będzie błagał, żebyśmy włożyły go do piekarnika, żeby odtajał. Zmieści się, jak sądzisz?

- Może trzeba będzie go odmrażać po pół na jeden raz.

- Dobry pomysł. - Cornelia uśmiechnęła się, a potem już poważnie powiedziała: - Ale rzeczywiście dziś wyjeżdża. Pacjenci go potrzebują.

- Och... - Clare starała się, żeby w jej głosie zabrzmiało rozczarowanie. Rzeczywiście była z tego niezadowolona, ale przecież wiedziała, że wróci, jak tylko Cornelia go wezwie. Wiedziała, że jeszcze go zobaczy. - Przypuszczam, że Ollie też go potrzebuje.

- Oczywiście. Ollie nie zawsze zdaje sobie sprawę, że potrzebuje innych ludzi, ale musi potrzebować Teo.

- Któż by nie potrzebował Teo? - zauważyła Clare. - On jest taki potrzebowny.

W oczach Cornelii pojawiły się iskierki.

- No, no, Clare, nie możesz pozwolić, żeby mężczyźni doprowadzali cię do kaleczenia języka, choćby byli nie wiem jak słodcy.

- Nie mężczyźni, tylko Teo - roześmiała się Clare. - No, dobrze. A jakie byłoby lepsze słowo?

- Może niezbędny? - zasugerowała Cornelia. - Teo jest niezbędny.

W tej chwili trzasnęły drzwi frontowe. Teo wbiegł do kuchni, ciężko dysząc, i natychmiast się pochylił, z dłońmi opartymi o kolana. Kiedy już złapał oddech, wyprostował się, po czym usiadł na podłodze, plecami oparty o ścianę. Miał na sobie czerwoną bluzę z białym napisem STANFORD z przodu. Policzki mu się zarumieniły, a oczy błyszczały. Clare nie mogła oderwać od niego wzroku. Wygląda zupełnie jak róża, przyszło jej na myśl i natychmiast ją to rozbawiło.

Zachichotała.

- Co? - zwrócił się Teo do dwóch wpatrzonych w niego kobiet.

- Pieką cię uszy? - spytała Cornelia. Teo nakrył uszy dłońmi.

- Teraz pieką. Cała głowa mnie piecze. Ale to i tak nieźle, bo dwie minuty temu wcale jej nie czułem, tak była skuta lodem.

- Czyli można powiedzieć, że miałeś zakuty łeb - stwierdziła Cornelia.

- Nie pierwszy raz. - Teo wzruszył ramionami. - A gdzie Martin?

- Prawdopodobnie bierze prysznic. Albo już się goli. Kąpiel i golenie, dwie czynności, które mógłbyś rozważyć, Sandoval. A twoim włosom przydałby się przyzwoity fryzjer. Nie mogą się już doczekać. Właściwie w tej sytuacji nawet mniej przyzwoity by wystarczył. - Ton Cornelii był lekki jak piórko, ale Clare zauważyła, że kiedy mówiła o jej ojcu, nie patrzyła nikomu w oczy.

- Przestań mnie przerabiać - powiedział Teo, wstając. - To się nie uda. - Wziął w palce nie zjedzone przez Cornelie ciasto i włożył sobie całe do ust.

- Barbarzyńca - oświadczyła Cornelia afektowanym tonem, przykładając serwetkę do kącików ust.

Clare usłyszała, że ojciec schodzi po schodach, stukając ciężko butami po drewnianych stopniach. Przecież jest drugi dzień świąt, pomyślała z irytacją. Czy on nie słyszał o obuwiu sportowym?

Jednak kiedy ojciec wszedł do kuchni, zrobiło jej się przykro, że była dla niego taka nieprzyjemna, choćby tylko w myślach. W swetrze i wełnianych spodniach wydawał się mniejszy niż zazwyczaj, miał sińce pod ciemnymi oczami, które ostro kontrastowały z bladą twarzą, i wyglądał, jakby wcale nie spał. Zastanowiła się, jak długo wczoraj jeździł bez celu, rozmyślając o Cornelii, i chociaż Cornelia pewnie niedługo z nim zerwie, Clare była zadowolona, że nie słyszał, co mówiła o nim wczoraj w ogrodzie.

Clare przypomniała sobie smutny, zdesperowany ton jej głosu, kiedy mówiła do Teo: „Po prostu chcę się od niego uwolnić”. Kiedy pomyślała, że ojciec mógłby podsłuchać te słowa, aż się wzdrygnęła.

- Martin - odezwała się Cornelia, a powiedziała to w taki sposób, że Clare zastanowiła się, czy nie myślały o tym samym.

- Dzień dobry wszystkim. O, a ja się zastanawiałem, gdzie się podziały te ciasta - powiedział. Nawet jego głos był bardziej mizerny.

Clare podniosła się z miejsca.

- Zrobiliśmy z nich śniadanie, tato. Chcesz szarlotkę czy dyniowe?

Uśmiechnął się do niej, patrząc jej prosto w oczy, i odparł:

- Zjem to co ty, Wróbelku.

- Gdzieś w tej okolicy jest przeznaczony dla mnie prysznic - powiedział Teo, wstając.

- Niech to będzie długi prysznic - zawołała za nim Cornelia, ściskając nos palcami.

- Teo nie śmierdzi! - oburzyła się żartobliwie Clare.

- Początkowo był zbyt zamarznięty, żeby wydzielać jakiś zapach, ale jak zaczął tajać... -

Znów ścisnęła sobie nos.

- Wygląda na to, że miłość jest nie tylko ślepa, ale przytępia też węch - drażnił się z Clare ojciec.

Clare poczuła się lekko wstrząśnięta tym, że ojciec w ogóle zauważył jej zauroczenie Teo. Oczywiście, Cornelia mogła zwrócić mu na to uwagę. Ale dziś rano, w tej nowej mniejszej postaci, kiedy jego blask nieco przygasł, a kanty zmiękły, ojciec zachowywał się w stosunku do niej znacznie milej. Zauważał ją w większym stopniu niż zazwyczaj. Zarumieniła się nieco na myśl, że wiedział o jej miłości, a to skłoniło ją do dalszych rozmyślań, że do tej pory wcale jej nie przeszkadzało, że wiedziała Cornelia i Linny, a nawet Teo. Jeszcze nie tak dawno przebywanie z ludźmi, którzy wiedzieliby o czymś takim, byłoby dla niej niezmiernie krępujące. Jednak Teo i Cornelia wytwarzali taką żartobliwą, serdeczną i pełną akceptacji atmosferę. Kiedy znalazła się pod jej wpływem, poczuła się swobodnie, jakby wszystko, co mówi i myśli, było wspaniałe.

- Nie sędzę, żeby miłość była ślepa - stwierdziła Cornelia przyciszonym głosem, na co ojciec Clare gwałtownie obrócił się w jej kierunku. - Prawdziwa miłość to stan o największej jasności widzenia, jak to możliwe.

Ojciec wpatrzył się bacznie w zawartość swej filizanki z kawą, jakby spodziewał się tam znaleźć odpowiedź na to, co powiedziała Cornelia.

- Może masz rację. Może prawdziwa miłość sprawia, że widzisz wszystko, a i tak kochasz - odparł w końcu. Potem zmienił ton. - A tak nawiasem mówiąc, kto wymyślił to powiedzenie, że miłość jest ślepa?

- Och, pewnie Szekspir. W każdym razie jest to u Szekspira, ale kto wie, czy to nie było coś, co ludzie już mówili, jak to się tam nazywa. Nie idiom. Porzekadło?

- Myślę, że techniczne określenie brzmi „coś, co ludzie mówili” - stwierdził ojciec Clare i o ułamek się rozjaśnił. Tak przynajmniej wydawało się Clare. Ułamek? Próbowała sobie przypomnieć, w czym mierzy się światło. W watach?

- To jak *Twinkle, Twinkle, Little Star* - rzuciła Cornelia, ale Clare tego nie zrozumiała. W każdym razie ojciec jeszcze bardziej się rozpogodził.

- Właśnie. Czy Mozart to skomponował, czy tylko napisał wariacje na podstawie istniejącej piosenki ludowej?

- Myślę, że techniczne określenie brzmi „coś, co ludzie już śpiewali” - zażartowała Cornelia. Uśmiech towarzyszący tym słowom nie był jej zwykłym uśmiechem, ale ojciec tego nie zauważył. A może po prostu i tak był zadowolony, że rozmawiają w taki sposób, przerzucając się lekkimi uwagami. Zupełnie jak w badmintonie, pomyślała Clare i pożałowała, że nie może wypowiedzieć tego na głos, bo było to dobre porównanie. O, właśnie przyszło jej do głowy: lumen. Lumen, prawda?

Jednak nawet kiedy rozmyślała, w jakich jednostkach mierzy się światło, a jej ojciec i Cornelia rozmawiali o *Twinkle, Twinkle*, wyczuwała w atmosferze powagę i zdenerwowanie. Miała wrażenie, że inna, prawdziwa rozmowa płynie pod powierzchnią błyskotliwej wymiany zdań, jak prąd odpływowy w oceanie. Patrząc na twarz Cornelii, zrozumiała, że ona czuje to samo. Przypomniała sobie, jak wyglądała z głową opartą na rękach przy kuchennym stole, i postanowiła, że jeśli się uda, to jej pomoże.

- Może powinniśmy dziś wyjechać - powiedziała na głos - i wrócić do Filadelfii. - Kiedy opuszczą ten dom, Cornelia nie będzie musiała tak często widywać jej ojca. Każde będzie mieszkało w swoim własnym mieszkaniu. Ona oczywiście zostanie z Cornelią.

- Może powinniśmy - przytaknęła Cornelia głosem, w którym wyraźnie było słychać ulgę, tak że Clare poczuła się dumna. Jednak pomogła. - Jeśli jesteś gotowa. A, i od jutra będziemy przez kilka dni same. Twój ojciec wyjeżdża do Londynu.

Na tę wieść ogarnęła ją radość, ale zrobiła wszystko, żeby ją ukryć.

- Nie będzie mnie tylko kilka dni - wyjaśnił ojciec. Przerwał, po czym dodał: - Chyba że zależy ci, żebym został, Clare. To przełożę podróż.

Cornelia rzuciła mu zaskoczone spojrzenie i przez parę sekund na jej twarzy malowała się rozterka, jakby nie mogła się zdecydować, co myśleć o tej propozycji.

- Nie ma sprawy, tato. Możesz jechać - odparła Clare. - Pójdę teraz napisać nową wiadomość dla mamy.

Napisała i ruszyła z powrotem do kuchni, ale w pewnej chwili się zatrzymała. Poprzez szum płynącej wody dobiegał ją z góry głos Teo śpiewającego piosenkę, której nie znała. Zapewne się goli. Poszła dalej, ale starając się to zrobić jak najciszej, i zajrzała do kuchni. Znów bawi się w szpiega.

Ojciec zdążył się przesiąść na krzesło bliżej Corneli i teraz pochylał się w jej kierunku.

- Chciałbym ci powiedzieć, żebyś zachowała wiarę - odezwał się zbolalym głosem. - Jeśli zostało ci jeszcze choć trochę wiary we mnie.

- Staram się, Martin. - Przy tych słowach kąciki jej ust opadły ku dołowi.

Ojciec ujął jej dłoń i wpatrywał się w nią, jednocześnie drugą ręką dotykając po kolei wszystkich jej palców, jakby je liczył. Potem ochryple spytał:

- Mogę? - Cornelia skinęła przyzwalająco głową, a on ucałował wierzch jej dłoni, odwrócił ją i przycisnął usta do wnętrza, trzymając je tak przez dłuższy czas. Clare przyłożyła rękę do serca. Potem cicho się wycofała i usiadła w salonie, starając się uporządkować myśli na temat tego, co właśnie zobaczyła.

Doszła do wniosku, że nawet jeśli ktoś nie jest idealny czy choćby dobry, nie można przekreślać miłości, którą czuje. Miłość to zawsze miłość. Jest dobra sama w sobie, choć osobę, która ją czuje, przepelnia zło. Cornelia powiedziała wcześniej, że ojciec Clare zignorował wołanie dziecka o pomoc. Nawet mężczyzna, który zrobił coś takiego, może być zakochany, może przeżywać miłość, która się liczy. Clare, siedząc wyprostowana w salonie, w fotelu liczącym sobie sto lat, zadrżała w obliczu prawdy, którą samodzielnie odkryła, i poczuła się wiekowa i doświadczona.

Nadal tak siedziała, kiedy znalazł ją Teo. Wszedł cicho do pokoju i wypowiedział jej imię. Podniosła na niego wzrok i zauważyła, że jego włosy jeszcze lśnią wilgocią, a twarz o złotobrazowym kolorze jest gładko ogolona. Ojej, niemal powiedziała to na głos, tu dopiero jest lumenów.

Zanim Teo wyjechał, uścisnął dłoń jej ojcu, a potem pochylił się i pocałował Cornelię w oba policzki.

- Tak chyba robią w tej twojej kawiarni? - spytał z uśmiechem. Cornelia skinęła głową i złapała go za rękaw kurtki, a Clare dostrzegła błysk paniki na jej twarzy. - Niedługo się zobaczymy - powiedział Teo stanowczo i Cornelia puściła rękaw. - Chcesz mnie odprowadzić, Clare? - Oczywiście, że chciała.

Teo podał jej ramię, a ona wzięła go pod rękę i tanecznym krokiem wyszła z nim na zewnątrz. W drugiej ręce trzymała brązową papierową torbę, w której miała dla niego prezent na drogę.

Kiedy stanęli przy samochodzie Teo, wyjęła swój dar z torby. Było to opowiadanie, które napisała. Na ile się dało, postarała się wygładzić okładkę.

- Zrobiłam to dla mamy na Boże Narodzenie - powiedziała po prostu.

- Powinnaś zostawić to dla niej - odparł Teo. Wsunął jej luźny kosmyk włosów za ucho.
- Mogę jej napisać inną. Ta jest dla ciebie i Corneliai.

Wspólnie. Będziesz musiał ją przywieźć, kiedy będzie jej kolej na czytanie. - Przerwała. - A myślę, że jej kolej będzie już wkrótce, dobrze?

- Dobrze. Dziękuję ci. - Teo się uśmiechnął, po czym wręczył Clare złożoną karteczkę. - Tu jest mój numer. Dzwoń zawsze, kiedy będziesz miała ochotę. W porządku?

Clare skinęła głową, trzymając kartkę dwoma rękami. Teo popatrzył przez chwilę na jej dom i powiedział:

- Clare, mogłabyś coś dla mnie zrobić? Clare lekko podskoczyła. Zrobiłaby wszystko.
- Wszystko - odparła.
- Zadzwoń, jeśli będziesz mnie potrzebowała. Zadzwoń też, jeśli uznasz... Gdybyś uznała, że Cornelia ma kłopoty, to też zadzwoń. Zrobisz to?

- Obiecuję - odparła Clare uroczyście. Potem szybko, żeby nie stchórzyć, pocałowała Teo w gładki brązowy policzek.

W samochodzie ojca, kiedy jechali już z powrotem do miasta, Clare pisała w swoim pamiętniku, a ojciec i Cornelia rozmawiali. Trzymali się ogólnych, nieosobistych tematów. Ich głosy prześlizgiwały się gładko po powierzchni wczesnych filmów, których Clare nigdy nie widziała, a potem poezji - poetów metafizycznych, kimkolwiek byli, i Emily Dickinson, której nazwisko przywiodło Clare na myśl obraz muchy bzycającej na parapecie okiennym, oraz Edny St. Vincent Millay, Audena i innych, których nazwisk nie знаła. Tylko raz głos Corneliai przybrał poważny, refleksyjny ton.

- To prawda. Rzeczywiście zawsze ceniłam sobie ironię. Ironię i inteligencję. Może nawet przeceniałam - stwierdziła.

- Bez obaw - odparł lekkim tonem ojciec. - Nie da się przecenić ironii i inteligencji.
- A jednak można. Zaczynam myśleć, że można. Im jestem starsza, tym bardziej lubię Whitmana.

Clare przypomniała sobie człowieka przemawiającego do źdźbła trawy. Przypomniała też sobie parking przy wjeździe na autostradę w New Jersey. „Wysławiam siebie i opiewam siebie!” - wołała zawsze jej matka, gdy mijały znak granicy stanu. Och, mamusiu, pomyślała. Wracaj do domu.

- Whitman bywa bardzo inteligentny - zauważył ojciec.
- Oczywiście - powiedziała Cornelia. - Ale inteligencja nie ma tu nic do rzeczy. Nikt nie kochał Whitmana za jego inteligencję. Liczy się jego serce, jego ogromna wielkoduszność i jego

entuzjazm. - W jej głosie słychać było furie.

- Myślisz, że to lepsze powody, żeby kogoś kochać? Lepiej mieć takie cechy charakteru, żeby być kochanym. - Głos ojca stał się nagle zmęczony, przybity. O czym oni rozmawiają, zastanawiała się Clare.

- Martin, nie myśl... - Cornelia westchnęła. - Nie chciałam dać się ponieść. Ani się czepiać. Po prostu rozmawiamy o poezji. Poezja czasem wytrąca mnie z równowagi, zamienia w bestię. W porządku? - Wysunęła rękę, żeby dotknąć jego kolana, ale się zawahała. Ojciec wziął tę dłoń i trzymał.

- W porządku - powiedział. - Nawet kiedy jesteś bestią, nie jest to naprawdę bestialska bestia. - Znów był wesoły.

Niewiele trzeba, żeby poprawić mu humor, zauważyła w duchu Clare. Potem zapisała to w swoim pamiętniku. A dalej napisała: „Jemu potrzebna jest wiara, że ona odwzajemnia jego miłość”.

17. Cornelia

Istnieje pewien rodzaj łagodności, która jest możliwa wyłącznie w godzinach przedświt - niebieskoszarej, samotnej łagodności zrodzonej z przytłumionych światła, senności i niezwyklej ciszy. Jest to rodzaj łagodności i rodzaj nadziei. Zawsze trudno było mi się gniewać na pół godziny przed świtem i kiedy Martin zapukał do moich drzwi, żeby się pożegnać następnego ranka po naszym powrocie do Filadelfii, zupełnie nie było we mnie złości. Nie znaczy to, że zapomniałam, jak odciął się od Clare, pozostawiając ją samą z chorą matką i strachem. Niczego nie zapomniałam. Jednak kiedy stanął w moich drzwiach, jego twarz była tak blada, tak odarta z blasku i wytworności, że niemal nie przypominał siebie. A może właśnie tak bardzo był prawdziwym sobą, że z trudem go rozpoznałam. Po raz pierwszy patrzyłam na Martina i nie dostrzegałam jego urody. Widziałam w nim tylko człowieka.

Potem z pokoju wyszła Clare i Martin ją powitał:

- Cześć, Wróbelku. - Jego głos współgrał z wyglądem, był nagi i smutny. Potem wyciągnął do niej rękę.

Kiedy podeszła, położył obie dłonie na jej ramionach i pocałował ją w czubek głowy, a potem w policzek. W oczach Clare dostrzegłam zdumienie.

- Wróbelku, źle zrobiłem, że nie słucałem, jak należy, kiedy zadzwoniłaś, żeby powiedzieć, że twoja mama dziwnie się zachowuje. - Przerwał. Z miejsca, gdzie stałam,

słyszałam, że Clare zaczęła szybciej oddychać. - Przepraszam, że nie słuchałem. I że nie pomogłem.

Clare zeszywniała i widziałam, jak bardzo jest zdezorientowana. Jej ojciec normalnie nie mówił do niej w taki sposób, po prostu nie mówił. Stała prosto i nieruchomo w piżamie, a ja miałam ogromną ochotę się wtrącić, wyjaśnić coś, przerwać tę sytuację, ale się powstrzymałam. Po bardzo długiej chwili Clare zdobyła się na skinienie głową. Potem powiedziała:

- Zobaczymy się, kiedy wrócisz, tato - i poszła z powrotem do sypialni.

Martin odprowadzał ją wzrokiem, a kiedy wpatrywał się w tę stronę jeszcze przez kilka sekund po tym, jak zniknęła, nie wytrzymałam - wzięłam go za rękę. Odwrócił się do mnie, ale nie podszedł bliżej i staliśmy jak dwoje ludzi ściskających sobie dłonie i przypieczętowujących pakt nad płynącym strumieniem.

- Czy kiedy wyjadę, zastanowisz się nad nami? Nad tym, czy widzisz jakąś możliwość, żebyś nam dała drugą szansę? - Głos mu się załamał, a to prawie wystarczyło, żeby złamać moje postanowienie i rzucić mu się w ramiona. Prawie, ale niezupełnie.

- Martin - powiedziałam tylko.

- Nie zasługuję na ciebie. Ale pragnę stać się osobą, która zasługuje.

- A Clare? - wybuchłam. - Czy chcesz się stać osobą zasługującą na Clare?

- Tak, pragnę tego. - Spojrzał na mnie wzrokiem, w którym malowało się zarówno błaganie, jak i wyzwanie. - Pomożesz mi w tym?

Nie było na to odpowiedzi. Ani „nie”, ani „tak” nie wydawało mi się odpowiednie.

- Proszę, zastanów się nad tym - powiedział, ale w jego głosie nie usłyszałam zbyt wiele nadziei.

- Dobrze, Martin. Pomyślę o tym. - Westchnęłam i natychmiast tego pożałowałam, bo przez to w moich słowach zabrzmiało zniecierpliwienie i nieszczerłość. Jego dłoń spoczywająca w mojej była ciepła i rzeczywista, czułam jej kości. Pomyślałam o tym, co mówiłam do Teo na temat udawania, że pracuję nad związkami z Martinem, i zrozumiałam, że jeśli nie zamierzam z nim zerwać, to nie mogłabym tylko udawać, niezależnie od tego, jak beznadziejne to się wydawało. - Martin, naprawdę nad tym pomyślę.

Wówczas skinął głową, pocałował mnie gwałtownie w usta i odszedł.

Pożegnanie z Martinem zaciążyło nad całym dniem Clare i moim. Każda z nas najchętniej zostałaby sama ze swoimi myślami, ale skoro mieszkaliśmy razem, starałyśmy się jak najmniej mówić. Clare czytała i pisała coś w swoim notesie, a ja czytałam i sprzątałam kuchnię. Po południu zrobiłam pranie. Clare pomagała mi składać rzeczy z suszarki i widać było, że sprawia jej to

przyjemność, zapewne z tych samych powodów co mnie: świeżutkie ubrania w koszykach, jeszcze ciepłe, gdy brałyśmy je do rąk, a potem schludne stopy i w końcu pełne szafy. Wieczorem poszłyśmy razem do Linny na jej specjalność - spaghetti z klopsami - oraz żeby wesolą rozmową i dobrocią, którą promieniowała, wypełnić pustkę w naszych sercach. Linny przemierza świat tak stanowczym i pewnym krokiem, że przebywanie z nią pomaga zapomnieć o rozterkach, przynajmniej na pewien czas. Później hałaśliwymi, tętniącymi życiem ulicami wróciłyśmy z Clare do domu i położyłyśmy się spać.

Obudziłam się o piątej rano. Drzwi mojego mieszkania stały otworem, a Clare zniknęła.

Czy muszę wam to opisywać? Tę dziką, tętnącą w głowie panikę, oddech zmieniający się w jęk, rozpaczliwe, głośne modlitwy? Każdy doświadczył takiej chwili, a jeśli nie, to jeszcze ją poznacie. Wszyscy mieliśmy okazję to widzieć. Matka na plaży, ojciec w domu towarowym, opiekunka w parku, którzy odwrócili się na trzy sekundy, zaledwie trzy sekundy. I wiemy, że nie ma znaczenia, jak krótko to trwa, bo zawsze trwa całą wieczność. Nawet jeśli się okaże, że dziecko pobiegło za mewą albo chowa się za wieszakiem z ubraniami, albo bawi z psem zaledwie kilka metrów dalej, przez tę nieskończenie długą chwilę straciliśmy je na zawsze.

Ja potrzebowałam dwudziestu minut, żeby ją odnaleźć. Dwadzieścia minut biegania jak szalona po ciemnym mieście, obietnic składanych Bogu i diabłu, przeklinania samej siebie i ciągłego nawoływania „Clare, Clare...” To wołanie jest najgorsze. Posyłasz imię w powietrze i słyszysz, że już staje się bezosobowe, jest tylko kolejnym dźwiękiem w świecie, a ty tylko częściowo wierzysz, że kiedykolwiek połączy się z kimś - twoim kimś - ponownie.

Miała na sobie futro i siedziała przy pustym kawiarnianym stoliku zabezpieczonym łańcuchem, karmiąc czymś gołębia. Wyszlochałam jej imię i przebiegłam przez ulicę, po czym uklęknęłam przed nią w chłodnej kałuży światła ulicznej lampy, macając jej twarz i ręce, żeby się upewnić, że jest prawdziwa i że nic jej się nie stało. Kiedy już odzyskałam oddech, spytałam:

- Co się stało? Co ci się stało?

- Wyszłam na spacer - odparła, a spokój w jej oczach i głosie niewątpliwie powinien mnie uspokoić, wiem o tym. Z nieba powinna na mnie spłynąć ulga, jak ciepły wiosenny deszcz, a ja powinnam objąć Clare i zabrać ją do domu.

Ale tak nie zrobiłam. Musicie pamiętać, że urządziłam sobie dotychczasowe życie w taki sposób, żeby nie brać zbyt dużej odpowiedzialności za innych ludzi, za ich pomyślność czy miejsce pobytu. Nigdy nie miałam nikogo, kogo musiałabym pilnować, więc też nigdy nie miałam nikogo, kogo mogłabym zgubić, a w takiej sytuacji nie wiesz, jak należy się zachować, gdy odnajdziesz zagubioną osobę. Oczywiście to tylko wymówka, bo nawet nie wiedząc, mogłam

sobie wyobrazić właściwy sposób zachowania.

Ale ja tego nie zrobiłam. Moja wyobraźnia zawiodła. Zawiodła mnie też magia przedświt. Byłam taka przerażona, tak wyczerpana strachem, że straciłam panowanie nad sobą. Wpadłam we wściekłość. Zaczęłam szaleć. Skoczyłam na nogi i wrzeszczałam, chodząc w jedną i drugą stronę, i chciałabym móc powiedzieć, że zapomniałam, co krzyczałam, ale pamiętam każde okropne słowo.

- Co sobie myślałaś? Co, do diabła, sobie myślałaś? Obudziłam się, a ciebie nie było, i biegałam, krzycząc, na tym mrozie, i co, jeśli bym ciebie nie znalazła? Wszystko mogło ci się tu przytrafić! Wszystko! Co jest z tobą? Co się z tobą dzieje?

- Przepraszam - zaczęła Clare cichym głosem. Ale przerwałam jej. A potem powiedziałam najgorszą rzecz ze wszystkich, najgorszą, jaką w ogóle mogłam powiedzieć.

- Wiedziałam. Wiedziałam, że nie powinnam się w to pakować. Musiałam stracić rozum, żeby myśleć, że sobie z tym poradzę.

Nawet przy całej mojej wściekłości wcale nie myślałam tak, jak to można było zrozumieć. Nie miałam na myśli, że jej nie chcę.

Clare się podniosła. Ciało jej drżało pod futrem, ale głos był tak spokojny, że aż mroził.

- Więc tego nie rób - powiedziała zjadliwie. - Po prostu mnie zostaw.

Zdjęła futro i rzuciła je na ziemię przede mną.

- Weź to, skoro ci tak zimno. Ja go nie chcę. I tak was wszystkich nienawidzę.

I ruszyła biegiem. Kiedy ją dogoniłam, byliśmy już na placu Rittenhouse. Clare siedziała na ławce, a ja usiadłam obok niej, zachowując odpowiedni dystans. Nie spojrzała na mnie.

Kolorowe kule światełek bożonarodzeniowych wisiały na choinkach nad nami jak małe światy, a w budynkach wokół placu dostrzegłam kilka oświetlonych okien i cienie przesuwające się za zasłonami. Z dala od ławki, na której siedziałam z Clare, ludzie parzyli sobie kawę, wchodzili pod gorące prysznice, szykowali się do zimowego dnia, który rozciągał się przed nimi nietknięty.

Clare, nadal na mnie nie patrząc, odezwała się w końcu, ale to, co powiedziała, przeraziło mnie jeszcze bardziej:

- Chciałam zniknąć.

- Clare - powiedziałam ponuro.

- Nie, naprawdę. Chciałam wiedzieć, jak to jest po prostu odejść. Zastanawiałam się...

- Nad czym? - spytałam.

- Zastanawiałam się, co by się ze mną stało, gdybym była całkiem sama. No, gdyby nikt

nie wiedział, gdzie jestem lub kim jestem, czy to nadal byłabym ja? A może ktoś inny?

- I co się okazało? - spytałam ze wzruszeniem. - Byłaś nadal sobą?

- Tak - westchnęła. - Zaczęłam się martwić, że się obudzisz, zanim wrócę. - Nagle w głosie Clare znów zabrzmiała straszliwa gorycz, którą słyszałam pod tamtą latarnią. - I stąd wiedziałam, że jestem nadal sobą. Bo martwiłam się, że cię przestraszę, i dlatego, że chciałam wrócić.

Przez chwilę myślałam, że jej gniew jest skierowany do mnie, ale kiedy spojrzałam na jej twarz - jej znękany, zawiedziony wyraz - zrozumiałam.

- Myślisz, że twoja mama nie martwi się o ciebie? Clare zacisnęła powieki i potrząsnęła głową.

- Nie martwi. Odeszła i zapomniała o mnie. Tak jak robi zawsze mój ojciec. Gdyby mamusia się martwiła, toby wróciła.

W mojej głowie zadudniły słowa, które niedawno wypowiedziałam. Co się z tobą dzieje? Jak mogłam wrzeszczeć na tę dziewczynkę za to, że wyszła i mnie zostawiła? Któż został bardziej opuszczony niż Clare? Przysunęłam się do niej i owinełam nas obie ogromnym futrem.

- Cornelio - odezwała się na koniec Clare. - Chcę ci coś powiedzieć, ale się boję.

- Nie bój się, kochanie - zachęciłam ją, trzymając dłoń na jej gładkich włosach.

- Czasem jestem na nią wściekła za to, że odeszła - szepnęła. - Boli mnie od tego brzuch. Czasem jej nienawidzę.

Kiedy wypowiedziała te słowa, poczułam wyraźnie, jak się odprężyła, jakby dotychczas starała się utrzymać ogromny ciężar i w końcu go puściła. Oddech jej się uspokoił jak u osoby zapadającej w sen, ale oczy miała otwarte.

- Myślałaś, że jeśli to komuś powiesz, twoja mama nie wróci? - spytałam, a ona skinęła głową i wpatrzyła się w ciemność. - Mówienie o tym, co czujesz, jest dobre. Dobre, uczciwe i odważne.

Znów skinęła głową.

- Przykro mi, że na ciebie krzyczałam.

- Nie szkodzi - odparła.

- Tak się bałam, że cię straciłam - wyjaśniłam. - A bycie z tobą jest najlepszym, co dotychczas udało mi się zrobić.

Nie odpowiedziała. Po chwili się uśmiechnęła.

- Jesteś w pizamie.

Spojrzałam na siebie i kiwnęłam głową.

- Na to wygląda.

- Więc lepiej się pospieszmy i chodźmy do domu.

Kiedy tego wieczoru zadzwonił Martin, postanowiłam, że ja też będę dobra, uczciwa i odważna. Postanowiłam powiedzieć mu prawdę o tym, co czuję.

- Martin - zaczęłam łagodnie. - Myślałam o tym i jednak to niemożliwe, żeby się w tobie zakochała.

- Och - odparł i słyszałam, jak oddech więźnie mu w gardle. - Naprawdę miałem nadzieję, że to jednak będzie możliwe.

- Ja też miałam.

- Nie ma żadnej szansy? - spytał, zacinając się. Zaczęłam płakać.

- Myślę, że nie ma. Przepraszam.

- Nie, nie przepraszaj, Cornelio. Doceniam to, że próbowałaś. - Niezmiennie był dżentelmenem.

- Martin, muszę ci powiedzieć coś jeszcze.

- Coś jeszcze?

Głęboko zaczerpnęłam powietrza.

- Chodzi o Clare. Ona mnie potrzebuje. Jest przepełniona bólem. Potrzebuje mnie.

- Ach. - Odezwał się dopiero po chwili milczenia: - Bałaś się mi powiedzieć, że mnie nie kochasz, bo obawiałaś się, że nie pozwolę ci widywać Clare.

Nie mogłam wykrztusić słowa.

- Och, Cornelio - westchnął.

- Nie chodzi tylko o to, że ona mnie potrzebuje. Potrzebuje nas obojga. Dziś rano... Dziś rano przekonałam się, jakie to ogromne zadanie zapewnić jej poczucie bezpieczeństwa, utrzymać z dala jej lęki. Jedna osoba nie potrafi jej tego zapewnić. W każdym razie wiem, że ja sama tego nie potrafię.

- Chcesz, żebyśmy razem opiekowali się Clare? - spytał, a kiedy wypowiadał słowo „razem”, w jego głosie znów pojawiła się nadzieja, co mnie zaniepokoiło, ale z drugiej strony doskonale wiem, jak trudno wyzbyć się nadziei. Będzie się jej trzymał jeszcze przez jakiś czas, niezależnie od tego, co mu powiem.

Być może wybrałam łatwiejszą drogę, nie wiem. Może powinnam była powiedzieć Martinowi od razu, żeby nie miał żadnej nadziei, że nigdy nie będziemy razem w taki sposób, jak on pragnie. Ale później będę zadowolona, że tego nie powiedziałam. Później i już zawsze, ilekroć przypomnę sobie tę rozmowę, będę zadowolona, że powiedziałam mu tylko: „Tak”.

18. Clare

Następnego dnia wieczorem, kiedy Clare i Cornelia zmywały naczynia, zadzwonił telefon i Cornelia go odebrała. Przyniosła słuchawkę do kuchni i, przytrzymując ją przy uchu ramieniem, zaczęła wycierać talerz.

- Tak, oczywiście, że cię pamiętam. Jak się masz? - Potem nastąpiła długa pauza. - Co takiego? - spytała z niedowierzaniem i Clare zobaczyła, że ostrożnie odkłada talerz, a całe ciało zaczyna jej się trząść. Serce Clare zaczęło mocniej walić. Mamusia. Powiedziała to słowo bezgłośnie, w swojej głowie, gdzie było ono długim, przeraźliwym krzykiem.

- Co się z nim stało? Nie, to niemożliwe - mówiła dalej Cornelia. - Nie.

Z nim. To nie mama. Mamusia. Clare znów mogła oddychać. Mamusiu, jesteś bezpieczna. W takim razie ja też będę żyć, myślała.

- O, nie. Nie, nie, nie, nie - szeptała Cornelia do telefonu. Potem zwiesiła ręce po bokach, trzymając w jednej słuchawkę. Patrzyła na Clare, wcale jej nie widząc. Dziewczynka jeszcze nigdy nie widziała, żeby czyjeś oczy miały taki wyraz. To coś strasznego, pomyślała. To nie mama, ale coś okropnego. Zaczęła płakać.

Cornelia znów przyłożyła telefon do ucha.

- Ja muszę... muszę... Mogłabyś do mnie zadzwonić trochę później? Tak. Dziękuję. - Wcisnęła guzik na telefonie.

- Och, Clare - zaczęła łamiącym się głosem, a w czasie gdy Clare czekała, aż powie coś więcej, kolory w kuchni stały się jaśniejsze, wprost dźwięczały jaskrawością. Jedynym bladym obiektem w pomieszczeniu była Cornelia - nawet usta miała białe.

- Teo - wykrztusiła Clare. - Coś się stało Teo. Powiedz mi.

Twarz Cornelii na chwilę nieco się rozjaśniła, ale zaraz ponownie przybrała ten dziwny wyraz.

- Nie Teo, Clare. Martin. W Londynie był wypadek samochodowy. Martin nie żyje.

Zupełnie bez udziału świadomości Clare ogarnęła ogromna ulga. Nie Teo! Złapała się za brzuch, zgięła w pół i wydała ostry okrzyk „Och!” przepelniony wdzięcznością. Po chwili uświadomiwszy sobie, co jeszcze powiedziała Cornelia, wyprostowała się i wpatrzyła w nią z oszołomieniem.

Cornelia, jakby sobie o czymś przypomniała, rzuciła się w stronę Clare i ją objęła.

- Och, Clare - powiedziała z płaczem - Clare, tak mi przykro. Twój ojciec nie żyje.

19. Cornelia

Zanim będę kontynuować, muszę powiedzieć jedno: śmierć Martina nie jest moją sprawą. - Nie chodzi o to, że mnie nie zasmuciła. Zasmuciła. Ale tragedia jego śmierci nie jest moją tragedią, nie jest nawet tragedią Clare, chociaż jej historia wzruszyłaby każdego. Jednak najbardziej istotne jest w tym jedno: śmierć Martina jest sprawą Martina. Ja znałam go tylko przez intensywne trzy miesiące, natomiast on był sobą w każdej sekundzie swoich czterdziestu czterech lat, a potem został sobie odebrany. Martin był świeżutkim niemowlęciem obracającym głowę w kierunku dźwięku własnego imienia, potem dzieckiem uczącym się świata i w końcu mężczyzną. Rozumiecie, o co mi chodzi? Zapomnijcie o kosmicznej jedności, nadrzędnym planie, w którym mieszczą się wszystkie wydarzenia na ziemi - Martin stracił swoją szansę w życiu zbyt szybko. Na tym polega tragedia. Wcale nie sędzę, żebym stwierdzała tu coś nowego. Po prostu musiałam to powiedzieć.

Ale muszę też przejść do mnie (i znowu to „ja”, „ja”, „ja” dudniące jak serce lub silnik), do mojej historii, gdyż tylko o swojej mam prawo opowiadać.

Kim się czułam w dniach, które nastąpiły po tej rozmowie telefonicznej? Naprawdę trudno mi powiedzieć.

Z pewnością niewiele miałam wspólnego z tym, jak większość ludzi mnie postrzegala - nie byłam ani zagubioną dziewczynką, ani malutką prawie-wdową. Podczas pogrzebu, który zorganizowałam wraz z sekretarką Martina, Theresą Blum, i jego prawnikiem, Woodsem Rawlingsem, stałam, trzymając Clare za rękę, i wyobrażałam sobie, co widzą zgromadzeni wokół mnie ludzie, a było ich mnóstwo, kiedy na mnie patrzą - ubraną na czarno postać o wroście dziecka, stojącą prosto, ze złamanym sercem, lecz zachowującą stoicki spokój, trzymającą małą główkę wysoko na drobnej szyjce - i miałam ochotę wymiotować. Nikt poza dzieckiem nie wzbudza większej litości niż kobieta drobnej postury i ta litość wycierała ze wszystkich wpatrzonych we mnie oczu, przelewała się do mojej dłoni, kiedy ją ściskano, i docierała do mnie we wszystkich głosach wyrażających najgłębsze współczucie. Jeśli sądzicie, że byłam zła na tych ludzi, to się mylicie. Czułam jedynie zażenowanie i pragnienie uczciwego przedstawienia sytuacji.

Są ludzie, których śmierć powoduje, że cierpimy z żalu. Ale są też tacy, których śmierć nie pozwala wzejść słońcu, są śmierci zabarwiające na czarno ściany w każdym pomieszczeniu, do

którego wejdziemy, śmierci, które niosą ze sobą burzowe chmury kłębiące się z zawrotem w twojej głowie, tak że nie słyszysz muzyki i nie potrafisz rozpoznać własnych mebli, a nawet własnej twarzy w lustrze. Tego drugiego rodzaju żalu nigdy nie doświadczyłam, nigdy nawet nie zbliżyłam się do niego na tyle, by musnąć go palcami.

Nie byłam zakochana w Martinie. Nie byłam. Jeśli uważacie, że to wielka nieczułość z mojej strony upierać się przy tym i powtarzać to sobie w myślach, nawet kiedy rozbrzmiewał marsz żałobny Chopina, zastanówcie się, o ile gorsze byłoby, szczególnie w tym momencie, udawać przed kimkolwiek, a zwłaszcza przed sobą, że go kochałam. Pograżanie się w takim kłamstwie byłoby nieprzyzwoite - i niewybaczalne.

Jednak Martin mnie kochał i nie myślcie przypadkiem, że tego sobie nie ceniłam. Nie chcę tu prawić kazań, ale muszę powiedzieć jedno: miłość, chciana czy nie, ma wokół siebie pewną otoczkę świętości i ludzie, którzy nie przyjmują jej z wdzięcznością, okazują niewyobrażalną arogancję. Podczas pogrzebu Martina trzymałam się kurczowo również tego przekonania - trzymałam się kurczowo, a później, w ostatniej sekundzie je puściłam. Wypuściłam w powietrze swoje podziękowania jak ptaki, z nadzieją, że jeśli nawet nie odnajdą Martina, to przynajmniej dołączą do całego dobra, które gdzieś tam może się gromadzić.

Pamiętam te myśli, pamiętam te uczucia. Pamiętam, że było mi zimno, czułam w żołądku ciężki kamień, stałam tam z suchymi oczami i ściśniętym sercem. Ale wiele z tego, co się zdarzyło, zatarło się i przytłumiło. Pamiętam wszystko jak przez mgłę. Jednak ta mgła chwilami się rozwiewała i odsłaniała jaskrawe, oślepiająco wyraźne momenty - chwile w technicolorze, tak żywe, że niemal bolesne.

Na przykład była elegancka sala konferencyjna w eleganckiej firmie prawniczej Woodsa Rawlingsa oraz sam Rawlings, który skierował na mnie okrągłe, przeraźliwie niebieskie oczy jak reflektory i ponad lśniącem jeziorem stołu zadał mi pytanie, dlaczego Clare mieszkała u ojca.

- To trochę niezwykle, prawda? Taka przedłużona wizyta. Czy pani Hobbes wyjechała? Mam nadzieję, że nie jest chora? - wypytywał wytwornym głosem, z gruchającymi samogłoskami ze Wschodniego Wybrzeża.

- Nie jest chora - odparłam, prezentując się jako uosobienie spokoju. - Potrzebowała nieco czasu dla siebie, gdyż chciała podróżować i przemyśleć sobie pewne sprawy. Nabrać nowych sił. Martin nie mógł odmówić, skoro przez tyle lat samotnie wychowywała Clare. Szczerze mówiąc, nie wiem dokładnie, gdzie w tej chwili przebywa, chociaż wspominała Hiszpanię jako jeden z celów swojej podróży. - Nie odwróciłam wzroku. Nawet nie mrugnęłam.

Była Linny stojąca w moich drzwiach w czerwonej kowbojskiej koszuli.

- Cornelio - odezwała się neutralnym tonem, czekając na jakąś wskazówkę. Jak to traktujemy? Wprost słyszałam, jak o to pyta. Jakie jest nasze nastawienie? Czy czegoś potrzebujesz?

- A więc Hayes ci powiedział, gdzie można ją kupić - zauważyłam, pstrykając jedną z jej perłowych nap.

- Powiedział, ale - mrugnęła - ta jest jego. - I obdarzyła mnie szelmowskim, kokieteryjnym uśmiechem, tak bardzo w jej stylu, że pochłonęłam go jak świeżą gruszkę, jak mannę z nieba i nakarmił on moją duszę.

Był Teo, który jakby na skinienie czarodziejskiej różdżki pojawił się rano w dzień pogrzebu, ubrany w granatową marynarkę i spodnie khaki i pachniał deszczem.

Była olśniewająca rudowłosa istota w kostiumie Chanel, która po pogrzebie rzuciła mi się w ramiona.

- Proszę mi wybaczyć - łkała nieskładnie - nie powinnam tego pani wcale mówić, i to skończyło się wieki temu, ale, Boże, kochałam go. Szalałam za nim.

Byłam też ja, przyrządzająca gofry dla Clare i słuchająca głosu Martina, który ciepło rozbrzmiewał za moimi plecami. Słuchałam go całym ciałem, jak się to czasem zdarzało, gdy do mnie mówił, tak że wibrowały nie tylko drobne kosteczki w uchu, ale również kości w kręgosłupie i końcówki nerwów w czubkach moich palców. Jego głos był tak rzeczywisty i żywy, że odwróciłam się gwałtownie, żeby go zobaczyć, i przy okazji zrzuciłam karton jajek na podłogę.

- Twoje milczenie - powiedział. - Milczenie podczas słuchania.

I była Clare, która otoczona przeze mnie, Teo i Max (chudą i wściekłą, ubraną od stóp do głów w fiolet), prześlizgnęła się przez pogrzeb i późniejszą stypę łagodnie jak chmurka, podając rękę ludziom, którzy aż do tego dnia najwyraźniej nie mieli pojęcia o jej istnieniu. Przed wszystkim była Clare - to słodkie dziecko - która w środku nocy z błędnym wzrokiem pytała przejmującym głosem, który na zawsze pozostanie w mojej głowie:

- Cornelio, czy jestem teraz sierotą, Cornelio? Czy jestem sierotą?

20. Clare

Czy czytałeś *Małą księżniczkę*? - spytała Clare spod stosu kurtek.

Ona i Teo otrzymali zadanie kupienia dla niego nowej zimowej kurtki. Był dzień po pogrzebie jej ojca, mroźny, błękitny dzień, ze słońcem, które świeci oślepiająco, ale nie grzeje.

- Przenikliwe słońce - powiedziała rano Cornelia, kiedy całą trójką wychodzili z jej domu.

- Jak głos sopranistki wyśpiewującej sobie płuca prosto do twojego ucha. - Clare uznała to porównanie za interesujące, ale Teo stwierdził tylko:

- Ktoś naprawdę powinien walnąć cię śnieżką - chociaż wcale nie było śniegu.

- On jest po prostu wściekły, bo zmusiłam go do zakupów - wyjaśniła jej Cornelia, konspiracyjnie obejmując ją ramieniem. - Polegam na tobie, Clare. Jeśli skieruje się gdzieś, gdzie sprzedają nadwyżki odzieży wojskowej lub marynarki, możesz go zastrzelić.

- Wiedziałem, że nie trzeba było iść do fryzjera - warknął Teo. - Daj jej palec, a odgryzie ci rękę.

- Clare, czy mogłabyś wyjaśnić Teo, że z nieziemską urodą wiążą się pewne obowiązki? On nigdy się z tym nie pogodził, w każdym razie nie w pełni - powiedziała Cornelia, potrząsając głową. Clare zauważyła sinawe półkola nad jej kośćmi policzkowymi. Uświadomiła sobie, że ta pozornie lekka wymiana zdań z Teo musi ją wiele kosztować.

- Z nieziemską urodą wiążą się pewne obowiązki, Teo - oznajmiła surowo.

- Możesz też powiedzieć słowo czy dwa o dziurach wyżartych przez mole - dodała Cornelia.

Clare wskazała z powagą dziury w dwurzędowej, wełnianej kurtce Teo.

- Dziury po molach. Masz ich sporo.

- To były trzy słowa - rzędził Teo.

Do wyboru miał modny butik z męską odzieżą lub dom towarowy, a kiedy zaczął mamrotać coś na temat alergii i płynów czyszczących, co dla Clare nie miało najmniejszego sensu, Cornelia ścisnęła ze zrozumieniem jego ramię i napisała na kartce adres butiku.

- Butik - powiedział tępo. Ale nie jest tak źle, pomyślała Clare. Nawet jej się spodobał ten duży, stary budynek z fantazyjnymi sztukateriami - kwiaty i winogrona - oraz freskami jaśniejącymi na wysokim suficie.

Niski, szczupły i elegancki sprzedawca, przypominający Clare wydrę, wysłuchał uważnie, czego szukają, po czym zmierzył Teo badawczo spojrzeniem dużych, błyszczących, czarnych oczu. Kiedy Teo zdjął kurtkę, żeby znaleźć w środku metkę z rozmiarem, mężczyzna odezwał się:

- To niekonieczne, ale ja z przyjemnością... - i wyciągnął dłoń z palcami złożonymi razem (jak do ciosu karate, pomyślała Clare), żeby Teo mógł powiesić na niej kurtkę, zupełnie jakby sprzedawca był wieszakiem.

Ustawił Teo przed ogromnym trzyczęściowym lustrem, po czym zostawił ich z kilkunastoma kurtkami. Teo przymierzał je po kolei, zasięgał opinii Clare i rzucał jej kurtki na kolana.

Właśnie kiedy Clare pytała Teo o *Małą księżniczkę*, sprzedawca podpłynął do nich z nieprzeniknionym uśmiechem.

- Ja to czytałem - wtrącił się gładko. - A jak idzie z kurtkami?

- Pan to czytał? - spytała z zaskoczeniem Clare.

- Małpka. Małpka przychodzi do dziewczynki na strychu. Lubilem tę małpkę. -

Powiedział to marzycielskim tonem, wpatrzony w przestrzeń. Potem odpłynął.

Teo i Clare popatrzyli na siebie, po czym wybuchnęli śmiechem, starając się robić to bezgłośnie, żeby nie urazić uczuć mężczyzny. Clare ukryła twarz w kurtkach i śmiała się, aż rozboleły ją boki.

Kiedy się uspokoili, Teo odparł:

- Nie czytałem tego. Ale żałuję. Nie wiedziałem, że jest tam małpka.

- Ojciec tej dziewczynki, Sary Crewe, umiera - zaczęła Clare.

Teo przymierzał teraz kurtkę w kolorze ziaren kawy, bardzo przypominającą fasonem jego dotychczasową. Spojrzał na dziewczynkę w lustrze, czekając na dalszy ciąg.

- I to jest straszne. W nocy po tym, jak się dowiedziała, przeżywa „chwilę ciężkiej, niedzięcej bolesti”*. - Clare obserwowała twarz Teo. - I tam jest jeszcze jedno słowo: udreka. „Udreka, którą znosić musiał jej dziecięcy umysł”. Czyż to słowo nie brzmi dokładnie tak, jak znaczy? Czy nie brzmi jak najgorsza rzecz, którą możesz czuć?

* Frances Hodgson Burnett, *Mała księżniczka*, Oficyna Wydawnicza Viator, Warszawa 1994 (przyp. tłum.).

- Rzeczywiście tak brzmi - odparł Teo po chwili milczenia. Clare uwielbiała w nim to, że nie naciskał, nie niecierpliwił się, tylko słuchał i czekał, aż powie po swojemu to, co chce powiedzieć.

- Kiedy Cornelia odebrała ten telefon, byłam koło niej i domyśliłam się, że ktoś umarł, i bałam się, że to ty. I poczułam... udrekę. - Musiała to z siebie wyrzucić. - A kiedy dowiedziałam się, że to nie ty, byłam taka szczęśliwa. - Odetchnęła i spojrzała na niego w lustrze, a potem zacisnęła dłonie w pięści. Pora kończyć. - Było mi smutno, kiedy się dowiedziałam, kto umarł. Ale poczułam radość, że to nie ty, zanim odczułam smutek z jego powodu. Szczęście było większe. A więc to musi znaczyć, że nawet jeśli nie chciałam, żeby on umarł, jeszcze bardziej nie chciałam, żebyś umarł ty. A on był moim ojcem. To chyba jest złe. - Rozprostowała palce, rozluźniając się. Kto wie, czy Teo jej teraz nie znieawidzi, ale powiedziała to, co musiała kiedyś

powiedzieć.

Teo usiadł obok niej na podłodze i zaczął:

- Czasem poznajesz kogoś i od razu masz wrażenie, jakbyście znali się od lat. Ja mam takie odczucie, jeśli chodzi o ciebie. Jakbym znał cię lepiej niż wiele osób, które znam od lat.

Clare skinęła głową.

- Dlatego mam nadzieję, że mogę cię poprosić, żebyś zaufała mi w pewnej sprawie, chociaż nie znamy się zbyt długo.

Clare spojrzała na długie dłonie Teo, a potem na jego zielone oczy. Bez namysłu zaufała mu od pierwszej chwili, gdy się poznali. Mimo że lubiła wszystko rozumieć, zadawać pytania i dogłębnie analizować każdy pomysł, nie zależało jej, żeby zrozumieć swoją wiarę w Teo.

- Ufam ci - powiedziała po prostu.

- No więc ja uważam, że jesteś dobrym człowiekiem. Powstałaś z dobrego materiału. To po prostu fakt. Ollie powiedziałyby, że to jest w twoich komórkach, wbudowane w twoje DNA tak jak to, że masz brązowe oczy. Jednak niezależnie od tego, skąd to się bierze, samo bycie tobą oznacza bycie dobrym.

Clare skupiła się na jego słowach, starając się wryć je sobie w pamięć. Żałowała, że nie są trwałymi przedmiotami, które mogłaby zachować i wszędzie ze sobą nosić.

- Nie twierdzę, że nie możesz popełniać błędów, jak każdy z nas. Ale masz więcej szczęścia niż większość z nas, bo wystarczy, żebyś postępowała zgodnie z tym, co czujesz, a wszystko będzie w porządku. I daj sobie spokój z myśleniem, że robisz źle. To niemożliwe.

Clare siedziała pod stertą kurtek koło trzech błyszczących prostokątów luster, w łagodnym świetle lamp sklepowych i z jasnym dniem za oknami i sama też czuła się rozświetlona.

Pomyślała, że ulga i wdzięczność z pewnością przeświecają jej przez skórę.

- Dziękuję - powiedziała w końcu, mając nadzieję, że Teo zrozumie, jak szczerze jest to podziękowanie.

Teo uśmiechnął się i wstał, ale Clare złapała go za rękaw, odkrywając z zaskoczeniem jego niezwykłą miękkość. Teo usiadł ponownie.

- Wiesz co? - zaczęła zdławionym głosem. Odchrząknęła i ciągnęła dalej głośniejszym głosem. - On mnie nie kochał.

To było stwierdzenie faktu, a nie skarga. Po prostu czuła, że musi to powiedzieć. Spodziewała się, że Teo jej zaprzeczy, mimo że wiedziała, iż ma rację. Ale on powiedział tylko:

- To wiele stracił.

Clare ponownie dotknęła rękawa kurtki i powiedziała:

- Ta mi się podoba.

Teo spojrział na siebie i zauważył:

- Nie drapie. Będzie maskować brud. Na dodatek Cornelia, ta mała małpka, da mi wreszcie spokój. - Uśmiechnął się do niej. - Bierzymy ją.

Tego wieczoru po kolacji Clare poszła do sypialni Cornelia, żeby zapisać w swoim pamiętniku to, co Teo powiedział o jej dobroci. Ważne było dokładne zanotowanie słów, ale równie istotne wydało jej się opisanie jego głosu, jakim to mówił, oraz uchwycenie uczuć, które ją wypełniały, kiedy mówił oraz po tym, co powiedział. Pomyślała, że słowo „uchwycić” stawia pisarza niemal na równi z myśliwym czy traperem chwytającym zwierzynę, a poza tym sugeruje, że opowiadania w stanie gotowym wałęsają się swobodnie po świecie, a zadaniem pisarza jest ich schwytanie. Tyle że pisarz nie zabija tego, co złapie, nie wypycha i nie wieszka na ścianie. Jemu zależy na tym, żeby opowiadania były żywe. Po chwili uznała, że nie jest to właściwy sposób myślenia o pisaniu, ale była zadowolona, że przyszło jej to do głowy.

Kiedy usłyszała, że Teo i Cornelia wychodzą z kuchni, gdzie zmywali naczynia, i przechodzą do salonu, odłożyła notes i w zasadzie automatycznie podeszła do drzwi sypialni, żeby posłuchać, o czym rozmawiają.

- Zwolniłam naszego przyjaciela Lloyda - oznajmiła Cornelia, opadając na kanapę.

- Naprawdę? - spytał Teo. Clare nie widziała jego twarzy, ale głos brzmiał dziwnie. Chyba słyhać w nim było ostrożność.

- Nie wzbudzał zaufania. W każdym razie nie we mnie. A w tobie?

- Niespecjalnie. Ale Martinowi bardzo zależało na dyskrecji. Nie chciał, żeby przyjaciele i sąsiedzi domyślili się, co się dzieje. Może gdyby Lloydowi dać więcej swobody...?

Cornelia gwałtownie wyprostowała się na kanapie.

- Ale czy nie rozumiesz? Więcej swobody to ostatnia rzecz, której nam teraz potrzeba. Teraz dyskrecja jest ważniejsza niż kiedykolwiek. - Mówiła cichym, pełnym napięcia głosem, jakby raczej miała ochotę krzyknąć.

- Cornelio... - zaczął ostrożnie Teo.

- Viviana podróżuje. Clare mieszka u mnie, dopóki nie wróci. Tak przedstawiamy sytuację. To się sprawdza. Jeśli ktoś zwęszy, co się naprawdę dzieje... Cóż, zastanów się, Teo.

Clare próbowała się nad tym zastanowić, ale nie była pewna, co ona lub Teo powinni wymyślić. Czekala, co powie Teo.

- Cornelio, może już pora zawiadomić policję. - Clare przeszedł dreszcz.

- Nie - odparła Cornelia. - Nie, nie, nie. Jak możesz coś takiego proponować?

Clare też tego nie rozumiała. Teo nic nie odpowiedział.

- Teo, dyskutujemy tu o życiu Clare. Decydujemy o jej losie jak te tłuste stare damy z nitkami i nożyczkami.

Clare nie miała pojęcia, o czym mowa. Tłuste stare damy?

- Tłuste stare damy? - spytał Teo.

- Zawsze wyobrażałam je sobie jako tłuste. Zapewne nie są tłuste. Mniejsza o to. Chodzi mi o to, że powinniśmy włączyć w to Clare. Zawołajmy ją od razu.

Clare przypomniała sobie słowa Teo, który mówił, że jest zrobiona z dobrego materiału. Czy dobre jest szpiegowanie ludzi, którzy się o ciebie troszczą? Wzięła głęboki oddech i wyszła z sypialni. Teo i Cornelia spojrzeli na nią z zaskoczeniem.

- Szpiegowałam. Nie szpiegowałam, ale słuchałam waszej rozmowy, co pewnie jest... szpiegowaniem. - Przerwała, czując łomot serca w skroniach. - Przepraszam. Boję się, kiedy nie wiem, co się dzieje.

- Nic dziwnego - powiedziała łagodnie Cornelia. - Powinniśmy od razu cię tu poprosić. Baliśmy się chyba, że będziemy musieli mówić o sprawach, które będą dla ciebie przykre.

Clare podeszła do kanapy i przesunęła ręką po haftowanym szalu udrapowanym na oparciu. Nie potrafiła usiąść i oprzeć się o coś tak pięknego, dopóki przynajmniej go nie dotknęła, nie dała mu znać, że go zauważa.

Cornelia wstała i szybkim ruchem ściągnęła szal z oparcia, tak że przez chwilę unosił się w powietrzu jak ogromny motyl, po czym pozwoliła mu opaść na ramiona Clare.

- Wybaczysz nam? - spytała. Clare nie wiedziała, co odpowiedzieć, bo nie miała pojęcia, co miałyby im wybaczyć. Dlatego tylko skinęła głową, a potem usiadła na kanapie i podciągnęła nogi pod siebie. Cornelia uśmiechnęła się do niej i zrobiła to samo. - Teo uważa, że powinniśmy się zastanowić nad wezwaniem policji. Zapewnić sobie ich pomoc w poszukiwaniach twojej mamy.

- Nie chcę policji - odparła Clare.

Nie podobał jej się ton własnego głosu, bo zabrzmiało to jak z ust małego dziecka, które za chwilę zacznie tupać nogami i dostanie napadu złości. Ale naprawdę nie chciała policji. Na samą myśl dostawała mdłości.

- Teo? - spytała Cornelia.

Teo zaczerwienił się i ze skrzepowaniem zmienił pozycję na fotelu.

- Z tego, co wiem - zaczął przesadnie spokojnym głosem - ten system ma na celu pomaganie rodzinom. Utrzymanie rodzin razem. Kiedy znajdą twoją mamę, pomogą jej w taki

sposób, jak będzie tego potrzebowała, tak żeby mogła się tobą opiekować, tak jak zawsze to robiła.

- Chcę, żeby była taka jak dawniej. Nie chcę... - Clare zawahała się. - Nie mogę do niej wrócić, z nią mieszkać, kiedy jest chora. Ale... - Spojrzała kolejno na Cornelie i Teo. - Ale jeśli wezwiemy policję, czy będę mogła zostać z Cornelią, dopóki nie znajdą mamy? Czy będę mogła tu mieszkać w czasie, gdy będą ją leczyć?

Cornelia ujęła jej dłoń i ścisnęła. Clare zauważyła, że ma w oczach łzy.

- Być może - odparł Teo. - Myślę, że starają się zostawiać dzieci u ludzi, którzy je znają.

- Może tak, może nie - stwierdziła ponuro Clare. - Prawda? Może nie? - Wyobraziała sobie Anię Shirley w przytułku dla sierot i tę wstrętną kobietę, z którą mieszkała, zanim tam trafiła. Na podwórzu przytułku rosło jedno smutne drzewo, a jedynymi przyjaciółmi Ani były wymyślone dziewczynki. Opadło ja przygnębienie.

- Myślę, że najlepiej poczekam tutaj, dopóki moja mamusia nie wróci - powiedziała słabym głosem. - A potem, być może, znaleźlibyście jej lekarza.

Teo potarł oczy dłońmi i spojrzał na Cornelie.

- Clare przeżyła już dostatecznie dużo wstrząsów - oświadczyła Cornelia zdecydowanie. Ale Clare widziała, że w jej oczach wcale nie maluje się taka pewność. - Powinieneś to zauważyć.

- Oczywiście, że zauważyłem - odparł Teo, a frustracja zaostrzyła mu głos - ale czy pomyślałaś... - Zamknął na kilka sekund oczy. Potem oparł łokcie na kolanach i pochylił się ku Clare.

- Przykro mi, Clare, ale muszę to powiedzieć.

- Nie mów - wtrąciła się z rozgoryczeniem Cornelia. - Po prostu nie mów. To upieranie się przy prawdzie jest brutalne, wiesz o tym? Kim jesteś, Atticusie Finchu? Bob Ewell upadł na własny nóż*. Po prostu się z tym pogódź!

* Harper Lee, *Zabić drozda*, Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2006, s. 409 (przyp. tłum.).

Clare wiedziała, kim był Atticus Finch. Ojcem Skaut i Jema. Bohaterem. I Bob Ewell. Przypomniała sobie, jak gonił dzieci i jak Skaut się zatoczyła, uwięziona w swoim kostiumie indyka. A może szynki? Ale co Atticus i Bob mają do tego, o czym ona z Teo i Cornelią dyskutują? Ku własnemu zdumieniu zaczęła się śmiać.

- Clare? - Cornelia obróciła się w jej stronę z uniesionymi brwiami.

- Przepraszam, ale... Atticus Finch? Już się pogubiłam. - Znow się roześmiała. Co się z nią nagle stało? Śmiech objął już całe jej ciało, więc się poddała.

- To twoja wina - oznajmił chłodno Teo do Cornelii. - To twoje dziwaczne poczucie humoru.

Cornelia opuściła brwi, ale kącik jej ust uniósł się w górę. Napięcie, które jak drut naciągnęło się między nią a Teo, nagle pękło.

Clare pozwoliła, żeby jej śmiech w naturalny sposób się skończył, jak gorączka. Potem dyszała ciężko, kompletnie wykończona, ale gotowa. Szal zsunął jej się z ramion, więc naciągnęła go z powrotem i trzymała obydwoma rękami.

- Wiem, co chciałeś powiedzieć, Teo - odezwała się cicho. Nareszcie. Tak jej się wydawało, nareszcie. Nareszcie te słowa, ten moment.

Teo nie spuszczał z niej wzroku. Dzięki jego czystemu, miłemu, zielonemu spojrzeniu poczuła się silna. Kocha ją, nagle pojęła to z całą pewnością. Serce jej podskoczyło w piersi.

- A co, jeśli moja mama nigdy nie wróci do domu - dokończyła i zdumiała się, jak mogła to powiedzieć. To najgorsze - jadowite, koszmarnie najgorsze. W końcu wypowiedziała tę najgorszą możliwość na głos.

- Och, kochanie. - Głos Cornelii drżał ze współczucia, ale słychać było w nim coś jeszcze. Cornelia była z niej dumna.

- Tak, musimy brać pod uwagę tę możliwość, choćby była najbardziej nieprawdopodobna. - Po wypowiedzeniu tych słów Teo wykonał gest ręką, gest obejmujący pokój oraz ich trójkę. - Nie uda nam się zachować tego w tajemnicy na zawsze. - Clare spodobało się, że powiedział „nam”.

- Masz rację. - Cornelia skinęła głową. - Ale możemy utrzymać ten stan rzeczy jeszcze przez jakiś czas, prawda?

- A może poczekamy do końca ferii? - Clare potrafiła teraz okazać zdecydowanie. Poczula się starsza o wiele lat. - Kiedy zacznie się szkoła, będzie to zbyt trudne. Stąd jest zbyt daleko, żeby codziennie dojeżdżać, a moja nauczycielka, pani Packer, i tak już podejrzewała, że coś jest nie w porządku. Kiedy zobaczy Cornelię zamiast mamy...

- Kiedy zaczyna się szkoła? - spytał z rezygnacją Teo.

- Ludzie wyjeżdżają w czasie ferii w te wszystkie egzotyczne miejsca, więc są długie. Wracamy dziesiątego.

- To za dziesięć dni - odezwała się Cornelia. - Jeśli nie wróci w ciągu dziesięciu dni,

podejmiemy inne środki, żeby ją odnaleźć.

- Inne środki? - spytał sceptycznie Teo. - To brzmi jak eufemizm na to, że będziesz przemierzać kraj w trenczu i El Camino.

- Bardzo zabawne - odparła zgryźliwie Cornelia. - Zupełnie jakbym chciała, żeby mnie widziano w El Camino.

- Co to jest El Camino? - zapytała ją Clare, ale Cornelia zainteresowała się nagle swoimi paznokciami.

- Ona nie ma pojęcia - wyjaśnił Teo. - Jeśli w ciągu dziesięciu dni Viviana nie wróci do domu...

- Wezwiemy policję - oświadczyła stanowczo Clare. Nagle coś jej przyszło do głowy. - Słuchajcie, dzisiaj jest sylwester.

- Masz rację! Nawet nie zauważyłam. Ale nie dostaniesz szampana, moja panno, ani odrobinki! - zbesztła ją żartobliwie Cornelia. Po chwili spoważniała. - Przed tobą wspaniały rok, Clare. Wspaniały, pełen cudów. Wspomnisz moje słowa! - Mówiła to z takim żarem, jakby zamierzała zapewnić Clare ten wspaniały rok, niezależnie od wszystkiego. Jeśli ktokolwiek potrafiłby to zrobić, to tylko ona, pomyślała Clare, ta siedząca obok niej mała kobietka, która wcale nie była mała.

Gdy przez okno widać było kolory i blask prawdziwego świtu, Clare zaświtało w głowie: Cornelia też mnie kocha.

21. Cornelia

I stało się. Przydarzyło się mnie.

Stało się to wkrótce po śmierci Martina. Przydarzyło mi się, jak przydarza się większości ludzi w tym czy innym momencie życia, jeśli mają dostateczne szczęście lub pecha, zależy jak na to patrzeć, i zależnie od towarzyszących temu okoliczności. Chociaż właściwie w to nie wierzę. I wy również. Nie wierzymy tak naprawdę, że taki obrót spraw (bo to niewątpliwie jest obrót - przyprawiający o zawrót głowy, gwałtowny, zdumiewający obrót) mógłby być uznany za pech. Kiedy to się zdarza - ta „morska przemiana"*, przemiana życia w coś „dziwnego niesłychanie" - kiedy kogoś wybiera, ten ktoś ma zawsze szczęście, automatycznie należy uznać, że ma szczęście. Mówię tu o transformacji, a transformacja, o której mówię jest zawsze darem. Błogosławieństwem. Jak już wspomniałam, przytrafiła się również mnie, niedługo po śmierci

Martina. Ktoś może uznać, że to zbyt wcześnie, ale ja nie miałam wpływu na wybór terminu. Nie byłam reżyserem tej sceny. Nie wiem, kto był, ale z pewnością nie Cornelia Brown. Nie ona też była scenarzystą. Ona tylko grała rolę, którą jej powierzono.

* **Odwołanie do piosenki Ariela z aktu I, sceny II *Burzy* Williama Szekspira w przekładzie Macieja Słomczyńskiego (przyp. tłum.)**

„Morska przemiana”. Uwielbiam to określenie. Oczywiście to znów Szekspir. Z *Burzy*. Tyle że Ariel śpiewał o tym, co się dzieje z ciałem topielca na dnie morza, a choć w moim wypadku również można mówić o pewnego rodzaju tonięciu, to znajdowałam się w samochodzie i byłam bardziej żywa niż kiedykolwiek. Moje ciało było naładowane elektrycznością. Rozsiewałam iskry. Wydawałam z siebie trzaski.

Do czego, u diabła, zmierzam? „Przy bogatych i potężnych zawsze nieco cierpliwości”, jak napisał mądry człowiek, a choć ja nie jestem ani bogata, ani potężna, to jednak opowiadam tę historię. Cierpliwości, przyjaciele. Zaufajcie mi, dotrę do celu. Doprowadziłam nas do tego miejsca, prawda?

I nie zakochałam się w Teo Sandovalu, jeśli tak właśnie myślicie.

Wszystko zaczęło się od pewnej rozmowy telefonicznej. A właściwie zaczęło się w pierwotnym mule u zarania dziejów albo jeszcze wcześniej, ale ponieważ można to powiedzieć o wszystkim, że każde ze zdarzeń było tylko preludium do tego, które opisujecie, przejdę od razu do tego telefonu. Była to druga z dwóch rozmów telefonicznych z moją matką. Pierwsza odbyła się tej nocy, kiedy dowiedziałam się o śmierci Martina. Zadzwoiłam do niej natychmiast, kiedy tylko udało mi się wybrać numer. A co sobie myśleliście? Że różnię się od reszty ludzkości? Kiedy spada na mnie nieszczęście, pragnę swojej mamy. Pragnę jej, pragnę jej, pragnę.

Odebrała po pierwszym sygnale, jak zawsze. Dorastając, stale słyszeliśmy, że to nieuprzejme kazać ludziom czekać, niegodnie nieuprzejme, nawet jeśli dotarcie do telefonu wymagało fruwania nad meblami, rodem z Cirque du Soleil. Podobno każdy czternastolatek i czternastolatka w Stanach Zjednoczonych potrzebuje telefonu komórkowego nieustannie przyczepionego w widocznym miejscu do ciała, ale mojej mamie niewątpliwie też by się przydał. Tyle że jej zdaniem telefony komórkowe otwierają zupełnie nowe pole do nieuprzejmość (z czym trudno się nie zgodzić), a poza tym moi rodzice nie mają zasięgu na swojej ulicy, z przyczyn, których nikt nie potrafi określić. Wygląda na to, że przez te wszystkie lata mieszkaliśmy w łagodnej, przesyconej zapachem magnolii wersji Trójkąta Bermudzkiego, co wcale mnie nie

zaskakuje.

W każdym razie zadzwoniłam do niej, bo jej potrzebowałam, zarówno w obszernym sensie ogólnym, jak i w obszernym konkretnym celu. Konkretnie, chciałam, żeby mi powiedziała, że nie jestem odpowiedzialna za śmierć Martina. Jeszcze bardziej konkretnie, miała mnie zapewnić, że nie spowodowałam jego śmierci, odrzucając zaproszenie na wyjazd do Londynu (drugie, bo o pierwszym nawet jej nie wspominałam), i że nie spowodowałam jego śmierci tym, że powiedziałam mu, że go nie kocham, i że mój głos powtarzający mu w myślach, że go nie kocham, nie był przyczyną roztargnienia czy nieuwagi, które stały się jego udziałem na tej londyńskiej ulicy. Chciałam, żeby mi powiedziała, że poczucie winy jest nie tylko nieuzasadnione, ale ponadto bezcelne, wręcz aroganckie i całkowicie bezproduktywne. Bo krótko po tym, jak dowiedziałam się o śmierci Martina, poczucie winy przygniotło mnie ciężarem porównywalnym z ciężarem fortepianu.

I zrobiła to. W kilku błyskotliwych, schludnych zdaniach moja matka zrobiła wszystko to, co wymieniłam. Na dodatek zrobiła to z taką cierpliwością, troską i dobrą wolą, że po raz pierwszy uświadomiłam sobie, co naprawdę nią kierowało, kiedy biegła do telefonu: Była matką czwórki dzieci. Potrzebowałam trzydziestu jeden lat, żeby to zrozumieć. Powinnam się wstydić.

Do drugiej rozmowy telefonicznej, tej, którą zamierzam opisać, doszło później, parę dni po pogrzebie Martina. Teo właśnie wyjechał do swego domu w Brooklynie, a ja zauważyłam, że Clare za nim tęskni. Widziałam u niej lekko zagubiony wyraz twarzy, nawet kiedy się do mnie uśmiechała, a robiła to często, dzielna dziewczynka.

Nie mogę powiedzieć, że bym sama nie czuła się trochę zagubiona. W końcu, jak mówi nam „Szkolny rock”: „Potrzeba trzech nóg, by zrobić trójnog lub żeby stół stał, potrzeba trzech kół, by zrobić wehikuł, który nazywa się trycykl”. To naprawdę jest magiczna liczba, szczególnie kiedy tym trzecim jest Teo, którego Clare nazwała potrzebownym, i miała rację.

Ale kiedy wyjechał, kiedy już popatrzyłyśmy z Clare, jak wsiada do swojego samochodu i odjeżdża, stałam z nią na chodniku i czekałam, kiedy pochwycą mnie lodowate palce paniki, i wiecie co - nie pochwyciły. Byłam zdenerwowana, to prawda. Samotne poruszanie się z Clare po niepewnym terenie nieobecności Martina i Viviany to trudne zadanie, a ja wcale nie byłam pewna, czy się do niego nadaję. Ale kiedy na nią spojrzałam, jak stoi z rękami w kieszeniach, odchylając na chwilę głowę do tyłu i przymykając oczy w blasku zimowego słońca, zrobiła na mnie wrażenie tak mocno stojącej na ziemi, że uwierzyłam, iż same sobie poradzimy.

I tak by się stało, gdyby nie ten drugi telefon, tym razem mamy do mnie, telefon, a jednocześnie kropla, która przepełniła miarę.

Mówiąc prosto, umarła pani Goldberg.

Mówiąc mniej prosto, a bardziej głupio, jak napisano w jednym z nekrologów, „uległa chorobie Alzheimera”, zupełnie jakby miała jakiś wybór, jakby się poddała - słabeuszka. Umarła w domu opieki, który choćby był najbardziej luksusowy, nie mógł być domem, nie dla pani Goldberg, która wiedziała, doskonale wiedziała, czym jest prawdziwy dom.

- Jest teraz w lepszym świecie, kochanie - to było nieuniknione podsumowanie mojej mamy.

- Żadnych banałów, mamó, bardzo cię proszę. Ona nie była banalną osobą - powiedziałam gorzko.

Cisza, w której mogłam łkać. Potem mama powiedziała:

- Chodziło mi o to, że już nie cierpi. Tyle że ty przejmujesz się tą wiadomością... aż tak bardzo. - Wydawała się lekko zdeglustowana.

W dzisiejszych czasach dosłownie wszyscy określają zachowania czy reakcje jako „niestosowne”, ale moja mama używa tego słowa od lat. Poza tym dla wielu osób jest to sposób, żeby poczuć się obiektywnym intelektualistą, mówiąc komuś, że jest idiotą, natomiast w ujęciu Eleanor Campbell Brown wyraz „niestosowne” odnosi się do konkretnych zachowań lub nawet uczuć, które „wykraczają poza to, czego wymaga sytuacja”, owszem, unosi się nad tym leciutkie skojarzenie z idiotyzmem, ale tak słabe, że matka zarzuciłaby mi zapewne, że je sobie wyobrażam.

W każdym razie dość regularnie uznawała moje odpowiedzi za niestosowne i jestem pewna, że teraz musiała ugryźć się w język, żeby nic nie powiedzieć. Bo rzeczywiście tak bardzo przejęłam się tą wiadomością. Kochałam panią Goldberg przez większość życia. Poza tym ostatnio przeżyłam wiele napięć. Jeśli płacząc po pani Goldberg, płakałam również po Martinie (czego dotychczas jeszcze nie zrobiłam, nie uroniłam ani jednej łzy) i z powodu Clare i Viviany, i nad sobą, to może można mi wybaczyć. Może, skoro płacz dotyczył nas wszystkich, jego intensywność i czas trwania idealnie odpowiadały temu, czego wymagała sytuacja.

Ten płacz, w całej swej nieodpowiedniej i nieeleganckiej niestosowności, mógłby trwać do znudzenia albo i w nieskończoność, gdyby nie to, że w drzwiach sypialni dostrzegłam Clare, która z białą twarzą i przerażeniem w oczach trzymała się kurczowo ościeżnicy, jakby to był maszt statku miotanego burzą.

- Wszystko w porządku, skarbie - wykrztusiłam, zduszając płacz, jak pożar zarośli. - To nie Teo. Nikt, kogo znasz. Wszystko w porządku.

Tylko skinęła głową, ale zauważyłam, że miejsce strachu zajęła troska, a Clare usiadła na

podłódze, żeby czuć nade mną i być ze mną jak prawdziwa przyjaciółka.

- Cornelio, jest coś jeszcze - zaryzykowała moja matka.

O nie, już dość, nie chcę nic więcej.

- Co? - spytałam.

- Ruth powiedziała, że jej matka ujęła cię w swoim testamencie. - W głosie mojej mamy słychać było zakłopotanie. Uuu-u, pomyślałam. Pani Goldberg zachowała się niestosownie nawet z za grobu.

- Zostawiła mi naszyjniki z pereł - próbowałam odgadnąć.

- W pewnym sensie. Zostawiła ci dom i całą jego zawartość.

Zaniemówiłam.

- I poprosiła, żebyś przejrzała jej dobytek i dała jej dzieciom to, co uznasz, że chciałyby mieć. Reszta jest twoja.

Jeszcze bardziej mnie zamurowało.

- Ruth chyba nie ma pretensji. Najwyraźniej pani Goldberg miała okazały majątek. W porównaniu z nim wartość domu jest niewielka. Mimo wszystko to dość kłopotliwe, nie sądzisz?

- Zapewne Ruth i Bern nie mają nic przeciwko temu. Wiedzą, że ich kochała - stwierdziłam, i to była prawda. Kiedy pani Goldberg cię kochała, wiedziałeś o tym.

- Pogrzeb jest pojutrze. Powiedziałam Ruth, że prawdopodobnie nie będziesz mogła przyjechać, ze względu na Clare i całą tę sytuację. Ale kiedy matka Clare wróci z podróży, musiałybyś przyjechać i przejrzeć rzeczy pani Goldberg.

- No dobrze - odparłam bezbarwnie. - Dziękuję, że zadzwoniłaś, mamo.

Rozłączyłam się. Clare natychmiast zerwała się na nogi i usiadła obok mnie na łóżku, a na jej twarzy malowało się zmartwienie. Kiedy mnie objęła, usłyszałam głos pani Goldberg mówiący „dziecko mojego serca”, tak jak to powiedziała ostatniego dnia, który spędziłyśmy razem w jej domu, i nic nie mogłam poradzić - rozplakałam się znowu. Płakałam i opowiadałam Clare, jak kiedyś jej ojcu w tym samym pokoju, o pani Goldberg, o tym, kim była i kim była dla mnie, i o tym, że spodziewałam się jej śmierci, ale nie mogę znieść, kiedy to się stało.

Rzeczywiście zdarza się, że reaguję przesadnie gwałtownie - i kiedy matka uznaje moje reakcje emocjonalne za przekraczające granice, to czasami, czasami ma rację. Jednak teraz tak nie było. Doszłam do granic wytrzymałości i upadłam na skalistą, obcą ziemię, gdzie szukałam pociechy u jedenastoletniego dziecka, które samo straciło tak wiele, że nawet wymienienie tego mogło doprowadzić do mdłości i wyczerpania. Nie chciałam się do niej zwracać, ale kiedy gładziła kolistymi ruchami moje plecy pomiędzy łopatkami, czułam, że potrzebuję dokładnie

takiego uspokajania, i nic nie mogłam poradzić na to, że tego potrzebuję.

Kiedy zadzwonił telefon, Clare szepnęła:

- Zaraz wracam - i pobiegła do kuchni, żeby go odebrać. Słyszałam, jak rozmawia, a potem przyniosła mi słuchawkę.

- To Teo - powiedziała.

- Teo - odezwał się żałośnie. W telefonie słyszałam różne hałasy i głosy oraz coś, co brzmiało jak interkom. Najwyraźniej dzwonił ze szpitala. Wyobraziłam sobie, jak tam stoi w swojej szpitalnej odzieży i rozmawia ze mną przez telefon, otoczony wirem życia i śmierci. Codziennie śmierć i choroby. Jakie to dla niego okropne, pomyślałam. Patrząc wstecz, widzę, że to był dobry znak, że potrafiłam myśleć o kimś innym. Znak, że nie załamie się pod ciężarem żalu nad sobą. Jednak wtedy o tym nie myślałam.

- Właśnie dzwoniła moja mama - odezwał się Teo. - Tak mi przykro, Cornelio.

- Nie wierzę w to. - Ale to nie była prawda. - Nie, jednak wierzę. Tylko... Ja nie chcę, żeby ona nie żyła. Nie chcę, żeby to była prawda, że zachorowała i umarła.

- Mnie też to wszystko wydaje się nierzeczywiste - odparł Teo. - Ale dla mnie ona była kimś w rodzaju dobrej wróżki, podobnie jak dla wszystkich dzieciaków. Dla ciebie była kimś innym. Pamiętam, że któregoś dnia zauważyłem, jak na siebie patrzycie. Ona była dla ciebie jak rodzina, prawda?

- Jak dobra wróżka i rodzina.

Oczywiście Teo oszczędził mi zwyczajowych frazesów. Nie usłyszałam też od niego żadnych uwag w rodzaju: „Jej cierpienie dobiegło końca”, których można by się spodziewać po człowieku spędzającym większość czasu wśród cierpiących, wśród ludzi, których własne komórki okazały się zdrajcami. Nie próbował również wyjaśniać mi medycznych aspektów choroby Alzheimera, tłumaczyć, na czym polegają dokonywane przez nią zniszczenia, jej rabunkowy przemarsz, po którym pozostają zgliszcza. Są fakty i jest wiedza, która nie ma nic wspólnego z faktami. Teo to rozumie, niezależnie od tego, że jest lekarzem.

- Jadę na pogrzeb. Ollie nie może się wyrwać, ale ja jadę. Chyba że... chyba że chcesz, żebym przyjechał i został z Clare, a ty pojedziesz. - W jego głosie dało się słyszeć wahanie. - Zrobiłbym to - ciągnął. - Zrobię to. Tylko że może się wydawać... Ludzie mogą myśleć...

Zrozumiałam, o co mu chodzi. Niespokrewniony mężczyzna mieszkający z młodą dziewczyną, która zna go od niedawna. Co za zwariowany świat. W nagłym przebłysku zrozumiałam, co zamierzam zrobić.

- Dziękuję ci, ale nie trzeba. Clare będzie ze mną.

- W porządku - powiedział z ulgą w głosie. - Wszyscy rozumieją, dlaczego nie przyjechałaś.

- Nie - wyprowadziłam go z błędu. - Jedziemy. Clare i ja razem. Dzisiaj. Złapiemy jeszcze pociąg.

- Cornelio, nie wolno ci. Rozumiesz? Posłuchaj, nie wiem, czy łamiesz prawo, trzymając Clare u siebie i nie zgłaszając zaginięcia Viviany. Ale to całkiem możliwe. Wiesz o tym?

- Pewnie tak - odparłam. Ta myśl przyszła mi już wcześniej do głowy, ale konieczność zdmuchnęła ją jak zapałkę.

- Więc chyba rozumiesz, że wyjazd z Clare do innego stanu to zły pomysł.

Natychmiast przyszedł mi do głowy zwrot „przekroczenie granicy stanu”. Ale nie byłam kidnapere. Byłam kobietą przyjmującą odpowiedzialność za dziecko. W mojej naturze nie leżało kłamanie i łamanie przepisów, ale jeśli wzięcie odpowiedzialności wymagało utkania gęstej tkaniny kłamstw i naginania prawa, to niech tak będzie.

Pomyślałam o domu, w którym dorastałam, o drzewach, ogrodzie i moich rodzicach, pomyślałam o solidnej, jak z obrazka, utrzymywanej-za-wszelką-cenę pogodzie ducha, która doprowadzała mnie do szału, kiedy tam mieszkałam. Ten dom był w tej chwili najlepszym miejscem dla Clare, i dla mnie też. Czułam to w kościach.

- Teo, nie chodzi tylko o pogrzeb. - Westchnęłam i zaśpiewałam cicho: - *Taaayo, Taaaay-yo-oh.*

- Tak, wiem. Wiem, że chcesz wracać do domu. Rozumiem to. Tyle że nie wiem...

Nie tylko Teo wie, kiedy zachować milczenie. Czekałam.

- W porządku. Jezu, Cornelio. W porządku.

- W porządku - odparłam z ulgą.

- I daj sobie spokój z pociągiem. Zabiorę was obie rano.

Trzy to naprawdę magiczna liczba. Teo też to czuł. - Przecież i tak tam jadę - dodał szorstko, ale mnie nie zmylił ani przez chwilę.

W tym momencie chciałabym powiedzieć parę słów na temat samochodów. Nie mam własnego, co wielu uznałoby za podejście skrajnie nieamerykańskie, porównywalne, powiedzmy, z zaszcyciem się w chacie w Montanie i odmawianiem płacenia podatków albo z zaniedbaniem właściwej pielęgnacji trawnika. Całkowicie celowo zorganizowałam sobie życie w taki sposób, że niemal nigdy nie musiałam korzystać z żadnego rodzaju pojazdu mechanicznego, nawet autobusu. Te buty zostały stworzone do chodzenia, do chodzenia, do chodzenia - i zostawiania śladów stóp w rozmiarze pięć w całym mieście - a ja wolałam wydać pieniądze zaoszczędzone na benzynie na

naprawdę piękną parę kozaczków na wysokim obcasie, ręcznie wykonanych gdzieś w górach we Włoszech.

Jednak nie wyobrażajcie mnie sobie, jak stojąc na skrzynce po mydle, przemawiam na temat efektu cieplarnianego i zamieniania Ameryki w asfaltową dżunglę, chociaż te ostrzeżenia akurat mają nieco sensu, jeśli się nad tym zastanowić. Jednak argumenty, które ci kaznodzieje przedstawiają na rzecz życia bez samochodów, nie mają nic wspólnego z moimi powodami, niestety.

Samochody po prostu mnie nie interesują, to jedno. Kiedy ktoś w kawiarni spytał mnie, jakim samochodem jeździ Martin, jedyne, co umiałam odpowiedzieć, to że „srebrzystym”.

Po drugie, jestem cykorem, jak już chyba wspomniałam, a samochody są po prostu przerażające.

Mimo to muszę przyznać, że niektóre z moich najdroższych wspomnień wiążą się z przebywaniem w samochodzie. A właściwie może nie tyle konkretne wspomnienia, ile ogólne wspomnienie radości i dobrego samopoczucia. Szczęście z okresu dzieciństwa kojarzyło się z jazdą samochodem w sennym nastroju, na tylnym siedzeniu, gdy przez okna wlewało się złote lub przymglone srebrne światło, zależnie od pory dnia, a ja opierałam się o Ollie lub Toby'ego i dobiegała do mnie muzyka z radia oraz dźwięk rozmowy rodziców - i zawsze byli rodzice, tuż przed nami, kompetentni, trzymający straż, chroniący nas z nieskończoną życzliwością i wiozący nas wszystkich właściwą drogą.

Jazda samochodem może tworzyć poczucie, że znajdujesz się pod działaniem czarów, cieplej, intymnej magii zrodzonej z tego, że przebywasz w zamkniętej, konkretnej przestrzeni, a jednocześnie nie jesteś w żadnym konkretnym miejscu, tylko przejeżdżasz. Nikt tak naprawdę nie pozostawia za sobą wszystkich kłopotów, ale tu ma wrażenie, jakby to zrobił. Można wierzyć, że znajdujesz się w jakiejś przestrzeni pomiędzy światami, gdzie problemy cię nie odnajdą, a Clare i ja jak najbardziej w to wierzyłyśmy, siedząc razem w samochodzie Teo, w promieniach wpadającego przez okna słońca. Teo być może też w to wierzył, chociaż jeśli miał własne kłopoty, to mnie o nich nie powiedział. W każdym razie ta magia działała na całą naszą trójkę i wszystkim nam trojgu, przynajmniej na chwilę, było lekko na sercu.

Clare spała na tylnym siedzeniu, a na jej twarzy malował się spokój, jakiego jeszcze u niej nie widziałam. Ja właśnie skończyłam opowiadać zabawną anegdotę, której humor opierał się na fakcie, że jestem groteskowo niska (co pokazuje, w jak dobrym byłam nastroju), kiedy na twarzy Teo pojawił się wyraz zamyślenia, a po chwili powiedział mi coś, czego jeszcze nigdy od nikogo nie słyszałam:

- Wiesz co, ja nie myślę o tobie jako o kimś niskim.

- Nie? - spytałam z niedowierzaniem. - A jako o kim o mnie myślisz?

No bo kiedy ktoś wypowie tak szokującą opinię, musisz podążać jej tropem jak ogar.

Teo zawahał się, jakby szukając odpowiedniego słowa, po czym wypalił:

- Jako o karlicy - zachowując kamienny wyraz twarzy.

- Byłbyś doskonałym komikiem - skomentowałam znudzonym tonem - gdybyś nie był tak żenująco mało zabawny.

- A tak poważnie - ciągnął Teo poważnie - to niby wiem, że jesteś niska, ale nigdy w ten sposób o tobie nie myślę.

- Myślisz o mnie jako o kimś... - urwałam i czekałam.

- Misternym - uzupełnił.

Roześmiałam się, tak to było nieoczekiwane, ale również dlatego, że choć nie wiedziałam, co ma na myśli, spodobało mi się to określenie.

- Chodzi mi o to, że gdyby zlecić facetowi wykonanie kobiety przy użyciu jak najmniejszej ilości materiału i nie pozwolić mu odkrawać brzegów, to wykonałby ciebie.

- No, wiesz co, Teo, to takie... słodkie? - Bo to było słodkie. Nikt nigdy mi nie powiedział, że moje brzegi nie zostały obcięte.

- Nie wiem, czy to słodkie, ale to prawda. Kiedy stoisz obok innych kobiet, one wydają się takie rozlazłe i przesadzone, jakby ten, kto je zrobił, dał się ponieść.

- I przekroczył budżet - dodałam.

- Właśnie. - Teo zerknął na mnie. - Chociaż osoba, która ciebie wykonała, pozwoliła sobie na pewną ekstrawagancję przy twarzy, ale to zapewne dlatego, że zostało jej nieco więcej materiału.

- To był oszczędny facet - roześmiałam się i Teo również, ale kiedy obróciłam się, żeby zobaczyć jego twarz, malował się na niej wyraz zakłopotania czy raczej zawstydzenia.

Nie myślcie sobie, że zakochałam się w facecie, bo powiedział mi, że nie myśli o mnie jako o kimś niskim. Przede wszystkim nie jestem taka płytka ani tak niepewna siebie. A po drugie, nie zakochałam się w Teo.

Zatem, co się zdarzyło?

Jak większość ludzi, kiedy znajduję się w ciepłym wnętrzu samochodu, wtulona w przedni fotel i na dworze panuje zimno, a słońce kładzie na mnie swe promienie jak żółty kocyk, staję się senna. Czasem na tyle, żeby rzeczywiście zasnąć, i to był jeden z takich momentów. Odpłynęłam - w lekki, złoty sen.

Spałam. Obudziłam się. Kiedy się obudziłam, zobaczyłam ręce Teo na kierownicy, jego nadgarstki wynurzające się z raz podwiniętych mankietów miękkiej, dżinsowej koszuli. Koszula niebieska, nadgarstki i dłonie brązowe, przyprószone złotym pyłem błyszczących włosów karmelowego koloru. Koszula, nadgarstki, dłonie. Widziałam je teraz wyraźniej niż cokolwiek dotychczas, a ich widok poruszył mnie tak mocno, jak nic jeszcze mnie nie poruszyło.

To on, powiedziałam sobie, ten jedyny, oczywiście, oczywiście, oczywiście. Te słowa stały się moim oddechem i moim pulsem, rozbrzmiewał nimi cały świat. „Oczywiście”. Nie pomyślałam sobie słów: „Kocham cię”, tak były oczywiste, tak dane, że pomyślenie ich byłoby czystą przesadą.

Ale kochałam go. Teo. Byłam w nim zakochana. Zawsze będę go kochać. Oczywiście, że byłam. Oczywiście, że jestem. Oczywiście.

Zatem widzicie, że nie zakochałam się w Teo Sandovalu. Zakochiwanie się to proces, a to, co mnie się przytrafiło, nie było procesem. Nie było stopniowe. To nie było zakochiwanie się.

„Morska przemiana”. Przeistoczenie. W jednej chwili byłam kobietą niezakochaną w Teo, a w następnej już zakochaną w nim. Kości, krew, skóra, każda komórka, wszystko zmieniło się w coś nowego.

- Teo? - odezwałam się, przejęta lękiem.

- Tak, Teo - odparł, najwyraźniej sądząc, że jeszcze nie do końca się obudziłam. -

Pamiętasz mnie?

Niedawno pochowałam swojego kochanka, jechałam na kolejny pogrzeb, dziecko, możliwe, że pozbawione matki, i możliwe, że porwane, jechało na tylnym siedzeniu, a ja byłam zakochana w mężu mojej siostry. Wierzcie mi, nikt nie planuje sobie życia przypominającego filmy z Bette Davis. Nikt czegoś takiego nie pragnie, a wszystko to się na mnie zwali. Już wkrótce. Ale wtedy, w tym samochodzie, na czas podróży, wolno mi było zapomnieć o wszystkim oprócz Teo. Nazwijcie to mechanizmem wyparcia, jeśli chcecie. Ja nazywam to łaską.

Teo. Jego oczy. Jego usta. Jego ręce w koszuli. Nigdy w życiu tak bardzo nie pragnęłam nikogo dotknąć, a jednocześnie wcale nie musiałam go dotykać. W miłości stałam się wielka, bezkresna, nie zawierałam się pomiędzy kapeluszem a butami. Urosłam. Obejmowałam Teo. Otaczałam go.

Clare spała na tylnym siedzeniu. Za oknami ukazały się góry, delikatne zarysy w kolorze morskiej wody. Ja siedziałam na jednym siedzeniu. Teo siedział na drugim. A jednak trzymałam go w objęciach przez całą drogę do domu.

22. Clare

Mam nadzieję, że kiedy ci mówiłam, że tu jest cisza i spokój, nie potraktowałaś tego dosłownie - zauważyła cierpko Cornelia, a Clare na to tylko się roześmiała, bo chociaż jeszcze nie weszli do domu, tylko właśnie wysiedli z samochodu Teo i stali na szerokim, zaokrąglonym podjeździe, już słyszała muzykę i krzyki, i kogoś śpiewającego niezbyt ładnie, lecz z wielkim zapalem *Niech pada śnieg, niech pada śnieg, niech pada śnieg.*

- Ciekawe, czy wie, że nie pada - zainteresowała się Clare.

- To, czego on nie wie, mogłoby wypełnić Wielki Kanion - odparła Cornelia. Wskazała jej ciemnoniebieskiego, starego i zdezelowanego jeepa cherokee z naklejką University of Vermont na tylnej szybie i powiedziała: - Cam. I Toby - dodała, pokazując tym razem ciemnozielonego, nieco nowszego i odrobinę mniej zdezelowanego jeepa cherokee z naklejką CU Boulder na tylnej szybie i drugą, z literami VT w zielonym owalu.

Clare objęła spojrzeniem oba samochody, potem teren przed domem wraz z wielkimi drzewami przystrojonymi sznurami wyłączonych lampek i w końcu sam dom - z czerwonej cegły z białymi wykończeniami okien, czarnymi okiennicami i czarnymi drzwiami wejściowymi, przy których znajdowała się mosiężna kołatka w kształcie ananasa. Po każdej stronie wejścia wisiał wieniec ozdobiony szyszkami sosnowymi i czerwonymi jagodami. Dom nie był nawet w przybliżeniu tak duży ani tak podobny do zamku jak dom Clare, który miał nawet wieżyczkę ze spiczastym dachem, ale dziewczynce spodobała się jego rozłożystość i to, jak solidnie wyrasta z ziemi, jakby był tu od zawsze. Podobało jej się też, że ogród rozciąga się dookoła niego jak spódniczka, ale nie jest na tyle duży, żeby nie można dostrzec sąsiednich domów. Normalny dom na normalnej ulicy, pomyślała. Sąsiedztwo.

- Ruszamy? - spytała Cornelia, pociągając ją za kosmyk włosów.

- Ruszamy - zgodziła się Clare nieco nerwowo, po czym zwróciła się do Teo, który wyciągał torby z bagażnika: - Czy ty też możesz pójść?

- Żartujesz? - odezwała się Cornelia, uśmiechając się do Teo. - Gdyby odjechał, nie składając życzeń noworocznych, usmażyliby go na oleju.

- Uuu - skrzywiła się Clare.

- To prawda - zgodził się Teo. - Byłbym usmażony dwa razy. Najpierw tutaj, a potem u rodziców. Gdyby mama spytała, co u Brownów, a ja bym nie wiedział...

- To lepiej chodź z nami - stwierdziła Clare. - Dwukrotne smażenie nie jest zbyt miłe.

Cornelia uśmiechnęła się do Clare uspokajająco:

- Nie martw się, skarbie. Tubylcy są przyjaźni. Hałaśliwi, lecz przyjaźni. I tylko niektórzy z nich są głośni. - Mówiąc to, wzięła Clare za rękę i zamiast iść do frontowych drzwi, poprowadziła ją i Teo ceglana ścieżką zakręcającą łukiem do innych drzwi, znajdujących się z boku domu.

Weszli do przedsionka z kamienną posadzką, błękitnymi ścianami i sufitem, bezładnymi rzędami wysokich i niskich butów najróżniejszych rozmiarów oraz skrzynką na mleko zarzuconą kłębowskiem rękawiczek, czapek i jasnych szalików. Kurtki i płaszcze wisiały na mosiężnych haczykach na ścianie. Teo pomógł Clare zdjąć jej wełnianą kurtkę w kolorze kardynalskiej purpury, a ona powiesiła ją obok innych, ciesząc się, że powiększyła bogactwo kolorów.

Poczuła ukłucie w sercu, gdy przypomniała sobie norki mamy, znajdujące się nadal na wieszaku u Corneli, gdzie je zostawiła. Ale po chwili się odprężyła. Tak też jest dobrze. Norki oznaczają, że mama wróci. Znajdzie wiadomość, którą przykleiły dla niej na drzwiach Corneli, zadzwoni, a Clare z Cornelią wrócą i mama przyjedzie po nią do mieszkania Corneli, i włoży futro, kiedy będą wracać do domu. W wesołym bałaganie tego małego pomieszczenia bez trudu potrafiła w to uwierzyć, a nawet traktować taki obrót sytuacji jako pewny, jak obietnice prawdziwego przyjaciela, który nigdy by jej nie okłamał.

Niemal natychmiast po tym, jak weszli z przedsionka do kuchni, zanim jeszcze zmysły Clare w pełni zarejestrowały zapach pieczenia i dźwięki bożonarodzeniowej muzyki, wpadł do środka wysoki, smukły chłopak w czerwonym narciarskim swetrze, krzyknął „Hej!”, podniósł Cornelię i trzymając ją jak niemowlę, zaczął z nią galopować po kuchni.

- Mamo, tato, Tobe! Już są! - wołał, jak się Clare domyśliła, Cam.

Pojawił się drugi chłopak, niższy, z kręconymi włosami. Pierwszy rzucił Cornelię w ramiona drugiego, a ten zaczął z nią wirować w takt muzyki.

- Wrr! - wrzasnęła Cornelia. - Jesteście takimi szczeniakami!

Toby przestał się obracać i podrzucił ją w ramionach, jakby szacując jej wagę.

- Ludzie, ale ty jesteś gruba. Bez obrazy, ale jesteś grubą osobą, Cornelio. - Postawił ją na ziemi i zwrócił się do Teo: - Jak pan sądzi, doktorze Sandoval, mam rację czy mam rację?

- Zbyt dużo zapiekane z serem - uśmiechnął się Teo. Wyciągnął rękę, którą uścisnął najpierw Toby, a potem Cam.

- Nadal brzydki jak zawsze, jak widzę - powiedział Cam do Teo. Potem, ku zaskoczeniu Clare, szepnął jej scenicznym szeptem do ucha: - Brzydszy niż zawsze, ale nie powtarzaj mu, że to powiedziałem.

Zanim Clare zdążyła odpowiedzieć, Cam jakby sobie coś przypomniał. Zwrócił się do

Cornelii:

- Niech to szlag z panią Goldberg. Radzisz sobie?

- Niech to szlag, rzeczywiście - odparła sucho Cornelia, ale po chwili zmięła. - Całkiem dobrze sobie radzę, Cammy.

- Ale i tak jesteś tłusta - dodał Toby. - Jak zwycięski wieprzek.

Spojrzał na Cama i przybili piątkę.

- Co za ulga - skomentowała Cornelia. - Jesteśmy tu już od dwóch pełnych minut i jeszcze ani razu nie przybiliście piątki. Już myślałam, że jesteście chorzy. Może na zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych. - Wzięła Clare pod rękę. - To są moi bracia chuligani, dla których płomień bractwa studenckiego płonie wiecznie. Bracia chuligani, to jest Clare.

Kiedy ściskali jej dłoń, do kuchni weszły jeszcze dwie osoby - mężczyzna w drucianych okularach, z krótko przystrzyżonymi siwymi włosami, ubrany w kamizelkę z dzianiny (jak profesor z filmu, pomyślała Clare) oraz ładna kobieta z błękitnymi oczami - kocimi oczami, jak u Cornelii.

Kobieta podeszła prosto do Cornelii i chwyciła ją w ramiona. Ucisnęła ją, a Cornelia odwzajemniła jej uścisk. W końcu kobieta ją puściła. Odsunęła ją na długość ramienia i wpatrzyła się przenikliwie w jej twarz.

- Niech na ciebie popatrzę, kotku - powiedziała.

I Cornelia stała, potulna jak nigdy, pozwalając na siebie patrzeć. Potem na jej ustach pojawił się bardzo słodki uśmiech i powiedziała cicho:

- Cześć, mamó.

Mężczyzna, ojciec Cornelii, próbował zmierzwić jej krótkie, niemożliwe do zmierzwienia włosy, po czym spojrzał nad jej wąską głową na Teo.

- Nadal brzydki jak zawsze, jak widzę, Teo - powiedział wesoło.

Clare stała tak wśród rodziny Cornelii i coś się z nią stało, coś wspaniałego.

Miała wrażenie, jakby się unosiła na grubej poduszce powietrza o cynamonowym zapachu. Czuli się, jakby to ją uniesiono z ziemi, trzymano w ramionach i kołysano. Czuli, jak w piersi bije jej serce: otwiera się i zamyka, otwiera się i zamyka, otwiera się. Zanim jeszcze którekolwiek z rodziców Cornelii powiedziało do niej choć słowo, zanim mama Cornelii dotknęła jej policzka i powiedziała:

- A ty oczywiście jesteś Clare. - Zanim posadzono ją do uczty składającej się z kanapek z indykiem, nadzieniem i sosem żurawinowym oraz maślanych bułeczek drożdżowych z cynamonem - najlepszego posiłku, jaki w życiu jadła. Zanim zagrała w piłkę z Camem i Tobym,

czując szczypanie powietrza w płucach, zanim zapaliła świece do kolacji. Zanim wyszła na spacer w rozświetloną gwiazdami i lampkami bożonarodzeniowymi noc z Cornelią, która pokazała jej wzgórze do zjeżdżania na sankach i dom Teo, miejsce, gdzie pierwszy raz się całowała, ulubione drzewo, na które się wspinała i które stało przed domem pani Goldberg, a łzy spływały jej po twarzy. Zanim pokonała tatę Corneli w warcaby, zanim zasnęła w sypialni na poddaszu pod delikatnym ciężarem flanelowej pościeli i ręcznie zszywanej kołdry, patrząc na gwiazdy świecące za oknem. Zanim napisała słowo „dom” w swoim dzienniku.

Zanim to wszystko nastąpiło, jeszcze kiedy stała w kuchni i przyciskała jedną rękę do piersi, zanim, a jeszcze bardziej potem, wiedziała: Jest zakochana.

23. Cornelia

Zdecydował za mnie wyraz twarzy Clare, to on sprawił, że cały plan zaczął się składać w całość w mojej głowie jak puzzle - i to puzzle dla dzieci, tak duże i łatwe do ułożenia były jego kawałki, chociaż obraz, który z nich powstał, zaparł mi dech w piersi.

Zauroczone. Kiedy Clare stała w mojej rodzinnej kuchni tego pierwszego dnia, była zauroczone, zachwycone, oczarowane. Clare była dziewczynką z krwi i kości, a jej dotychczasowe przeżycia w niczym nie przypominały bajki, ale dała się zaczarować - a zapewne też oszołomić - ledwie zdążyła mrugnąć brązowymi oczami. Jednak jeśli te oczy mówiły prawdę, a zawsze tak było, zupełnie się tym nie przejmowała.

Mój rodzinny dom ma pewien urok, przyznaję. (Na przykład w ostatnich miesiącach zdołał zwabić z powrotem Cama i Toby'ego, podobno „chwilowo”, ale nie widać, żeby planowali wyjazd.) Jest to wyszorowana, dębowa, z jabłkami w misie z niebieskiej porcelany odmiana uroku, wcale nie mniej kusząca niż inne odmiany. A nawet bardziej, jeśli jesteście Clare w tym konkretnym momencie jej życia. W tym konkretnym momencie jej życia światłem, które odbijało się w miedzianych patelniach wiszących na ścianie, w czystych blatach wyłożonych kafelkami i w twarzach mojej rodziny, było światło ogniska domowego, światło domu, światło niosące pociechę i radość i Clare, oślepiąca, uległa.

Spodziewałam się takiej reakcji. Wręcz jej oczekiwałam. Dlatego tu przyjechałyśmy. A mimo wszystko, kiedy obserwowałam, jak Clare wkracza w to kłębówisko wesołych, roześmianych i obdarzonych dobrym sercem ludzi, którzy stanowią moją rodzinę, miałam ochotę ją ostrzec: „Kochaj ich, skarbie, ale nie za mocno”.

Wiem, jak to brzmi, ale nie chodzi mi tu o poszczególne osoby, które niewątpliwie są

godne miłości i bardzo kochane. Prawdę mówiąc, ja bardzo je kocham. Przysięgam, że je kocham. Uwierzcie mi. Moje ostrzeżenie odnosi się do nich jako całości. Alegoryczna Szczęśliwa Rodzina - zdecydowanie szczęśliwa, tak wypolerowana i w najmniejszym szczególe wykończona jak perła. Nasza rodzina jest tak szczęśliwa, jak Martin był elegancki i czarujący: niepodważalnie, nienaruszalnie, doskonale. Jesteśmy pięknym obrazkiem zawieszonym na błyszczącym gwoździu mojej matki, która jest najbardziej doskonała ze wszystkich, a na naszej pięknej ramce wyryto napis: NIE WPROWADZAĆ ZAMIESZANIA.

Ale czasem zamieszanie jest potrzebne, czasem trzeba zachwiać tą rodzinną łodzią, skierować ją prosto w oko cyklonu i wypłynąć po drugiej stronie w nieco sfatygowanym stanie, ale z nadal powiewającą banderą. Obrazki. Łodzie. Czyżbym pomieszała przenośnie? No i co z tego. Czasem, kiedy znajdziesz się w trudnej sytuacji, tylko pomieszane metafory pozwalają ją zilustrować.

Mówiąc innymi słowy, w swojej rodzinie miałam towarzyszy - serdecznych i lojalnych - tymczasem ja potrzebowałam bliskich, a nigdy nie udało mi się wymyślić, jak nas wszystkich przestawić. Nigdy nie znalazłam drogi do środka.

Jednak czasem dusza potrzebuje spokojnych wód, a dusza Clare była w tej chwili w takiej potrzebie. Clare, moja Clare, potrzebowała łodzi, którą nic nie zachwieje. I zasłużyła sobie na to.

Jednak wróćmy do mego planu. Jak już wspomniałam, zaczął się on krystalizować, gdy spojrzałam na oczarowaną i promienną twarz Clare, a jego ostatni kawałek trafił na swoje miejsce następnego dnia, podczas pogrzebu pani Goldberg. (Jeśli uważacie, że w mojej opowieści jest zdecydowanie za dużo pogrzebów, to mogę wam obiecać, że ten jest ostatni.)

Siedziałam pomiędzy swoim ojcem a Tobym, ubrana w czarną sukienkę, którą wykorzystywałam już drugi raz w ciągu tygodnia, a którą planowałam z siebie zedrzeć i spalić na popiół, jak tylko będę miała możliwość, i słuchałam, jak ludzie jeden po drugim opowiadają o życiu pani Goldberg. Jedną historię nawet sama opowiedziałam. Jak na starszą panią, która w żadnej mierze nie była „słodką staruszką” ani uroczo zrzędliwą staruszką, ani żadnym łatwym typem staruszki, którego ludzie oczekują, Suzette Goldberg była zadziwiająco powszechnie kochana. Kochana za swą wspaniałość i dobroczynność, za rozum i człowieczeństwo, jak każdy z nas po najdłuższym życiu chciałby być kochany.

Przemawiałam, słuchałam i serce mi pękało, to znaczy, wcale nie pękło, tylko stało się nagle świadome swojej niepodzielności i bolało jak diabli. Pani Goldberg mnie kochała, wyróżniła mnie.

Nagle zrozumiałam, że taka kobieta, zostawiając mi dom i zawarte w nim skarby, miała na

celu zostawienie mi czegoś jeszcze. Szansy. Więcej niż szansy. Wyzwania. Rzuciła mi rękawicę pod postacią pary rękawiczek operowych. No, dalej, Cornelio! Co teraz zrobisz?

Będę walczyć o Clare, oto, co zrobię. Będę walczyć jak lwica, żeby ją zatrzymać. Puszczę w ruch zęby i pazury. Poleje się krew. Wynajmę prawnika, pójdę do sądu, do dziesięciu sądów, jeśli będzie trzeba. Będę walczyć i wygram.

Clare mi pomoże. Pamiętałam ją z tego pierwszego dnia w mieszkaniu Martina, pamiętałam, jak na niego spojrzała i rzuciła trzy szczere, przesywające słowa, które, jak teraz wiedziałam, były oskarżeniem - nie, więcej niż oskarżeniem. Były werdyktem, że jest winny: „Ona. Była. Chora”. Przypomniałam sobie chłodny płomień w jej oczach. Ta dziewczyna ma charakter. Poza tym Clare nie jest biedną chudziwą miotaną wichrami losu, tylko heroiną, królową szczęśliwych zakończeń, bohaterką powieści, która w końcu zamieszkuje z kimś, kto ją uwielbia. Każdy to widzi.

A ja mam dom, dar pani Goldberg. Każdemu mogę go pokazać. Dom. To słowo, z całym swoim cudownym ładunkiem skojarzeń, było tam niewątpliwie obecne, w nachyleniu dachu, w zapachu bzów, w oknach z falistego szkła i w łagodnie opadającym trawniku. Wejdźcie, szeptała każda cegła tego budynku. Wejdźcie i bądźcie w domu.

Poza tym mam rodzinę - swoją. Rodzinę nienaganą i gotową pomóc w wychowywaniu adoptowanego dziecka swojej córki. Szczęśliwość mojej Szczęśliwej Rodziny doprowadzała mnie do szału, ale w tej sytuacji może się przydać. Zaprezentuję ich, jednego po drugim, Toby'ego i Cama, z rumianymi policzkami, olśniewających w swoich strojach do lacrosse'a, mojego tatę w kamizelce z dzianiny, uzdrowiciela z zawodu, i mamę. Ubiorę ją w fartuszek w drobną kratkę, jeśli tak będzie trzeba.

Bo to była właśnie część mojego planu. Powrót do domu. A właściwie opuszczenie mojego domu i przyjazd tutaj, gdzie mieszkałybyśmy, jeśli nie na łonie mojej rodziny, to w każdym razie w bliskim sąsiedztwie. Mieszkałybyśmy tutaj, gdzie Clare biegałaby po miękkich trawnikach, zajadała się domowymi ciastami, czuła się bezpieczna i spokojna, a jej twarz promieniałaby przez cały dzień.

Z waszego punktu widzenia zapewne łatwo dostrzec, że cały ten plan opierał się na jednym: na trwałym zniknięciu kobiety, którą Clare kochała, kobiety, której trwałego zniknięcia nigdy nie pragnęłam, naprawdę. Ten tak łatwy dla was do dostrzeżenia fakt ja jakoś przeoczyłam, niech Bóg i wszyscy inni mi wybaczą. Bóg i wszyscy inni, i wy też. Wy też mi wybaczenie.

Tuż przed częścią uroczystości pogrzebowych odbywającą się nad grobem (której zazwyczaj unikam, ale w wypadku pani Goldberg chciałam uczestniczyć we wszystkim do

końca), kiedy stałam w wyjątkowo łagodnym jak na grudzień powietrzu, na moim ramieniu spoczęła pewna dłoń. Spoczęła i po chwili strumień ciepła spłynął po całej lewej stronie mojego ciała. Przeniosłam wzrok z tej dłoni - tak delikatnej ludzkiej dłoni, o tak skomplikowanej konstrukcji - na ciemnobrązowy rękaw kurtki, a następnie na twarz, twarz nad twarzami, tę jedyną. Jego podbródek, jego zęby w jego ustach, niezrównana linia jego policzka. Mój Teo.

Nie mój. Nie mój. Nie mój. Ollie. Mąż Ollie, Teo. Ta jedna godzina spędzona z Teo w samochodzie, ta godzina, podczas której kochałam go z nieskończoną radością, już minęła. Teraz znów należał do Ollie. Mąż Ollie, Teo. Nie zapominaj o tym.

Trzy kamelie, Wiosenna bujność traw, Doktor Żywago, Rzymskie wakacje, a nawet *Casablanca* - oczywiście, *Casablanca*. Wszystko to filmy, w których kobieta nie dostaje swojego mężczyzny, filmy o niezaspokojonym pragnieniu i rozdzielonych sercach. Lubicie je, ja też je lubiłam. Ale coś wam powiem: spróbujcie należeć duszą i ciałem do człowieka, który nigdy nie będzie należał do was. Przekonajcie się, czy wówczas będziecie lubić te filmy. „Nie prosz o księżyc - mamy gwiazdy!” Pewnie, Bette, lecz kiedy stałam tam na cmentarzu, drżąc pod dotykiem Teo, całą swoją istotą przeżuwałam słowa: „Przepraszam za wyrażenie, ale pieprzę te pieprzone gwiazdy!”

Jeśli brzmi w tym gorycz, to dlatego, że byłam rozgoryczona. Rozgoryczona i obolała jak kobieta, która płonie.

Ale rozważmy, jaki mam wybór. W filmie *Takie nasze życie* Bette Davis gra kobietę, której z niepojętych przyczyn nadano imię Stanley. Stanley kradnie męża swojej siostrze i wywołuje tym lawinę, która ją i niemal wszystkich, których zna, ściąga w otchłań osamotnienia, rozpacz i ruiny, w najgłębszą otchłań piekła. Nie trzeba być filmoznawcą, żeby zinterpretować przesłanie tego filmu: jeśli ukradniesz męża siostry, spodziewaj się ofiar w ludziach.

Co prawda i tak nie potrafiłabym go ukraść, choćbym chciała. Nikt by nie potrafił. Nawet jeśli Teo był nieszczęśliwy z Ollie, był zbyt prawym człowiekiem, żeby uciec z jej siostrą czy kimkolwiek innym. A może wcale nie był nieszczęśliwy. Próbowałam wzbudzić w sobie nadzieję, że jest szczęśliwy - dla jego dobra - szalenie szczęśliwy, w siódmym niebie z Ollie, ale nie potrafiłam tego zrobić, jeszcze nie.

- Dobrze się czujesz? - spytał mnie Teo, a jego pytanie mogło wywołać u mnie napad nieopanowanego ironicznego śmiechu. Mogło, ale nie wywołało. W końcu to był nadal Teo, a ja kochałam go nie tylko w nowy, bolesny i unoszący mnie w powietrzu sposób, ale również w znany stary. Ścisnęłam mu dłoń.

- W porządku, w porządku - odparłam. - Może nie wspaniale. Ale będę żyć.

I tak będzie.

Co robisz, kiedy kochasz ostatniego człowieka na świecie, którego mogłabyś mieć?

Planujesz sobie życie, prawdziwe życie, bez niego.

24. Clare

Clare spędziła cały ranek z mamą Cornellii na pieczeniu i stojąc teraz z Cornelią na frontowej werandzie domu pani Goldberg, nadal czuła we włosach zapach pierniczków. Przez chwilę miała wrażenie, jakby ten zapach nie unosił się z niej, tylko z samego domu, z jego cegieł, kolumn i dachu. Dom jak z bajki, ale bez żadnych złych czarownic w środku, była tego pewna. Mimo to, kiedy Cornelia przekreśliła klucz i Clare usłyszała szcęk zasuw, na chwilę wstrzymała oddech. I kiedy wchodziły do środka, przez cały czas miała wzrok utkwiony w plecach Cornellii, w miejscu pomiędzy jej łopatkami.

Po chwili się rozejrzała i głośno wciągnęła powietrze. To rzeczywiście było magiczne miejsce, ale wyglądało inaczej, niż się spodziewała. Meble nie były nakryte prześcieradłami zmieniającymi je w samotne duchy. Nie panowała tu też aksamitna, ciemnofioletowa, przykurzona cisza, przypominająca płatki fiołków afrykańskich. Zamiast tego była magia domu, który nie jest nawiedzony, lecz żyje i czeka. Przez okna wpływało do wnętrza światło, rozlewające się blaskiem po podłogach i stołach. Salon, pomyślała Clare, pokój, w którym normalnie toczy się życie. I nadal nie było tu nic martwego, nic zapomnianego. Nawet sofa jakby otwierała przed nią swe ramiona, toteż Clare, niewiele myśląc, podeszła do niej i usiadła.

- Och - usłyszała głos Cornellii. Po chwili jeszcze raz: - Och - po czym Cornelia zrobiła dwa kroki w głąb pokoju i opadła powoli na kolana jak w kościele. Clare siedziała w milczeniu, pozwalając jej być sam na sam z domem. Po kilku sekundach Cornelia usiadła ze skrzyżowanymi nogami i zdjęła płaszcz.

- Witaj, domku - powiedziała radosnym głosem.

- On żyje - zauważyła Clare.

- Tak.

Rozejrzały się po pokoju, przyglądając się jasnozłotej tapecie i dwóm srebrnym kandelabrom na półce nad kominkiem oraz samemu marmurowemu kominkowi, a Clare zastanawiała się, czy Cornelia oczekiwała, tak jak ona, że na knotach pojawią się płomyki i po chwili na palenisku będzie buzował pomarańczowy, trzaskający i śpiewający ogień.

Po chwili do Clare dotarł jeszcze inny zapach, nie pierników, tylko bardziej delikatny i

chłodny. Wyprostowała się i przyjrzała dokładniej wazie z białymi kwiatami stojącej przed nią na stoliku. Pochyliła się i wciągnęła powietrze, a potem ostrożnie dotknęła palcem jednego z kremowych płatków. Cofnęła rękę i wpatrzyła się rozszerzonymi oczami w Cornelię.

- Prawdziwe - szepnęła. - One też są żywe. Cornelia podeszła i dotknęła kwiatów, a Clare uświadomiła sobie, że przez kilka chwil obie wierzyły w cud.

Potem Cornelia powiedziała cichym, smutnym głosem:

- Gardenie. Oczywiście, gardenie. - I dodała: - Marielle.

- Marielle?

Cornelia otarła oczy i uśmiechnęła się do niej.

- Ona sprzątała dom pani Goldberg, od kiedy pamiętam. Moja mama mówiła, że Ruth i Bern zatrudnili ją, żeby przychodziła co kilka tygodni odkurzyć i przewietrzyć dom. Pewnie przyszła tu dziś tuż po pogrzebie.

- I zostawiła dla nas kwiaty - powiedziała Clare.

- Może. Tego nie wiem. Nie byłabym zdziwiona, gdyby się okazało, że zostawia je za każdym razem, kiedy tu przychodzi. Pani Goldberg uwielbiała gardenie.

Clare poczuła nagle, że nie mniej magiczne niż przetrwanie żywych kwiatów przez lata jest to, że jedna kobieta mogła tak bardzo kochać drugą, że nie przestaje wykonywać dla niej miłych gestów, mimo że tamta już odeszła. Tak jakby miłość była nawykiem, z którym nie można zerwać.

- Pokażę ci wszystko. Cały dom. Salonik z muszlami morskimi, dwustuletni stół kuchenny... już niedługo - mówiła Cornelia z błyszczącymi oczami. - Ale teraz pójdźmy prosto na strych. Co ty na to?

- Zgadzam się - odparła Cornelia. - Od razu.

Idąc za Cornelią schodami na strych, uświadomiła sobie, że nie tyle idzie, ile stawia precyzyjnie stopy i płynnie przesuwając dłoń po poręczy, jakby wspinanie się do miejsca, które Cornelia najbardziej kochała, było tańcem, czymś, co należy zrobić we właściwy sposób. A potem jednym gładkim ruchem, jakby wniesione przez wiatr, Clare i Cornelia znalazły się po drugiej stronie drzwi i stały pośród pochylonych, miodowobrazowych ścian strychu pani Goldberg.

25. Cornelia

Pokazałam Clare zdjęcie pani Goldberg jako jedenastoletniej dziewczynki.

- W moim wieku. - Kiedy to mówiła, brakowało jej tchu i widziałam, że czuje w tym pokoju to samo co ja: oczarowanie. W całym domu, ale w tym pokoju szczególnie. Nawet gdy zaczęłam opowiadać, i to przyciszonym, rytmicznym głosem, jakiego zawsze używała pani Goldberg, Clare nie odrywała wzroku od fotografii.

- Rodzina pani Goldberg mieszkała w Nowym Jorku, ale gdy pani Goldberg miała jedenaście lat, spędzała wakacje w domu cioci i wujka na farmie niedaleko stąd. Jej kuzynka Sarah też miała jedenaście lat i obydwie przyglądały się, jak brat Sarah Albert i jego koledzy grali w baseball. Jeden z chłopców był wyższy od pozostałych i miał poważne, niebieskie oczy. Pani Goldberg nie zwracała jeszcze uwagi na chłopców, ale jego zauważyła. - Zerknęłam na Clare.

- Ja czasem zauważam chłopców - odpowiedziała Clare nieśmiało. - No, może nie chłopców w moim wieku, ale... - Urwała i uśmiechnęła się.

- Hmm - powiedziałam. - Ciekawe, kogo masz na myśli. W każdym razie ten chłopiec też nie był w jej wieku. Miał siedemnaście lat

- Och! - wykrzyknęła Clare, jakby zwrócenie uwagi na siedemnastolatka było bardziej zdumiewające niż na mężczyznę trzydziestoczteroletniego.

- A kiedy ona mu się przyglądała, on stał na polu zewnętrznym, a jej kuzyn Albert odbił piłkę prosto w niego. Wysoki chłopiec nie zdołał jej złapać i uderzyła go w bok głowy.

- Ooooch. - Clare się wzdrygnęła.

- A pani Goldberg nie zdołała się powstrzymać i wybuchnęła śmiechem.

- To straszne.

- Ona też tak uznała. Była przerażona. Podbiegła do miejsca, gdzie chłopiec zwił się na ziemi, uklękła przy nim, przedstawiła się i przeprosiła go. Chłopiec uśmiechnął się leniwie, wyciągnął do niej rękę i powiedział: „Jestem Gordon Goldberg. I przypuszczam, że rzeczywiście wyglądałem zabawnie, padając jak zestrzelona kaczka”. „Bardziej jak zbity kręgiel”, odparła pani Goldberg, a Gordon się roześmiał i zemdlął.

- I zakochali się w sobie.

- Ona się zakochała. On potrzebował na to jeszcze około sześciu lat, ale wtedy wpadł bez reszty. Byli małżeństwem przez ponad trzydzieści lat, aż do jego śmierci.

- A ona nie poślubiła już nikogo innego - uzupełniła z przekonaniem Clare. - Jest tylko jedna prawdziwa miłość dla każdego, prawda? - Kapitalne pytanie. Nadzwyczajne.

- Nie wiem. Może niektórym ludziom pisana jest więcej niż jedna - powiedziałam. Nie powiedziałam natomiast: „Och, niech to będzie prawda, niech to będzie prawda. Jeśli nie, to jestem ugotowana”.

Przez chwilę obie milczałyśmy bez skrępowania, przyglądając się zdjęciom cudzej rodziny. Potem poczułam na sobie spojrzenie Clare i podniosłam wzrok.

- Moja mama wyszła za mąż za mojego tatę - powiedziała z zastanowieniem. - To dziwne, nie? Musieli być w sobie zakochani. A potem mama nie wyszła już za nikogo innego. To znaczy, do tej pory. Ale chyba nie dlatego, że mój ojciec był jej prawdziwą miłością, co?

- Nie wiem - odparłam szczerze. Przypomniałam sobie rudowłosą kobietę z jego pogrzebu. To, że ja nie potrafiłam pokochać Martina, nie oznaczało jeszcze, że nikt nie potrafił.

Clare nic nie odpowiedziała, ale nasze milczenie nie było już takie swobodne, była to raczej cisza zwiastująca nadejście czegoś.

- Widziałam moją mamę. - Nie potrafiłam rozszyfrować wyrazu jej oczu. Miałam wrażenie, że widzi coś, czego nie ma w pokoju. - Pewnej nocy. Wtedy była już chora, jak ją widziałam. Z mężczyzną. Oni... - Wpatrzyła się we mnie, nie mogąc dokończyć. Strach. To właśnie było w jej oczach. Strach i odraza. Musiałam szybko myśleć, żeby zniwelować skutki, jakie spowodowało zobaczenie tego, co zobaczyła. Nie mogłam dopuścić, żeby dorastała z takim nastawieniem wobec seksu.

- Nie wiem, co kierowało twoją mamą, że uprawiała seks z tym mężczyzną. Seks. Wiesz, co to jest, prawda?

- Tak - odparła Clare i z ulgą usłyszałam w jej głosie irytację, że zadaję takie głupie pytanie.

- To, co robili, nie było złe samo w sobie. Jeśli był to wynik choroby twojej mamy, to pewnie nie było to najlepsze, ale też nie gorsze niż kupowanie tych wszystkich książek kucharskich. Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Chyba tak. - I po chwili milczenia: - Ona chyba nie była w nim zakochana. To znaczy, może była, ale nie sądzę.

Wzięłam głęboki oddech.

- Ludzie mają na ten temat różne poglądy, a ty będziesz musiała wyrobić sobie swój. Chcesz wiedzieć, co ja na ten temat myślę?

- Tak.

- Uważam, że nie ma w tym nic złego, jeśli się nie jest zakochanym. Jeśli lubisz tę osobę i jej ufasz, i jeśli sama zdecydowałaś, że chcesz uprawiać z nią seks, to sądzę, że to w porządku. - Nawiasem mówiąc, uważam tak od dawna i nie powiedziałam tego teraz z powodu na wieki nieodwzajemnionej miłości i czekającej mnie prawdopodobnie przyszłości osoby, która do końca życia nie pokocha innego mężczyzny. I powiem jedno: Nawet jeśli czeka mnie życie bez miłości,

to z pewnością nie mam zamiaru zachowywać celibatu. Co to, to nie.

- A czy ty byłaś kiedykolwiek zakochana? - spytała Clare, całkowicie mnie zaskakując. Mam nadzieję, że nie zauważyła mojego zmieszania, chociaż siedziałam tam bez ruchu, mrugając oczami, a gorący rumieniec wpęłał mi na szyję i twarz, więc musiałaby być ślepa jak nietoperz, żeby nie zauważyć.

- Taaa, pewnie - odparłam tak niedbale, że prawie wyziewałam te słowa. Potem jeszcze wzruszyłam jednym ramieniem, uzupełniając tym samym swoją przemianę w karykaturę osoby swobodnej.

- A w kim?

- Och... po prostu w kimś. - Po prostu w kimś? Czy może być bardziej beznadziejna odpowiedź? Chyba nie. Westchnęłam. - W kimś, kto nie odwzajemnia mojej miłości.

- Na pewno się mylisz - odparła natychmiast Clare. - Na pewno odwzajemnia.

- Dziękuję ci, Clare, ale nie, nie, nie. Przede wszystkim jest żonaty. - Przyjrzałam się jej twarzy, czy nie odbije się na niej zrozumienie, ale mnóstwo mężczyzn - może nawet każdy godny miłości mężczyzna na tej planecie, choć gorąco wierzę, że nie - jest żonaty z kimś innym. Odwzajemniła moje spojrzenie, niewinna jak świeżo wyklute pisklą. - A jego uczucia wobec mnie są czysto braterskie. - Dorzuciłam tę uwagę, żeby uwiarygodnić to, co mówię, i dostrzegłam na twarzy Clare dezorientację, ale nie ma mowy, żebym jej wyjaśniała. Ciągnęłam pospiesznie: - I, jakby tego jeszcze było nie dość, nie jestem w jego typie.

- Jak ty mogłabyś nie być w czyimś typie? - spytała Clare, ze szczerym niedowierzaniem, które uznałam za cudowne.

- Brak mi ambicji. - Ale to nie było dokładnie to, o co mi chodziło. - A właściwie brak boskiego natchnienia kierującego moim życiem. Może przejawiam za mało pasji w tym, co robię. Clare się roześmiała. Po chwili spoważniała.

- Przepraszam, ale to zabawne. Ty masz za mało pasji? Ty pasjonujesz się wszystkim! *Opowieścią filadelfijską* i naleśnikami mamy Teo, i panią Goldberg, i wszystkim, co jest na tym strychu, i pizamami, i Waltem Whitmanem. - Znów się roześmiała.

Zawtórowałam jej, choć byłam tak wzruszona, że mogłabym płakać.

- I mną. Nawet mną. Mną się też przejmujesz, prawda? - Och, Clare. Nawet tobą?

- Całym sercem - potwierdziłam.

- Co zamierzasz zrobić z tym wszystkim? - spytała, rozglądając się dookoła.

- Zastanawiałam się nad tym. Chcę, żeby Ruth i Bern, dzieci pani Goldberg, wzięli sobie wszystko, co zechcą. A nawet wszystko, jeśli tego chcą.

- Wiedziałam, że tak powiesz - stwierdziła Clare z satysfakcją.

- Ale najpierw zamierzam przejrzeć to wszystko i skatalogować każdy przedmiot, nawet każdą fotografię. Spiszę też wiążącą się z nim historię, tak jak opowiedziała mi ją pani Goldberg, bo każdy z tych przedmiotów ma znaczenie i swoją historię.

- Więc kiedy będą się zastanawiali, co wziąć, będą wiedzieli, jak ważna jest każda z tych rzeczy. Nie byłoby w porządku, żeby tylko pokazać im przedmioty, prawda?

- Prawda - odparłam, zdumiona, że Clare tak świetnie to zrozumiała. - A cokolwiek postanowią zabrać, historia tej rzeczy pójdzie z nimi.

- Dobry pomysł - podsumowała Clare. Przez chwilę siedziała zamyślona.

- Twoje mieszkanie też jest takie, Cornelio, prawda? Ono naprawdę należy do ciebie. Od razu tak sobie pomyślałam, jak tylko tam trafiłam. Myślałam o tym, jak wszystko starannie wybierasz i że wszystko jest ważne. Ty jesteś zupełnie jak pani Goldberg. - Była to najmiłsza rzecz, jaką ktokolwiek mi powiedział.

Z dużego okna na strychu widziałam błyszczące liście magnolii rosnącej obok domu, teraz jeszcze bez kwiatów przypominających białe miseczki do ryżu, które przyozdobią ją latem. Za nią mogłam dostrzec wspaniałą wiekowy biały dąb, który zrzucał swoje tłuste żołędzie na ogród pani Goldberg i osłaniał go płaszczem cienia.

Jeszcze dalej były inne domy na tej ulicy, ze swoimi kominami, żywopłotami i klombami, a zmierzch zaczynał już otaczać ich dachy. Każdy z tych domów mieścił w sobie codzienność i tajemnicę, każdy chronił w swych murach jakąś rodzinę. A w oddali widoczne było pasmo gór Blue Ridge, otaczające nas wszystkich.

- Cornelia? - odezwała się Clare.

- Myślałam właśnie o tym, jak pani Goldberg opowiedziała wszystkie swoje historie mnie - powiedziałam, a łzy przesłoniły mi oczy. - A ja, jeśli zechcesz, opowiem wszystkie moje tobie.

26. Clare

Bołą cię ręce? - spytała Ellie Clare. Matka Cornelii chciała, żeby Clare zwracała się do niej Ellie, zdrobnieniem od Eleanor. Clare odłożyła ostry sekator, którego przed chwilą używała, zdjęła rękawicę ogrodniczą i zaczęła rozprostowywać i zginać palce, żeby pozbyć się ich przykurczu. Ich sztywność, której nigdy wcześniej nie doświadczyła, sprawiała jej przyjemność.

- Tak - odparła - ale to dobry ból.

Obcinały właśnie motyli krzew w ogrodzie na tyłach domu. Clare potrzebowała nieco

czasu, żeby przyzwyczać się do obcinania i zrozumieć, że nie niszczy rośliny. Wydawało jej się to takie drastyczne - ścinanie łodyg na dwadzieścia centymetrów nad ziemią - i niemiło jej było patrzeć na żalosne patyczki sterczące z łat zimnej ziemi.

- Wiem, że to wygląda okropnie, ale te krzewy kwitną tylko na nowych gałązkach - wyjaśniła jej Ellie. - Wyświadczamy tej roślinie przysługę. I motylom też. Zobaczysz latem. Trudno ci będzie rozpoznać, gdzie się kończą kwiaty, a zaczynają motyle. Kolibry też nam podziękują.

Clare uśmiechnęła się do krzaka, przy którym pracowała.

Mama Cornelia chciała ją tu widzieć z powrotem latem - i nie tylko chciała, ale spodziewała jej się tutaj. Wyobraziła sobie, jak siedzą we dwie na sekwojowej ławeczce na podwórzu, popijają mrożoną herbatę i przyglądają się rojącym się kolibrom przypominającym małe silniczki oraz motylom unoszącym się nad krzewami. Mimo że rozumowo wiedziała, że nie wyrządza krzewom szkody, jej ręce potrzebowały jednak nieco czasu, żeby w to uwierzyć. Wahały się przez chwilę przed obcięciem każdej gałązki.

- Doskonale ci idzie - powiedziała Ellie.

Clare znów uśmiechnęła się do krzaka i spytała ją:

- Czytałaś kiedyś *Tajemniczy ogród*?

- Ojej, niech pomyślę. Z pewnością, ale to było wieki temu. Czy to Ollie uwielbiała tę książkę czy Cornelia?

Nawet rozmawiając, nie przestawała pracować. Clare podziwiała absolutną pewność jej ruchów. Jak Teo, kiedy kroił jarzyny. Zastanawiała się, czy ona kiedyś będzie w czymś taka dobra.

- Założę się, że Cornelia - stwierdziła. - W tej książce jest taki chłopak, Dick, który od razu potrafi rozpoznać, czy roślina jest żywa czy martwa. One wszystkie wyglądają jak martwe, ale on potrafi znaleźć nowe gałązki. Kiedy znajduje żywą, mówi, że jest „ochotna”. On jest jakby czarodziejem, tak myślę.

- Niektórzy ludzie już tacy są, po prostu mają wyczucie. Ale powiem ci, Clare, że ja, zanim się czegoś nauczyłam, przeczytałam najpierw mnóstwo książek i artykułów w czasopiśmie. - Uśmiechnęła się do niej prostokątnym uśmiechem, takim samym jak u Cornelia. - No i zmarnowałam też sporo roślin.

- W domu mamy ogrodnika, pana Fielda, który przychodzi raz w tygodniu. Ale nigdy właściwie nie zwracałam uwagi na to, co robi. - Teraz Clare tego żałowała. - Wydawało mi się, że po prostu wtyka się rośliny w ziemię i one rosną.

- Z niektórymi tak jest - odparła Ellie. Wskazała jej inny rodzaj krzewu. - Ten barwinek w zasadzie sam o siebie dba. Ale gdybym nie przycięła jak należy mojej hortensji - skinęła dłonią w kierunku innej, wysokiej rośliny - to nic by z niej nie było.

- My też mamy hortensje - zawołała z podnieceniem Clare. - To moje ulubione. Strasznie mi się podoba, jak te kwiaty rosną w takich wielkich bukietach. Kolor też mi się podoba. Tak głęboko niebieski, że niemal fioletowy.

- Niebieskie to moje ulubione - przyznała Ellie. - Cóż, kiedy wrócisz do domu, poproś pana Fielda, żeby ci pozwolił pomagać. Moje dzieci nigdy nie interesowały się ogrodem. Może po części dlatego Ollie i Cornelia mieszkają w dużych miastach, żeby nie musiały o nic dbać.

Ellie nie mówiła tego oskarżycielsko ani z rozczarowaniem, tylko całkiem rzeczowo, toteż Clare bardziej do siebie niż do niej mruknęła:

- To chyba nieprawda w odniesieniu do Cornelii. - Natychmiast się zarumieniła. Nie chciała się sprzeczać. - Przepraszam. - Mama Cornelii uśmiechnęła się i machnęła ręką, jakby chciała powiedzieć: „Nie masz za co przeproszać”. - Ale chociaż Cornelia nie ma ogrodu, zawsze dba o rzeczy, dba bardzo starannie. W jej mieszkaniu wszystko jest stare, a dużo tych rzeczy jest też kruchych, przynajmniej mnie się tak wydaje, a ona obchodzi się z nimi bardzo delikatnie. Nawet nie używa zmywarki do naczyń, bo się boi, żeby nie popękały albo żeby z talerzy nie zeszły złote wykończenia. A powierzchnie obrazków odkurza miotełką z piór. I widać choćby po tym, jak bierze te rzeczy do ręki, że je kocha. - Clare zdawała sobie sprawę, że za dużo mówi, ale tak przyjemnie było wypowiedzieć na głos w czyjejs obecności te dobre, prawdziwe słowa o Cornelii, zamiast tylko wpisywać je do dziennika.

Po raz pierwszy, od kiedy zaczęły, Ellie przerwała pracę. Potarła w zamyśleniu podbródek wierzchem dłoni w rękawiczce i spojrzała na Clare.

- Wiesz co? Masz rację. Nigdy tak o tym nie myślałam. Cornelia i ja kochamy zazwyczaj inne rzeczy, ale przyznaję, że ona dba o to, co kocha.

- O ludzi też - mówiła wylewnie dalej Clare. - Jak o mnie. Po tym jak moja mama zniknęła, mój tata przyszedł i mnie zabrał, i zaprowadził mnie do jej kawiarni. A ja nie mogłam się opanować, wybuchnęłam płaczem na środku sali. Cornelia podeszła, objęła mnie i ścisnęła mnie mocno tak długo.

- Twoja mama zniknęła? - Ellie miała zdezorientowaną minę, ale Clare tego nie zauważyła.

- A przecież nawet mnie nie znała - ciągnęła dalej Clare. - Nigdy przedtem mnie nie widziała. A potem się przekonałam, że ona nawet nie wiedziała, że mój tata ma córkę. Ale

zaczęła się mną opiekować, tak jakby to było zupełnie normalne. Założę się, że niewiele osób by to zrobiło.

- Pewnie masz rację - przyznała cicho Ellie. - Cornelia zawsze była dobrą dziewczynką. Dobrą i szczerą. Cieszę się, że odnalazłyście się nawzajem. Czy przedtem było ci bardzo trudno?

Clare zamarła. Cornelia powiedziała Ellie, że mama Clare jest na wycieczce. Jak mogła o tym zapomnieć?

Ale kiedy zwróciła się do Ellie, całe jej zdenerwowanie zniknęło. I zaczęła opowiadać, wyjaśniać wszystko. Dlaczego Cornelia skłamała i jak wygląda prawda. Kiedy już zaczęła, dalej było prosto. Wdech, wydech, przyciąć łodygę, otworzyć i zamknąć sekator, i mówić. Kiedy skończyła, rzuciła spojrzenie na Ellie. Jej wyraz twarzy był czymś pośrednim pomiędzy wściekłością a zmartwieniem. Zupełnie się tego nie spodziewała.

- Tak mi przykro, że musiałaś przejść przez to wszystko. Kiedy twoja matka oddalała się z każdym dniem i w końcu odeszła na dobre - powiedziała Ellie twardym głosem.

- Ale ona nie chciała - odparła Clare pospiesznie. - Ona była chora.

Zauważyła, że zaciśnięte usta Ellie łagodnieją.

- Oczywiście, że była - powiedziała matka Cornellii miłym głosem. - Oczywiście, że tego nie chciała. Ona cię kocha. - Clare poczuła, że lęk, który rodził jej się w piersi, z wolna ustępuje.

- Znałam kogoś, kto był podobnie chory - dodała Ellie szybko. - Chociaż właściwie niezupełnie podobnie. Ona była chora przez bardzo długi czas, przez lata, i nigdy nie zrobiła nic, żeby sobie pomóc. Nic. Poza pić, co oczywiście nic nie dawało.

Clare nie wiedziała, co powiedzieć. Ellie spojrzała na nią, po czym rzuciła sekator i rękawice na ziemię. Oparła ręce na ramionach Clare.

- Och, skarbie, co ja robię? Bardzo cię przepraszam. To stara, bardzo stara historia. - Na jej twarzy malował się wyraz zaskoczenia. - Nie sądziłam, że pozostało we mnie jeszcze tyle gniewu. Chętnie bym się za to kopnęła, że wylewam to wszystko przed tobą.

- Nie szkodzi - zapewniła ją zgodnie z prawdą Clare. Uśmiechnęła się. - Cornelia też mówi do mnie skarbie.

- Wiesz, co myślę - odezwała się Ellie wesoło. - Myślę, że twoja mama robi wszystko, co tylko możliwe, żeby do ciebie wrócić. Na twoim miejscu przestałabym się martwić i dobrze się bawiła, dopóki tu nie dotrze.

Clare rzeczywiście dobrze się bawiła, i to bez poczucia winy, ale nie podzielała pewności Ellie, że mama wróci cała i zdrowa. W niektórych momentach rzeczywiście była tego pewna, ale

częściej odsuwała na bok pytanie, czy i kiedy jej mama wróci. Natomiast uświadomiła sobie, że przez długi czas żyła w strachu, który jak demon uczeplił się jej kurczowo i krzyczał jej do ucha, i w niczym to nie pomogło - nie sprowadziło mamy do domu. Nie chciała stale czuć się chora i zmęczona życiem, a denerwowanie się sprawiało, że tak się właśnie czuła.

W nocy przed przycinaniem krzewów Clare leżała w łóżku, unosząc się tuż na krawędzi snu, i w spokojny, nieco mglisty sposób rozważała, co by się stało, gdyby jej mama jednak nie wróciła. Odpowiedź nasunęła jej się natychmiast, podpłynęła jak dmuchany materac po błękitnej wodzie basenu. Mieszkałabym z Cornelią i Teo, pomyślała. I chociaż kiedy obudziła się następnego ranka, pamiętała to i rozumiała, że to bez sensu, tej nocy właśnie ta myśl poniosła ją bezboleśnie obok demonów prosto w sen.

Dwa dni później Clare siedziała przy stoliku do komputera stojącym w najdalszym kącie sypialni na poddaszu. Była w domu sama, a przynajmniej na tyle sama, na ile to było możliwe w tym domu. Toby i Cam grali na podwórku w grę polegającą na podbijaniu woreczka z fasolą lub piaskiem w taki sposób, żeby nie spadł na ziemię. Z miejsca, gdzie siedziała, było ich widać przez okno. Ale doktor B. (wszyscy nazywali go doktorem B. lub po prostu B., zupełnie jakby nazwisko Brown było zbyt długie, żeby trudzić się jego wymawianiem, co bardzo bawiło Clare) był w swoim gabinecie, a Ellie robiła zakupy spożywcze - „na rynku”, jak powiedziała.

Cornelia przebywała znów w domu pani Goldberg, gdzie Clare też była jeszcze przed piętnastoma minutami. Podobnie jak przez parę poprzednich dni katalogowały przedmioty, a Cornelia zapisywała ich historie na swoim laptopie. Clare uwielbiała ten strych, wypełniony historyjkami unoszącymi się w zalanym słońcem powietrzu jak mgiełka, i lubiła też spokój towarzyszący przebywaniu tu z Cornelią, ich rozmowy lub po prostu słuchanie, jak zwinne palce Cornellii wysyłają błyskawiczne serie stuków, gdy pisała.

Dzisiaj Clare wyszła wcześniej, mówiąc, że idzie z Ellie do jej fryzjera, żeby obciąć włosy.

- Ooo - powiedziała Cornelia. - Tylko nie daj się namówić na nic drastycznego. Żadnych irokezów czy czerwonych pasemek, dobrze?

Jednak Clare wiedziała, że Ellie nie będzie jeszcze w domu, że umówione są w salonie na później. Siedziała sztywno wyprostowana przed komputerem i wpatrywała się z napięciem w ekran. O tej porze dnia w pokoju było szarawo, ale nie zapaliła świateł. W tym półmroku komputer jaśniał światłem, które wydawało jej się w jakimś sensie niebezpieczne, jak promieniowanie radioaktywne, chociaż wiedziała, że to głupie.

- Po prostu to zrób! - syknęła do siebie. - Zrób to!

I zrobiła. Kiedy skończyła, wzięła czarny długopis i z wypraktykowaną już wprawą sfalszowała podpis matki. Potem wydrukowała adres na kopercie, którą wyjęła z pudełka w biurku na dole, nakleiła znaczek, złożyła na trzy części podpisaną przed chwilą kartkę i wsunęła ją do środka. Trzymając kopertę, gotowa już, żeby ją polizać i zakleić, zatrzymała się. Znowu zabrała się do zaklejania i znów przerwała. Wtedy mruknęła z rozdrażnieniem, podniosła się i wcisnęła kopertę pod poduszkę pościelonego łóżka.

Kilka godzin później dostrzegła Cornelie idącą przez trawnik, z laptopem w czerwonej teczce kołyszącym jej się w dłoni, i wybiegła jej na spotkanie, trzymając kopertę w dłoni.

- No proszę, co my tu widzimy - zawołała Cornelia radośnie. - Odwróć się!

Kasztanowe włosy Clare kończyły się jakieś pięć centymetrów nad ramieniem. Tył był ścięty nieco krócej, tak że dwa ostro zakończone skrzydła włosów spadały do przodu.

- Jest cudownie! Idealnie! - piała Cornelia.

- A zobacz to - powiedziała Clare radośnie i potrząsnęła silnie głową z boku na bok.

Kiedy skończyła, włosy powróciły dokładnie na swoje miejsce.

- Wspaniale - stwierdziła Cornelia. - Zupełnie jak Vidal Sassoon.

Clare o mało nie spytała, co to znaczy, ale nie chciała się rozpraszać. Miała sprawę do załatwienia, a jeśli nie zrobi tego teraz, to może się okazać, że wcale się na to nie zdobędzie.

Wręczyła Cornelii trzymaną w ręku kopertę.

- Niewiele brakowało, żebym to wysłała, nie pokazując ci - powiedziała ponuro. - Ale nie mogłam. To jak wtedy, gdy zawołaliście mnie z Teo, żeby razem porozmawiać. Powinniśmy razem podejmować decyzje.

Cornelia uniosła brwi, po czym wyjęła list i przeczytała.

- Och, Clare - powiedziała tylko.

- Zostały nam zaledwie dwa dni - wyjaśniła Clare.

- A ty nie jesteś gotowa, żeby wracać - westchnęła Cornelia. Trąciła włosy Clare, tak że się rozhuśtały.

- Ludzie przez cały czas wracają później z wakacji. Naprawdę. A tylko jeżdżą na nartach albo robią coś równie głupiego.

- Niech tylko Toby i Cam cię nie usłyszą - odparła Cornelia ze zmęczonym uśmiechem. - Jazda na nartach to ich religia. Sądzą, że jeśli jesteś dobrym chłopcem, to po śmierci idziesz do Courchevel.

- A cóż to takiego?

- Jakiś głupi ośrodek narciarski we Francji.

- Rozmawiamy teraz o jeźdźeniu na nartach? - spytała Clare z nadzieją.

- Nie, raczej nie. Prawdę mówiąc, ja też nie czuję się jeszcze gotowa do wyjazdu. I dlatego to takie trudne. - Kiedy mówiła „to”, pomachała listem trzymanym w dłoni.

- Co masz na myśli?

- Chodzi mi o to, że muszę odsunąć na bok to, czego ja chcę, i zastanowić się, co będzie rzeczywiście dobre. Dla ciebie.

- Ale ja nie mogę - powiedziała Clare trzęsącym się głosem. - Nie mogę jeszcze wracać. Po prostu nie mogę. Nawet sobie tego nie potrafię wyobrazić.

- Clare, ten list da ci tylko tydzień - zauważyła Cornelia. W jej oczach malowała się troska.

- Wiem - odparła szybko Clare. - Wiem i obiecuję, że wtedy wrócimy. Będę gotowa.

Cornelia wpatrzyła się ciężkim wzrokiem w kopertę, potem wbiła spojrzenie w ziemię. Clare czekała.

- Jeśli tak bardzo tego potrzebujesz, skarbie, to w porządku. Jeszcze jeden tydzień.

Clare objęła ją i pocałowała w policzek. Super, pomyślała, już wkrótce będę wyższa od Corneli.

- Jest coś jeszcze - przypomniała sobie nagle. Chciała być z Cornelią całkiem uczciwa. - To ważne.

- Co takiego?

- Przedwczoraj, kiedy przycinałyśmy krzewy, zrobiłam głupstwo. Powiedziałam twojej mamie o mojej, jak była chora i odeszła. Wszystko.

- Żartujesz sobie! - Cornelia nie była wściekła, tylko wstrząśnięta.

- Nie wściekasz się?

- O nie, skarbie. To była twoja tajemnica. Po prostu nie mogę uwierzyć, że moja mama milczy na ten temat aż od dwóch dni. Przysięgłabym, że natychmiast wezwie Gwardię Narodową, żeby znaleźli twoją mamę. To ciekawe. - Wyglądało na to, że nie może wyjść ze zdumienia.

Potem powiedziała: - No dobrze. Nie będę poruszać tego tematu, chyba że ona zacznie.

- W takim razie wysyłamy to? - Clare dotknęła listu jednym palcem.

- Na końcu ulicy jest skrzynka. Pójdźmy tam razem, i to teraz.

Ruszyły, ale po chwili Cornelia się zatrzymała. A wtedy wydawało się, że wszystko się zatrzymało, jakby wieczór stanął na palcach, a drzewa znieruchomiały i nasłuchiwały.

- Jesteś taką dzielną dziewczynką, Clare, wiesz o tym? Kocham to w tobie. - Opuściła na moment wzrok i spojrzała na jej dłoń. Ujęła ją i uściśniła. Kiedy ponownie podniosła głowę,

wyraz jej twarzy był jednocześnie szczęśliwy i smutny, jakby w stanie zawieszenia pomiędzy jednym i drugim, odpowiedni na tę porę, zawieszoną pomiędzy dniem a nocą. - Kocham cię - powiedziała. - Powinnaś to wiedzieć.

W tej chwili Clare zupełnie nie czuła się dziewczynką objającą się o ściany wywróconego do góry nogami życia. Pod szaroniebieskim niebem z rozrzuconymi na nim pierwszymi gwiazdami czuła, że ma szczęście, i cieszyła się, że jest sobą. Słowa już czekały na nią na swoim miejscu.

- Ja też cię kocham - powiedziała.

27. Cornelia

Czasem dom może stać latami, rozpaczliwie potrzebując jakiegoś wstrząsu, a potem ni stąd, ni zowąd pojawia się lekki podmuch i niespodziewanie zrywa mu dach, który odfruwa, wirując, i staje się najpierw czarną plamką, a potem znika w błękicie nieba, jakby go nigdy nie było. A ludzie w środku? Co robią po takim wstrząsie? Zapewne to zależy od domu, ale kiedy dom należy do Brownów, a podmucha jest kartka bożonarodzeniowa wielkości dłoni, zachowują się następująco:

- Jezu Chryste - zaczął zawodzić mój ojciec, przemierzając kuchnię niemal ze łzami w oczach, a dla niego „Jezu Chryste” to już granica. „Jezu Chryste” jednego człowieka jest „Do kurwy nędzy” drugiego, a mój ojciec należał do tych pierwszych. - Jezu Chryste! To zabije Rudy'ego. Mówię wam. To go zabije.

- To wyłącznie jej wina - wściekał się Toby, uderzając pięścią w piłkę futbolową, którą trzymał w drugiej ręce. - Jej się wydaje, że może po prostu zmienić zdanie. „Och, zmieniłam zdanie. Pa, pa”.

Cam wsunął sobie do ust ciasto wielkości deserowego talerzyka i wybełkotał, rozpryskując okruchy:

- Ona jest kobietą! Czego można się spodziewać!

Kobiety są tak kurewsko... kapryśne. - Muszę powiedzieć, że to zrobiło na mnie wrażenie, i to podwójne. Po pierwsze ze względu na przeklinanie w obecności obojga rodziców, a po drugie z powodu słowa „kapryśne”, o którego znajomość nigdy bym go nie posądzała. To tylko świadczy, jak bardzo został wyprowadzony z równowagi, skoro cofnął się o jakieś dziesięć lat, do słownictwa wymaganego na licealnych egzaminach końcowych SAT. Wyrazy uznania dla kursów przygotowawczych!

Clare siedziała przy stole i również podjadała, ale wcale nie wyglądała na miłą dziewczynkę żującą ciasteczko, tylko raczej na przysłowiowego kota zatapiającego kły w przysłowiowym kanarku. Uosobienie samozadowolenia. Wydaje mi się, że widziałam nawet, jak się potem oblizuje.

Przez wiele godzin pracowałam na strychu pani Goldberg, a potem zupełnie niespodziewanie wkroczyłam w to szaleństwo. Zwróciłam się do jedynej osoby w pokoju, która sprawiała wrażenie, że funkcjonuje mniej więcej normalnie. Wprawdzie ścięgna w jej szyi były nieco zbyt mocno naciągnięte, ale poza tym wyglądało, że jest równie spokojna i opanowana jak zawsze.

- Mamo, co tu się dzieje, na miłość boską? - spytałam, a ona miała jeszcze na tyle przytomności umysłu, żeby rzucić mi karcące spojrzenie, tak jakby w porównaniu z „Jezusem Chrystusem” i „kurewsko” wzywianie imienia Bożego nie straciło na znaczeniu. Mimo wszystko uznałam to za dobry znak.

Wręczyła mi kartkę w kopercie, kartkę świąteczną opóźnioną niemal o trzy tygodnie. Kartkę od mojej siostry Ollie. To spóźnienie nie było niczym zaskakującym.

Dziwne było to, że w ogóle wysłała kartkę. Ale żeby być sprawiedliwym, tej kartce można było wybaczyć, że przyszła tak późno. Wysłano ją z Wysp Galapagos.

- Efekt Westermarcka - powiedział posepnie Teo.

Jak tylko odzyskałam normalny oddech, natychmiast do niego zadzwoniłam. Właśnie efektem Westermarcka wyjaśniła mu Ollie swoje odejście, wyjaśniła mu osobiście, co było bardzo przyzwoite z jej strony, bo znacznie bardziej w jej stylu byłoby zostawienie mu listu, czego dowodem jest kartka przysłana rodzinie. Jednak dała mu tylko dwudziestoczworogodzinne wymówienie, po którym wsiadła do samolotu, a to już wydało mi się mniej uczciwe. Ale kimże ja jestem, by osądzać?

Zastanowiłam się przez chwilę.

- A tak, chodzi o to, że motyl machający skrzydełkami w jednym kraju może wywołać tornado w drugiej części świata - powiedziałam.

- To jest efekt motyla - poprawił mnie Teo, a w jego głosie słychać było uśmiech, co sprawiło mi wielką ulgę, chociaż z drugiej strony rozczarowało mnie, że muszę odłożyć na bok obraz nieostrożnego motyla w Pekinie - bez szczególnego powodu wyobraziłam sobie pazia królowej - który machając skrzydełkami, powoduje na Brooklynie potężną wicherę, wywiewającą Ollie z drzwi jej mieszkania prosto w muskularne ramiona Edmunda Battle'a. Pomyślałam o zgiełku i dezorientacji, jakie przed chwilą zostawiłam na dole. To rzeczywiście teoria chaosu.

- Efekt Westermarcka to wrodzony mechanizm, który wszyscy mamy, chroniący nas przez zawieraniem małżeństw z rodzeństwem.

- No, ale ty i Ollie nie jesteście przecież rodzeństwem, co? - Nagle wszystko wydało mi się możliwe.

- Nie, Cornelio, nie jesteśmy. - Jego głos był suchy jak pył. - Ale zgodnie z tą teorią, ponieważ większość mężczyzn i kobiet dorastających razem jest rodzeństwem, mężczyźni i kobiety spędzający razem dzieciństwo nie pociągają się nawzajem seksualnie. To instynkt.

Nie, z całą pewnością nie, miałam ochotę wrzasnąć. Niech będzie przeklęty doktor Westermarck i jego naukowe pomysły! Wyobraziłam sobie, jak wmaszerowuję do jakiegoś tam laboratorium, za mną idzie Teo, i przedstawiam się jako żywy dowód nieprawdziwości tej poronionej teorii. „Patrzcie!”, krzyknęłabym triumfalnie, „Nie mogę utrzymać rąk z dala od niego!” A sama myśl o moich rękach na jego ciele wywołała u mnie gorący rumieniec na twarzy i utrudniła mi oddychanie, bo nie wiem, czy już o tym wspominałam, ale oprócz tego, że kochałam Teo, praktycznie promieniowałam radioaktywnie z pożądania do niego i groził mi samozapłon i wysłanie w powietrze własnego malutkiego grzyba atomowego na sam dźwięk jego głosu.

- Wierzysz w to? - spytałam jak najbardziej poważnie. Na drugim końcu nastąpiła długa chwila milczenia. Niemal skoczyłam na główkę w tę pauzę z wywodem na temat niedorzecznego kłębowa złośliwego słowotoku Westermarcka, tego nic nie wiedzącego sukinsyna, tego podłego oszusta i jego bzdurnego efektu, ale się powstrzymałam.

- Wierzę w to, że byłem przeklętym idiotą, żeniąc się z kobietą, której nie kochałem. - Głos Teo był tak płaski, tak przybity, że nawet nie odczułam radości, słysząc, co mówi. Poza tym, jeśli ma trochę rozumu, a ma go mnóstwo, to ostatnią rzeczą, którą by zrobił, byłoby ponowne startowanie do kogoś z rodziny Brownów. Niezależnie od efektu Westermarcka, po co ktoś miałby tak ryzykować? Kiedy tak siedzieliśmy, każde osobno pogrążone w swoim nieszczęściu, zaczęłam rozważać coś, co mi po raz pierwszy przyszło do głowy. Skoro Ollie odeszła wiele tygodni temu, to znaczy, że Teo, to uosobienie uczciwości, również od tygodni żył w kłamstwie, i to obok mnie, mnie i Clare też. Kiedy gotował w moim mieszkaniu, rozmawiał ze mną na ogrodowych fotelach na podwórzu domu Clare i jechał z nami samochodem, jego kłamstwo było z nami przez cały czas, jak dodatkowa osoba, obcy, którego nie widziałyśmy. Na tę myśl aż się wzdrygnęłam, ale postanowiłam nie dobijać go pytaniem „Dlaczego mi nie powiedziałeś?” Ta rozmowa będzie dotyczyć cierpienia Teo, nie mojego.

- Cornelio, chciałem ci powiedzieć - odezwał się w końcu Teo. - Specjalnie po to przyjechałem wtedy do kawiarni.

- W porządku - odparłam. - Daj sobie spokój z wyjaśnieniami.

- Ale kiedy do ciebie przyjechałem, tyle się działo. Clare i Martin. A potem ten wypadek. Jak mogłem zwracać ci głowę moim banalnym, głupim... gównem? - Jeśli Teo, który w normalnych okolicznościach nigdy nie podważałby wagi czegoś choćby odrobinę znaczącego, mówił teraz o rozpadzie swojego małżeństwa „gówno”, to naprawdę musiało być z nim źle.

- Och, Teo - westchnęłam.

- Ale myślę, że to tylko wymówka. Znalazłabyś miejsce dla moich bzdurnych informacji. Wiem o tym. Wiem, że byś mnie wysłuchała.

- Wysłuchałabym. Teraz też słucham. - Teraz i przez resztę mojego życia, wszystkiego, co będziesz miał do powiedzenia. Możesz mnie sprawdzić.

- Wiem. Zapomnij o tym, co mówiłem o niezawracaniu ci głowy. To brzmi... no, nie wiem... szlachetnie. A ja nie byłem szlachetny. - Niemal wypluł słowo „szlachetny”. W jego głosie brzmiała taka pogarda dla siebie, że ledwo mogłam tego słuchać. - Prawdę mówiąc, chętnie zająłem się cierpieniami innych ludzi. Pamiętasz, jak mi powiedziałaś, że łatwo mi było się pojawić i stać się bohaterem dla Clare?

- Teo - odparłam zaniepokojona - wiesz, że wcale tak nie myślałam.

- Nie myślałaś, ale miałaś rację. Łatwo było w to wkroczyć i mieć poczucie, że mogę pomóc, że potrafię coś naprawić. Miałem już tak dość siebie i Ollie. Niedobrze mi się robiło od tego wszystkiego. W tym nie mogłem niczego naprawić - wydał gorzki dźwięk - i nic nie było warte naprawiania.

- A co teraz będzie? - Wiem, byłoby uprzejmiej pozwolić jemu pokierować rozmową, ale nie mogłam się opanować.

- Rozwód - odparł ponuro. - A to nie pestka w Nowym Jorku. Nie ma mowy, żeby się tu rozwieść bez orzekania o winie. Albo ja będę musiał opowiedzieć okropne rzeczy o Ollie, albo ona o mnie, a wtedy wszystko szybko się skończy. Tego chce Ollie. Albo... - Teo jakby się poddał, zbyt zmęczony, żeby mówić dalej, ale ja nie dam się zniechęcić.

- Albo?

- Albo przeprowadzimy separację, będziemy mieszkać osobno przez rok, a wtedy pod koniec tego roku nasza separacja spokojnie stanie się rozwodem.

- I ty chcesz wybrać to rozwiązanie, tak? - Oczywiście. Ta jego cholerna, cholerna prawość. Jezu, Teo.

- Nie wyobrażam sobie, żebyśmy mieli się obwiniać nawzajem. I to wszystko będzie w aktach. To był nasz wspólny błąd.

- A jak do tego doszło? Mogę o to spytać? Jak to się stało, że się pobraliście? - Bo skoro już zamierzasz się zachowywać jak bezwzględny dziennikarz śledczy, taki, którego ludzie nazywają nieustraszonym, choć w istocie myślą, że jest obmierzły, to możesz równie dobrze zrobić wszystko, co się z tym wiąże.

- Krótco po tym, jak Edmund odszedł, wpadliśmy z Ollie na siebie w centrum. Zналиśmy się od wieków. Lubiliśmy się nawzajem. Nigdy nie udawaliśmy, że jesteśmy w sobie zakochani. Ollie miała właśnie za sobą prawdziwą miłość, a przynajmniej tak sądziła.

- A co z tobą. Czy twoja prawdziwa miłość też się skończyła? - Boże, byłam bezlitosna. Ale musiałam wiedzieć.

- Nie, niezupełnie. Ale byłem już raczej pewien, że nie... zdarzy mi się już związek z właściwą kobietą, to znaczy, prawdziwy związek. I wzbierało we mnie obrzydzenie do osoby, którą się stawałem w efekcie „niezobowiązujących związków”. - Cudzysłów obejmujący te słowa wprost syczał rozgoryczeniem, wyraźnie go słyszałam. Czułam też, że te randki, to zabawianie się, ta gra na kilka frontów były eufemizmami dla jednej z najbardziej makiawelicznych gier, jakie kiedykolwiek wymyślono. W takiej grze żadna dusza nie była bezpieczna. A potem Teo dodał: - I byłem już chory od ciągłego kontaktu z chorymi ludźmi.

Przerwał, jak dziecko, które właśnie powiedziało coś okropnego i czeka, aż ktoś zacznie na nie krzyżeć. Ja nie krzyżałam. Kiedy znów się odezwał, jego głos był spokojniejszy.

- Ollie powiedziała, że ludzie stale się pobierają z miłości, a i tak nic im z tego nie wychodzi. Pomyśleliśmy, że może warto spróbować, że może miłość przyjdzie później. Ollie powołała się na przykład tych wszystkich krajów, gdzie małżeństwa są aranżowane i doskonale się to sprawdza.

Musiałam się uśmiechnąć, słysząc: „powołała się”. Ollie jednak zawsze i wszędzie zostanie Ollie.

- Wchodziliście w to w duchu przygody - wtrąciłam pokrzepiająco. I nawet potrafiłam sobie wyobrazić, jak to się stało, jak dali się na to złapać. A co tam, zrobmy to! Ptaki to robią, pszczoły to robią, a nawet tresowane pchły. Potrafiłam sobie wyobrazić pragnienie, żeby stać się częścią życia z całym jego łączeniem się w pary i ciągłością. Prawdę mówiąc, ostatnio stałam się niemal ekspertem od takich pragnień.

- W każdym razie jestem cholernie pewien, że nigdy już nie zrobię czegoś takiego - warknął. - Tak sobie powiedzieliśmy, że to przygoda. Ale w rzeczywistości byliśmy po prostu lekkomyślni. I bardzo dokładni. Udało nam się zranić dosłownie każdego, kto się o nas troszczy. Chyba nikogo nie przeoczyliśmy. - Przerwał, po czym dodał z lodowatym zdecydowaniem w

głosie: - W każdym razie odtąd koniec z podejmowaniem ryzyka.

Na tę deklarację moje zbolełe serce zamarło, bo jeśli chodzi o ryzyko, to Cornelia Brown niewątpliwie nim była, ponieważ, ponieważ, ponieważ, ponieważ.

Siostra Ollie. Koleżanka z dzieciństwa. Jeśli skończył z ryzykowaniem, to dla mnie nie było już żadnej szansy.

Jak tylko się rozłączyliśmy, natychmiast sobie o czymś przypomniałam. W chwilę później zadzwoniłam do niego ponownie.

- Cornelia - powiedział, jak tylko podniósł słuchawkę, chociaż wiedziałam, że nie ma przy telefonie ekraniku wyświetlającego, kto dzwoni. Obydwoje nie znosiliśmy takich ekraników. On uważał, że naruszają ludzką prywatność. Co, jeśli ktoś wybrał numer, żeby zadzwonić, a potem zmienił zdanie? Ja po prostu nimi gardziłam, jako jeszcze jednym sposobem odzierania życia z tajemniczości.

- Teo - zaczęłam i natychmiast poczułam niesamowite skrępowanie. - Ja tylko... hmmm... zastanawiałam się... ja... - Warknęłam na siebie w duchu i zaczęłam od nowa. - Dlaczego powiedziałaś, że przyjechałaś do Filadelfii, żeby powiedzieć mi o sobie i Ollie. Dlaczego? Dlaczego akurat mnie i nikomu innemu? - Zapewne rozumiecie, dlaczego musiałam o to spytać, dlaczego nie miałam wyboru. Co wy byście na moim miejscu zrobili?

- Bo jesteś moją... - O Boże, czym? Moje serce zaklinało się w tylnej części gardła i waliło tam, nie chcąc się wynieść. - Moją parą przenikliwych oczu.

Och.

Zastanowiłam się. Para przenikliwych oczu to nie to samo co „osoba najdroższa sercu”, ale zawsze coś.

- Jesteś jak rezonans magnetyczny, wiesz? Ja tak jakoś się zagubiłem, ugrzązłem w tym wszystkim. Chciałem, żebyś mi pomogła to zrozumieć, żebyś mi powiedziała, jak wielkie albo niewielkie są szkody.

- Och - powiedziałam. - W porządku. Roześmiał się.

- Będę szczery. Tak naprawdę, to chciałem, żebyś spojrzała na to i powiedziała, że nie jest tak źle.

Wzięłam głęboki oddech. Nawet jeśli to przegrana sprawa, wykonam swój ruch.

- A chcesz wiedzieć, co widzę teraz?

- Rozmawiamy przez telefon, Cornelio.

- Wiem. Ale po prostu jestem aż tak dobra. Widzę cię, chociaż cię tu nie ma. - Za każdym rogiem i za każdym razem, gdy zamknę oczy, Teo.

- No i co teraz widzisz?
- Siniaki. Dość paskudne, ale widywałam gorsze. I wiesz, co jeszcze?
- Co jeszcze?
- Widzę mężczyznę, który ma jeszcze odrobinę woli do podejmowania ryzyka.

Mężczyznę, który powinien zachować wiarę.

Chwila ciszy.

- Dobranoc, Cornelio - powiedział Teo swoim normalnym głosem.

Tylko tyle. Nic więcej.

- Dobranoc.

Dobranoc, słodki Teo, dobranoc, dobranoc. Żegnaj.

Jak się wali, to się wali. Praktyczne, przydatne powiedzenie, a lada moment świeżo pozbawiony dachu dom Brownów miał się zacząć walić dalej, zasypując nas wszystkich pyłem.

Tego wieczoru moja mama zabrała ze sobą Clare i poszła do Sandovalów. Przypuszczam, że w misji dyplomatycznej, chociaż moim zdaniem nie było to potrzebne. W końcu cywilizowani ludzie nie obwiniają rodziców o zachowania ich córki, choćby były nieodpowiedzialne i grzeszne, a Sandovalowie niewątpliwie są jak najbardziej cywilizowani. A Teo niewątpliwie czym prędzej do nich zadzwonił, żeby ich powiadomić, że niezależnie od przepisów prawnych Nowego Jorku, rozejście jego i Ollie jest oczywistym przypadkiem sprawy bez orzekania o winie, co kiedy się zastanowić, w rzeczywistości oznacza, że obydwójce ponoszą winę, czyli Ollie można choćby częściowo usprawiedliwić. Poza tym, co nawet ważniejsze, Ingrid i Rudy kochają Ellie i B., a Ellie i B. odwzajemniają tę miłość.

Mama wróciła do domu mniej więcej po godzinie, ale Clare została u Sandovalów na kolacji.

- Clare zaczęła opowiadać o szwedzkich naleśnikach takim tonem, jakim ludzie zazwyczaj mówią o Mount Evereście albo podboju Księżycy, więc zanim skończyła, Ingrid już odmierzała mąkę - wyjaśniła mama. Potem podeszła do miejsca, gdzie siedziałam, i najpierw dotknęła rękawa mojego swetra, a potem otoczyła palcami mój nadgarstek. Uśmiechnęła się do mnie. - To miła dziewczynka, kochanie. I wielbi ziemię, po której stąpasz.

- To jest wzajemne - odparłam.

- Tak, zauważyłam - powiedziała mama. Puściła mój nadgarstek, uśmiechnęła się ponownie i odeszła wykonać tę czy inną pracę, wyładować swą wściekłość i zdenerwowanie sprawą Ollie i Teo w trzepaniu dywanów, zmianie pościeli czy zeskrobywaniu nie istniejącej pleśni z kafelków w łazience. Gdyby nie to, że lada moment miało być już całkiem ciemno, z

pewnością wyszłaby do ogrodu i katowała jakąś roślinkę, żeby ją zmusić do dobrego zachowania, do obsypania się w przyszłości zapierającym dech w piersi kwieciem.

Nie należę do osób, które w chwilach stresu mają zwyczaj siedzieć i rozmyślać, ani też nie wycinam wtedy niewinnych krzewów, natomiast chętnie analizuję problemy poprzez ich omawianie, jak może zauważyliście, i właśnie to bym zrobiła, gdybym miała gdzieś w pobliżu odpowiedniego słuchacza. Linny. Potrzebna mi była Linny. Mogłam do niej zadzwonić, ale jest ona osobą, która połowę tego, co sądzi, przekazuje przez skrzywienie ust, ruchy palców, wzruszenia ramion i niemal niezauważalne rozszerzanie i zwężanie bystrych, jakże bystrych, oczu. Chciałam, żeby była przy mnie osobiście albo wcale, a poza tym nawet ja mogę sobie od czasu do czasu poradzić dzięki krótkim sesjom spokojnej kontemplacji. Chociaż w tym wypadku ten spokój był nieco wymuszony, czyli zapewne to nie był spokój.

Kiedy mama wyszła, siedziałam i rozmyślałam. Myślałam o Teo, o tym, że wydaje mi się na zawsze stracony - chyba. *Piszę piosenki o miłości, ale nie dla mnie.* Tego rodzaju rzeczy przemykały mi przez głowę. Jednak głównie myślałam o Clare, o tym, co należy zrobić, żeby to było dobre dla niej i dla mnie. Moja matka była w zarządzie prywatnej szkoły, do której wszyscy chodziliśmy, więc mimo że był to środek roku, zapewne mogłaby porozmawiać, z kim trzeba, i umieścić w niej Clare. Pieniądzy Clare nie brakowało, bo Martin zostawił jej wszystko, co mnie zaskoczyło, choć nie powinno. Martin nie dostrzegał mnóstwa ważnych rzeczy, ale kiedy już wiedział, jak należy postąpić, na ogół to robił. Byłam pewna, że jego prawnik, Woods Rawlings, wypłaciłby Clare pieniądze, gdyby ich potrzebowała. Miałam jednak nadzieję, że do tego nie dojdzie. Zamierzałam znaleźć sobie pracę, coś porządnego, i być może podjąć studia podyplomowe.

Co prawda nadal tak samo daleko byłam od rozwiązania kwestii, co chciałabym robić w życiu, poza tym, że pragnęłam wychowywać Clare - co było ważną wiedzą - oraz że chciałabym się zestarzeć przy Teo, co nie było mi pisane. Zastanowiłam się jednak nad tym, co Ollie mówiła o małżeństwie, że można je zawrzeć, a później nauczyć się kochać. Oczywiście była to kompletna bzdura, ale być może taką filozofię dałoby się lepiej zastosować do pracy zawodowej. Umiem dobrze czytać, pisać i mówić. Może podjąć pracę w bibliotece, szpitalu, muzeum lub firmie prawniczej, a potem szczerze i mocno starać się ją pokochać albo choćby polubić?

Wyczarowałam sobie właśnie w myślach godny Goi obraz swojej pracy w firmie prawniczej i byłam w trakcie wykreślania firm prawniczych ze swojej listy grubym czarnym mazakiem, który noszę w głowie na takie właśnie okazje, kiedy usłyszałam samochód toczący się po podjeździe. Pewnie Cam i Toby, wracający z jakiegoś filmu dla dwudziestokilkulatków, w

którym próbowali, niewątpliwie z powodzeniem, utopić swoje kłopoty. Sprawiedliwie trzeba przyznać, że rzeczywiście odczuli boleśnie problemy Teo, a że kochali też Ollie, wbrew obowiązkowemu pokazowi męskiej lojalności w kuchni, nie bardzo wiedzieli, co ze sobą zrobić. Jednak w końcu nic im nie będzie, bo obaj potrafili się gniewać czy martwić tylko dopóty, dopóki ich uwagi nie odwróciła piłka nożna albo ładna dziewczyna, albo film z kosmitami i pościgami samochodowymi. Wcale nie jestem złośliwa. Moi młodszy bracia są po prostu niezwykle odporni. Świat potrzebuje swoich Camów i Tobych, a ja potrzebuję swoich.

Odezwał się dzwonek u drzwi frontowych. To jednak nie byli oni. Otworzyłam drzwi i zobaczyłam za nimi kobietę, bardzo chudą kobietę w pięknym płaszczu z wielbłądziej wełny, który był na nią o wiele za duży. W światłach werandy kolor płaszcza był niemal idealnie taki jak włosów.

- Tak? - spytałam.

A ona głęboko wciągnęła powietrze, jakby za chwilę miała zanurkować, szczęki jej się zacisnęły i w oczach pojawił się twardy wyraz. Zrozumiałam, że zbiera siły, i zanim cokolwiek powiedziała, już wiedziałam, kim jest. Pod tą napiętą twarzą z ostro zarysowanymi kośćmi policzkowymi, ze ściągniętymi butnie ustami pokrytymi czerwoną szminką dostrzegłam inną, delikatnie piękną twarz rozświetloną miłością - twarz matki z fotografii, przyglądającej się dziewczynce obserwującej motyla.

Moja mama podeszła i stanęła za mną. Nagle poczułam zawroty głowy i falę gorąca. Bez namysłu chwyciłam dłoń matki między obie swoje i mocno się jej przytrzymałam.

- Cornelio, skarbie. - Matka, zaskoczona, spojrzała ponad moim ramieniem. - Kto to jest, Cornelio? - spytała.

- Viviana - odpowiedziałam ochryple. - Matka Clare.

Ku mojemu zdumieniu ciało mojej matki zeszywniało, a kiedy się odezwała, jej głos - głos kobiety, której naczelną zasadą brzmiała: „Każdy, kto przychodzi do naszych drzwi, jest naszym gościem”, która zawsze pytała kuriera UPS, czy jadł już lunch i jak mu smakowała kawa - jej głos był zimny i ostry jak sople lodu.

- Mam nadzieję, że nie myśli pani, że może po prostu ją spakować i zabrać do domu. Musi pani zdawać sobie sprawę, że nie będzie to takie proste.

Stałam tam przerażona, nie mogąc wykrztusić słowa. Odruchowo podniosłam rękę, jakbym chciała dotknąć Viviany. Ręka na kilka sekund zawisła w powietrzu, zanim ją opuściłam, ale ona nawet tego nie zauważyła. Jej oczy, dwie szare studnie smutku, z których zniknęła cała twardość, wpatrzone były w moją matkę.

- Nic. - Jej głos był najbardziej łamiącym się i samotnym głosem, jaki kiedykolwiek słyszałam. - Nic nie jest proste.

28. Clare

W okolicy, gdzie Clare mieszkała z mamą, domy były jak tajemnice, położone daleko jeden od drugiego, każdy z długim podjazdem i zasłoną drzew. Podobało jej się to, ta rozległa przestrzeń trawnika i otaczające go ze wszystkich stron drzewa. Zupełnie jakbym mieszkała w koszyku, myślała sobie. Chcąc dostać się z jednego domu do drugiego, należało iść na skróty wśród grup drzew i krzewów, bo główna droga, która je wszystkie łączyła, była wąska, kręta i nie miała chodnika. Ludzie czasem nią chodzili lub jeździli rowerami, ale mama Clare rzadko jej na to pozwalała, a sama Clare, choć czasem wybłagiwała pozwolenie, zbyt dobrze zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa, żeby naprawdę czerpać z tego przyjemność. A już z pewnością nigdy nie chodziła tamtą drogą po zmroku.

Jednak teraz, idąc od Sandovalów do domu Brownów, wcale nie czuła strachu. Na ulicy paliły się latarnie, a każdy z domów był skąpany w łagodnym świetle pochodzącym z lamp na werandzie, na podjeździe i niewielkich lamp ogrodowych ukrytych w krzewach. Nie potrzebowała nawet latarki, którą dała jej Ingrid, chociaż za nic by jej nie wyłączyła. - Tak zawsze robiliśmy, kiedy Cornelia lub któreś z pozostałych dzieci wracało do domu po zmroku - wyjaśniła jej Ingrid swoim niezwykłym głosem. - Brownowie robili to samo dla naszych dzieciaków i w ten sposób latarki wędrowały w tę i z powrotem przez całe lata. Boże, wydaje się, jakby to było wczoraj. - Dlatego trzymając tę latarkę, Clare czuła się częścią teraźniejszości, a jednocześnie przeszłości, tak jakby ona, Teo, Cornelia, Cam, Toby, a nawet Ollie i Gwiazdka, siostra Teo, która mieszkała teraz w Anglii, byli wszyscy w jednym czasie dziećmi, towarzyszami zabaw. Kiedy przesuwiała światłem latarki po domach i trawnikach, po pniach platanów, pod którymi przechodziła, czuła się swojsko i bezpiecznie, jakby ta okolica należała do niej, a ona była jednym z tutejszych dzieci.

Najpierw dostrzegła samochód. Samochód, a potem ludzi na werandzie. Cornelia, Ellie i ktoś jeszcze. Zauważyła ich, zanim oni ją dostrzegli. I rozpoznała swoją matkę, zanim jeszcze to sobie uświadomiła, jej ciało ją rozpoznało. Tak musiało być, bo nagle się okazało, że biegnie przez trawę, a powietrze wokół śpiewa jej w uszach, coraz głośniej i głośniej. Jakieś dziesięć metrów od werandy nagle się zatrzymała i stała jak wmurowana. Miała wrażenie, że nigdy nie złapie oddechu.

- Mamusiu - wyszeptała. Podniosła ręce w rękawiczkach do ust, jak ktoś, kto woła na dużą odległość. - Mamusiu. - Znowu szept. - Już miała spróbować po raz trzeci, kiedy mama się odwróciła i ją dostrzegła. - Mamusiu! - udało jej się krzyknąć. Chciała pobiec w jej kierunku, ale nie mogła się ruszyć.

Matka zakryła usta dłonią, po czym pofrunęła przez trawę w jej kierunku.

Kiedy Clare poczuła, że otaczają ją matczyne ramiona, wypełniły ją uczucia, jakich nigdy jeszcze nie doświadczyła, skomplikowane uczucia - euforia, strach opadający z niej jak ciężki, przytłaczający płaszcz i wysokie, cienkie, piekące uczucie przypominające smutek - ale kiedy matka przycisnęła jej głowę do swojego ciała, kiedy pochyliła się, tak żeby Clare poczuła jej oddech na swoim policzku, nad te wszystkie dziwne nowe emocje wybiło się lub wplotło między nie coś innego - znajomy spokój, materia wszechświata powracająca na swoje właściwe miejsce. Tak znajome było to uczucie, że po raz pierwszy odebrała to właśnie jako uczucie, bo dotychczas była to po prostu część jej życia, jak bicie serca czy zwięzanie się źrenic na słońcu.

- Clarey. - Mama wyszeptała to słowo w jej włosy. - Clarey. Och, moja dziecinko, moja dziecinko, moja dziecinko. - Po chwili mama się odsunęła, ale tylko odrobinę, i przez długi czas wpatrywała się w jej twarz. - Twoje włosy - powiedziała w końcu. Potem się uśmiechnęła. - Och, jak dobrze cię widzieć. Jak dobrze cię widzieć, moja piękna dziewczynko.

- Ciebie też dobrze widzieć - odparła Clare po prostu, na co mama zaczęła bezgłośnie płakać, tak że łzy spływały jej po twarzy.

Oglądanie jej, jak tak płacze, sprawiało Clare ból, więc przeniosła wzrok na Cornelie stojącą na werandzie. Ellie stała za nią i kiedy Clare patrzyła, objęła ją przez pierś obronnym gestem, któremu Cornelia się poddała, przechylając się lekko do tyłu.

- Mamo - powiedziała Clare cicho. - Proszę, nie płacz. Chciałabym ci przedstawić moją przyjaciółkę Cornelie.

Matka skinęła głową, wycierając łzy obydwoma rękami.

Kiedy szły w kierunku werandy, podjechał kolejny samochód - długi, niski, czerwony i dziwny, którego tylna połowa wyglądała jak płytka platforma ciężarówki. Zatrzymał się i wysiedli z niego kobieta i mężczyzna. Kobieta podbiegła prosto do Corneli i wzięła jej twarz w dłonie. Clare rozpoznała od tyłu długi fioletowawy płaszcz. Linny.

Linny odwróciła się i pogroziła żartobliwie palcem mamie Clare.

- Szybka jesteś, moja pani - stwierdziła.

Clare, siedząc już w pokoju Brownów i grzejąc dłonie o kubek z gorącą czekoladą, który Ellie podała jej niemal natychmiast, gdy usiadła, myślała z zadowoleniem o tym, że Linny jest

tutaj, cieszyła się jej gadatliwą, żywiołową obecnością. Chociaż mama siedziała tuż obok niej i obejmowała jedną ręką jej ramiona, Clare miała wrażenie przy tym wieczornym świetle padającym z lamp i kominka, że jest bardziej od niej odległa niż na zewnątrz. I chociaż знаła tu wszystkich, poza mężczyzną, w którym rozpoznała Hayesa, a który siedział teraz w kącie pokoju nieco zmieszany, i poza jego butami, które wcale nie przypominały kowbojskich, czuła się skrępowana. Czuję się onieśmielona przy nich wszystkich, pomyślała. Nawet przy Corneli. I natychmiast uderzyło ją, że pomyślała „nawet przy Corneli” zamiast „nawet przy mamie”. Przeszedł ją lekki dreszcz.

Ale Linny opowiadała już całą historię. Clare zmieniła kierunek swej uwagi, jakby przesunęła światło latarki, i teraz Linny znalazła się w jej blasku, a reszta została w mroku.

- Przyszłam podlać twoje kwiatki, Cornelio, czego przecież nigdy nie robię, więc mogłyby wszystkie zwiędnąć, zanim wrócisz.

- Nie szkodzi - odparła Cornelia. - I tak ich nigdy nie lubiłam. - Ze sposobu, w jaki patrzyła na Linny, Clare wywnioskowała, że też się cieszy z jej obecności.

- A ona tam stała - ciągnęła Linny - wpatrując się w drzwi jak ktoś, kto próbował pukać, a teraz jest wykończony i nie wie, co ze sobą począć.

- Trafny opis - przyznała cicho matka Clare.

Och, gdzie ty byłaś, mamusiu, myślała Clare. To pytanie cały czas wisiało w powietrzu, podobnie jak wiele innych, ale nie chciała ich zadawać. Nie chciała znać odpowiedzi, jeszcze nie.

- Dziękuję. I rozpoznałam cię. Rozpoznałam Vivianę. Po jej brwiach. Wiesz, że mam bzik na punkcie brwi, Cornelio.

- Wiem, Linny. Ty kolekcjonujesz brwi.

- Och - odezwała się Clare. - Tak jak brwi Teo to akcenty. *Accent grave, accent aigue*. - Pokazała na własnej twarzy, o co jej chodzi, naciągając brwi palcami.

- Brwi Teo - oświadczyła Linny tonem sugerującym, że mówi o fakcie najwyższej wagi - to dzieło sztuki. Poematy. Sonety!

Clare spojrzała na Hayesa, który prawdopodobnie był chłopakiem Linny, żeby sprawdzić, czy to mu nie przeszkadza. Rzucił jej porozumiewawczy uśmiezek i wywrócił oczami, jakby chciał powiedzieć: „Zwariowana stara Linny”. Clare odwzajemniła uśmiech. Hayes też był całkiem przystojny, z błyszczącymi oczami, a nos miał skrzywiony w taki sposób, że raczej mu dodawał urody, niż ujmował, więc może nie przejmował się tym, co Linny mówi o Teo.

Siedzi tu moja mama, a ja rozmyślam o kształcie nosa Hayesa, uświadomiła sobie.

- Brwi Viviany też są ładne, bardzo regularne i sięgają dalej poza zewnętrzne kąciki jej

oczu niż normalnie. Zupełnie jak... - Obróciła się do Clare.

- Jak u mnie - dokończyła Clare.

- Ale co z naszą wiadomością? - zapytała Vivianę zdeorientowana Cornelia. - Clare i ja przykleiliśmy do moich drzwi list dla ciebie, w którym podałyśmy numer telefonu i adres moich rodziców. O Boże, nie znalazłaś tej wiadomości?

- Nie było żadnej notatki - odparła mama Clare. W jej głosie brzmiało zmęczenie. - Znalazłam tę, którą zostawiłyście w naszym domu, więc zadzwoniłam do twojego mieszkania. Kiedy nikt nie odbierał, poszłam tam. Dwukrotnie. Linny zobaczyła mnie za drugim razem.

- I od razu próbowałam zadzwonić na twój telefon komórkowy, Cornelio, ale nie mogłam się dodzwonić - wyjaśniła Linny.

- Trójkąt Bermudzki - mruknęła Cornelia. - Jeśli chodzi o telefony komórkowe, moi rodzice mieszkają w Trójkącie Bermudzkim.

- Twoi rodzice mieszkają na ulicy Przyjemnej - poprawiła ją Linny. - Trudno to zapamiętać, więc zapamiętałam. Znam też to miasto. Ale nie pamiętałam ich numeru. I nie ma go w książce.

Do pokoju weszła matka Cornellii, niosąc na tacy filiżanki do kawy i talerze pełne ciasteczek. Clare zauważyła, że jest spięta. Wcześniej, kiedy stali jeszcze wszyscy na werandzie po przyjeździe Linny i Hayesa, dostrzegła wymianę spojrzeń pomiędzy Cornelią i Ellie - brązowe oczy i niebieskie, przy czym brązowe o coś prosiły, a niebieskie odpowiadały - zanim Cornelia odwróciła się i zaprosiła wszystkich do środka.

- Lekarze - skomentowała Ellie, nadal nieswoim głosem. - Oni nigdy nie umieszczają w książce swoich numerów.

- Co mogło się stać z tą notatką? - zastanawiała się Cornelia łamiącym się głosem. - Viviano, nie wyjechałabym bez słowa. Ale nie chciałam... - Cornelia rzuciła ukradkowe spojrzenie na swoją matkę, która właśnie nalewała kawę ze srebrnego dzbanka. - Nie chciałam u nikogo zostawiać wiadomości. Staraliśmy się zachować to wszystko, co się stało... w tajemnicy.

- Dziękuję wam za to - powiedziała mama Clare.

- Ta kobieta, która sprząta twój budynek. Założę się, że ona to zdjęła. Wiesz, jak cię nie znosi - wtrąciła Linny.

- Wiem - odparła Cornelia z roztargnieniem. Wpatrywała się w mamę Clare.

- Jesteś mała. I płochliwa. Pewnie myśli, że jesteś myszą.

- W najmniejszej nawet mierze nie jestem płochliwa - odparła Cornelia, ponownie kierując uwagę na Linny. - I doskonale o tym wiesz. - Jej głos znów się załamał. - Ale to całkiem

możliwe. Możliwe, że to sprzątaczką.

- Sprzątaczką albo palec losu - zapiał radośnie Hayes.

- Jak tylko udało mi się namówić Hayesa, żeby mnie tu przywiózł swoim samochodem, natychmiast ruszyliśmy w drogę. Byliśmy szybcy.

- Jechaliśmy sto trzydzieści, sto czterdzieści - powiedział z dumą Hayes. - Dzięki Bogu, dojechaliśmy bez mandatu.

- Ale Viviana była szybsza. Ja pamiętałam ten okrągły podjazd i skrzynkę na listy w kształcie domku, ale jak...

- Nazwisko jest na skrzynce - wyjaśniła Viviana. Przyciągnęła Clare bliżej do siebie. Clare widziała, jak pulsuje jej żyłka pod cienką skórą na skroni. Zauważyła, że Ellie też przygląda się jej matce.

- Viviana wygląda na zmęczoną - powiedziała Ellie do Cornelia. - Mogę zadzwonić do jednego z pobliskich hoteli albo do gospody Calloway?

Twarz Cornelia pokryła się rumieńcem.

- Mamo - zaczęła.

- Właściwie to miałam nadzieję, że uda mi się porozmawiać z tobą na osobności, Cornelio - wtrąciła się mama Clare. - Czy Clare mogłaby tu zostać, podczas gdy my wyszłybyśmy na spacer? - Obróciła się do Ellie. - Dziękuję za propozycję, ale widziałam hotel po drodze.

Linny się podniosła.

- My zostajemy w gospodzie i powinniśmy już tam jechać. Umieram z głodu. - Hayes też wstał.

- Pójdiesz prosto do mojej kuchni i coś ci tam zagrzeję, Linny, dziecinko - oświadczyła Ellie. - Ty też, Hayes.

- Nie musisz nas dwa razy prosić - zaćwierkała Linny. Rzuciła Cornelia długie spojrzenie. Cornelia przycisnęła dwa palce do ust i posłała jej pocałunek.

Kiedy Clare, jej matka i Cornelia zostały same, Cornelia stwierdziła:

- Jest zbyt zimno, żeby rozmawiać na zewnątrz, ale mam miejsce, gdzie możemy pójść. Jednak myślę... - Dotknęła lekko włosów Clare. - Myślę, że Clare powinna iść z nami.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł - odparła matka Clare. W jej głosie słychać było zdenerwowanie.

Clare przenosiła wzrok z jednej kobiety na drugą. Dostrzegła, że Cornelia ściągnęła na moment brwi. Potem westchnęła i przymknęła oczy. Kiedy je otworzyła, też wyglądała na znużoną.

- Chodzi o to, że to życie Clare. Zdecydowaliśmy, że lepiej, jeśli wie, co się dzieje.

- Zdecydowaliście - odparła matka Clare bezbarwnie.

- Mamo - odezwała się Clare, z nutą błagania w głosie. - Tak jest lepiej. Ja muszę wiedzieć. Nie chcę, żeby coś mi się po prostu przytrafiało.

Jej mama przez chwilę to rozważała. Wyraz jej oczu złagodniał.

- W takim razie, dobrze. Będiesz wiedziała.

W saloniku pani Goldberg, gdzie rządki muszli morskich jaśniały na magicznych półkach podświetlone ukrytym światłem, siedziały Clare i Cornelia i słuchały, jak mama Clare opowiada o tym, co się z nią działo - opowiada spokojnym, niemal niemodulowanym głosem, jakby chciała wypowiedzieć te słowa, ale nie pamiętać, co mówiła.

- Po prostu jechałam. Pomyślałam o lotnisku i wyjeździe do Barcelony, ale kiedy stwierdziłam, że zmierzam w złym kierunku, nie zawracałam. Miałam całą torbę pieniędzy, więc kiedy zaczęła się kończyć benzyna, zatrzymałam się i zatankowałam, a potem ruszyłam dalej. Przez długi czas nie zatrzymywałam się ani nie spałam. Po prostu jechałam. Myślę - zerknęła na Clare, po czym ciągnęła dalej - myślę, że chciałam przestać istnieć dzięki tej jeździe.

Clare zauważyła, że Cornelia siedzi nieruchomo, obserwując twarz mamy, i słucha. Podziwiała uważny sposób słuchania Cornelii, to, że nie wierciła się ani nie odwracała wzroku. Ta uwaga, to wpatrywanie się nie miało w sobie nic zaczepnego, tylko... coś innego. Przyszło jej na myśl słowo szacunek, ale to nie było dokładnie to. Coś bardziej przyjaznego niż szacunek. Clare starała się słuchać w taki sam sposób.

Opowieść nie była aż tak straszna. To znaczy nie była aż tak straszna wyłącznie dzięki temu, że mogło być znacznie, znacznie gorzej.

Jej mama jechała i jechała, z jednym postojem w obskurnym hotelu, gdzie przespała się kilka godzin, aż zatrzymała się w północnym Michigan w eleganckim hotelu, który miał jeszcze świetniejszą przeszłość.

- Na mnie zawsze można liczyć - ciągnęła mama głosem pełnym ironii - że dostanę załamania nerwowego akurat w hotelu po dwieście dolarów za noc.

Przebywała w nim przez wiele dni, ale ile dokładnie, nie wiedziała, i właśnie w tym momencie opowiadania Clare zrozumiała, że nagie fakty to najmniejsza część tego, co jej mama przeżyła. Kiedy opisywała swój pobyt w hotelu, jej oczy się zmieniły - rozszerzyły się i pojawił się w nich strach i udręka.

- Choroba dwubiegunowa - powiedziała. - Ta nazwa nie oddaje nawet połowy tego, czym to jest. To nie jest huśtawka z jednej skrajności w drugą. Ja przeżywałam najróżniejsze skrajności

jednocześnie. Depresję i manię, i galopujące myśli, których nie mogłam powstrzymać. -

Wyciągnęła rękę i podniosła podbródek

Clare palcem do góry. - Jesteś pewna? Chcesz tego wszystkiego słuchać?

Clare zastanowiła się nad tym pytaniem. Spojrzała na Cornelie, która odwzajemniła jej spojrzenie z wyrazem miłości na twarzy, ale bez żadnych wskazówek. Cornelia chciała, żeby sama decydowała. Przypomniała sobie jej głos mówiący, że jest odważną dziewczynką. Bądź dzielna, powiedziała sobie. Skinęła potwierdzająco głową.

- Miałam urojenia - powiedziała mama rzeczowym tonem. - Kolor hotelowych zasłon oznaczał jedno, wyraz twarzy pokojówki co innego. Był też pewien mężczyzna - przerwała, spojrzała na Clare, po czym ciągnęła dalej - nieznajomy, o którym myślałam, że jest kimś innym, człowiekiem, którego znałam przed laty. - Objęła się mocno ramionami. - Dzięki Bogu, okazał się przyzwoity. Nie skrzywdził mnie, chociaż ja pewnie śmiertelnie go przestraszyłam.

- Raz myślałam o tym, żeby się zabić - mówiła dalej. Clare poczuła, jak ogarnia ją chłód. - Więcej niż raz. Ale raz nawet umocowałam pasek na uchwycie do lampy. - Głos jej się załamał. - Och, Clarey. Nic nie zrobiłam, tylko siedziałam i wpatrywałam się w niego. Myślę, że daleko mi było do tego, naprawdę. - Te słowa powinny uspokoić Clare, ale zamiast tego poczuła, że jeszcze bardziej sztywnieje i się odsuwa. Ledwo udało jej się skinąć głową. Matka ciągnęła dalej: - A pokojówka po prostu zdjęła ten pasek bez słowa lub spojrzenia, zwinęła go porządnie i odłożyła na toaletkę. - Powiedziała te słowa ze zdumieniem, jakby dopiero to było naprawdę wstrząsającym wydarzeniem. - Skończyło się na tym, że w środku nocy pukałam do innych pokoi i zadawałam głupie pytania. Ludzie zatraskiwali mi drzwi przed nosem, wzywali ochronę. Ale jedna kobieta, miała na imię May, tylko na mnie spojrzała i wciągnęła mnie do środka. Możecie sobie wyobrazić? Tyle zrozumienia? - Oczy jej się zamglily.

Kobieta ta miała ze sobą komputer i poszukała w Internecie placówki psychiatrycznej znajdującej się w pobliżu.

- Nie domu wariatów - zaznaczyła mama Clare. - Dzięki Bogu, był to dobry ośrodek.

Tam jedni lekarze dobierali jej lekarstwa, inni nakłonili ją do rozmów i po pewnym czasie wróciła do siebie.

- Natychmiast jak tylko mogłam, zadzwoniłam. Najpierw do domu. Potem do Martina. Potem kolejno do przyjaciół. Tyle że przez te przeklęte święta wielu osób nie było. Te życzenia świąteczne nagrane na ich sekretarkach. Wydawały mi się takie okrutne jak policzek. Wtedy byłam bardzo otepiała od leków. Nie udało się jeszcze ustalić właściwych dawek. Na koniec zadzwoniłam do Martina do pracy i tam mi powiedzieli, że Martin nie żyje, a ty, Clare,

wyjechałaś z Cornelią. - Potrząsnęła głową, jakby coś z siebie strząsała. - W każdym razie znalazłam cię. - I wtedy, kiedy Clare na nią patrzyła, jej mama zaczęła płakać, najpierw bezgłośnie, a potem urywanym szlochem. - Tak cię przepraszam, Clare. - Powtórzyła to kilka razy.

Clare przycisnęła się do oparcia kanapy. Znow widziała obraz matki w samochodzie, płaczącej i przepraszającej za wszystko.

- Przestań płakać. Proszę, przestań - powtarzała chrypliwym szeptem. Zobaczyła, że Cornelia prostuje się i kładzie dłonie na poręczach fotela, jakby chciała wstać. - Nie lubię, jak tak płaczesz, mamó. Proszę, przestań. - Jej głos stawał się coraz bardziej piskliwy.

I matka przestała. Clare widziała, jak ociera twarz, tłumi łkania, po czym obraca się do Cornelii.

- Chcę ci podziękować. Za wszystko. Wiem, że Martin... - przerwała. - Wiem, że Clare cię potrzebowała. Dziękuję ci.

Oczy Cornelii napełniły się łzami i potrząsnęła głową, ale się nie odezwała.

- Czuję się już lepiej, Clare - powiedziała matka. - I chcę cię zabrać do domu.

Oczywiście, pomyślała Clare. Oczywiście, tak się stanie. Tak właśnie miało się stać. Mama miała przyjechać i zabrać ją do domu. Ale nagle ogarnęła ją fala mdłości, a wraz z nią dawny wściekły i wirujący huragan strachu.

- Cornelio - odezwała się słabo, a Cornelia natychmiast znalazła się przy niej, ukłękła i mocno ją objęła. Clare miała wrażenie, że tylko ramiona Cornelii chronią ją przed porwaniem przez wicher. - Nie mogę - wykrztusiła. - Jeszcze nie mogę jechać. Boję się jechać. Nie mogę.

Cornelia kołysała ją przez chwilę, po czym powiedziała uspokajająco:

- Szs, wszystko będzie w porządku, skarbie. Wszystko będzie w porządku.

Clare usłyszała, że matka wstaje, i podniosła wzrok. Na twarzy mamy malował się bezgraniczny smutek, ale nie potrafiła do niej podejść.

- Znajdę sobie hotel. Wrócę jutro rano. Wtedy porozmawiamy, dobrze? - Miała taki smutny głos. Clare ogarnęło przerażenie.

- Nie - prawie krzyknęła. - Nie możesz znowu odejść.

Cornelia powiedziała stanowczo:

- Nie. Porozmawiam z matką. Zostaniesz u nas.

Kiedy wyszła, mama wzięła Clare na kolana, a ona wtuliła się w jej objęcia i siedziały tak przez długi czas. Clare nie chciała rozmawiać. Chciała tylko być trzymana w tych ramionach, które były pierwszymi, jakie ją trzymały, czuć znajome kształty tego ciała. Jeśli nie rozmawiały,

tylko się dotykały, jej mama mogła być tą kobietą, przy której czuła się bezpieczna, tą, którą zawsze znała.

29. Cornelia

To była wina matki mojej matki, która zmarła, gdy moja matka miała dwadzieścia lat. To ona wsączyła tę zdumiewającą zimną wściekłość, którą usłyszałam tego wieczoru na werandzie, do głosu mojej matki. I do serca też.

Kiedy miałam jakieś jedenaście lat, a imię Cornelia stało się dla mnie równie kłopotliwe jak wysypka, zapytałam mamę, co jej przyszło do głowy, żeby je wybrać. Dlaczego nadała mi imię po ciotecznej babce, której głównym powodem do chwały była stuprocentowa obecność na zajęciach od przedszkola po ukończenie szkoły średniej oraz wynalezienie babki jabłkowej, której sekretnym składnikiem był tłuszcz z kurczaka? Dlaczego nie dostałam imienia na przykład po mojej babci ze strony matki? Susan. Susan mogłabym być.

I wtedy to zobaczyłam, zaledwie mignięcie błyszczącego, twardego jak diament gniewu. Usłyszałam go też, gdy matka warknęła:

- Ani przez moment nie brałam pod uwagę imienia Susan. - Kiedy po chwili mama się uśmiechnęła i dodała normalnym głosem: - A idealna obecność jest nie do pogardzenia - dałam temu spokój, uważając, że wczesna śmierć matki jest dostatecznym wytłumaczeniem wszystkiego, a tajemnica niech lepiej pozostanie niezgłębiona przez takich jak ja.

Ta wczesna śmierć była częścią wytłumaczenia, ale nawet nie większą. Kiedy zostawiłam Clare z jej mamą w domu pani Goldberg i przybiegłam do domu, dowiedziałam się, że większa miała miejsce przed śmiercią babki. Większość zdarzyła się wcześniej.

- Ona była pijaczką - powiedziała matka otwarcie, poprawiając drwa w kominku tak gwałtownie, jakby chciała kogoś zabić. - Teraz nazywają to samoleczeniem.

Ojciec, który właśnie wszedł do pokoju, zdążył to usłyszeć i powiedział gniewnym tonem:

- Cornelio, nie rób tego.

- Ja nic nie zrobiłam - odparłam. I tak było. Ale jednak chciałam wiedzieć, chciałam, żeby ten moment pękł, jak to tłące się polano, żebym mogła zobaczyć ogień drzemiący w środku.

Mama wyprostowała się, a ojciec podszedł do niej i wyjął jej z ręki pogrzebacz.

- B. - odezwała się łagodnie - wszystko w porządku. Moja babka była pijaczką, szalejącą pijaczką, a nawet kiedy nie piła, bywało, że wściekłość ogarniała ją jak demon. Pewnego razu wyszarpnęła półki z lodówki, tak że wszystko, co w niej było, wypadło na podłogę. Mówiąc to,

moja mama nawet nie mrugnęła. To i więcej. To i znacznie gorsze rzeczy.

- Przysięgłam sobie, że nic podobnego nie dotknie nigdy tej rodziny. - Przy tych słowach całe jej ciało pochyliło się do przodu, tak silna była jej złość. Była taka scena w *Przeminęło z wiatrem*, kiedy Scarlett podnosi pięść ku niebu, stojąc wśród zgliszczy Georgii, a wschodzące słońce zabarwia świat na czerwono.

Kiedy to powiedziała, zrozumiałam. Dostrzegłam prawdę w jednej chwili, jak obraz na ekranie. Zrozumiałam, jak to jedno stwierdzenie, postanowienie mojej matki, biegnie jak mocny, sztywny szew przez fundamenty tego domu, jego ściany nośne i drewniane belki oraz przez optymistyczną normalność każdego dnia.

Potem mama wyszła, a ojciec usiadł obok mnie i wpatrzył się w ogień.

- To przed tym nas chroniła przez cały ten czas - odezwałam się ze zdumieniem w głosie.

Mój zazwyczaj łagodny ojciec rzucił mi spojrzenie i powiedział niemal zjadliwie, wskazując gestem pokój:

- A myślałaś, że to wszystko przyszło samo? Szczęście nie przychodzi na gwizdnięcie, nie wystarczy udawać, że złe rzeczy nie istnieją. Nie, nic nie mów, Cornelio. Wiem, że uważasz, że tak właśnie dzieje się w tym domu. Ale się mylisz. Na szczęście trzeba zapracować, jak na wszystko inne. Trzeba je osiągnąć. Problem polega na tym, że twoja matka postarała się, żeby to wyglądało na łatwe. Bo tego właśnie chciała. - To była chyba najdłuższa przemowa, jaką kiedykolwiek do mnie wygłosił. Kiedy skończył, przyciągnął moją głowę do siebie i mnie pocałował. Wstał, żeby wyjść, ale jeszcze się odwrócił.

- I zaprosz matkę Clare, żeby u nas nocowała. Toby będzie spał z Camem.

- Mamie to nie będzie przeszkadzać?

- Nie wiem, czy nie będzie. W każdym razie odkurzyła już pokój, starła kurze, opróżniła kilka szuflad i zmieniła pościel.

Kiedy tego wieczoru położyłam się do łóżka, nie mogłam zasnąć, bo zbyt wiele kotłowało się w mojej głowie. Viviana, Teo, Clare, moja mama i moja babcia przepychali się, żeby znaleźć miejsce, walczyli, żeby zostać wysłuchani, a ich głosy rozlegały się echem w mojej głowie. Toteż kiedy bez słowa weszła Clare i położyła się obok mnie, nadal leżałam bezsennie i, również milcząc, masowałam jej plecy, dopóki nie zasnęła.

- Powiedziałam: „Hayesy, zabieraj się do wytwórni win!”

Linny i ja siedziałyśmy w kawiarni w centrum, jedząc lunch. Kiedy powiedziałam Clare, że jadę, zauważyłam na jej twarzy cień paniki, ale ona i Viviana potrzebowały czasu, który mogłyby spędzić razem, tylko we dwie. A ja z kolei pragnęłam w tej chwili towarzystwa Linny

tak mocno, jak inni pragną kokainy. Widzieliście te filmy, na których zabłąkany podmuch zwiewa paseczek białego proszku na podłogę? A ci szaleńcy walczą o niego na czworakach? Tak się właśnie czułam.

- Posłuchał cię? - spytałam.

- Gdzie tam, nieposłuszny bachor. Wyruszył do domu jednego z tych tam. No, wiesz, tego prezydenta. Umknęło mi to nazwisko.

- Thomas Jefferson.

- Właśnie. Okazuje się, że Hayes wielbi Thomasa Jeffersona, twierdzi, że on był geniuszem. Cytował mi to, co jakiś facet powiedział o nim do gromady laureatów Nobla jedzących obiad w Białym Domu. Coś w rodzaju: „Dziś zgromadziło się w tej sali więcej rozumu, niż kiedykolwiek się w niej znajdowało, z jednym wyjątkiem, kiedy Jefferson zasiadał do stołu sam”. Zasiadał sam. Pamiętam tę część.

- Facet, który to powiedział, nazywał się John F. Kennedy. Słyszałaś o nim?

Tak długo przyglądałam się rozanielona, jak Linny pochłania kanapkę z zębaczem, że w końcu spytała:

- Cornelio?

- Po prostu rozkoszuję się twoją obecnością. - Obdarzyłam ją promiennym uśmiechem.

- Tak przypuszczałam - stwierdziła Linny, oblizując palce. - Powiedziałam: „Hayesy, zabieraj się do wytwórni win! Cornelia chce się rozkoszować moją obecnością”. - Po chwili spoważniała. - Posłuchaj, kotku. Nie stracisz jej, wiesz. Zostaniecie przyjaciółkami, będziecie w kontakcie. Przecież nie mieszka daleko.

Moja przyjaciółka Linny za nic nie chciałyby mnie zranić. Ale każde wypowiedziane przez nią słowo - stracisz, przyjaciółkami, będziecie w kontakcie - ukłuło mnie do żywego. Kiedy chodziło o Clare, byłam jak osoba bez zewnętrznej warstwy skóry. Nawet dotyk powietrza mnie piekł.

Linny musiała to zauważyć, bo zaraz powiedziała:

- Ale czy mogłybyśmy na razie odłożyć temat Clare na bok?

Z wdzięcznością skinęłam głową.

- Chcesz rozmawiać o Hayesie?

- Rozmawialiśmy o Hayesie - odparła z fałszywą nieśmiałością. - Pamiętasz? Zabieraj się? Thomas Jefferson? Zasiadał sam?

- Linny.

Linny wydeła usta i spojrzała w dal.

- Sympatia. Lubimy się. Nawet bardzo się lubimy.

I mogę sobie wyobrazić, że zmierza to w dobrym kierunku. - Wykonała dłonią ruch startującego samolotu. Potem strzeliła palcami i dotknęła końca mojego nosa, tak energicznie, że był to niemal cios. - Ale co ja tu widzę, na tej buzi? Nie jesteśmy na bieżąco.

Odchyliłam się do tyłu osłupiała. Jak ona to robi?

- Jak ty to robisz? - spytałam.

- Wszechwiedza. - Wzruszyła ramionami jak uosobienie skromności. Potem powiedziała z nagłą nutą powagi: - Ale nie Martin? Nie spojrziałaś wstecz i nie uświadomiłaś sobie...

- Nie.

- Dzięki Bogu chociaż za to - stwierdziła żarliwie, bo mimo swej normalnej żartobliwości Linny potrafi także być żarliwa, kiedy wymaga tego sytuacja.

Spojrzała na mnie uważnie. Jeśli ja jestem jak rezonans magnetyczny, to Linny jest superluksusowym-podrasowanym-superbajecznym urządzeniem do takiego rezonansu, wysyłającym swoje fale prościutko do niezbadanych, odległych rejonów ludzkiej duszy. Postarałam się przybrać nieodgadniony wyraz twarzy, czując się jak podejrzany usiłujący oszukać wykrywacz kłamstw.

- Och - powiedziała, ostatecznie i zdecydowanie. - No, widzę, że są komplikacje. - I spokojnie pociągnęła łyk wody z lodem. Niech ją licho weźmie. Uśmiechnęła się. - Ale witamy wśród żywych! - Potem odchyliła głowę do tyłu i zaczęła zawodzić: - *Mogłabym płakać słonymi łzami. Gdzie też ja byłam przez te wszystkie lata?* - I tak dalej, i tak dalej. Kiedy śpiewa się tę piosenkę należycie, nie jest wcale krótka, szczególnie jeśli ktoś mruczy też wszystkie partie instrumentalne, co Linny naturalnie robiła.

Elegancko ubrany mężczyzna siedzący przy sąsiednim stoliku pochylił się w naszą stronę i spytał:

- Jak długo to może potrwać?

- Gdyby nie była niepowstrzymywalna, tobym ją powstrzymała. - Rzuciłam mu bezradne spojrzenie.

- Aha - odparł. - W takim razie zostawmy to Panu. - Albo było to szalenie zabawne, albo ja już oszalałam.

Kiedy minął mi napad dziewczęcego chichotu, kopnęłam Linny pod stołem.

- Kelner się zbliża. Z twarzy dosłownie kapie mu nienawiść. Chcesz, żeby nas wyrzucili przed zjedzeniem tarty z pekanami?

- Uuuh - wzdrygnęła się Linny. - Kapiący kelner. Cornelio, powinnaś docenić, jak ja

doceniam muzykę, do której słuchania mnie zmuszasz.

- Doceniam, że doceniasz, ale nie pochwalam, że używasz tego jako amunicji. Strzelasz z mojej własnej broni. W każdym razie to nie tak było.

- Hmmm! - hymknęła Linny z powątpiewaniem, co, jak przypuszczam, jest jedynym sposobem hymkania. - No, to jak było?

- To nie tak, że pewnego dnia się opamiętałam i zobaczyłam światło, nie światło, które już było. Nie było żadnego światła, które mogłabym zobaczyć, a potem nagle, kiedy jechaliśmy tu samochodem, było.

- Zupełnie jak w Księdze Rodzaju. *Creatio ex nihilo* - stwierdziła Linny sucho, bawiąc się widelcem.

- Tak! - I zaczęłam płomienny wywód na temat mojej metafory dotyczącej przeistoczenia, z której byłam niezmiernie dumna i której, gdybym nie była tak podniecona, w żadnym razie nie wystawiłabym na złośliwe spojrzenie Linny. Jednak byłam niezwykle podniecona, tak że nie tylko ją wygłosiłam, ale na dodatek nie zdażyłam dostatecznie szybko skulić się gdzieś żałośnie.

- No, dobrze, czy możemy odsunąć teraz na bok te religijne wizje? - spytała Linny. - Bo, szczerze mówiąc, strasznie mnie wkurzają. Oto, jak wygląda sytuacja. Jesteś zakochana w Teo od czasu, gdy dorostaś na tyle, żeby kogoś pokochać, albo i od jeszcze dawniejszych czasów, a teraz to sobie uświadomiłaś.

- Nie - zaprotestowałam słabo. - Przeistoczenie, *creatio ex...* a, mniejsza o to.

- Dobrze. Zatem, co zamierzasz z tym zrobić? Opowiedziałam jej o Ollie, Edmundzie i efekcie Westermarcka, i o tym, że, jeśli wybaczy pomieszane przysłowia, skoro tego kwiatu jest pół świata, to nie ma mowy, żeby Teo ponownie sięgnął do studni rodziny Brownów - naprawdę - i że nie warto ryzykować utraty jego przyjaźni, a on i tak traktuje mnie wyłącznie jak siostrę, a niezależnie od tego, nie jestem w jego typie. Wszystko jej opowiedziałam.

- On też nie jest w twoim typie. Może to oznaczać, oprócz tego, że jesteś ślepa i nienormalna, że bywają światy, w których typ nie ma znaczenia, i ty się teraz w jednym z nich znalazłaś.

- Myślisz, że powinnam mu powiedzieć. Wiedziałam, że tak będzie. To nie jest takie proste.

- Po prostu powiedz to - doradziła Linny i ku mojemu przerażeniu zaczęła nucić pierwsze takty *Night and Day*, co było dla mnie sygnałem, żeby rzucić pieniądze na stolik, wypchnąć ją pospiesznie z kawiarni i odłożyć na później przemyślenie tego, co mi powiedziała.

Jednak czym innym jest, kiedy twoja przyjaciółka z denerwującą łatwością odkryje

najgłębsze sekrety twego serca, a czym innym, kiedy to zrobi osoba niemal obca, a mówiąc uczciwie, częściowa rywalka, pragnąca tego samego co ty.

Zapewne nieunikniona była rozmowa od serca między mną a Vivianą. Obowiązkowa scena nawiązywania bliskich więzi przez kobiety, zaprzyjaźniania się w kameralnej atmosferze nad butelką chardonnay, ze zrzucenymi butami i Arethą Franklin śpiewającą w tle *Respect*. Jednak mimo tej nieuniknioności i obowiązku, a może właśnie przez nie, starałam się za wszelką cenę tego uniknąć.

Posłuchajcie, naprawdę byłam zadowolona, że ta kobieta żyje. Oczywiście, że byłam. Bardzo się cieszyłam, że wróciła do swojej córki. Ale nie byłam pierwszą osobą, która nie chce się rozstać ze swoim marzeniem jeszcze długo po tym, jak zmieniło się w pył w jej dłoniach, a marzenie o wychowywaniu Clare było marzeniem mojego życia. Rozstanę się z nim, wysypię pył z rąk i ruszę dalej, ale skoro to było dla mnie takie trudne, skoro napełniało mnie takim głębokim, piekącym żalem, kto z was mnie potępi?

Kochałam Clare. Kochałam? Kocham Clare. Nie zapominajcie o tym.

- Kocham Clare - powiedziałam też Vivianie.

Było późno. Siedziałam zwinięta w kłębek w fotelu z moim starym egzemplarzem *Ani z Zielonego Wzgórza* i kieliszkiem wina (merlota, tak dla informacji), kiedy do pokoju weszła Viviana. Wyglądała lepiej niż jeszcze parę dni temu, mniej krucho. W jej oczach było więcej życia, a jej blada twarz nabrała gładkiej półprzejrzystości, jak szkło wyrzucone przez morze, jakby ona też przeszła transformację. Znowu pieśń Ariela, ale na odwrót. To była kobieta, która utonęła, ale potem ożyła. Te oczy były perłami.

- Napijesz się wina? - spytałam. Potrząsnęła przecząco głową.

- Nie mogę - odparła. - Moje leki. - Potem się poprawiła. - Moja kuracja. - W jej głosie zabrzmiała niemal niezauważalna nuta gorzkości.

- Czy to jest... okropne? - spytałam ostrożnie.

- Pomogło mi wrócić - odparła dziarsko i zrozumiałam, że irytacja w jej głosie dotyczyła jej samej, a nie mnie. - A wracając do Clare.

Przez jakiś czas rozmawiałyśmy o Clare i znów, jak w saloniku pani Goldberg, podziękowała mi za wszystko, i podobnie jak wtedy, jej podziękowania zraniły mnie do żywego.

- Proszę - odezwałam się drżącym głosem - nie dziękuj mi. Nie mogę znieść tych podziękowań. Zupełnie jakbym była kimkolwiek. Uprzejmą nieznajomą. Ja kocham Clare.

- Tak, zauważyłam to. Zauważyłam, że nie jesteś kimkolwiek - powiedziała cicho. Potem dodała: - Czy mogę ci zadać pytanie, na które absolutnie nie musisz odpowiadać?

Uśmiechnęłam się.

- Cóż, skoro tak stawiasz sprawę, to dlaczego nie.

- Czy kochałaś Martina?

Muszę przyznać, że mnie to zaskoczyło, ale odpowiedziałam.

- Nie. Prawie. - Potrząsnęłam głową. - Nie, nawet nie prawie. Ale naprawdę bardzo, bardzo chciałam go pokochać, przynajmniej w pewnym okresie.

- Cieszę się. Cieszę się, że nie straciłaś mężczyzny, którego kochałaś. - Rzeczywiście dosłyszałam ulgę w jej głosie. Potem powiedziała: - Nie mogę uwierzyć, że nie żyje.

Wtedy uświadomiłam sobie, że śmierć Martina była kolejną niespodzianką, którą zastała po powrocie do domu. Z tyloma sprawami musiała się zmierzyć, i jeszcze do tego z jego śmiercią.

- Czy jest to dla ciebie bolesne? - spytałam.

- W pewnym stopniu tak. Ale chodziło mi głównie o to, że wydawał się osobą, która nie może umrzeć.

Wiedziałam, co ma na myśli.

- Był taki pełen życia, taki przystojny i czarujący, zawsze mówił to, co należy. Wydawał się niezniszczalny, jak sławna osoba albo postać z książki. Może zaczął mi się taki wydawać ze względu na coraz większy dystans, jaki się między nami tworzył przez lata. - Potem zaśmiała się gorzko. - Nie, wydawał się taki również wtedy, gdy byliśmy małżeństwem. To był właśnie problem.

- To było też naszym problemem. Nie potrafiłam go naprawdę dobrze poznać. - Jakie to dziwne, pomyślałam, rozmawiać o Martinie z jego byłą żoną. Dziwne, ale jednocześnie zupełnie naturalne. - I niedostatecznie kochał Clare. Nie potrafiłam przymknąć na to oczu.

- Ja też nie. Przez długi czas go za to nienawidziłam. - Nic dziwnego. Cud, że teraz przestała go nienawidzić.

- Wiesz, to zabawne - powiedziałam. - Tak bardzo się starałam pokochać Martina. A potem, masz, bez żadnych starań pokochałam Clare. - Już miałam powiedzieć „I Teo”, ale się powstrzymałam.

- Clare i kogo jeszcze? - spytała ku mojemu zdumieniu Viviana.

W jej głosie słyhać było wyzwanie. Spojrzałam na nią. Mimo leków ta kobieta była naprawdę bystra i uświadomiłam sobie nagle, że zależy jej, żeby o tym wiedziała.

- Przepraszam - powiedziała wcale nie przepraszającym tonem. - Nie powinnam zadawać takiego pytania. Ale kochasz kogoś jeszcze oprócz Clare. - To wcale nie było pytanie.

- To nie ma znaczenia - powiedziałam w końcu. Uśmiechnęła się do mnie.

- Miłość zawsze ma znaczenie. Nie mogłam się o to sprzeczać.

30. Clare

Teo znalazł Clare i jej matkę w ogrodzie. Clare pokazywała jej krzewy, które przycinała, te smutne kępki patyczków.

- Śmiesznie nazywać je krzakami - zauważyła. - Nie ma w nich nic krzaczastego.

Jej mama się roześmiała, a Clare poczuła dawną dumę, którą zawsze odczuwała, ilekroć udało jej się matkę rozśmieszyć, ale nawet kiedy wypełniła ją ta dawna duma, uczucie to w niczym nie przypominało tego, czym było kiedyś. Clare pomyślała, że to tak, jakby przyjechać do domu, gdzie zawsze mieszkałaś, i zobaczyć w nim obce meble i obawiać się nawet usiąść.

Przypomniała sobie, jak mama opisywała swoją chorobę, nie jako huśtawkę między dwoma biegunami, tylko jakby jednocześnie czuła się na różne sposoby, które wzięte razem nie mają sensu. Podobnie Clare czuła się teraz ze swoją matką, od kiedy ta wróciła. Nawet gdy była bardzo szczęśliwa, pod tym szczęściem dryfowały ostrożność i niepokój, i pragnienie ucieczki. Nie mogła znieść tego, że ma ochotę uciec od własnej matki, ale nie mogła też zaprzeczyć, że tak jest. Bywały chwile, kiedy pragnęła otworzyć drzwi, zacząć biec i wcale się nie zatrzymywać.

Dlatego kiedy Teo wyszedł zza rogu, w kurtce, którą razem wybierali, ogarnęło ją ogromne zadowolenie. Kiedy ją objął i uściskał, oczy napelniły jej się łzami i musiała pozostać w tej pozycji o kilka sekund dłużej niż normalnie, żeby łzy zdążyły wsiąknąć w miękki materiał kurtki.

- Teo - powiedziała, puszczając go - to jest moja mama, Viviana. Mamo, to jest Teo.

- Mnóstwo o tobie słyszałam - powiedziała serdecznie mama Clare, wyciągając do niego rękę.

- Witamy z powrotem - uśmiechnął się Teo.

Clare przyglądała im się, jak stoją razem w zimowym słońcu, pod tym samym błękitnym niebem - jej mama i Teo, z kącikami ust uniesionymi w uśmiechu i tymi zielonymi oczami w brązowej twarzy. Mama kiedyś też tak wyglądała, pomyślała. Oczywiście nie dokładnie, ale też jakby blask słońca nie tylko na nią padał, ale również z niej promieniował.

Teo mógłby się ożenić z moją mamą, przyszło jej nagle na myśl. Wtedy byłby moim ojcem. Jednak zanim rozwinęła ten pomysł, przemknęła jej przez głowę kolejna myśl, jak wiatr rozpędzając mgłę zakrywającą coś, co przez cały czas tam było: Cornelia kocha Teo.

Clare nie miała pojęcia, skąd to wie - a może było tyle drobiazgów, które na to wskazywały, że trudno je było nawet wymienić - lecz jak tylko przyszła jej do głowy ta myśl, nabrała pewności, że to absolutna prawda. I uświadomiła sobie jeszcze jedną prawdę. Jeśli Cornelia kocha Teo, a tak właśnie jest, to powinni być razem. Muszą być razem. Zastanowiła się, na co jeszcze czekają.

- Pomyślałem, że może Clare chciałaby pójść na spacer. Ale możemy pójść później - powiedział Teo.

- Myślę, że powinniście zrobić to teraz - odparła mama. - To dobry pomysł. Jeśli *ty* chcesz, Clare.

Clare uniosła się na palcach i opadła.

- Tak, chcę. Chcę iść.

- Tak myślałam - roześmiała się mama.

- Moja mama bardzo cię lubi. Podobał jej się sposób, w jaki jadłaś jej naleśniki - powiedział Teo, kiedy szli podjazdem Brownów.

- Wiem - stwierdziła Clare. - Powiedziała, że przypominam jej Cornelię. To naprawdę wspaniale z jej strony, że tak powiedziała. Czy Cornelia wie, że tu jesteś?

- Nie - odparł Teo. - Dowiedziałem się od Ellie, że jest w domu pani Goldberg. To znaczy, teraz w swoim domu. Rozmawiałem przez chwilę z Ellie i B. Musiałem co nieco powyjaśniać. - Widać było, że jest zmieszany.

- Wiem o Ollie - zaczęła ostrożnie Clare, zdając sobie sprawę, że wkracza na grunt dorosłych, najeżony dorosłymi błędami: małżeństwami bez miłości, innymi mężczyznami, uciekającymi żonami czy rozwodami. Idąc, wyobrażała sobie, że nawet ziemia pod jej stopami wydaje się inna. Inna, ale nieruchoma. Postanowiła posunąć się dalej. - Zapewne niedługo poczujesz się lepiej - zaryzykowała. - To znaczy, wyglądasz, jakby wszystko było mniej więcej w porządku.

- Co za bałagan - westchnął Teo, usuwając kopniakiem kamień z podjazdu. - Prawdopodobnie będę czuł się jak idiota jeszcze przez sto lat. Ale masz rację. Wszystko jest mniej więcej w porządku. - Uśmiechnął się do niej i dodał: - Dzięki - a Clare poczuła radosne uniesienie.

Od pierwszej chwili gdy poznała Teo, potrzebowała go, i było to normalne, była dzieckiem zwracającym się do dorosłego po pociechę. Ale jeśli teraz to ona jego pocieszała, oznaczało to coś innego, czyż nie? Wiedziała, że tak. Spojrzała radośnie na biegnący przed nimi chodnik, długi i błyszczący bielą wzdłuż rzędu rosnących przy nim drzew. Skoro ona potrafiła go pocieszyć, byli

przyjaciółmi.

Pokazała mu klon rosnący na czyimś podwórku - jeśli dobrze zapamiętała, Wangów, choć nie mogła sobie przypomnieć, czy nadal tu mieszkają.

- To tam Cornelia po raz pierwszy się całowała.

Teo spojrział na nią z zaskoczeniem, po czym się uśmiechnął.

- Powiedziała ci o tym?

Coś w jego tonie spowodowało, że Clare rzuciła mu bystre spojrzenie. Och, pomyślała, Cornelia powiedziała o pocałunku, ale nie o tym, kto ją nim obdarzył.

- Aha - odparła. - Mówiła, że to był najlepszy pocałunek w jej życiu. - To kłamstwo nagle przyszło jej na myśl i zastanawiała się, czy później będzie jej nieprzyjemnie z jego powodu.

- Doprawdy? - zdziwił się Teo. I dodał: - Trudno w to uwierzyć.

- Nie, naprawdę tak powiedziała - zapewniła go szybko.

- W porządku. - Teo przyjrzał się jej zwięzonymi oczami. - Ale nie to miałem na myśli.

Chodziło mi o to, że trudno uwierzyć, żeby pocałunek, którym w wieku czternastu lat obdarzył cię inny dzieciak, był najlepszy w twoim życiu.

- Czasem rzeczy, w które trudno uwierzyć, są prawdziwe - odparła Clare. - Nawet bardzo często. - Potem ciągnęła dalej - Cornelia naprawdę ciężko pracuje na strychu pani Goldberg. Przez cały czas siedzi przy komputerze i wyszukuje wiadomości o srebrach i kryształach, i o wszystkim. Wiedziałaś, że pani Goldberg miała srebrnego dziadka do orzechów ozdobionego wiewiórką, który prawdopodobnie należał do Roberta E. Lee? Teo się roześmiał.

- Nie, raczej tego nie wiedziałem.

- Ona wyszukuje też inne rzeczy. Na przykład o... słyszałeś o tym efekcie Westermarcka?

- Taak - odparł powoli, nie patrząc na nią.

- Cornelia stwierdziła, że Ollie nie miała racji. Jeśli poznasz kogoś, kiedy masz ponad trzy lata, to nawet jeśli razem z nim dorastasz, efekt nie występuje. Występuje tylko, jeśli kogoś poznasz, zanim masz trzy lata.

Teo stanął.

- Żartujesz. - Ściągnął brwi, ale po chwili się rozluźnił i ruszył dalej. - Tego rodzaju informacji Ollie nigdy nie myli. W takim razie pewnie powiedziała mi to, żeby nie było mi tak przykro.

Clare wcale się to nie podobało. Nie chciała, żeby lubił Ollie bardziej dlatego, że skłamała.

- Nie wiem, dlaczego Cornelię tak to zaciekało, kiedy to znalazła. No wiesz, wydawała się bardzo podniecona. Bardzo. Czy to nie dziwne? - To prawie było prawdą, choć Cornelia w

rzeczywistości ani słowem nie wspomniała Clare o wyszukiwaniu informacji o efekcie Westermarcka. Ale Clare znalazła wydrukowaną kartkę z gwiazdką narysowaną atramentem w miejscu, gdzie była mowa o trzylatkach. Z pewnością gwiazdka oznaczała, że Cornelia była podniecona.

Teo milczał, a kiedy Clare na niego spojrzała, zauważyła plamy czerwieni na jego policzkach. Wciągnęła oddech i przyłożyła ręce do własnej twarzy. Potem Teo spojrzał jej prosto w oczy.

- Wiesz co? I tak nigdy nie wierzyłem w efekt Westermarcka. Wiedziałem, że to nieprawda.

Szli przez kilka minut w milczeniu.

- Teo - spytała w końcu Clare - czy lubiłeś tu dorastać? Bo ja myślę, że bym uwielbiała.

Teo oparł się plecami o piękny pień platanu w kremowo-brązowe łaty i podniósł wzrok na jego gałęzie.

- Rzeczywiście, było tu wspaniale. - Głos miał zamyślony. - Każdy w pewnym sensie opiekował się każdym, co nie zawsze zdarza się w sąsiedztwie. Mieliśmy szczęście.

- Lubię myśleć o tym, jak ty i Cornelia byliście dziećmi i tu mieszkaliście. Czasem idę ulicą i sobie to wyobrażam. - Rozejrzała się dookoła. - W takim miejscu jak to, co byłoby z mamą i ze mną? Tu by do tego nie doszło.

- Ludzie wszędzie chorują, Clare - odparł łagodnie Teo.

- Ale gdybym tu mieszkała, byłby ktoś, komu mogłabym powiedzieć. Ktoś mógłby nam pomóc i nie skończyłoby się jej odejściem.

- Być może.

Clare podeszła bliżej do niego.

- Teo, mama pokazała mi te tabletki, które musi brać. Dzięki nim dobrze się czuje. Dlatego mi je pokazała, że chciała, bym zrozumiała, że teraz już może pozostać zdrowa. I powiedziała, że jak tylko wrócimy do domu, znajdzie dobrego lekarza, z którym będzie mogła rozmawiać. Pokazała mi tabletki, żeby poczuła się lepiej. - Clare złożyła dłonie razem. - Ale one są takie malutkie, te tabletki. Przeraziło mnie, jakie są małe. Wiesz, o co mi chodzi?

- Tak, Clare. Myślę, że wiem. Oczy Clare napękały się łzami.

- Nie chcę być z nią sama. Nie chcę jechać do domu i żebyśmy znów były same, jak przedtem. Ale jeśli jej to powiem, będzie okropnie smutna. Wiem, że tak będzie.

- Czasem po prostu musisz powiedzieć dokładnie, co czujesz. - Teo otoczył ręką jej ramiona.

- Myślisz? - Przycisnęła policzek do jego kurtki.

- W pewnych sytuacjach nie możesz się troszczyć o to, jak ludzie zareagują. Musisz być na tyle szczerą, na ile potrafisz, a potem niech będzie, co ma być.

Tego wieczoru na obiad był gulasz wołowy i gruby warkocz pieczonego w domu chleba, błyszczącego od jajka, którym go posmarowano. Clare sama go smarowała, a prawdę mówiąc, pomagała przy przygotowaniu wszystkich potraw. Rozpromieniła się, kiedy Ellie pochwaliła jej sposób siekania.

Teo w końcu spędził całe popołudnie u Brownów, najpierw rozmawiając z mamą Clare na frontowej werandzie, skąd obserwowali, jak Toby i Cam uczą Clare grać w zośkę, a potem, kiedy wróciła Cornelia, usiadł z nią przy kuchennym stole i rozmawiali, podczas gdy Clare gotowała z Ellie.

Clare, nawet siekając cebulę, obierając ziemniaki i rozmawiając z Ellie, bardzo uważnie obserwowała Cornelię i Teo. Ku swojemu zaskoczeniu uświadomiła sobie, że myśli o Ollie na wyspie, o której opowiedziała jej Cornelia - Ollie obserwującej ptaki, ich podskoki i machanie skrzydłami i linie ich dziobów. Obserwuję miłość, pomyślała, a serce zaczęło jej szybciej bić. Jak wygląda bycie zakochanym? Do czego skłania nas miłość?

Clare żałowała, że nie ma przy sobie notesu. Obserwuj wszystko, nakazała sobie, jak naukowiec. Mrugnięcia i oddechy, i ruchy głowy. Ton głosu Cornelii, ruchy jej dłoni, pauzy w mówieniu. Miłość była wmieszana w to wszystko jak złoto w piasek na sicie poszukiwacza. Przesiać. Posortować. Skupiać uwagę.

Przez większość czasu Cornelia i Teo zachowywali się jak zwykle. Jednak Clare zauważyła, że kiedy Cornelia wróciła i dostrzegła Teo siedzącego na werandzie, natychmiast nie tylko jej usta, ale całe ciało ogarnął uśmiech. Czy zawsze tak właśnie uśmiechała się do Teo? Próbowала sobie przypomnieć. Pomyślała, że jej mama również to zauważyła, i kiedy Cornelia pocałowała Teo w policzek i zwichrzyła mu włosy, jakby był małym chłopcem, mama spojrzała jej na moment w oczy z wyrazem twarzy, który Clare bez trudu rozpoznała. „Wiem, co kombinujesz”, mówił.

Przy kuchennym stole Cornelia i Teo siedzieli w pewnej odległości od siebie, tak że się nie dotykali. Clare spojrzała na tę przestrzeń między nimi. Zastanawiała się, czy powietrze między Cornelią i Teo różni się od zwykłego powietrza, czy Cornelia ma wrażenie, że jest inne, może cieplejsze. A może Cornelia wypełniała je czymś, czego nikt nie może dostrzec?

Aż w pewnej chwili, kiedy trzymała w dłoni obrany ziemniak, gładki jak jajko, zauważyła to - przelotny, nieświadomy wyraz twarzy Cornelii, kiedy Teo obrócił się, żeby coś powiedzieć

do Ellie. Cornelia wpatrzyła się wówczas z napięciem w jego profil albo może w jego szyję. No, proszę, pomyślała Clare. Miłość. I poczuła, jak na ten widok jej policzki się rumienia.

Clare poczekała do deseru, żeby powiedzieć to, co musiała powiedzieć. Kiedy już każdy miał usta pełne biszkoptu cytrynowego, przemówiła:

- Dzisiaj podjęłam decyzję na temat kilku spraw. Właściwie to myślałam o nich już od pewnego czasu, ale dziś postanowiłam wszystkim wam powiedzieć - wzięła głęboki oddech - o czym myślałam.

Jej oczy napotkały wzrok Teo, ale on ani nie skinął jej głową, ani nic nie powiedział, tylko zmarszczył kąciki oczu, co z niewiadomego powodu skłoniło ją, żeby wstać. Stojąc tak obok krzesła i widząc wpatrzone w siebie twarze, czuła się jak w szkole, kiedy musiała wygłaszać sprawozdanie. Zdenerwowana, ale w taki podniecający, elektryzujący sposób.

- Bardzo się cieszę, że moja mama wróciła - zwróciła się Clare do matki, która uśmiechnęła się do niej, choć w jej oczach widać było zdenerwowanie. - Mamo, tak bardzo za tobą tęskniłam i wiedziałam, że wrócisz. A właściwie, przez większość czasu wiedziałam. I chcę być z tobą codziennie, tak jak zawsze. - Poczowała, że głos więźnie jej w gardle, więc przerwała na kilka sekund. Nikomu to chyba nie przeszkadzało. - Ale boję się być z tobą sama, tam, w naszym domu. Kiedy byłaś chora, leżałam, nie śpiąc, tylko nasłuchiwałam i byłam przerażona tym, co możesz robić. I chociaż teraz dobrze się czujesz, wiem, że będę robić to znowu. Po prostu leżeć i słuchać, z tym niemiłym uczuciem. I przykro mi, mamo, bo nie chcę ranić twoich uczuć - Clare spojrzała na Cornelie, która miała łzy w dużych, lekko skośnych oczach - ale za bardzo tęskniłabym za Cornelią. - Łzy Cornellii przelały się z oczu na policzki, a Toby, który obok niej siedział, położył rękę na oparciu jej krzesła. - I kocham to miejsce. To najlepsze miejsce, w jakim kiedykolwiek byłam. Więc postanowiłam, że chcę tu zamieszkać na zawsze. W domu pani Goldberg. Z moją mamą i Cornelią. - Clare utkwiała wzrok w cieście stojącym na środku stołu, tak żeby nie musieć choćby próbować odczytać wyrazów twarzy siedzących wokół osób. - To sprawiłoby, że byłabym szczęśliwa. Więc chociaż pomyślcie o tym, proszę.

Usiadła z powrotem na swoim krześle i wygładziła serwetkę na kolanach. Przez co najmniej minutę nikt się nie odezwał. A kiedy ktoś w końcu zabrał głos, nie była to Cornelia ani mama Clare, tylko Ellie. Czystym głosem powiedziała:

- Myślałam tak sobie dzisiaj, kiedy gotowałyśmy, że mogłabym wykonać parę telefonów i załatwić Clare miejsce w St. Anne's, ot tak. - Strzeliła palcami. Kiedy Cornelia, mama Clare i wszyscy inni przy stole wlepili w nią wzrok, oddzieliła widelczykiem porcję ciasta i podniosła do góry. - Tak na wszelki wypadek - oświadczyła pogodnie - gdyby Clare jednak tu została. - Z

uśmiechem i nadal pod spojrzeniem wszystkich oczu włożyła sobie duży kawał biszkoptu do ust.

31. Cornelia

Moje życie, moje prawdziwe życie, rozpoczęło się, gdy wkroczył w nie pewien mężczyzna - przystojny nieznajomy w doskonale skrojonym garniturze. Tak, wiem, jak to brzmi. Albo wiem, jak mogłoby to brzmieć dla osoby, którą niegdyś byłam, spędzającej dni na prześlizgiwaniu się po obrzeżach dorosłości, zobowiązań, odpowiedzialności, dokonań - jakiegokolwiek słowa użyjecie do opisanie zanurzenia się w głębsze partie bycia człowiekiem. Wybierzcie, co chcecie. Wszystkie są rozpaczliwie nieadekwatne, ale są też wszystkim, co mamy.

Jeśli należycie do tego typu osób, jaką ja byłam, możecie uważać, że prawdziwe życie oznacza gonienie za tym, czego się pragnie, i zdobywanie tego. Ja też tak myślałam, kiedy prześlizgiwałam się po tych obrzeżach (i nie zrozumcie mnie źle, podobało mi się to prześlizgiwanie - tyle w nim było radości i przez większość czasu było jak najłżejszy taniec), gapiałam na prawdziwe życie innych ludzi - Ollie, B. i Ellie, Teo, pani Goldberg, żeby wymienić tylko kilka osób - jak na oświetlone domy, w których prawdziwi ludzie wykonują pracę prawdziwego życia. Byłam przekonana, że wszyscy oni zrealizowali pragnienia swego serca lub są w trakcie ich realizacji.

Tak. O to właśnie mi chodzi. Wierzyłam, że proces ich realizowania jest prawdziwym życiem.

Jednak podczas miesięcy, które nastąpiły po ozdobieniu przez Martina swoją obecnością wejścia do Café Dora, zrozumiałam, że prawdziwe życie nie polega na osiągnięciu pragnień mego serca, tylko poznawaniu ich, nie na zaspokojeniu, tylko na samym pragnieniu. Przekonałam się, że dowiadywanie się, co kochasz i dlaczego, jest tak realnym życiem, jak to tylko możliwe.

Kocham panią Goldberg, bo chociaż zachorowała i zmarła, jest równie żywa jak inne znane mi osoby. Kocham drzewa w jej ogrodzie i skarby na jej strychu, bo były to jej drzewa i jej skarby. Kocham swój dom rodzinny, bo należy do mojej rodziny. Kocham Linny, Toby'ego, Cama i Ollie, bo niepodobna ich nie kochać. Kocham swojego łagodnego ojca za jego żarliwość i moją szczęśliwą matkę za jej smutek. Kocham Teo, bo jest najlepszym człowiekiem, jakiego znam, i ponieważ bolą mnie kości w rękach, kiedy go nie obejmuję, i ponieważ jestem sobą. Kocham Martina za to, że wprowadził do mojego życia Clare, a Clare za to, że jest dzielna i kochająca, i inteligentna, i pełna nadziei. Och, jak ja kocham Clare.

Chciałam być matką dla Clare, a potem matka Clare przybyła do domu, a dom, do którego

przybyła, był moim domem.

Postanowiłam to zrobić. Potrzebowałam trzydziestu sekund namysłu i skinienia głowy Viviany, żeby podjąć tę decyzję. Postanowiłam przeprowadzić się z powrotem na ulicę, gdzie dorastałam, i zamieszkać w domu pani Goldberg z Clare i Vivianą. Miałam nadzieję na coś zupełnie innego i nie wiedziałam, jak to może się udać, ale zamierzałam po prostu w to wskoczyć, a później się zastanawiać, jak to zrobić. Jak to zrobić i jak pokochać takie życie. Tego wieczoru usiadłam przy telefonie i przekazałam te nowiny Linny, po czym od razu zaczęłam ją namawiać, by poszła do szkoły prawniczej znajdującej się kawałek dalej przy mojej ulicy. Rzuciłam też pracę w kawiarni, wynajęłam najtańszą firmę przeprowadzkową, jaką mogłam znaleźć, przekonałam właściciela mojego mieszkania, żeby zrezygnował z sześciomiesięcznego czynszu i żeby zdjął mój żyrandol.

Później tej nocy poszłam do swojego pokoju i znalazłam na łóżku opowiadanie o dziewczynce i niedźwiedziu oraz ponurej, zaczarowanej zimie. Pamiętałam tę wymęczoną okładkę. Książka była w plecaku Clare pierwszej nocy, gdy spała w moim mieszkaniu, więc sądziłam, że to ona położyła mi ją na łóżku, dopóki jej nie otworzyłam i nie znalazłam w środku kartki. Napisano na niej:

To prezent bożonarodzeniowy od Clare dla nas. Książka, którą zrobiła dla Viviany, ale postanowiła zamiast tego dać ją wspólnie tobie i mnie. Teraz twoja kolej. Bądź dzielna. Pozdrawiam, Teo.

Przycisnęłam palec do jego imienia i pocałowałam kartkę, jak beznadziejnie zakochane dziewczątko, którym byłam, a następnie przeczytałam opowiadanie. Czytałam je, skończyłam czytać i rozmyślałam o nim, aż wzeszło słońce.

Opowiadanie było wspaniałe i druzgocące i zostawiło mi do wyboru dwie interpretacje, jak dwie drogi. Obie drogi były trudne i zryte koleinami, obie wytrzęsłyby mi kości i duszę, ale jedna była łatwiejsza od drugiej.

Łatwa interpretacja polegała na tym, że choroba Viviany przeraziła Clare do tego stopnia, iż pragnęła tylko zapaść w nieskończenie długi sen - i nie potrafiłam zmusić swojej wyobraźni do pokazania mi szczegółów. Łatwość kryła się we wniosku, że nie należy zmuszać tak przerażonego dziecka do samotnego mieszkania z kobietą, która je przestraszyła. To dziecko mnie potrzebowało.

Jednak z tej samej historii mogłam wynieść coś innego, coś trudnego i trudnego też do wyjaśnienia. Kiedy zapadła zima, okrutny mróz wyssał życie nie tylko ze świata Anniki, ale również z jej ciała, włosów i oczu i nawet niedźwiedź John, mimo całej swej siły i dobroci, nie

mógł jej pomóc. Uratowałyby ją tylko powrót wiosny, przywrócenie dawnego świata do istnienia. Jeśli spojrzeć na tę historię pod tym kątem, można dostrzec, że istnieje pewna moc w sercach matek i ich dzieci - tajemnicza więź, której nikt inny nie może zapewnić. Mogłam mieszkać z Clare i Vivianą przez sto lat, a i tak nawet się do niej nie zbliżyć.

Do lasu drogi biegły dwie. *Bądź dzielna*, napisał Teo. Stałam na rozwidleniu dróg i czekałam, aż nabiorę dostatecznej odwagi.

Nic zatem dziwnego, że kiedy następnego wieczoru Viviana przyszła na strych pani Goldberg i spytała: „Co zrobisz?” - zamarłam. Ostrożnie zamknęłam laptop, układając go do drzemki. Jakie to proste, pomyślałam, szkoda, że nie mogę tego samego zrobić z Vivianą. Jak dobrze byłoby wyłączyć ją i jej pytania na tak długo, żebym zdążyła uciec.

- Co zrobię? - powtórzyłam, starając się zyskać na czasie. Dokładnie wiedziałam, o co pyta.

Ale okazało się, że nie. Bo po chwili uzupełniła pytanie.

- Tutaj. Co zrobisz, kiedy się tu przeniesiesz? Znajdziesz pracę? Wrócisz na studia? - Jednak odroczenie, pomyślałam i z ulgi zakręciło mi się w głowie.

- O Boże. Nie powiem, żebym miała już gotowy plan.

Viviana usiadła na podłodze obok mnie i podniosła zapalniczkę do papierosów w stylu art déco, o której pisałam. Obserwowałam, jak trzyma ten elegancki przedmiot w dłoniach o delikatnym kształcie i niemal pozbawionych zmarszczek, jakby same były art déco.

- Wiem, co czujesz - powiedziała.

- Jesteś pewna tej decyzji? - Nie byłam pewna, czy chcę usłyszeć odpowiedź, ale i tak spytałam. - Wyrwiesz korzenie i będziesz mieszkać tutaj, z dala od tego, co znasz.

- Znam Clare - odparła Viviana i przerwała, żeby te słowa dokładnie do mnie dotarły. I dotarły. - Potrafię odróżnić, kiedy czegoś chce, a kiedy rzeczywiście czegoś potrzebuje. A to? - Rozejrzała się po strychu i wyjrzała przez okno - Ona potrzebuje tego. - Potem spojrzała na mnie i napięcie zniknęło z jej twarzy. Westchnęła. - To nie wyjazd będzie trudny, tylko pobyt tutaj. Świadomość, że jestem pilnowana, i konieczność dzielenia się. Dzielenia się Clare. Nie chciałam, żeby to zabrzmiało nieuprzejmie.

Wiedziałałam, że nie chciała, i byłam zdumiona, jak nam się udało to zrobić, żeby przejść od nieufności do bliskości i zacząć rozmawiać w ten sposób.

- Może to nie jest dzielenie się. Może po prostu powiększy się jej świat.

Viviana skinęła głową.

- Powinien się powiększyć. Sama to widzę. Świat nas dwóch jest za mały. - Odchrząknęła.

- A zatem, wracając do ciebie. Co będziesz tu robić?

Rozejrzałam się po strychu.

- Muszę skończyć przeglądanie tego wszystkiego. To najpierw. Więc znajdę sobie jakąś pracę na ten czas. Nie jestem pewna, co potem. Może dalsze studia.

- Co chciałabyś studiować? - spytała z prawdziwym zainteresowaniem.

- Dokładnie nie wiem. Jednak lubię robić to, co robię. Zaczęłam od spisywania historii, które pani Goldberg opowiedziała mi o swoich skarbach.

- Dzieło miłości - stwierdziła Viviana. - Clare mówiła mi, ile znaczyła dla ciebie pani Goldberg.

- Tak. - Z niewiadomego powodu mnie to zdenerwowało, więc szybko porzuciłam ten temat. - Jednak okazało się, że są też inne historie wiążące się z wieloma z tych przedmiotów, historie, których chyba nawet pani Goldberg nie знаła. Znalazłam je w Internecie i bibliotekach uniwersyteckich. - Wzięłam do ręki śmieszny srebrzysty turban i włożyłam go na głowę. - Na przykład o tym.

Viviana uśmiechnęła się, widząc mnie w tym nakryciu głowy.

- Wiem, wiem - powiedziałam - możesz to sobie wyobrazić? To dzieło Lilly Dache, Francuzki, która w swoich czasach była najsłynniejszą modystką w Nowym Jorku. Kto mógł wiedzieć, że były słynne modystki? - Nie potrafiłam wytłumaczyć, dlaczego takie rzeczy mnie fascynują, ale tak było. - I srebra. Są tu przedmioty z osiemnastego wieku. A ta furtka z kutego żelaza, o tam, myślę, że została wykonana w Filadelfii przez byłego niewolnika. Wszystko pochodzi z jakiegoś miejsca. Każda z tych rzeczy znajdowała się w tyłu rękach. Zdjęłam turban, zażenowana swoją egzaltacją. Fakt, że miałam mieszkać z tą kobietą i jej dzieckiem, przez cały czas wisiał nad nami, a ja mówiłam o kapeluszach i furtkach.

- Zatem może historia sztuki - zasugerowała Viviana, kiwając głową. - Konserwacja? Albo kultura materialna. - Umilkła, odłożyła zapalniczkę i spojrzała na mnie. - Mają wspaniały program takich studiów w Delaware, a obok znajduje się muzeum mieszczące zdumiewające zbiory, całe odtworzone wewnątrz. Parkiety, sztukaterie, meble, obrazy, wszystko. Urządzałam przyjęcia dla pewnej kobiety z zarządu. Jestem pewna, że napisze ci list rekomendacyjny. - Przerwała.

Delaware.

- Viviano - powiedziałam tak neutralnym tonem, na jaki mogłam się zdobyć - o co ty mnie prosisz?

- To naprawdę nie jest daleko - odparła rzeczowo. - Mogłabyś tu wracać, przyjeżdżać do

domu w każdy weekend. Do twojego domu.

- O co mnie prosisz? Jej brawura wyparowała.

- Ona co noc przychodzi do twojego pokoju. Słyszę to.

Nie zamierzała płakać i byłam jej za to wdzięczna. Siedziała spokojnie, jasnowłosa i wyprostowana, z oczami dumnymi jak u posągu z marmuru, ale czułam napięcie pod tą chłodną powłoką. Bezlitosna, pomyślałam. Ta kobieta potrafi być bezlitosna, jeśli będzie musiała. Podziwiałam ją za to.

- Ja muszę być osobą, której ona potrzebuje - powiedziała zdecydowanie. - Ona jest moim życiem.

Chciałam odpowiedzieć, ale nic nie potrafiłam wymyślić.

Viviana wstała i ruszyła ku drzwiom. Ale jeszcze obróciła się w moją stronę.

- Proszę - zaczęła. Ale jej przerwałam. Ta dumna kobieta błagająca o swoje dziecko to byłoby więcej, niż mogłam znieść.

- Nie - powiedziałam. - Nie proś.

I wtedy mama Clare zostawiła mnie sam na sam ze sobą.

32. Clare

Nie potrafię się zdecydować, czy ona jest piękna, czy też po prostu wygląda lepiej niż ktokolwiek, kogo widziałam - powiedziała Clare w połowie filmu. Cornelia siedziała na podłodze, oparta o duży fotel, w którym siedziała Clare. Kiedy Clare to powiedziała, Cornelia odchyliła głowę do tyłu, żeby na nią spojrzeć, i roześmiała się.

- Właśnie! Ona jest po prostu wspaniała!

Rzeczywiście była wspaniała, ta Tracy Lord, w białej sukience, z gniewnie wygiętymi ustami, pięknie wyrzeźbioną twarzą i podłużnymi oczami, których wyraz zmieniał się od pogardy do cierpienia bez mrugnięcia powieką.

Kiedy Clare po raz pierwszy ujrzała Dextera, wykrztusiła:

- No, no!

- Prawda? - westchnęła Cornelia.

- Ale nie tylko to - zaczęła Clare - on wygląda jak...

- Jak ty. - Cornelia uśmiechnęła się i dodała: - I twój ojciec.

Wyglądam jak mój ojciec, pomyślała Clare.

Jednak, nie wiedzieć czemu, przestało jej to przeszkadzać. Martin Grace był jej ojcem.

Chociaż odszedł, miał swój udział w tym, kim ona jest, a coraz bardziej jej się wydawało, że jest tym, kim chciała być.

Mam oczy ojca, powiedziała do siebie. I nagle otworzyło się maleńkie jasne okienko zrozumienia - to, że ojciec mnie nie kochał, nie oznacza, że ja nie mogę go pokochać któregoś dnia. Okienko się zamknęło, ale w środku pozostało to nowe uczucie, ten początek. Mam oczy ojca, pomyślała ponownie.

Kiedy film się skończył, zauważyła z zadowoleniem:

- Tak powinny się kończyć wszystkie filmy. Tak żeby wszyscy dobrzy ludzie dostawali to, czego chcą.

Cornelia wyłączyła telewizor i obróciła się twarzą do niej. Clare, patrząc na nią, jak tak siedzi na podłodze, w dżinsach i ze skrzyżowanymi nogami, przypomniała sobie, jaka jest malutka, zupełnie jak dziecko.

- Clare, muszę ci coś powiedzieć. - Przerwała. - Jesteś częścią mojej rodziny, nie tylko przyjaciółką. Zawsze będziesz należeć do mojej rodziny.

To były cudowne słowa, słowa, które chciała usłyszeć. Powinna być szczęśliwa, tymczasem poczuła lęk. Głos i wyraz oczu Cornelii sprawiały, że bardziej niż kiedykolwiek wyglądała jak dziecko, ale jak dziecko, które stara się być silniejsze i dzielniejsze, niż jest.

Clare skinęła głową i zaproponowała:

- Może obejrzymy ten film jeszcze raz, od początku? - Ty i twoja mama będziecie mieszkać w domu pani Goldberg. - Clare zauważyła, że Cornelia drży. - A ja będę często przyjeżdżać was odwiedzać.

- Nie - oświadczyła Clare. - Nie możesz tego zrobić, Cornelio. Już powiedziałas, że zostaniesz.

Gniew we własnym głosie zdumiał ją samą. Kiedy była smutna lub przestraszona, słychać w nim było wściekłość. Jednak nie umiała powstrzymać się przed tym gniewnym tonem, a już po chwili zaczęła też odczuwać gniew.

- Będziemy spędzać razem wakacje i weekendy. I możesz przyjeżdżać mnie odwiedzać zawsze, kiedy zechcesz. W Filadelfii albo tam, gdzie w końcu zamieszka. - I dodała szybko: - Ale obojętne, gdzie zamieszka, nie będzie to daleko od ciebie. Obiecuję ci.

- Już obiecałaś, że zostaniesz. - Te słowa zraniły Cornelie, wyraźnie to widziała, i mimo gniewu, wcale jej to nie sprawiło satysfakcji. Ale jej własne rozczarowanie było tak ostre i okropne.

- Obiecałam, bo tak bardzo chciałam z tobą być. Nadal tego pragnę. Ale ty musisz być

sama ze swoją mamą. - Cornelia tak mocno zaciskała dłonie, że robiły się czerwone.

- A co, jeśli znowu zachoruje? - wybuchnęła Clare. - Pomyślałaś o tym?

- Przyjdiesz prosto tutaj i powiesz Ellie i B. I zadzwonisz do mnie, a ja natychmiast przyjadę, choćby nie wiem co. Wszyscy ci pomożemy. - Cornelia powiedziała to takim tonem, jakby składała uroczystą przysięgę. - Och, skarbie... - Głos jej się załamał i wyciągnęła rękę w kierunku Clare, ale ona wstała i zostawiła ją tam samą. Była taka mała, siedziała na podłodze i wyglądała, jakby złamano jej serce.

33. Cornelia

Dobrze się stało, że strych pani Goldberg, miejsce, które tak kochałam, stał się świadkiem części mojej historii i mógł ją przechować wraz z innymi. Dobrze się stało, że tam właśnie odnalazł mnie Teo - z błyszczącą szafirowoniebieską sukienką pani Goldberg przerzuconą przez kolana - jak siedziałam spokojnie, ale pogrążona w ostrym smutku, który stał się nieodłącznym towarzyszem mego serca.

„Co za blask bije od drzwi?” - nasunęło mi się natychmiast na myśl, gdy przez nie wszedł. I musiałam się uśmiechnąć, bo nie mogłam być w gorszym nastroju do interesowania się fatalną miłością, zrodzoną pod nieszczęśliwą gwiazdą. Ja chciałam, żeby moje gwiazdy były jasne i niezmiennie i wypisywały szczęśliwe zakończenie na niebie. Jeśli jesteście do mnie podobni, to nie cenicie tej sztuki za jej tragiczne zakończenie, tylko za bezbłędne przedstawienie miłości zdobytej. Kiedy wasz mężczyzna musi wyjść rano, ptakiem śpiewającym na zewnątrz jest zawsze słowik, nigdy skowronek, a kiedy wasz mężczyzna pojawia się w drzwiach strychu, księżyc zawsze błędnie z zazdrości o jego piękno. Albo słońce, jeśli akurat przyjdzie w dzień.

Teo wszedł i usiadł naprzeciw mnie w fotelu obitym ciemnopomarańczową skórą, którego jedyną historią było to, że Gordon Goldberg kupił go osobiście i przez piętnaście lat niezmiennie odmawiał zrezygnowania z niego, nawet w obliczu obrazy uczuć swojej żony. Teo zdjął kurtkę, sprawiając mi tym ogromną radość. Zdejmij kurtkę i zostań na zawsze, pomyślałam.

- Straciłam ją - odezwałam się do niego. Pokazałam mu puste ręce. Jakoś wiedziałam, że on wie o Clare.

- Nie będzie wściekła wiecznie - odparł.

- Wiem, że nie.

- Będzie dorastać tu, gdzie my dorastaliśmy. Zawsze będziecie należeć do siebie nawzajem.

- Ale nie w taki sposób, jak chciałam, żebyśmy należały. - Tak brzmiała prosta prawda.

- Chciałaś widzieć ją codziennie.

- Chciałam widzieć ją codziennie. Chciałam, żeby przychodziła do mojego łóżka w nocy, kiedy nie mogłaby zasnąć. Chciałam, żeby przychodziła do domu i opowiadała, co w szkole. - Przesunęłam dłonią po niebieskiej satynie, wygładzając ją odruchowo, choć nie mogła być już gładsza. - I tak niewiele brakowało, żebym to miała. Ale to nie byłoby w porządku. - Podniosłam na niego wzrok. - Teo, ja po prostu chciałam postąpić właściwie.

Pragnęłam, żeby mnie zapewnił, że postąpiłam jak należy, ale on, zamiast zwyczajnej pociechy, powiedział coś cudownego:

- Oczywiście, że chciałaś. Taka właśnie jesteś. A jak myślisz, dlaczego tak bardzo cię kocham?

Zanim wpadniecie w zbyt ni entuzjizm, przypomnijcie sobie, że nigdy nie było kwestii, czy Teo mnie kocha. Kochał mnie od czasu, gdy miałam cztery lata. To wiem, to zawsze wiedziałam. Jednak nawet ta niezbita dwudziestosiedmioletnia wiedza nie powstrzymała mojego serca przed biciem szybszym niż u ptaka.

I wyobraźcie sobie - przez całe życie czekałam, że „Kocham cię” będzie jak poezja podana mi na srebrnej tacy, jak linijka z filmowego scenariusza, a teraz skakałam pod niebiosa, słysząc te słowa wypowiedziane jak oczywistą prawdę, jakby wcale ich nie trzeba było mówić. Jakby miłość Teo do mnie była jak drzewa i niebo, jak świat, w którym zawsze żyliśmy. I pewnie tak było. Ale czegoś od niego chciałam.

Jak tylko zdołałam wydobyć głos, powiedziałam:

- Potrzebuję czegoś od ciebie.

A on uśmiechnął się szerokim, ciepłym uśmiechem i odparł:

- Wiesz, że to dostaniesz.

Ale nawet ta odpowiedź nie musiała znaczyć tego, w co tak chętnie pozwoliłabym sobie wierzyć, bo Teo Sandoval był najbardziej wspaniałomyślnym człowiekiem, jaki kiedykolwiek żył. Każdy, kto go znał, wiedział o tym. Bądź dzielna, powiedziałam sobie.

- Uściślenia - wyjaśniłam drżącym głosem. - To pytanie, które zadałeś sekundę temu. Mógłbyś je uściślić? Bo za to, żebyś miał na myśli to, co chciałabym, żebyś miał... - Urwałam. Bądź dzielna. - Zrobiłabym wszystko. - Łzy zapiekły mnie w oczach. - Po prostu wszystko.

A on spojrzał na mnie z życzliwą troską i spytał:

- Mocno cię to walnęło, co?

- Och, Teo, zostałam zmiażdżona.

Teo nie odpowiedział, tylko siedział, przyglądając mi się ze współczuciem na twarzy. Poczułam zawroty głowy, zrobiło mi się słabo.

- Ale nie miałaś, jak przypuszczam.

- O tak, miałem. - Nie odrywał wzroku od moich oczu. - Ale już od tak dawna, że zdążyłem się do tego przyzwyczaić.

- Od jak dawna?

- To pozostanie moją tajemnicą. - Uśmiechnął się. - Nie zamierzam mieć przed tobą innych sekretów, ale tego ci nie zdradzę.

Jeśli z tą sceną kojarzy się wam fala muzyki, niebiańskie światło i lśniąca droga wiodąca mnie w przyszłość, to się mylicie. Zamiast tego był strych pani Goldberg, zwykle popołudniowe słońce, Cornelia siedząca na podłodze i Teo siedzący w brzydkim pomarańczowym fotelu. Czegóż więcej można pragnąć.

- I co, wystarczy uściślenia? - spytał Teo.

Potrafię tak samo jak każdy okazywać rezerwę. Ale wiem, że jest pora na rezerwę i jest pora na to, żeby rzucić wszystko, co trzymasz, na podłogę, przebiec przez pokój i wskoczyć na kolana swojej prawdziwej miłości, licząc na to, że twoja siła, twoje trzydzieści osiem kilogramów oraz siła ciężkości, która z pewnością ci pomoże, bo natura jest zawsze po stronie miłości, nie pozwolą mu się ruszyć.

- Kocham cię - powiedziałam. - A jeszcze odrobina uściśleń nie zaszkodzi. - Objęłam go ramionami za szyję i przysunęłam twarz do jego twarzy, tak żeby nie miał wyboru i zrobił to, co zrobił, czyli mnie pocałował. Ja pocałowałam jego. On pocałował mnie. Obdarzyliśmy się nawzajem pocałunkiem naszego życia, stu żyć. Tysiąca.

Tak, to prawda, co powiedziałam wcześniej. Prawdziwe życie nie polega na zdobywaniu tego, czego pragniesz. Osiągnięciem, przywilejem jest również wiedzieć, co kochasz.

A otrzymanie tego, co kochasz? Przekonanie się, że twoja miłość też cię kocha? O, przyjacielu, to jest cud: twoje małe zderzenie czołowe z boskością.

Kiedy kochasz, chcesz z wszystkimi się tym podzielić, powiedzieć rybom w morzu, latarni na rogu ulicy i rozesłać tę nowinę przez morza i kontynenty, tak żeby mogło się radować z tobą wszelkie stworzenie.

Kiedy kochasz męża swojej siostry albo siostrę swojej żony, musisz najpierw powiedzieć o tym rodzinie.

Po tym jak ty i twój ukochany przemieniliście się dotykiem w nieśmiertelnych, musisz zejść po schodach ze strychu na zwykłych ludzkich stopach i przejść przez trawnik, każde do

swojego domu, z sercem na ramieniu i zaciśniętymi kciukami i spędzić następne czterdzieści osiem godzin na stawianiu czoła temu, z czym trzeba się zmierzyć.

Rozmowa pierwsza: Mój ojciec, tego samego popołudnia.

Cornelia: Tato, Teo i ja się kochamy.

Tata [*ze zdumieniem w oczach ukrytych za okularami*]: Poważnie?

Cornelia [*dzieląc włos na czworo, żeby zyskać na czasie*]: Chodzi ci o to, czy mówię poważnie to, co właśnie powiedziałam, czy też że to z Teo to na poważnie?

[*Pauza.*]

Tata: Jeśli chodzi o ciebie i Teo, to może być tylko na poważnie, więc chyba pytałem, czy masz na myśli to, co właśnie powiedziałaś.

Cornelia [*z głębi serca*]: Tak.

Tata [*uśmiechając się*]: Teo nie przypomina Cary'ego Granta.

Cornelia [*odwzajemniając uśmiech*]: Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Tata: Nie mów Ollie, ale zawsze tego pragnąłem.

[*Oczy taty promienieją. Cornelia stoi skromnie w ich świetle.*]

Rozmowa druga: Toby i Cam, wczesny wieczór, w trakcie rzucania piłką i wymieniania przyjacielskich obelg.

Cornelia [*przekrzykując przyjacielskie obelgi*]: Hej, chłopaki, nigdy nie zgadniecie, co jest między mną a Teo. Kochamy się.

[*Ręka Toby'ego nieruchomieje w połowie gestu. Piłka spada z głuchym dźwiękiem na ziemię. Cam podbiega galopem, jak golden retriever, którym jest. W końcu...*]

Cam [*zawodząc*]: Ale ja go biorę po Ollie. Zaklepałem sobie!

Toby: Zamknij się, głupku. On jest mój!

[*Szamoczą się.*]

Cornelia: Uwielbiam was, chłopaki, wiecie?

[*Toby i Cam wyglądają na zadowolonych i zmieszanych.*]

Chwila zadowolenia, zmieszania i uwielbienia przerwana przez nieuniknione podniesienie z ziemi Cornellii i nieuniknione rzucanie nią jak piłką lekarską od jednego brata do drugiego, na co spogląda gwiazda wieczorna.]

I nie musicie mi wytykać, że te rozmowy poszły znacznie lepiej, niż na to zasłużyła córka i siostra dostarczająca takich bombowych nowin. Wykręciłam się sianem, wiem, i byłam odpowiednio wdzięczna, wierzcie mi. Wdzięczna, wdzięczna. Tego wieczoru kładłam się do łóżka, promieniejąc miłością rodzinną.

Nie musicie też mi zarzucać, że rozmawiając najpierw z ojcem i braćmi, wcale nie szłam śmiało lwu w paszczę ani nie chwyciłam byka za rogi. Ale pomyślcie tylko - jeśli już rzucać bombę, to czy nie lepiej wybrać najpierw łatwiejszy cel, a te naprawdę trudne zostawić sobie na później i zająć się nimi po dobrze przespanej nocy i w chwale wcześniejszych zwycięstw?

No, więc widzicie. To nie było tchórzostwo, tylko strategia.

Rozmowa trzecia: Clare przy kuchennym stole, jedząca śniadanie następnego dnia, sama z Cornelią.

Cornelia: Clare, muszę ci coś powiedzieć.

Clare [*Nie podnosi wzroku znad miski z płatkami śniadaniowymi.*]

Cornelia: Okazuje się, że jestem zakochana w Teo. I wiesz co?

Clare [*Nie podnosząc wzroku znad miski z płatkami śniadaniowymi.*]

Cornelia: On też mnie kocha.

[*Clare spogląda Corneli w oczy. Jej oczy są pełne czegoś, czego Cornelia nie potrafi określić.*]

Cornelia: [*biorąc głęboki oddech*]: Jutro jadę z nim do Nowego Jorku. To znaczy, nie na stałe, tylko na kilka dni, aż będę mogła znieść pobyt z dala od niego. Wtedy pojedę do swojego mieszkania, spakuję wszystko i przeprowadzę się do niego. W końcu. I wiesz, to jest Nowy Jork. Całkiem niedaleko stąd. Zamierzam nauczyć się prowadzić, tak żebym mogła przyjeżdżać cię odwiedzać. Teo też będzie was często odwiedzał, ilekroć będzie mógł, ze mną lub beze mnie. Dlatego że tak bardzo cię kochamy i nie możemy znieść zbyt długiej rozłąki z tobą. Clare, skarbie, powiedz coś.

[*Nic. Po chwili.*]:

Clare: Ołać to.

Och, Clare.

Kiedy zjadłyśmy w milczeniu wspólne śniadanie, poszłam na górę do swojego pokoju i zadzwoniłam do Linny. Powiedziałam jej to samo co wszystkim innym.

Na to Linny:

- Cornelio, tak szaleję z radości, że nawet nie potrafię wymyślić żadnego żartu.

- Szkoda - odparłam. - Bo naprawdę by mi się przydał.

Linny rozważyła to przez chwilę, po czym powiedziała:

- Nie potrafię zażartować, ale mogę spytać cię o seks. Czy to załatwi sprawę?

- Myślę, że mogłoby.

- Uprawiacie go?

- Linny, nie minęły jeszcze dwadzieścia cztery godziny!

- Plus dwadzieścia cztery lata.

Pomyślałam, żeby się sprzeczać, ponownie przytoczyć swoją teorię przeistoczenia, ale szybko uznałam tę myśl za szaleńcze samozaparcie, jakim była.

- Nie uprawiamy go - odparłam

- O Boże, Cornelio. - W jej głosie zabrzmiało nagłe przerażenie. - Chyba nie odkładacie tego, aż się rozwiedzie, co?

Dobre pytanie, celne. Prawdę mówiąc, tak dobre i celne, że Teo zadał mi swoją nieprzerażoną, ale równie nagłą wersję dokładnie tego samego pytania podczas wykradzionych przez nas chwil na orientalnym dywanie na strychu pani Goldberg poprzedniej nocy, zadał mi ją po tym, jak odsunęłam się od niego, ciężko dysząc, gdy poczułam jego dłoń wślizgującą się pod sweter i szukającą drogi wzdłuż żeber.

- Czyli gramy zgodnie z zasadami? - spytał ochrypłym głosem. Ręka się wycofała, czyli zrobiła dokładnie to, czego chciałam, niewątpliwie chciałam, bo inaczej po co bym się od niego odsuwała, tyle że jak tylko zniknęła, oddałabym wszystko, żeby wróciła.

- Teo. Ona jest moją siostrą - westchnęłam, wiedząc, że ta sama myśl przyszła teraz nam obojgu do głowy. Mianowicie, że Ollie, mimo męża, z pewnością nie powstrzyma się od niczego i niewątpliwie nawet w tym momencie, nawet gdy Teo i ja leżymy obok siebie, a frustracja leciutko zabarwia nasze uniesienie, Ollie i Edmund znajdują się na swej kamienistej plaży i zabawiają się przed Bogiem i żółwiami.

Jednak w wyobraźni, obok tego jakże drastycznego obrazu, widziałam inny, jeszcze bardziej drastyczny - oglądanie przez całe życie wybałuszonych oczu Bette Davis, ilekroć spojrzę w lustro. Kto mógłby znieść tego rodzaju przyszłość? A wy potrafilibyście?

Powiedziałam Linny to samo co Teo.

- Będziemy przestrzegać litery prawa, a jednocześnie całkowicie ignorować jego ducha za każdym razem, gdy będziemy mieć okazję.

Na co Teo odparł z czułym śmiechem:

- Tylko ty mogłaś powiedzieć coś takiego. Na co Linny odparła z czułym obrzydzeniem:

- Jesteś naprawdę popieprzona.

Potem nieprzekonująco dodałam to, co wcześniej nieprzekonująco dodałam w rozmowie z Teo:

- W każdym razie taki jest plan na teraz. Na co Teo stwierdził szarmancko:

- Nie, lepiej nie zostawiaj tej furtki. Mogłoby mnie kusić, żeby próbować zmienić twoje

zdanie.

Na co Linny stwierdziła szyderczo:

- Na teraz? Ha! Nie daję ci więcej niż tydzień, siostrzyczko. - Następnie spytała: - A przy okazji... Skoro oni nie byli zakochani i tak dalej, czy on i Ollie...? - Linny nie należy do osób, które pomijają milczeniem pewne kwestie.

- Linny, oni byli małżeństwem przez dwa lata - powiedziałam spokojnie. - Można założyć, że uprawiali seks.

- Można założyć? Daj spokój, wiem, że go zapytałaś. Wiem to - oświadczyła porozumiewawczo.

- Nie mam pojęcia, dlaczego tak mówisz.

- Cornelio.

Przeklęta Linny.

No, dobrze, spytałam, spytałam go. W ramach sprawdzania mojej ulubionej teorii, że moja miłość do Teo istnieje na płaszczyźnie wyższej ponad zazdrość, zadałam to pytanie, a jego odpowiedź wcale mnie nie zraniła. Ani odrobinę. Moje odporne na zazdrość serce zabiło triumfalnie.

- Uprawiali. Powiedział, że było w porządku. - To dokładnie jego słowa.

- „W porządku? My tutaj nazywamy to potępieniem za pomocą zbyt nijakiej pochwały” - powiedziała moja przyjaciółka Linny i muszę przyznać, że mimo całej mojej odporności na zazdrość, złośliwy uśmiech, który wyczułam w jej głosie, był muzyką dla moich uszu.

Tego wieczoru, kiedy się pakowałam, do pokoju weszła moja mama z parą moich najstarszych dzinsów, takich jeszcze z zaprasowanymi kantami na każdej nogawce.

- Nie zapomnij tego - powiedziała. Usiadłam na łóżku.

- Mamo. Usiadła obok mnie.

- Niewątpliwie nieźle tu namieszałaś - zauważyła, i serce mi zamarło, bo wiedziałam bardzo dobrze, że takie zamieszanie było ostatnią rzeczą, jakiej pragnęłaby moja matka.

- Kocham go z całej duszy - powiedziałam, bo to także wiedziałam.

Spojrzała na mnie.

- No, a dlaczego nie miałabyś go kochać? To cudowny chłopak.

- To najlepszy mężczyzna na świecie.

- Twój ojciec jest najlepszym mężczyzną na świecie. - Siła jej miłości do męża przewaliła się po mnie jak fala morska. No, no, pomyślałam. Czy to przez cały czas tam było?

- Spójrz na nas - powiedziałam. - Dwa usychające z miłości groszki w strączku. - A wtedy

uśmiechnęła się do mnie.

- Kiedy zostanie orzeczony ich rozwód? - spytała. Więc wyjaśniłam jej to wszystko, co wcześniej wyjaśnił mi Teo, i powiedziałam o jego planie, żeby poczekać rok.

- Rok? - odparła mama ostro. - To szaleństwo. - A ja poczułam się, jakbym to ja była szalona. Bo jak nie, to ona. Byłam pewna, że będzie chciała, żeby Teo postąpił szlachetnie i poczekał.

- On nie chce mówić okropnych rzeczy o Ollie - westchnęłam. - Po prostu nie chce. Oczy mojej mamy rozbłyły.

- Ale może uda się przekonać Ollie, żeby powiedziała okropne rzeczy o nim, jak sądzisz? Przy odrobinie perswazji ze strony matki?

- Mamo! - Byłam dosłownie zszokowana.

- Kochanie - powiedziała i położyła mi dłoń na policzku. - Skąd to zdumienie? Ja zawsze byłam po stronie miłości. Czyżbyś tego nie wiedziała?

Kiedy się nad tym zastanowiłam, doszłam do wniosku, że rzeczywiście wiedziałam. Oczywiście. Wiedziałam to przez cały czas.

Następnego ranka Clare nie zeszła na śniadanie.

- Przykro mi, Cornelio - powiedziała Viviana. - Nawet bardziej przykro z jej powodu niż z twojego, bo potem nie będzie mogła sobie darować, że się nie pożegnała. Później będzie żałować. Przerwała, a ja uzbroiłam się wewnątrz przeciw kolejnym podziękowaniom.

Ale Viviana tylko się uśmiechnęła i stwierdziła:

- Kiedy przyjedziesz z wizytą, będziesz miała teraz trzy domy, w których możesz się zatrzymać. Ten dom, dom rodziców Teo i dom pani Goldberg.

Zaproszenie. Odwzajemniłam jej uśmiech.

- Teraz to twój dom - przypomniałam.

Po długich rozmowach, podczas których ja nalegałam na to, żeby im go dać, a Viviana, żeby go kupić, zgodziłam się go sprzedać.

- I dom Clare - dodałam wesoło, czy wręcz z rozradowaniem, bo to właśnie robi z tobą miłość: wyzbywasz się domu, który był bliski twemu sercu przez prawie całe życie, a czujesz się, jakby ci podarowano słońce i księżyc razem.

- Zaplanuj długie wizyty - powiedziała mi Viviana.

Wyczekała długi czas. Przestraszyła mnie swoim czekaniem. Ale kiedy wkładałam torbę do bagażnika samochodu Teo, nagle znalazła się koło mnie. Nie było jej, potem była, a potem znalazła się w moich ramionach.

- Nazwij mnie skarbem - porosiła, opierając się policzkiem o mój policzek.

- Och, skarbie, skarbie, skarbie - powiedziałam. - Clare. Dziecko mego serca. Skarbie, tak bardzo nie chcę cię opuszczać.

Tak bardzo nie chciałam jej opuszczać. Robiło mi się niedobrze na tę myśl.

- Ale wrócisz - upewniła się - i wkrótce się ze mną spotkasz.

- Wiesz, że tak.

Potem spojrzała mi w twarz niezrównanymi brązowymi oczami i uśmiechnęła się.

- Chcę, żebyście z Teo się pobrali - szepnęła - i byli razem na zawsze. - Rozpląkała się. - Chcę, żebyśmy wszyscy byli razem na zawsze. Chciałabym, żeby ktoś mógł mi to obiecać.

Pocałowałam ją.

- Uważasz, że to taka trudna obietnica do spełnienia? Bo ja sądzę, że łatwa.

Przypomniałam sobie, jak Teo powiedział: „A jak myślisz, dlaczego tak bardzo cię kocham?”

- Nasza wzajemna miłość to po prostu świat, w którym żyjemy, jak trawa pod naszymi stopami - powiedziałam Clare. - Nieważne, gdzie jesteśmy, to świat, w którym żyjemy. Wiesz, o co mi chodzi?

A Clare przytaknęła ruchem głowy przy moim ramieniu.

- Tak, tak, tak.

Poczekalam z płaczem, aż odjechaliśmy wraz z Teo, a wówczas nie mogłam przestać płakać.

- Jak mogłam ją opuścić? - łkałam. - Nie mogę jej opuścić.

Wyciągnął rękę i ujął moją dłoń.

- Czy myślisz, że ona wie, jak bardzo ją kocham? - spytałam.

- Wiem, że wie - odparł.

Nagle wydało mi się niezmiernie ważne, żeby wszyscy, których kocham, wiedzieli dokładnie jak i jak bardzo.

Ogarnęło mnie gorączkowe pragnienie, żeby się dowiedzieli. Obróciłam się do Teo.

- Czy wiesz, jak cię kocham? - spytałam.

- Tak.

- Nie, ja się teraz nie wygłupiam - powiedziałam gwałtownie. - To nie jest randka.

- Wiem.

Prowadził, a ja wpatrywałam się w niego, w jego promiennie piękną twarz, która była piękna, bo była, ale głównie dlatego, że była jego. Teo wyglądał jak nikt inny na świecie.

Opanowała mnie szalona myśl.

- Teo - odezwałam się. - Nie Kocham cię za twoją urodę.

Roześmiał się.

- Uhu, i co jeszcze?

Jak nikt inny na świecie, pomyślałam. Poza, może, Lawrence'em Olivierem, odrobineczkę, ale tylko w okolicy kości policzkowych.

Potem jechaliśmy przez dłuższy czas w milczeniu.

- I zapewne powinnam ci powiedzieć, że chcę mieć dziecko. Nie natychmiast, ale niebawem. Naprawdę niebawem. - Tak po prostu to powiedziałam. Postawiłam wszystko na jedną kartę i czekałam twardo, czując wiatr na twarzy i słysząc śpiew ptaków, i nie rozglądałam się nigdzie, tylko patrzyłam prosto na Teo.

- W porządku - odparł tak pogodnie, że doszłam do wniosku, że mnie nie rozumie.

- Z tobą - wyjaśniłam. - Chcę mieć dziecko z tobą. Wkrótce.

Nie roześmiał się. Zjechał na pobocze i pocałował moją moką twarz.

- Im szybciej, tym lepiej - powiedział.

I jechaliśmy dalej, widząc w oddali błękitne, życzliwe góry, które potem zniknęły. Zniknęły, ale nadal były. Góry, Clare, pani Goldberg, moja matka i ojciec, Ollie, Cam, Toby, Linny, Martin, Viviana, wszyscy tu byli. Wy również. Moje serce jest duże, może pomieścić wszystko naraz, i jeszcze drogę, na której jestem z Teo, widzicie? Ona biegnie do przodu i do tyłu i nieważne, w którą stronę nią podróżujemy, kierunek jest ten sam. Wiecie, jaki kierunek mam na myśli - powrotny do domu.